

Simon Kernick

KRYMINAŁ
TINA BOYD

TERMIN

KTOŚ PORWAŁ TWOJĄ CÓRKĘ.
TEGO SAMEGO DNIA ZNIKA TWÓJ MAŻ.
MASZ 48 GODZIN, BY WPŁACIĆ
PÓŁ MILIONA FUNTÓW OKUPU.



JEŚLI ZAWIADOMISZ POLICJĘ,
DZIECKO ZGINIE...

JENTAS BOOKS

K SIMON
ERNICK

KRYMINAL
TINA BOYD

TERMIN

JENTAS BOOKS

Termin

Tytuł oryginału: Deadline

© Simon Kernick 2008

© Copyright to the Polish Edition: Jentas ehf 2022

ISBN: 978-9979-64-395-1

Spis treści

Strona tytułowa

Notka redakcyjna

Prolog

CZEŚĆ PIERWSZA

1

2

3

4

5

6

7

8

CZEŚĆ DRUGA

9

10

11

12

13

14

15

16

17

CZEŚĆ TRZECIA

18

19

20

21

CZEŚĆ CZWARTA

22

23

24

25

26

27

28

29

30

CZEŚĆ PIĄTA

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

CZEŚĆ SZÓSTA

54

55

56

57

58

Epilog: Dwa dni później

Dla Anny Bridges
Oby Twój duch nigdy nie przestał szybować.

Prolog

W drzwiach powitała go dziewczyna ubrana tylko w bawełnianą koszulkę i figi, bez słowa mocno pocałowała w usta, a następnie wciągnęła do sypialni. Podniecona, nawet nie zwróciła uwagi, że gość nosi rękawiczki. Dzwonił do niej przed pięcioma minutami wcześniej i w pikantnych szczegółach opisał, co będą razem robić. Gdy jej ręce przesunęły się w dół, z cieniem żalu zatrzasnął nogą drzwi sypialni, wysunął nóż z pochwy ukrytej pod tanią marynarką i wbił ostrze pomiędzy jej żebra, prosto w serce. W krótkim czasie znajomości dziewczyna okazała się doświadczona i pełna entuzjazmu i uprawianie z nią seksu mogło stanowić przyjemną rozrywkę. Wtedy jednak pozostawiłyby obciążające dowody, a był zawodowcem i nie pozwalał, by tania rozrywka przeszkadzała interesom.

Przytulał ją, gdy umierała. Wiedział, że jeden cios wystarczy, bo już kilka razy w ten sposób pozbawiał ludzi życia. Dziewczyna nawet nie krzyknęła. Oczywiście gdy nóż wnikał w serce, wydała zaskoczone, pełne bólu sapnięcie, któremu towarzyszył jeden gwałtowny skurcz — mięśnie napięły się ostatni raz i paznokcie wbiły w materiał marynarki — ale nie trwał długo. Zaraz po nim nastąpił długi, powolny wydech, gdy ciało zwiotczało w jego ramionach.

Policzył w myśli do dziesięciu, potem, wciąż ją trzymając, puścił rękojęć noża i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki po chusteczkę. Ostrze dziwnie zasyczało, gdy powoli je wyciągał. Wprawnymi ruchami wytarł nóż do czysta i schował do pochwy. Kiedy skończył, ułożył zwłoki na dywanie obok rozesłanego łóżka i przez chwilę podziwiał swoje dzieło. Ponieważ dziewczyna zmarła szybko, było niewiele krwi. Wyglądała nadzwyczaj spokojnie, gdy tak leżała z zamkniętymi

oczami. Nigdy nie widział jej takiej cichej. Za życia była gadatliwa.

Pochylił się, spróbował wepchnąć ją pod łóżko, ale przestrzeń pomiędzy ramą i podłogą okazała się za wąska. Wcisnął ją, ile mógł, a potem okrył końcem kapy. Tak robił porządek. Ukrycie zwłok nie zamaskuje zapachu, który niebawem się pojawi, lecz nie przejmował się tym zbytnio. Wątpił, czy zostanie szybko znaleziona. Mieszkała samotnie w klitce na parterze i miała w mieście niewielu przyjaciół, na co zawsze się uskarżała. Wiedział, że raz w tygodniu rozmawiała z matką, ale zawsze w niedziele. Minie sześć dni, zanim matka zacznie się martwić, i co najmniej kilka następnych, zanim ktokolwiek coś zrobi.

Nikt go z nią nie widział. Ich ukradkowe spotkania zawsze odbywały się w tym mieszkaniu. O ile wiedział, dziewczyna nie wspomniała o nim nikomu, a jeśli nawet, to nie czyniło różnicy. Podał jej fałszywe nazwisko i zmyślane informacje o sobie, wykorzystując jedną z czterech tożsamości, których używał, żeby zawsze o krok wyprzedzać władze. Oczywiście znajdą tutaj jego DNA, ale również DNA jej znajomych, a skoro głównie byli nielegalnymi imigrantami, wytropienie ich nie będzie łatwe.

Na szafce nocnej zobaczył różową nokię. Podniósł aparat i schował do kieszeni, żeby pozbyć się go później, potem ostatni raz omiół pokój wzrokiem. Nie widząc niczego, co mogłoby go obciążyć, wyszedł z sypialni i zamknął za sobą drzwi, zostawiając dziewczynę w prowizorycznym grobie.

Gdy wyszedł przez drzwi frontowe na jasne słońce, spojrzął na zegarek.

Nadszedł czas.

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

Andrea Devem wysiadła z mercedesa kabrioletu klasy C. Był wietrzny wtorkowy wieczór w połowie września. Od razu zwróciła uwagę, że w domu nie paliły się światła. Zegarek wskazywał dwudziestą czterdzieści pięć. Pozostała jej tylko minuta normalności.

Aktywowała centralny zamek wozu i ruszyła do furtki, spoglądając w obie strony spokojnej ulicy. Jako osoba urodzona i wychowana w Londynie nigdy nie lekceważyła zagrożenia ze strony przestępczości ulicznej, nawet w dzielnicy tak ekskluzywnej jak Hampstead. W dzisiejszych czasach przestępcy wszędzie się kręcą, już nie trzymają się własnych terytoriów. Ciągną do pieniędzy, a na tej obsadzonej drzewami alei wspaniałych trzypiętrowych rezydencji, o rzut kamieniem od Heath, z pewnością ich nie brakowało.

Tego wieczoru wszystko wydawało się w porządku, z wyjątkiem faktu, że dom spowijały ciemności. Andrea próbowała sobie przypomnieć, czy Pat mówił, że ma jakieś plany albo zabiera dokądś Emmę. Miała stresujący dzień, bo prowadziła rozmowy z kierownictwem jednego z pięciu centrów spa, które należały do niej i jej partnerki biznesowej. Ośrodek, który przejęły ponad rok temu, przynosił zyski niższe od spodziewanych. Będą musiały przeprowadzić redukcję etatów, czego Andrea nie lubiła robić, a to od niej zależało, kto wyleci. Zastanawiała się, kto będzie musiał spakować manatki i opuścić Bedfordshire, i wciąż nie mogła zdecydować.

Właściwie wybór powinien paść na kierownika. Zarabiał ciężką forszę, a skoro odpowiadał za obecne kłopoty spa, wywalenie go było w odczuciu sprawiedliwe. Niestety, nie miała kim go zastąpić, więc pomysł wydawał się coraz mniej realny. Lepsze zło znane i tak dalej.

Andrea postanowiła, że odłoży troski do jutra. W tej chwili marzyła o kieliszku sancerre i relaksującym papierosie. Nie najzdrowszy wybór, ale kobieta potrzebuje odrobiny przyjemności w życiu, zwłaszcza gdy pracuje tak ciężko.

Przycisnęła kartę magnetyczną do tablicy czytnika systemu antywłamaniowego i gdy tylko furтка otworzyła się płynnie, weszła do ogrodu przed domem. Jak zawsze doznała uczucia znajomej ulgi i zadowolenia, zostawiając za sobą świat zewnętrzny. Osłonięty wysokim ceglany murem ogród mienił się wszystkimi kolorami, co kosztowało ją osiemset funtów miesięcznie — tyle płaćcia firmie ogrodniczej za utrzymanie go w takim stanie, że wyglądał jak z okładki magazynu.

Odetchnęła powietrzem przesyconym ciężkim, uderzającym do głowy zapachem jaśminu i kapryfolium. Już odprężona otworzyła drzwi i wyłączyła alarm.

Wtedy zadzwonił telefon.

Była to jej komórka. Sięgnęła do torebki marki Fendi z limitowanej linii Spy Bag i wyłowiła aparat. Na dzwonek wybrała *I Will Survive*¹, klasyczny hymn feministyczny Glorii Gaynor. Dopiero później miała zrozumieć kryjącą się w tym ponurą ironię.

Ekran informował „abonent nieznany”. Choć nie lubiła odbierać telefonów od osób, których nie mogła zidentyfikować, wiedziała również, że być może chodzi o interesy, nawet o tej porze, a ona nigdy nie odrzucała okazji, zwłaszcza w obecnej trudnej sytuacji na rynku. Gdy weszła do holu, podniosła aparat do ucha.

— Słucham, Andrea Devem.

— Mamy twoją córkę.

Słowa zostały wypowiedziane wysokim, sztucznym głosem, który przywołał na myśl mężczyznę udającego kobietę.

Z początku pomyślała, że się przesłyszała, ale w powolnej, ciężkiej ciszy zrozumienie runęło na nią jak spiętrzona fala.

— Co? O co chodzi?

— Mamy twoją córkę — powtórzył rozmówca. Andrea poznała, że używa czegoś do zamaskowania głosu. — Nie ma jej w domu, prawda? Rozejrzyj się. Widzisz ją? — Ton brzmiał trochę szyderczo.

Andrea się rozejrzała. Hol spowijał mrok, w pokojach panowała cisza. Nikogo tu nie było. Poczwała narastającą panikę i bezradność. Starła się zachować spokój.

— Nie widzisz jej, prawda? Dlatego że my ją mamy, Andreo. I jeśli chcesz ją znowu zobaczyć, zrobisz dokładnie, co każemy.

Andrea była bliska omdlenia. Oparła się plecami o drzwi frontowe, zatrzaskując je mimo woli. Zachowaj spokój, powtarzała sobie. Na miłość boską, zachowaj spokój. Dzwonią, to musi być dobry znak. Na pewno?

— Czego chcecie? — szepnęła. W napięciu czekała na odpowiedź.

— Pół miliona funtów w gotówce.

— Nie mam takiej sumy.

— Owszem, masz. I zbierzesz ją dla nas. Masz dokładnie czterdzieści osiem godzin.

— Proszę, potrzebuję więcej czasu.

— Nie ma dyskusji. Musisz dać nam pieniądze.

Andrea zaczęła drzeć. Nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. W jednej chwili myślała o odpoczynku po pracy, a w następnej zaczął się dramat, w którym główną rolę grała najdroższa dla niej osoba na świecie: Emma, jedyna córka. Powoli wypuściła powietrze. Możliwe, że to jakiś kawał.

— Skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz? — zapytała.

— Chcesz usłyszeć krzyk córki? — odparł rozmówca rzeczowo.

O Jezu, nie.

— Proszę, na litość boską, nie róbcie jej krzywdy. Proszę.

— W takim razie rób dokładnie, co każemy, i nie zadawaj głupich pytań.

— Ma czternaście lat, na miłość boską! Co z was za bydlaki?

— Takie, którym wszystko jedno — warknął. — Rozumiesz? Gwiżdżę na to. — Jego ton stał się bardziej rzeczowy. — Słuchaj uważnie. Jest za dziesięć dziewiąta. O dziewiątej wieczorem w czwartek, za czterdzieści osiem godzin, zadzwonimy na telefon stacjonarny. Musisz już mieć gotowe pół miliona w używanych banknotach, w pięćdziesiątkach i dwudziestkach. Rozumiesz?

Andrea chrząknęła.

— Tak.

— Dowiesz się, gdzie i kiedy je dostarczyć. Gdy tylko otrzymamy pieniądze, ty odzyskasz córkę.

— Pozwól mi z nią porozmawiać. Proszę.

— Porozmawiasz, gdy będziemy gotowi.

— Nie.

— Nie. Obawiam się, że nie możesz stawiać warunków. Mamy twoje dziecko, pamiętasz?

Odetchnęła głęboko.

— Proszę. Pozwól mi z nią porozmawiać. Muszę wiedzieć, czy nic jej nie jest.

— Porozmawiasz, gdy zadzwonimy drugi raz, a ty zdobędziesz pieniądze.

— Skąd mam wiedzieć, że ona żyje?! — krzyknęła Andrea, zdecydowana, że się nie rozplacze, choć łyzy piekły ją w oczy.

— Ponieważ — odgłos rozmówca spokojnie — martwa jest dla nas bezużyteczna. Teraz idź i załatw pieniądze, Andreo.

Wtedy będziesz mogła z nią porozmawiać. I nawet nie myśl o zawiadomieniu policji. Dowiemy się, jeśli to zrobisz. Obserwujemy cię. Przez cały czas. Jak tylko włączą się gliny, Emma umrze. Śmierć będzie powolna i bolesna. — Nastąpiła pauza. — Dziewiąta wieczorem we wtorek. Bądź gotowa. — Połączenie zostało przerwane.

Przez kilka sekund Andrea stała jak sparaliżowana, porażona tym, co się wydarzyło. Ktoś zabrał jej córkę. Jej pełną życia, śliczną czternastoletnią dziewczynkę, która dobrze radziła sobie w szkole i nigdy nikogo nie skrzywdziła. Zupełnie niewinną. Jej biedne dziecko musiało być bezgranicznie przerażone.

— Proszę, nie róbcie jej krzywdy — szepnęła głośno, a jej słowa zabrzmiały głucho w pustym holu.

Andrea Devem była twardą kobietą i nie miała łatwego życia. Osiągnęła sukcesy zawodowe i finansową niezależność, ale musiała ciężko o to walczyć. Po drodze wiele razy dostała cięgi, które rzuciłyby na kolana wielu ludzi z warstw bardziej uprzywilejowanych, ona jednak nigdy się nie dała. Niemniej na taki szok nie była przygotowana. Emma stanowiła jej cały świat i myśl, że teraz jest uwięziona, przerażona i nie rozumie, co się dzieje, napawała Andreeę poczuciem bezradności i strachem. To było najgorsze, czysta bezsilność. Jej córka zaginęła, a ona nie mogła absolutnie nic zrobić.

Z wyjątkiem spełnienia żądań anonimowego rozmówcy i zdobycia dla niego pół miliona funtów.

Moje jedyne dziecko... Jeśli coś jej się stanie...

Zamknęła telefon i poszła do kuchni, obcasy jej czółenek stuknęły głośno po mahoniowej podłodze. Wyjęła szklankę z szafki i naląła wody z kranu, którą wypila duszkiem.

Musiała zachować spokój, ale to trudne, gdy człowiek jest sam. Wtedy pomyślała o Pacie.

Pat Phelan. Od dwóch lat jej mąż i ojczym Emmy. Czarujący, przystojny, pięć lat od niej młodszy — zadurzyła się w nim, gdy się poznali. Wzięli ślub zaledwie po czteromiesięcznym szalonym romansie. Jej matka nazwała ją „głupią”, a Pata określiła jako „nic dobrego”. W owym czasie Andrea uważała, że matka jest krótkowzroczna, może nawet trochę zazdrosna. W ostatnich miesiącach zaczęła rozumieć, że być może staruszka, złośliwa jak zawsze, jednak miała rację. Ostatecznie pozna swój swego.

Teraz potrzebowała Pata bardziej niż kiedykolwiek.

Do licha, gdzie on się podziewa?

Nalała wody do szklanki i wypijała parę kolejnych łyków, potem podeszła do telefonu i wystukała numer jego komórki. Pat nie pracował. Stracił jedną posadę, a jeszcze nie znalazł następnej. Wydawało się to normą, odkąd się spotykali. Jego fachem, jeśli można tak to nazwać, była praca za barem. Pracował w barze w Holborn, kiedy się poznali. Miesiąc później pokłócił się z właścicielem i stracił robotę. Obecnie był kimś w rodzaju męża zajmującego się domem. Przez większość dni woził Emmę do i ze szkoły, a także zabierał ją z domów koleżanek, gdy Andrea była w pracy, lecz coraz częściej wyskakiwał wieczorami na parę drinków do miejscowego pubu albo do jednego ze swoich starych ulubionych lokali w Finchley, gdzie się wychował. Czasami wracał do domu dopiero wtedy, gdy Andrea już spała.

Tylko że Pat nie zostawiał Emmy samej w domu. Wychodził dopiero wtedy, gdy Andrea wróciła z pracy. Taki układ jej odpowiadał, choć czasami wołałaby, żeby Pat wykazał się inicjatywą i znalazł sobie jakieś płatne zajęcie.

Telefon dzwonił i dzwonił, ale Pat nie odbierał. Zgłosiła się poczta głosowa. Starając się panować nad głosem, Andrea zostawiła wiadomość, prosząc... nie, każąc mu, żeby oddzwonił jak najszybciej.

Rzuciła słuchawkę na widełki, klnąc, że nie odebrał, potem stanęła przy zlewie z zamkniętymi oczyma i oddychała powoli, głęboko, próbując zrozumieć sytuację, w której się znalazła. Emma została porwana przez bezwzględnego człowieka, który jak wynikało z jego wypowiedzi, miał wspólnika albo wspólników. Zmusiła się, żeby spojrzeć na problem z logicznego punktu widzenia. Motywem uprowadzenia były pieniądze. Co znaczyło, że ma duże szanse na odzyskanie córki. Musiała mieć. Andrea wiedziała, że może podjąć pół miliona funtów w wyznaczonym czasie. To nie będzie łatwe, ale miała dostęp do gotówki w sposób nieosiągalny dla wielu innych ludzi. Miała konta numerowe i pieniądze ukryte przed wścibskim fiskusem, w bezpiecznej skrytce depozytowej w Knightsbridge. Prawdopodobnie wystarczy, żeby spełnić żądania porywaczy. Jeśli zrobi, co każą, i dostarczy okup w wyznaczone miejsce, odzyska córkę.

Na tę myśl ogarnęła ją ulga, ale trwała tylko parę sekund, ponieważ u jej podstaw leżało zaufanie do porywaczy. A jeśli jej nie uwolnią? A jeśli, nie daj Boże, Emma już nie żyje? Dreszcz przerażenia przebiegł jej po kręgosłupie. Jeśli coś się stało Emmie, dla Andrei też to oznaczało koniec. Myśl o życiu bez córki była po prostu nie do zniesienia.

Andrea sięgnęła do torebki i wyjęła papierosa, zapaliła go drżącymi rękami. Zaciągnęła się głęboko i jeszcze raz zadzwoniła do Pata. Nie odebrał. Zostawiła drugą krótką wiadomość: „Zadzwoń do mnie natychmiast. To pilne”.

Oparła się o jeden z nieskazitelnych blatów kuchennych. Był to jej wymarzony dom, gdy kupiła go pięć lat temu za blisko milion gotówką, czyli większą część zysku z czterdziestu procent udziałów sprzedanych swojej obecnej partnerce biznesowej. Miał charakter, przestrzeń, ogród, wszystko, czego brakowało jej w maleńkim mieszkanku, które dzieliła z dwiema siostrami i matką. Był bezpiecznym, prywatnym rajem jej i

Emmy, gdzie mogły się odprężyć i razem spędzać czas. A jednak tej nocy wydawał się obcy jak miejsce, w którym znalazła się po raz pierwszy. Zwykle o tej porze w domu nie było ciszy: w pokoju Emmy grała muzyka, ryczał telewizor, dobiegały różne dźwięki. Dzisiaj dom wydawał się martwy. Andrea zastanawiała się, czy kiedykolwiek poczuje się tutaj tak samo jak dawniej.

Poszła do salonu, do szafki z drinkami, nie zapalając świateł. Były tu zdjęcia, jej i Emmy — Emma raczkuje, Emma na plaży, jej pierwszy dzień w szkole. Nie chciała ich widzieć. Nie teraz. Odwróciła wzrok i naląła sobie dużą brandy, wypła łyk. Nie poczuła się lepiej, w tej chwili nic nie mogło poprawić jej nastroju.

Z kieliszkiem i z kolejnym papierosem chodziła po ciemnym domu, ale nie zmierzała nigdzie konkretnie, patrzyła tylko prosto przed siebie, żeby nie zobaczyć niczego, co przypominałoby jej o Emmie. Myślała, martwiła się, próbując opanować strach, który zarażał każdą cząstkę jej istoty. Zastanawiała się, skąd porwali Emmę i jak do tego doszło. W domu nie znalazła śladów walki, a poza tym alarm był włączony, gdy weszła.

Ale mają twoje dziecko, Andreo, powiedział głos w jej głowie. Tylko to się liczy. Mają ją.

Minęło pół godziny. W tym czasie tylko raz przestała chodzić, żeby dolać sobie brandy i wyjrzeć przez francuskie okno w ciemność; zastanawiała się, czy nawet w tej chwili ktoś ją obserwuje, sprawdza, co robi. Zaciągnęła zasłony i znowu zaczęła chodzić. Teraz wiedziała, że nie zaśnie, dopóki Emma nie znajdzie się bezpieczna w jej ramionach. Tymczasem mogła tylko krążyć po więzieniu, którym stał się jej dom.

Gdzie jest Pat?

Minęła godzina. Zadzwoiła do niego ponownie. Wciąż nie odpowiadał. Tym razem nie zawracała sobie głowy

zostawianiem wiadomości.

Opadły ją złe przeczucia. To do niego niepodobne, żeby nie odbierał komórki. Nosił ją z sobą wszędzie. Wreszcie przyszło jej na myśl, że może jest w pubie w Eagle, gdzie często lubił popijać. Nie знаła numeru, więc zajrzała do książki telefonicznej.

Zgłosiła się młoda kobieta z obcym akcentem. W tle Andrea usłyszała brzęczenie rozmów i natychmiast poczuła ukłucie zazdrości. Starając się mówić lekkim tonem, zapytała, czy jest tam Pat Phelan.

— Zorientuję się — odparła dziewczyna. — Proszę zaczekać.

Czekała ze słuchawką mocno przyciśniętą do ucha.

Trzydzieści sekund później dziewczyna wróciła.

— Niestety, nikt go od dawna nie widział — powiedziała uprzejmie.

Andrea zacisnęła zęby. Dziś jest wtorek. Pat mówił, że był w Eagle w zeszły piątek i w ostatnią środę.

— To wszystko? — zapytała dziewczyna.

— Tak — odparła Andrea szybko. — Dziękuję.

Rozłączyła się i wbiła wzrok w telefon. Czyli Pat nie chodził do pubu, okłamywał ją. Ale dlaczego?

Nieprzyjemne myśli zaczęły jej krążyć po głowie. Czy mógł być w to zamieszany? Trudno uwierzyć. Przecież przeżyli razem prawie dwa i pół roku i choć szczerze mówiąc, nie do końca mu ufała, zwłaszcza gdy chodziło o inne kobiety, miał dobry kontakt z Emmą. Z początku, zaraz po jego wejściu do ich małej rodziny, córka nie była zachwycona i nie chciała go zaakceptować, ale w końcu przekonała się do niego. Co więcej, w ciągu ostatnich miesięcy ich stosunki znacznie się poprawiły. Zakładanie, że mógłby skrzywdzić ją w ten sposób, to gruba przesada.

A jednak... tylko Pat wiedział, że Andrea ma rezerwy finansowe, do których może sięgnąć bez przyciągania zbyt wielkiej uwagi. Blisko pół miliona funtów. Nie znaczy to, że sam był kryształowy i bez skazy. Przyznał się jej, że przed laty, jako młody człowiek, parę razy zadarł z prawem i nawet odsiedział kilka miesięcy za handel kradzionymi rzeczami. Wprawdzie od paserstwa do kidnaperstwa droga daleka, ale w tej sytuacji do głowy Andrei zakradła się myśl, że mężczyzna, którego pomimo wszystkich jego wad wciąż kochała, mógł dopuścić się wobec niej tak okrutnej zdrady.

— Proszę, tylko nie ty — szepnęła, patrząc na telefon. Ponieważ wiedziała, że jeśli to on, będzie zdana wyłącznie na siebie.

Minęła kolejna godzina, wskazówki zbliżały się do północy, a Pat wciąż nie dawał znaku życia. Andrea miała coraz większe wątpliwości. Niejeden raz przyszło jej na myśl, żeby zadzwonić na policję, ale ludzie, z którymi miała do czynienia, byli bezlitośni, najwyraźniej dobrze zorganizowani, i już zapowiedzieli, co się stanie z Emmą, jeśli władze zostaną powiadomione. Poza tym Andrea nie pokładała zbytnej wiary w przedstawicielach porządku i prawa. Miała za wiele złych doświadczeń.

Nie, potrzebowała kogoś, komu mogłaby zaufać. Kogoś, kto będzie wiedział, co zrobić.

Znała człowieka, który mógłby pomóc. Nie rozmawiała z nim od ponad dziesięciu lat, ale była pewna, że zareaguje, że pomoże jej w chwili potrzeby. Problem w tym, że jeśli go ściągnie, może również rozpętać burzę, nad którą nie zdoła zapanować.

Ale jaki miała wybór? Nie mogła zrobić tego sama.

W holu stał zegar szafkowy kupiony kilka lat temu w antykwariacie w Islington za niebotyczną sumę. Nigdy tu nie pasował, ale tykanie ją uspokajało. Gdy wybił północ, Andrea

rozgniotła w popielniczce ostatniego papierosa i podjęła decyzję.

Z torebki na blacie w kuchni wyjęła czarny notes z adresami i znalazła na końcu potrzebny numer, niepodpisany. Zapaliła światło, żeby go wystukać, zatrzymała się w ostatniej chwili. Zastanawiała się. Być może założyli podsłuch w telefonie stacjonarnym, a jeśli ją usłyszą... nie mogła ryzykować. Wzięła komórkę i wyszła do ogrodu za domem.

Noc była cicha, gdy szła do rosnących na samym końcu grusz, trzydzieści jardów od domu, i tam się zatrzymała. Rozglądała się, nasłuchując, wspominając słowa porywacza: „Obserwujemy cię”. Była jednak pewna, że nie zobaczą jej na tyłach ogrodu.

Biorąc głęboki oddech, wcisnęła przycisk „połącz”.

W ten sposób przeniosła swoją sytuację na zupełnie inny poziom.

1 Przeżyję (ang.).

2

Jimmy Galante odebrał po trzecim sygnale.

— Słucham — rzekł cicho z akcentem, który wciąż świadczył o pochodzeniu ze wschodniego Londynu.

Andrea nie słyszała żadnych hałasów w tle, co ją zaskoczyło. Jimmy zawsze był nocnym markiem. Może się zmienił.

— To ja — powiedziała cicho świadoma podejmowanego ryzyka.

— Kto?

— Andrea. Andrea Devem.

Zaśmiał się rehotliwie.

— Jezu, duch z przeszłości. Jak leci?

— Źle. Bardzo źle.

— Cholera, przykro mi to słyszeć — powiedział, ale Andrea niemal słyszała uśmiezek w jego głosie. Jimmy Galante był człowiekiem, któremu szkoda czasu i wysiłku na wyrażanie współczucia. — Skąd masz mój numer? Nie spuszczasz mnie z oka, Andreo?

Nie spuszczała, ale nie zamierzała mu tego mówić. Przynajmniej jeszcze nie.

— Ktoś mi go dał.

— Tak? Kto?

— Nieważne. Ważne, że potrzebuję twojej pomocy.

— A co się stało?

Andrea wzięła głęboki oddech, rozejrzała się w mroku.

— Moja córka została porwana. Musisz mi pomóc ją odzyskać.

Znowu usłyszała charakterystyczny suchy chichot. Brzmiało w nim wrodzone okrucieństwo. Śmiech Jimmy'ego sprawiał, że Andrea myślała o dziecku wyrrywającym skrzydełka motylom albo tnącym dżdżownicę na ćwiartki. Wciąż działał jej na nerwy, nawet teraz, po tylu latach.

— Jasne, Andreo, cokolwiek powiesz. Nie odzywałaś się do mnie Bóg wie od ilu lat...

— Nie było cię tu. Wyjechałeś do Hiszpanii.

— Mogłaś zadzwonić — warknął. — Przez cały ten czas mogłaś, kurwa, zadzwonić. Ale nie zwracałaś sobie głowy, prawda? Bo wtedy nic nie chciałaś, ale teraz chcesz, więc... — złośliwie, wysokim głosem zaczął ją przedrzeźniać — proszę, Jimmy, pomóż mi znaleźć córkę, porwał ją jakiś zły człowiek. — Znów zachichotał. — To nie przejdzie, dziecinko. Mam interesy. Po co miałbym wracać do takiego szamba jak Anglia? Mam to w dupie.

Andrea westchnęła. Mniej więcej tego się spodziewała, ale mimo to czuła się zraniona jego kompletnym brakiem zainteresowania sobą i Emmą. A jednak jego reakcja powiedziała jej też coś innego. Jimmy Galante, pomimo wszystkich swoich wad, nie brał w tym udziału. W innym wypadku zadałby więcej pytań.

— Chcę, żebyś mi pomógł, Jimmy — powiedziała, wiedząc, że nagła stanowczość w jej głosie płynie z desperacji.

— Przykro mi, dziecinko. Wciąż nie podałaś mi dobrego powodu. Dlaczego miałbym to zrobić!

— Ponieważ Emma jest nie tylko moją córką, ale i twoją.

Zapadła długa cisza. Gdy Jimmy zaczął coś mówić, Andrea przerwała mu, wykorzystując przewagę.

— Emma ma czternaście lat, obchodzi urodziny drugiego kwietnia. Policz i pomyśl, Jimmy.

— Nie sięgam myślą tak daleko wstecz. Minęło za dużo czasu.

— Spróbuj. Piętnaście lat temu, lato dziewięćdziesiątego drugiego. Byliśmy razem, prawda? Wtedy zaszłam w ciążę. Niedługo później odszedłeś.

— A niby skąd, kurwa, mam wiedzieć, że ona jest moja? — warknął. — Miałaś męża, Andreo. Pamiętasz? Różnęłaś się za plecami swojego starego. A może już o tym nie pamiętasz?

— Billy był impotentem — powiedziała. Nie chciała mówić źle o zmarłym mężu, ale wiedziała, że nie ma wyboru. — Tylko z tobą wtedy sypiałam. Ona jest twoja, Jimmy. Pogódź się z tym. To twoje dziecko. A teraz jakiś łajdak je zabrał.

Niemal słyszała terkoczące tryby, gdy rozmyślał nad jej słowami na drugim końcu linii. Tym razem mu nie przeszkadzała.

— Co się stało? — zapytał w końcu z rezygnacją w głosie.

Po raz pierwszy od tamtej rozmowy telefonicznej sprzed ponad trzech godzin wstąpiła w nią odrobina otuchy. Wyglądało na to, że przeciągnie Jimmy'ego Galante'a na swoją stronę i tym samym nie będzie samotnie zmagać się z koszmarem.

Konsekwentnie mówiąc o Emmie po imieniu, nie podnosząc głosu, opowiedziała o wydarzeniach wieczoru, starając się niczego nie pominąć. Gdy skończyła, Jimmy zapytał, czy może zdobyć pieniądze w wyznaczonym czasie.

— To nie będzie łatwe, ale dam radę — oznajmiła.

— A twój nowy stary... zniknął?

— Tak — odparła powoli. — Zniknął.

— Umiesz ich sobie wybierać, prawda, dzieciно?

— Prawda, Jimmy.

— Myślisz, że jest zamieszany?

— Szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie tego, ale... —
Urwała na chwilę. — Ale nie mogę być pewna.

— W porządku. Jak się nazywa?

— Pat Phelan.

— Nazwisko nic mi nie mówi.

— Pochodzi z Finchley.

— Znam parę osób w tej części miasta. Popytam. Nie zawiadomiłaś glin?

— Nie. I nie mam zamiaru.

— Dobrze, wciąganie tych sukinsynów nie ma sensu. Co ja miałbym dla ciebie zrobić?

— Potrzebuję cię tutaj. Poczuję się lepiej. W końcu jesteś jej ojcem.

— Lepiej, żeby tak było, Andreo — rzekł złowieszczo, głosem odrobinę głośniejszym od szeptu. — Bo jeśli nie jestem, a ty mnie ściągasz ze zmyślonego powodu, naprawdę nie będę zadowolony. Rozumiesz, co mam na myśli?

Nie miała co do tego wątpliwości. Nigdy, gdy Jimmy mówił w ten sposób.

— Tak, rozumiem — odparła. — Ale jesteś. Daję ci słowo. Jesteś.

Nastąpiła kolejna pauza.

— Jutro polecę na Heathrow pierwszym możliwym samolotem — powiedział w końcu. — Zadzwońię.

— Dzięki.

— Nie dziękuj — rzucił obojętnie. — Nie robię tego dla ciebie. — I przerwał połączenie.

Andrea zamknęła telefon i głośno wypuściła powietrze. Teraz naprawdę nie miała odwrotu. Trochę się bała, jaki wpływ na bezpieczne uwolnienie Emmy będzie miało wciągnięcie Jimmy'ego. Jimmy jest brutalny, zdolny kogoś poważnie okaleczyć, a nawet zabić, ale może w końcu tego właśnie

chciała. Zemsty na ludziach, którzy porwali jej córkę i przysporzyli jej tylu cierpień. Poza tym Jimmy nie jest głupcem. Nie rzuci się na oślep na uzbrojonych bandziorów, nie narazi Emmy i wszystkich innych na niebezpieczeństwo. Jest obdarzony zwierzęcym sprytem, zdolnością zwietrzenia zagrożenia, czymś, co służyło mu dobrze w przeszłości i czego, jak wiedziała, nie stracił nawet w czasie lat życia w Hiszpanii. Człowiek nie traci takiej instynktownej przebiegłości, a ona potrzebowała kogoś takiego po swojej stronie.

Wróciła do domu i zamknęła drzwi, troszkę jej ulżyło. Przynajmniej zaczęła coś robić. Paraliż zrodzony z całkowitej bezradności, która prześladowała ją przez cały wieczór, nieco ustąpił. Wypiła kolejną szklankę wody, zapaliła ostatniego papierosa i zastanowiła się, czy nie nalać sobie jeszcze jednej brandy. Zdecydowała, że lepiej nie. Miała mocną głowę, regularnie piła alkohol przez całe dorosłe życie, ale tego wieczoru już wystarczy. Musiała zachować zdrowy rozsądek. Topienie smutków w butelce byłoby zbyt łatwe i na pewno nie pomogłoby Emmie.

Emma. Jej dziecko. Czternastoletnia dziewczynka spędzająca pierwszą noc w rękach tych bydlaków.

Jeśli żyje...

Andrea odsunęła od siebie tę myśl, odetchnęła głęboko i stwierdziła, że nie może upadać na duchu.

— Myśl pozytywnie. Nie zrobią jej krzywdy. Chcą pieniędzy.

Powtórzyła to trzy razy, modląc się do Boga, żeby tak wyglądała prawda. Potem powoli, apatycznie, przygotowała się do snu, wiedząc, że jutro zjawi się tu Jimmy. Jimmy Galante. Bandyta dokonujący napadów z bronią w ręku i prawdopodobnie jej ostatnia deska ratunku.

Gdy leżała samotnie w jedwabnej pościeli w głównej sypialni, patrząc w sufit, nie myślała o mężu, tylko o Emmie.

I o Jimmym.

3

Jimmy Galante zawsze był gładkim skurczybykiem. W wieku czterdziestu lat, dwa lata starszy od Andrei, wciąż wyglądał cholernie dobrze, gdy wyszedł z bramki dla przylatujących w terminalu numer jeden na lotnisku Heathrow, ubrany w szyty na miarę garnitur i rozpiętą pod szyją koszulę. Andrea zauważyła, że niejedna para kobiecych oczu spoglądała na niego, gdy szedł przez halę z niedbałą pewnością siebie, która graniczyła z arogancją. Wysoki, barczysty i opalony, miał gęste faliste włosy, dłuższe, niż pamiętała, ale wciąż lśniące jak przed laty. Nawet w tych okolicznościach, nawet po wszystkich tych latach, Andrea czuła lekkie podniecenie. Zastanawiała się, co z nią jest, dlaczego zawsze podobały jej się takie gładkie skurczybyki. Kiedyś spytała ją o to Isobel, jej partnerka w interesach, z wyraźną nutką dezaprobaty w głosie, a ona nawet nie próbowała znaleźć odpowiedzi. Niektóre kobiety po prostu lecą na niewłaściwych facetów, mówiła sobie, i być może ona do nich należy.

Jimmy podszedł do niej z uśmiechem tak znaczącym i zarozumiałym, że natychmiast zrozumiała, dlaczego ich związek się zakończył. Z bliska zmarszczki na jego twarzy były wyraźniejsze, a blizna, która biegła poszarpaną linią spod płatka ucha do żuchwy, wydawała się głębsza niż kiedyś. Ale oczy, tak ciemne, że niemal czarne, wciąż przykuwały uwagę.

— Cześć, dziecinko — powiedział, mierząc ją wzrokiem. — Nieźle wyglądasz.

Wiedziała, że powie coś takiego. Czuła się okropnie i była pewna, że również tak wygląda. Źle spała zeszłej nocy, rzucając się i przewracając z boku na bok, świadoma, że Emma rozpaczliwie potrzebuje jej pomocy. Emma była twardą osobką — pod tym względem przypominała matkę — ale nic nie mogło przygotować jej na to, przez co musiała teraz przechodzić. Andrea zawsze chroniła ją przed tym, co miała do zaoferowania mroczna strona świata. Materialnie niczego jej nie brakowało (choć nie była zepsuta); chodziła do przyzwoitej prywatnej szkoły (tylko dla dziewcząt); mogła liczyć na matkę, która w napiętym planie zajęć zawsze znajdowała czas dla niej i w razie czego służyła pomocną dłońią. Zawsze tworzyły zgraną drużynę z Andrea jako starszą partnerką.

W dzień było łatwiej niż w nocy, ponieważ mogła się czymś zająć. Zadzwoiła do Isobel i powiedziała, że nie czuje się dobrze i robi sobie wolne, potem zadzwoniła do dentysty i usłyszała, że Emma przyszła na wizytę za kwadrans piąta. Sama nie wiedziała, z jakiego powodu świadomość, że Emma miała się dobrze zeszłego popołudnia, ledwie parę godzin przed telefonem od porywacza, utwierdziła ją w przekonaniu, iż stan ten nie uległ zmianie.

Resztę przedpołudnia i wczesne popołudnie Andrea spędziła na zbieraniu potrzebnej sumy. Wiązało się to z opróżnieniem dwóch skrytek depozytowych, które wynajmowała w dwóch bankach w Knightsbridge. Miała w nich łącznie czterysta trzydzieści dziewięć tysięcy funtów. Gromadziła pieniądze przez wiele lat i stanowiły jakby jej fundusz emerytalny, sumkę na czarną godzinę, gdyby coś kiedyś poszło źle. I właśnie poszło. Potem zadzwoniła do trzech banków, w których miała konta osobiste, i załatwiła przelew pieniędzy pomiędzy rachunkami, żeby wypłacić brakujące sześćdziesiąt jeden tysięcy funtów. Okazało się to trudniejsze, niż przypuszczała, ponieważ w dzisiejszych czasach, jak się zdaje, nikt nie chce

wypłacać dużych sum w gotówce. Kiedy zebrała pół miliona, zostało jej łącznie jedenaście tysięcy pięćset sześćdziesiąt jeden funtów na koncie — mamy zysk za czternaście lat harówki.

Musiała jeszcze zająć się paroma sprawami. Odebrała wiele telefonów od księgowych firmy, dotyczących kondycji Bedfordshire Spa, i nawet parę na wpół przepaszających od Isobel, w związku z tym samym tematem. Załatwiła, co miała do załatwienia, ale miała kłopot ze skupieniem myśli na czymś innym niż sytuacja Emmy. Andrea stworzyła swoją firmę Centrum Zdrowia i Urody Feminine Touch absolutnie z niczego i rozwinęła ją w kwitnące przedsiębiorstwo z obrotem rocznym ponad pięciu milionów funtów. Te wielkie dokonania i cała ta ciężka praca nie będą miały absolutnie żadnego znaczenia, jeśli córka nie wróci do domu.

Z tego powodu był tu Jimmy. Miał zagwarantować powrót Emmy.

— Jakies wieści? — zapytał, gdy stali, patrząc na siebie.

— Nie, jeszcze nie.

— Masz pieniądze?

Pomyślała, że widzi błysk w jego ciemnych oczach, i poczuła ukłucie niepokoju. Miał irytująco beztroską minę, usta ułożone w lekki, znaczący półuśmiech kogoś, kto zna odpowiedź na każde pytanie. Przyszło jej na myśl, że nie wydaje się zbyt zmartwiony o córkę.

— Będę miała jutro wieczorem. Jedziemy. Chcę zdążyć przed godziną szczytu.

Szli w milczeniu przez halę przylotów, zmierzając na parking krótkoterminowy.

— No, no, nieźle ci się powodzi — powiedział Jimmy na widok mercedesa.

— Ciężko na to pracowałam.

— Nie powiedziałaś mi, z czego żyjesz.

— Wiem — odparła, wsiadając.

Nie rozmawiali do wjazdu na M4, kierując się do Londynu. Choć jeszcze nie było piątej, na drodze panował wzmożony ruch. W aucie panowała napięta atmosfera.

— Dlaczego nie powiedziałaś mi o córce, Andreo? Westchnęła.

— Bo uznałam, że lepiej nam będzie bez ciebie.

— Tobie na pewno.

— Wiesz co, Jimmy? Nawet nie zapytałeś, jak ma na imię twoja córka.

Teraz on westchnął.

— Już mi powiedziałaś. Emma. I daj mi trochę czasu, proszę. Po pierwsze, do wczoraj nie wiedziałem, że mam córkę. Nie widziałem nawet zdjęcia, nie mam pojęcia, jak wygląda. Po drugie, i znacznie ważniejsze, jestem tu, prawda? Nie musiałem przyjeżdżać.

— W porządku, masz rację.

Andrea wytarła pot z czoła. Nawiewane powietrze chłodziło wnętrze wozu, ale było jej gorąco i miała lekkie mdłości.

— W porządku, kochanie? — zapytał, pochylając się w jej stronę.

Czuła jego wodę kolońską. Zapach był intensywny, ale przyjemny.

— Tak. Chyba muszę coś zjeść. Wczoraj zjadłam kanapkę, ale dziś nie miałam jeszcze nic w ustach.

— Coś załatwimy. Co z twoim starym? Panem Phelanem. Nie dał znaku życia?

Pokręciła głową.

— Nie.

Przypomniała sobie, jak dziwnie się poczuła, gdy obudziła się rano, a jego nie było. Nigdy nie nocował poza domem. Jej

zdarzało się to od czasu do czasu, gdy zatrzymywały ją interesy, ale nie jemu. Pat zawsze wracał na noc do łóżka, jeśli nawet niekiedy nad ranem. Wciąż się modliła, żeby nie miał nic wspólnego z porwaniem, ale godziny mijały, Pat nie dawał znaku życia, a ona zaczynała go podejrzewać. Ale nie chciała mówić tego Jimmy'emu. Nie musiała mówić, że znów się zadała z niewłaściwym facetem, na pewno zdawał sobie z tego sprawę.

— Dowiedziałem się o nim co nieco — powiedział Jimmy. — Jest kanciarzem, prawda?

Choć w jego tonie nie było triumfu, nie mogła tego tak zostawić.

— I kto to mówi, Jimmy.

— Nigdy nie byłem drobnym wieśniakiem jak on, handlującym prochami i podróbkami sprzętu elektronicznego.

— Już się tym nie zajmuje.

— Nie musi, prawda? Ma ciebie.

Andrea milczała. Dała za wygraną.

— Słuchaj — powiedział, kładąc rękę na jej ramieniu — nie próbuję zdobyć przewagi. Staram się tylko wykombinować, czy jest w to zamieszany, czy nie.

— I jak myślisz?

Wzruszył ramionami.

— Trudno powiedzieć. Wciąż go nie ma, prawda? To nie wygląda zbyt dobrze. Ale od opychania lewego sprzętu do kidnaperstwa daleka droga.

— Boże, Jimmy. Sama nie wiem, co myśleć, naprawdę.

— Wszystko będzie dobrze, dziecinko. Nie martw się. Jestem z tobą.

Andrea wiedziała, że nie będzie dobrze. Cokolwiek się stało, życie, które tworzyła kosztem ciężkiej pracy, i życie jej ukochanej córki zmieniło się nieodwracalnie. Nawet jeśli Emma wróci do niej bez uszczerbku fizycznego, będzie inną osobą, na

stałe okaleczoną przez traumatyczne przeżycia. A Pat... cóż, Pat nie wróci. Nie ma co do tego wątpliwości. A przecież myślała, że są bardzo szczęśliwi. Będzie za nim tęsknić — chyba że jest zamieszany w porwanie. Ale intuicja podpowiadała jej co innego; Pat nie naraziłby Emmy na taką ciężką próbę. Miał pieniądze i niezły wóz, nie musiał pracować, dwa albo trzy razy w roku wyjeżdżał za granicę na wczasy, i nie brakowało mu wolności. Andrea dawała mu mnóstwo luzu, dlaczego więc miałby rezygnować z tego wszystkiego w zamian za udział w pół miliona funtów i ryzyko, że następnych dziesięć lat przesiedzi w więzieniu? Nie wierzyła, by poszedł na coś takiego.

Ale nie mogła też wyjaśnić jego nieobecności.

Ręka Jimmy'ego masowała jej ramię, powoli i z rozmysłem. Jego dotyk przeppełnił ją sprzecznymi uczuciami. Wciąż kochała Pata — przynajmniej myślała, że kocha — ale Jimmy zawsze na nią działał i nawet teraz czuła rodzące się podniecenie, któremu towarzyszyły dotkliwe wyrzuty sumienia, że myśli o seksie, gdy jej córka została uprowadzona. A jednak nie mogła opanować uczucia, że z Jimmym jest bezpieczniejsza. Był silny, silniejszy niż Pat, a ona teraz potrzebowała siły. Ale stanowił również kłopot. I w jej obecnym życiu nie było dla niego miejsca. Gdy tylko to się skończy, pożegna się z nim na zawsze.

Choć coś jej mówiło, że może to nie być łatwe.

4

— Pół miliona funciaków. Pięknie wyglądają.

Jimmy Galante zawsze kochał pieniądze. Nie lubił tylko uczciwie ich zarabiać, dlatego postanowił utrzymywać się z napadów z bronią w rękę i handlu narkotykami.

Okup był w wielkiej torbie Adidasa, którą Andrea znalazła na strychu i która teraz stała otwarta na stoliku w jej pokoju. Jimmy siedział w skórzanym fotelu, trzymając w ręce opasany gumką gruby plik pięćdziesiątek. Jego twarz wyrażała czyste, niczym nieskażone podekscytowanie.

— To jeszcze nie wszystko — powiedziała mu. — Brakuje mi sześćdziesięciu tysięcy. Jutro muszę podjąć resztę z banku.

— Skąd w takim razie pochodzi cała reszta?

— Nie twój interes.

Wyszczерzył zęby.

— Ukrywałaś je przed fiskusem, prawda?

— Nie twoja sprawa. Dobrze, że je mam. To oznacza, że twoja córka wróci do domu.

Uśmiech zgasł. Jimmy poważnie pokiwał głową, odkładając plik pięćdziesiątek do torby.

Andrea z początku nie chciała sprowadzać go do domu. Wiedziała, że porywacze ją obserwują, i bała się, że mogli założyć podsłuch, dlatego za radą Jimmy'ego pojechała do sklepu w Kensington ze sprzętem do inwigilacji, gdzie za sto funtów kupiła wykrywacz pluskiew.

Kiedy wrócili, było już ciemno. Po sprawdzeniu, czy nikt nie obserwuje z ulicy, oboje wbiegli do domu i Jimmy przystąpił do pracy z wykrywaczem. Już po paru sekundach zlokalizował maleńki samoczynny wyłącznik elektroniczny przymocowany na listwie przypodłogowej przy drzwiach frontowych. Urządzenie informowało porywaczy, ilekroć otwierały się drzwi. Najwyraźniej dzięki temu wiedzieli, kiedy wczoraj wróciła do domu, i natychmiast do niej zadzwonili.

W domu wykrywacz niczego nie znalazł, ale Andrea nie mogła pozbyć się wrażenia, że porywacze naruszyli prywatność tego miejsca. Minęły dwadzieścia cztery godziny, odkąd się dowiedziała o zniknięciu Emmy.

Uważnie obserwowała Jimmy'ego, gdy paliła zapewne czterdziestego papierosa tego dnia i piła trzeci kieliszek czerwonego wina. Zastanawiała się, czy może mu zaufać. Miała nadzieję, że mówiąc mu o Emmie, obudzi w nim instynkt ojcowski, ale teraz nie była pewna, czy on coś takiego w ogóle ma. W ciągu czterech godzin, odkąd zabrała go z lotniska, prawie nie pytał o córkę, znacznie bardziej interesowało go zapełnienie żołądka. Uparł się, żeby zamówić włoskie dania na wynos, jednocześnie narzekając na ich jakość w jego małym zakątku Costa del Sol. Andrea prawie nie jadła, ale on rzucił się na jedzenie jak wilk. Zjadł za dwóch i wypił cztery puszki piwa Stella.

Andrea pokazała mu zdjęcie Emmy, które zabrała z sobą na lotnisko, i powiedziała cicho, z nabożeństwem w głosie:

— To twoja córka, Jimmy. To Emma.

Odpowiedział szeptem, z lekkim półuśmiechem:

— Ładniutka. — Nic więcej. Tylko jedno słowo. Ładniutka. Andrea czuła niedosyt. Chciała więcej. Prawdę mówiąc, Emma nie była podobna do Jimmy'ego, ale przecież jej też zbytnio nie przypominała. Andrea była naturalną brunetką z ostrymi, wyrazistymi rysami — bardzo atrakcyjna, ale niepozbawiona

pewnej surowości. Emma natomiast była naturalną blondynką, miała drobne, delikatne rysy, okrągły zadarty nosek i żywe niebieskie oczy. Ładna w słodki, cherubinkowy sposób, wyglądała młodo na swoje lata. Zdjęcie, które Andrea pokazała Jimmy'emu, zostało zrobione w Hampstead Heath zeszłego lata. Emma uśmiechała się do obiektywu, pokazując rząd białych zębów, równych dzięki aparatowi korekcyjnemu, który nosiła przez sześć miesięcy i zdjęła tydzień przed zrobieniem zdjęcia. Był to uroczysty uśmiech, dla Andrei najpiękniejszy na świecie. Widok zdjęcia ją dobijał. Jimmy pozostał niewzruszony. Zdobył się tylko na powiedzenie „ładniutka”.

Zastanowiła się, czy naprawdę uwierzył w swoje ojcostwo, czy może doszedł do wniosku, że mu to wmawia, żeby uzyskać jego pomoc. Trudno powiedzieć. Na tym polegał problem z Jimmym. Rzadko zdradzał swoje myśli, wolał zabawę w umysłowe gierki i pozwalał ludziom zgadywać.

Gdy tak siedziała, obserwując go, uświadomiła sobie, że nigdy naprawdę go nie знаła. Z jednej strony był bezwzględny łajdakiem zdolnym do stosowania przemocy. Z drugiej zaś potrafił okazywać uczucia. Pamiętała, jak kiedyś, niedługo po zawarciu znajomości, zjawiła się w jego mieszkaniu na umówione spotkanie i stwierdziła, że go nie ma. Zaczynała się era telefonów komórkowych i oboje je mieli, mogła więc do niego zadzwonić. Nie odebrał, dlatego przeszła się po okolicy i zadzwoniła drugi raz. Tym razem się zgłosił zdyszany. Przeprosił za spóźnienie, choć nie podał przyczyny, i powiedział, że będzie za piętnaście minut, ale minęło prawie pół godziny, nim w końcu podjechał swoim jaguarem XJ6.

Gdy wysiadł, Andrea poznała, że coś jest nie w porządku. Wyglądał na wykończonego. Włosy, zwykle nieskazatelnie uczesane, miał rozczochrane, połę koszuli wyciągniętą ze spodni. Gdy biegł ku niej przez jezdnię, zobaczyła chusteczkę owiązaną mocno wokół lewej ręki.

— Co ci się stało? — zapytała, patrząc na rękę.

— Nic, czym musiałybyś się martwić — odparł z uśmiechem, pocałował ją w usta i wprowadził do domu. — Przepraszam za spóźnienie.

Andrea była wystarczająco mądra, by nie zadawać mu zbyt wielu pytań. Wiedziała, że Jimmy działa poza granicami prawa. To było oczywiste. Nie miał pracy, ale nigdy nie brakowało mu pieniędzy. Powiedział jej, że kieruje własną firmą budowlaną, tylko że jak na biznesmena pracował w bardzo dziwnych godzinach i często w dni powszednie wylegiwał się z nią w łóżku do popołudnia. Andrea nie była głupia. Znała prawdę. I wtedy zbytnio jej to nie przeszkadzało. Prawdę mówiąc, uważała to za bardzo podniecające. Jimmy, przystojny i tajemniczy, był fantastycznym kochankiem i cechowała go dzikość, której młode kobiety nie mogły się oprzeć i którą uważały za ogromnie pociągającą.

Gdy zamknęli drzwi, Jimmy zademonstrował tę dzikość, najpierw przyciągnął ją i pocałował mocno, potem wziął w ramiona, zaniósł do łóżka i zdarł z niej ubranie. Kochali się namiętnie kilka razy z rzędu, a kiedy zaspokojeni leżeli objęci, Jimmy, wodząc wolną ręką — tę z chusteczką — po jej brzuchu, powiedział, że ma coś dla niej.

— Co? — zapytała zaintrygowana, próbując zignorować cętki krwi na jego palcach, ledwo widoczne pod materiałem chusteczki.

Wygramolił się z łóżka i podszedł do dzinsów, które leżały na podłodze. Patrząc, jak się po nie pochyla, podziwiając jego nagie ciało, myślała o właśnie przeżytym orgazmie i o tym, jak Jimmy ją uszczęśliwia, zastanawiała się też, jak powie o nim mężowi.

Kiedy wrócił do łóżka, w zdrowej ręce trzymał niewielkie czarne pudełko.

— Dla ciebie, pani — rzekł z kpiącym ukłonem.

Uśmiechnęła się.

— Co to?

— Otwórz i zobacz.

Posłuchała. I westchnęła. Był to złoty naszyjnik, co najmniej osiemnaście karatów, z oprawionym w złoto szmaragdowym sercem wielkości mniej więcej pięciopensówki.

— Och, Jimmy — szepnęła. — Jest piękny.

— Kupiłem go dziś rano.

Pocałowała go czule w usta, czując się przez chwilę jak najszcześniejsza kobieta na świecie.

— Podoba mi się. Dziękuję.

Resztę popołudnia i większą część wieczoru spędzili w łóżku. Andrea nigdy nie zaznała lepszego seksu. Nawet teraz pamiętała, co razem robili. Nazajutrz rano włożyła ten piękny naszyjnik z myślą, że naprawdę spadła na cztery łapy, a potem podała Jimmy'emu śniadanie do łóżka i wyszła po gazety.

Gdy przeglądała „Sun” w drodze do mieszkania, jej uwagę przyciągnęło zdjęcie mężczyzny w średnim wieku, z brodą i przedziałkiem po lewej stronie. Nagłówek oznajmiał: „Zrabowano sto tysięcy: strażnik walczy o życie”. Zanim jeszcze przeczytała artykuł, instynktownie wiedziała, że Jimmy jest zamieszany w napad. Tekst tylko potwierdził jej podejrzenia. Wyglądało na to, że czterech bandytów uzbrojonych w broń palną zatrzymało furgonetkę ochrony przewożącą gotówkę z oddziału banku Barclays w Wembley. Strażnik niosący walizkę z pieniędzmi — mężczyzna z fotografii, czterdziestosiedmioletni ojciec dwójki dzieci, Alan Jones — próbował stawiać opór, kiedy jeden z członków bandy chwycił walizkę. Wywiązała się bijatyka, strażnik dostał kilka ciosów w twarz i stracił przytomność po uderzeniu głową o beton. Świadek powiedział, że napastnik kopał leżącego, choć było jasne, że ten już nie stanowi zagrożenia. Obecnie ofiara

przebywała na oddziale intensywnej opieki medycznej w stanie „złym, ale stabilnym”.

Andrea zobaczyła, że do napadu doszło dziesięć po drugiej wczorajszego popołudnia, ledwie godzinę przed powrotem Jimmy’ego do mieszkania — rozczochranego, z prowizorycznym opatrunkiem na lewej ręce. Jimmy wspomniał, że kiedyś był bokserem wagi średniej i wygrał jedenaście z dwunastu pojedynków, sześć przez nokaut. Nie stanowiło to niepodważalnego dowodu winy, ale nie musiało. Andrea po prostu wiedziała.

Głupio zrobiła, nic mu o tym nie mówiąc. Próbując zachowywać się swobodnie, obserwowała go kątem oka, gdy leżał w łóżku z papierosem w ustach, od niechcienia przeglądając gazetę, absolutnie spokojny. Otworzył gazetę na artykule o napadzie — liczyła strony — i przeczytał go dwa razy, a potem przeszedł do działu sportowego. W końcu z drapieżnym półuśmiechem rzucił gazetę i poklepał pościel.

— Może wrócisz do łóżka, skarbie? Mamy niedokończone sprawy do załatwienia.

I wróciła, na myśl o tym teraz skręcała się ze wstydu. Kochali się dwa razy, a ona przez cały czas myślała o strażniku leżącym w szpitalnym łóżku, podłączonym do rurek, otoczonym przez bliskich czekających na wiadomości... Ale Jimmy... Jimmy już o nim zapomniał. Dla niego był to tylko interes, ni mniej, ni więcej.

Gdy skończyli, ktoś zadzwonił na komórkę i Jimmy opuścił pokój, rozmawiając cicho. Wrócił po paru minutach, mówiąc, że musi wyjść. Wciąż zachowywał się swobodnie, ale poznała, że jest spięty.

Wtedy go zaskoczyła.

— Nie masz nic wspólnego z tym wczorajszym, Jimmy? Wiesz, z tym napadem, w którym strażnik został ranny?

— Jasne, że nie — odparł, ale widziała, że nim wstrząsnęła. Dostrzegła coś w jego oczach.

Spojrzała na jego rękę. Chusteczka znikła, ale knykie były ciemne od siniaków. Też na nie zerknął, potem przeniósł spojrzenie na nią. Jego twarz się zmieniła. Stała się mroczna.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

Natychmiast pożałowała, że spytała. Ostatecznie, jaki był sens? Jimmy nigdy się nie przyzna.

— Sama nie wiem. Ja... — Urwała, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Mówiłem ci, pracuję w budownictwie.

Skinęła głową.

— Jasne, Jimmy.

Podszedł do łóżka.

— Nie traktuję cię właściwie czy co?

— Ależ skąd — odparła, czując lekki niepokój. Nie podobało jej się, w jaki sposób na nią patrzył.

Przykucnął, ich twarze znalazły się na jednym poziomie. Uśmiech Jimmy'ego pozbawiony był ciepła, gdy świdrował ją ciemnymi oczami.

— Wiesz, bardzo cię lubię, Andreo. Myślę, że dobrze nam razem. Dlatego kupiłem ci naszyjnik. — Urwał, dotknął szmaragdowego serca. — Ale nie zadawaj głupich pytań, dobrze? Nie pytaj o sprawy, które cię nie dotyczą. — Palcami zdrowej ręki czule pogładził jej policzek, ale jego dotyk wcale jej nie uspokoił. Prawdę mówiąc, była przerażona. — Bo jak nie... — Okręcił wokół palca kosmyk jej włosów. — Bo jak nie, będziemy musieli się rozstać. Rozumiesz?

Skinęła głową.

— A tego nie chcę. Bo cię lubię. Naprawdę.

Poczuła ostre ukłucie bólu, gdy szarpnął ją za włosy, i krzyknęła. Natychmiast ją puścił, jego usta rozchyliły się w

miłym, pełnym czułości uśmiechu. Niemal pomyślała, że wyobraziła sobie to, co się stało przed chwilą. Pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta.

— Naprawdę muszę iść, skarbie. Zadzwoń później. Wyjdiesz sama, dobrze?

I na tym koniec. Narzuciwszy ubranie, zostawił ją samą, a ona zachodziła w głowę, w co, u licha, się wpakowała.

Powinna wtedy rzecz jasna zakończyć tę znajomość. Ktoś, kto niemal na śmierć zbił i skopał niewinnego człowieka, a godzinę później wracał do domu jakby nigdy nic i kochał się ze swoją dziewczyną, najwyraźniej nie miał sumienia. I już jej pokazał, na co go stać. Jeśli ciągnął ją za włosy, mógł ją też uderzyć. Nie potrzebowała tego. Miała męża, człowieka, który się o nią troszczył. Nie zaliczała się do tych kobiet, które znoszą brutalnych partnerów, bo brakuje im poczucia własnej wartości. Andrea wiedziała, że jest atrakcyjna. Zawsze przyciągała mężczyzn.

Ale nadal się spotykali, czego później nie mogła odżałować. A teraz, po latach, Jimmy Galante wrócił i patrzył na pieniądze, na które ona tak ciężko pracowała. Wciąż budził w niej strach, choć w obecnej sytuacji jeszcze bardziej bała się tego, że go przy niej nie będzie.

Wypił whisky, którą mu nalała, i spojrzał na nią z jednym z tych swoich kpiących uśmiechów.

— Pół miliona funciaków, Andreo? Kto by pomyślał, że dorobisz się takiej forsy.

— Ja — odparła stanowczym tonem.

— Wiesz — zaczął, patrząc na nią znad krawędzi szklaneczki — śledziłem twoje postępy przez lata. Jestem pod wrażeniem, jak daleko zaszłaś. Masz śliczną, wielką, wystrzałową chatę. — Omiótł wewnątrz niedbałym ruchem ręki.

— Pieniądze to nie wszystko, Jimmy.

— Wszystko, gdy ich nie masz.

— Jestem pewna, że sobie radzisz. Nie wyglądasz na człowieka, który przymiera głodem.

— Myślisz, że w Hiszpanii forsa leży na ulicy? Tam jest jedno wielkie gówno. Wiążę koniec z końcem, to wszystko.

Mówił z goryczą, cały on. Andrea jakoś mu nie współczuła. Nikt nigdy nie dał jej niczego. Musiała ciężko harować i dowiodła, że można odnieść sukces, jeśli nie szczędzi się potu i łez. Jimmy'emu też nikt nigdy niczego nie dał. Dorastał w mieszkaniu komunalnym w Hackney, z wilgocią na ścianach i karaluchami w brudnych szczelinach za tandetnymi, lichymi szafkami kuchennymi. Różnica polegała na tym, że on nie chciał pracować i brał, co nie należało do niego, i to na wszelkie możliwe sposoby. Jego podejrzany styl życia mógł kiedyś ją podniecać, ale wtedy była młoda. Teraz po prostu przygnębiała ją myśl, że uległa jego urokowi.

Andrea zmieniła temat.

— Jeśli śledziłeś moje postępy przez wszystkie te lata, musiałeś wiedzieć, że mam córkę.

Skinął głową.

— Tak, wiedziałem.

— I nigdy nie przyszło ci na myśl, że Emma może być twoim dzieckiem?

Wzruszył ramionami.

— Nie. Spójrzmy prawdzie w oczy, dziecinko, nie byłaś niewiniątkiem, gdy chodziło o mężczyzn, prawda?

Była to tania zagrywka, ale Andrea nie podjęła wyzwania.

— W zasadzie nie jest do mnie podobna, prawda? — mówił.

— Do mnie też nie, Jimmy, ale możesz mi wierzyć, że jest moją córką. — Milczała przez chwilę. — I twoją.

Skinął głową, dając za wygraną, potem jego oczy znów spoczęły na torbie z pieniędzmi.

— Nie mogę się doczekać, żeby ją poznać — powiedział, ale jego ton zdradzał roztargnienie i było jasne, że skupia uwagę na czymś innym.

— Pokochasz ją — rzekła Andrea cicho, czując nagłą, dojmującą tęsknotę za córką. Łzy zapiekły ją w oczy. Dziś dobrze się trzymała, ale teraz, ponad trzydzieści sześć godzin od chwili, gdy ostatni raz widziała i obejmowała Emmę, znów dotarła do niej cała groza sytuacji.

I gryzło ją coś jeszcze. Czy naprawdę mogła zaufać Jimmy'emu?

Zadzwonił telefon. Stacjonarny. Dźwięk ją przestraszył. Oboje wymienili spojrzenia. Andrea wstała, wyszła do holu i podniosła słuchawkę.

— Słucham?

— Mamo?

Zalała ją fala ulgi i szoku. To Emma. Jej Emma!

— Kochanie, o Boże, to ty?

— Tak, ja.

— Nic ci nie jest, skarbie? Wszystko w porządku? — Łzy spływały jej po twarzy, ale o to nie dbała. Wpadła w uniesienie, słysząc głos córki.

— Nic mi nie jest — odparła Emma cicho, sprawiała wrażenie wystraszonej. — Mówią, że jutro będę w domu, jeśli masz pieniądze.

— Mam, skarbie, nie martw się. Będiesz w domu jutro wieczorem, przysięgam. Boże, jak dobrze wiedzieć, że nic ci się nie stało. Nie zrobili ci krzywdy, prawda?

— Nie, ale to...

Emma urwała i dało się słyszeć jakieś zamieszanie. Ktoś musiał odepchnąć ją od aparatu i Andrea poczuła narastającą panikę, jakby znów ją traciła. Dziewczynka krzyknęła i brzmiało to tak, jakby krzyk został stłumiony.

— Emmo! — krzyknęła w panice. — Emmo, kochanie, nic ci nie jest?!

Przez parę sekund panowała cisza. Potem rozległ się trzask zamykanych drzwi i zabrzmiał nowy głos.

— Rozmawiałaś z nią i wiesz, że żyje. Dotrzymaliśmy umowy. — Głos znów był zniekształcony, ale ton brzmiał bardziej agresywnie. Andrea pomyślała, że być może rozmawia z kimś innym niż wczoraj. — Teraz twoja kolej. Masz pieniądze?

— Prawie całą sumę — odparła bez tchu. — Resztę będę miała jutro.

— Dobrze. W takim razie odezwiemy się jutro wieczorem, by podać ostatnie wskazówki.

— Nie róbcie jej krzywdy, błagam — poprosiła Andrea, nienawidząc siebie za okazywanie rozpacz, ale nic nie mogła na to poradzić. Połączenie już zostało przerwane.

Powoli odłożyła słuchawkę. Jimmy stał w holu i patrzył na nią z zatroskaną miną. Po chwili podszedł i wziął ją w ramiona. Osunęła się w nie, przytuliła głowę do jego piersi.

— Będzie dobrze — rzekł cicho, a niski, szorstki głos sprawił, że nagle poczuła się bezpieczna.

Taki właśnie był Jimmy. Nawet teraz budził wiele różnych i sprzecznych emocji. Wdychała jego zapach. Musiał spryskać się wodą kolońską po wcześniejszym prysznicu. Zapach był mocny, ale kojący.

— Rozmawiałam z nią — powiedziała, odsuwając się i patrząc na niego. — Żyje, Jimmy. Żyje.

— Widzisz, mówiłem, że będzie dobrze, dziecinko — powiedział, wciąż ją obejmując. — Ci faceci są zawodowcami. Nie zrobią niczego, żeby ją skrzywdzić. Jest ich kartą przetargową.

Andrei nie spodobał się dobór słów ani fakt, że wciąż nie mówi o Emmie po imieniu, ale była zbyt podekscytowana

niedawną rozmową z córką, by zwrócić na to większą uwagę. Wreszcie zyskała potwierdzenie, że Emmie nic się nie stało. Bała się, ale chyba nikt nie zrobił jej krzywdy, co znaczyło, że wróci. Jutro o tej porze będzie bezpieczna, cała i zdrowa.

Ręka Jimmy'ego przesunęła się po jej plecach na pośladki. Przytulił ją mocniej i Andrea poczuła twardość rosnącą pomiędzy jego udami.

— Będzie dobrze, dziecinko. Jestem z tobą. Wróciłem. — Jego ręka naciskała, gdy pocierał penisem o materiał jej cygańskiej spódnicy.

Pomyślała o Pacie. O swoim mężu. Jak ich życie erotyczne, niegdyś takie pełne wigoru, w ostatnich miesiącach zwalniało tempa, aż parę tygodni temu praktycznie się zakończyło. Pat nie wróci. Była tego pewna. Jeden mężczyzna opuszcza jej życie, drugi wraca.

Jimmy podniósł jej podbródek, więc musiała spojrzeć w jego ciemne oczy. Wyczytała w nich pożądanie.

— Wciąż jesteś piękna, dziecinko — szepnął.

Ale nie chciała Jimmy'ego. Nie w ten sposób. Już zdradziła z nim jednego męża. Niezależnie od winy Pata, niezależnie od tego, co robił, nie zamierzała go zdradzać. Odwróciła głowę, gdy Jimmy chciał ją pocałować, próbowała się cofnąć, ale szorstko złapał ją za podbródek i zmusił do patrzenia.

— Daj spokój, wiem, że czujesz to samo.

Uśmiechał się teraz. Zarozumiały jak zawsze, przyciągał ją do siebie. Czowała alkohol w jego oddechu. Opadła ją złość, że drań może być taki nieczuły na los jej i Emmy, i odtrąciła jego rękę, wyrwała mu się z większą gwałtownością, niż zamierzała.

— Ty pieprzona suko — warknął, zaciskając pięści. Nie dając się zastraszyć, spojrzała na niego gniewnie.

— Nie jestem małą dziewczynką, którą znałeś, Jimmy. Nawet nie próbuj. Pomyśl dla odmiany o kimś innym. Na przykład o

Emmie... twojej córce.

— Wciąż lubisz się droczyć, prawda, dziecinko? — zapytał cicho, a potem z pogardliwym parsknięciem minął ją i wrócił do pokoju.

5

Następny dzień, czwartek, był koszmary. Przez czekanie.

Rano Jimmy przeprosił za swoje zachowanie, co było dla niego typowe. Zawsze zmieniał taktykę. Andrea przyjęła przeprosiny, choć nie wierzyła w ich szczerość. Jimmy Galante nie miał wyrzutów sumienia. W przeciwnym razie nie mógłby zmrużyć oka, a ona z doświadczenia wiedziała, że śpi jak kamień.

Ich rozmowa w kuchni przy kawie była wymuszona. Andrea cieszyła się, że wychodzi i zostawia go w domu. Chciał jechać z nią do banku po resztę pieniędzy, ale powiedziała mu, że pójdzie łatwiej, jeśli będzie sama.

— Twoja obecność tylko wzbudziłaby podejrzenia — wyjaśniła, świadoma, że to wymówka. Zabrała z sobą torbę z pieniędzmi.

— Nie ufasz mi? — zapytał ją przy drzwiach.

Nie ufała, oczywiście, ale nie powiedziała tego. Spojrzała mu prosto w oczy i odparła:

— Te pieniądze zapewnią wolność naszej córce. Nie zamierzam spuścić ich z oka.

Jimmy pokiwał głową i na tym stanęło.

Bank nie był skory do rozstania się z pieniędzmi, choć należały do niej. Została zaproszona do gabinetu kierownika, gdzie wysłuchała kazania o niebezpieczeństwach wiążących się z noszeniem przy sobie dużych sum w gotówce, a potem

musiała podpisać stos papierów, zanim w końcu pozwolili jej odejść z tym, co zgodnie z prawem stanowiło jej własność.

Zjadła kanapkę na lunch i wybrała się na spacer po Hampstead Heath, zostawiając pieniądze zamknięte w bagażniku samochodu. Zwykle w tym spokojnym miejscu mogła się odprężyć i cieszyć iluzją, że przebywa gdzieś na wsi. Dziś jednak szła niespokojnie, licząc minuty i godziny, martwiąc się, że ktoś ukradnie jej wóz, a wraz z nim pieniądze. Kiedy napotykała przechodniów, czuła gorycz i zazdrość, że wiodą lekkie życie, podczas gdy ona cierpi w samotności, czekając, wciąż czekając.

Po południu wróciła do domu i z trudem doniosła torbę do drzwi. Pół miliona funtów, jak odkryła, waży cholernie dużo. Jimmy wyszedł, co ją ucieszyło, i skorzystała z okazji, żeby sięść w fotelu w ogrodzie za domem i słuchać głosów wczesnej jesieni. To był jej azyl, miejsce spokoju, i dziś dał jej nadzieję. Ciągle czuła odrętwiający strach, że coś pójdzie źle, że ci ludzie po prostu ją nabierają, ale była pragmatyczna. Im dłużej o tym myślała, z tym większym przekonaniem podzielała punkt widzenia Jimmy'ego, że motywem nadrzędnym porywaczy są pieniądze. Jeśli zrobi, co każą, uwolnią Emmę. A potem może, tylko może, wszystko zacznie wracać do normalności. Znów będą razem, tylko one dwie.

Jimmy wrócił o siódmej z zapewnieniem, że nie ma powodów do zmartwienia, bo zachował ostrożność, wychodząc i wracając. Nie pytała go, gdzie był, założywszy, że odwiedzał znajomych. Szczerze mówiąc, nie obchodziło jej to. Chciała, żeby ta noc dobrze się skończyła, a potem pozbędzie się go na zawsze. Przyszłość pokaże, czy nie popełniła błędu, angażując go w tę sprawę, ale teraz było za późno, żeby się tym martwić. Dziś wieczorem musiała się skupić na jednym zadaniu.

I tak czekanie trwało przez następne dwie godziny. Prawie nie rozmawiali. Niewiele mieli do powiedzenia i trudno było

cokolwiek planować, zważywszy na to, że żadne z nich nie znało zamierzeń porywaczy. Andrea wciąż spoglądała na zegarek. Czasami liczyła sekundy, słuchając tykania zegara w holu. Napięcie rosło z chwili na chwilę.

Zegar wybił dziewiątą.

Popatrzyła na Jimmy'ego. Zaszło jej w ustach. Odpowiedział spojrzeniem i po raz pierwszy zobaczyła, że on też jest zaniepokojony. Jego ściągnięte brwi niemal się stykały, linie na czole były wyraźne i nagle wyglądał na swoje lata. W pokoju panowała przygnębiająca cisza.

Minęła minuta. Andrea liczyła sekundy. Oboje milczeli, ale Jimmy westchnął parę razy, spoglądając na zegarek. Był tani, z czarnym plastikowym paskiem, zupełnie inny niż cartier, który nosił, gdy go poznała. Najwyraźniej nastały dla niego ciężkie czasy. Może nawet na tyle ciężkie, by wziąć pod uwagę udział w porwaniu... Nie, nie chciała podążać tym tropem. Komuś musiała ufać, a teraz nie miała nikogo innego.

Zadzwonił telefon. Słuchawka leżała obok niej na stoliku. Podniosła ją szybko.

— Słucham?

— Masz pióro i papier?

Andrea pomyślała, że ten sam zniekształcony głos słyszała za pierwszym razem.

— Tak.

— Dobrze. Zrób dokładnie, co mówię, a odzyskasz córkę przed świtem.

— Tylko na tym mi zależy.

— Wykiwaj nas, a ona umrze. W męczarniach. Rozumiesz?

Spięła się, myśląc o Jimmym. Czy ściąganie go było wielkim błędem? Powiedziała, że rozumie.

— Oto instrukcje. Wsiadaj do wozu — mercedesa — i jedź do skrzyżowania M jeden i M dwadzieścia pięć, stamtąd na

wschód M dwadzieścia pięć do skrzyżowania dwudziestego piątego. Skręć w lewo w A dziesięć, potem znów w lewo na następnym rondzie w B sto dziewięćdziesiąt osiem w kierunku Rosedale. — Przerwał, żeby zdążyła zanotować. Andrea słyszała jego oddech. — Około dwustu jardów dalej jest zakręt w lewo. Po przejechaniu blisko trzech czwartych mili zobaczysz drogowskaz w prawo do Gabriel's Saw Mili. Jedź około dwustu jardów. — Umilkł na chwilę. — Droga się rozwidli. Skręć w prawo. Pięćdziesiąt jardów dalej po prawej stronie zobaczysz spalony parterowy budynek bez drzwi. Nie możesz go nie zauważyć. Zatrzymaj wóz, ale nie gaś silnika. Zabierz torbę z pieniędzmi i połóż za drzwiami pod ścianą, żeby nie było jej widać z zewnątrz. Dwadzieścia jardów dalej jest miejsce do zawracania. Pojedź tam, zawróć i odjedź.

— A Emma?

— Kiedy wrócisz na drogę, skręć w prawo. Pół mili dalej zobaczysz budkę telefoniczną po lewej stronie. Wejdz do środka i czekaj na telefon. Gdy tylko policzymy pieniądze, nawiążemy kontakt i powiemy, skąd masz zabrać córkę.

— Muszę z nią porozmawiać

— Nie teraz. Zrób, co każę, a niebawem ją zobaczysz. Jeszcze jedno: wyłącz komórkę i nie zabieraj jej z sobą.

— Dobrze — zgodziła się niechętnie. Nie podobał jej się pomysł zostawiania telefonu.

— A teraz ruszaj. Masz dokładnie czterdzieści pięć minut, żeby dotrzeć do miejsca dostarczenia okupu. I pamiętaj, obserwujemy cię.

Połączenie zostało przerwane. Andrea odłożyła słuchawkę.

— Jaki jest plan? — zapytał Jimmy, patrząc na nią uważnie.

Pokrótkce powtórzyła instrukcje.

— Chyba nie powinieneś jechać — dodała. — Powiedzieli, że będą mnie obserwować. Jak cię zobaczą, to może wszystko

zepsuć. Nie mogę na to pozwolić.

— Ona jest też moją córką. Jadę z tobą.

— Po co, Jimmy? Mam dostarczyć pieniądze, to wszystko.

— Bo im nie ufam. Dlatego. A jeśli kłamią, że ją uwolnią?

— Przecież sam mówiłeś, że zależy im wyłącznie na forsie. Że nie chcą zrobić jej krzywdy.

— Może to wszystko, czego chcą, ale nie ma gwarancji, że ją uwolnią. Mogą zażądać więcej forsy. Jeśli wysadysz mnie kilkaset jardów od miejsca, gdzie masz zostawić okup, zakradnę się tam i będę miał na nie oko. Zobaczę, kto się zjawi, może kogoś rozpoznam albo zdobędę numery rejestracyjne.

— Co to da?

— Wciąż znam paru gliniarzy. Sprawdzą, do kogo należy wóz.

Andrei nie podobał się wydźwięk tych słów.

— Ale to ryzykowne, prawda? A jeśli cię zobaczą? Nie wypuszczą Emmy, prawda? Mogą ją zabić.

Jimmy pokręcił głową.

— Nie zabiją jej. Żywa jest dla nich więcej warta. I nie zobaczą mnie. Będę się zachowywał cicho. I ostrożnie. Ja też nie chcę, żeby coś się stało Emmie.

Andrea westchnęła, próbując zebrać myśli. Działanie wbrew instrukcjom porywaczy stanowi wielkie ryzyko, ale jeśli Jimmy ma rację? Jeśli nie zamierzają wypuścić Emmy? Z pewnością lepiej mieć polisę ubezpieczeniową — kogoś, kto jest dość sprytny, by zauważyć podstęp, i dość twardy, by w razie konieczności coś z tym zrobić. Ale czy ufała Jimmy'emu? Wytarła pot z czoła, wiedząc, że ma tylko sekundy na podjęcie decyzji, a jeden niewłaściwy ruch może zakończyć się śmiercią jej jedyne dziecko.

Parę razy odetchnęła głęboko, mówiąc sobie, że musi zachować spokój, dla dobra Emmy.

— A jeśli nawet teraz obserwują dom? — zapytała. — Jeśli zobaczą, że wychodzimy razem...

Pokręcił głową.

— Nie obserwują domu. Gdyby obserwowali, już by wiedzieli, że tu jestem. Poza tym jest ich za mało, żeby to robić.

— Skąd wiesz?

— To nie jest wielka firma, dziecinko. Wykluczone. Jest ich tylko paru. Im więcej ludzi, tym większe ryzyko prze cieku. Poza tym rzucaliby się w oczy, godzinami siedząc w wozie na takiej ładnej, spokojnej ulicy jak ta. Nie podejmą takiego ryzyka. Ale rozegramy to bezpiecznie. Ty usiądziesz za kierownicą, ja po cichu wśliznę się za tobą i nie będę podnosił głowy. Będzie ciemno, nikt nie zobaczy.

Jego spokój i pewność siebie przekonały ją.

— Co potem? Gdzie się spotkamy? Powiedzieli, żebym nie zabierała komórki.

Sięgnął do kieszeni i wyjął tanią nokię.

— Weź. To zapasowa.

— Mówiłam, zakazali zabierać komórkę.

— Nie, dziecinko, zakazali zabierać ci swoją komórkę. To różnica.

— Co masz na myśli?

— Po prostu się kryją. Gdybyś zawiadomiła policję, gliny mogłyby śledzić twoje ruchy, namierzając sygnały z komórki. Dlatego dranie nie chcą, żebyś ją zabierała. Pewnie znają twój numer, więc będą mogli zadzwonić i sprawdzić, czy wyłączyłaś aparat. — Podniósł nokię. — Ale nie znają tego numeru.

— Dobrze — powiedziała niepewnie, gdy podała jej telefon.

— Włącz cichy alarm, dobrze? Ja mam drugą. Wyszadysz mnie tuż przed miejscem złożenia okupu. Godzinę później przyślę ci wiadomość tekstową. Jeśli będziesz bezpieczna, zadzwonisz pod mój numer i umówimy się.

Skinęła głową, podejmując decyzję.

— W porządku, jedziemy.

6

O dwudziestej pierwszej czterdzieści siedem mercedes Andrei jechał ze stałą prędkością trzydziestu mil na godzinę po spokojnej wiejskiej drodze. Z jednej strony rozciągało się pole kukurydzy, z drugiej rosły brzozy i dęby. Minął ich jadący z naprzeciwka wóz, pędzący o wiele za szybko, ale z tyłu nie było żadnych pojazdów. Andrea zwolniła, gdy dostrzegła przybitą do drzewa podniszczoną tablicę z napisem: Gabriel's Saw Mili.

— To tu — szepnęła, wskazując w prawo.

Jimmy garbił się na fotelu pasażera, nie zmieniając pozycji od zjazdu z autostrady.

— W porządku, dziecinko — szepnął. — Wyskoczę, gdy tylko skręcisz, chyba że usłyszę coś innego.

— Nie podoba mi się to, naprawdę mi się nie podoba. — Teraz targały nią wątpliwości. Jeśli Jimmy popełni błąd...

— To tylko zabezpieczenie. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Skręciła w drogę gruntową, na której ledwo się mieścił jeden wóz. Przed nią piętrzyły się drzewa, przysłaniając światło księżyca.

— Życz mi szczęścia, dziecino.

— Powodzenia — odparła, nie patrząc na niego, tylko spoglądając w ciemność za przednią szybą.

Sekundę później drzwi się uchyliły, na stopę, może trochę więcej. Jimmy wysunął się przez szczelinę i bezgłośnie zamknął

drzwi za sobą. Andrea jechała dalej, zerkając w lusterko wsteczne, gdy znikał w lesie.

Nagle została sama.

Drzewa jakby wznosiły się jej na powitanie. Chrząst żwiru pod oponami i jej oddech były jedynymi dźwiękami. Zbliżała się chwila prawdy. Prawie całe jej oszczędności leżały w torbie przed siedzeniem pasażera. Oddałaby wszystko, łącznie z ubraniem na grzbiecie, byle Emma wróciła bezpiecznie do domu. Nie miała pojęcia, co zrobi ani skąd weźmie więcej pieniędzy, jeśli ci sadyści nie dotrzymają umowy.

Szlak się rozwił, zgodnie z zapowiedzią porywacza, i Andrea skręciła w prawo. Droga zrobiła się wyboista, więc musiała zwolnić, gdy omijała najgorsze dziury. Nic nie poruszało się w ciemności przed maską, a ściana drzew po obu stronach wydawała się nieprzenikniona.

Nagle z prawej strony ukazał się betonowy budynek z osmalonymi murami, bez dachu, z czarną dziurą w miejscu drzwi frontowych, stał kilka jardów od drogi.

Zatrzymała wóz, zaciągnęła hamulec ręczny i wrzuciła luz. Przez parę sekund siedziała, słuchając ciszy, zastanawiając się, czy człowiek, z którym rozmawiała przez telefon, teraz ją obserwuje — człowiek, który uprowadził jej córkę. Zastanawiała się też, czy słyszał Jimmy'ego i czy nie odwoła całej sprawy.

Nic się nie poruszało. Andrea słyszała bicie swojego serca.

W końcu pochyliła się i podniosła torbę. Zapierając się o kierownicę, niezdarnie wyciągnęła ją z wozu. Gdy się wyprostowała, ostatni raz powiodła wzrokiem dokoła i powoli ruszyła do budynku, dźwigając torbę oburącz. Przystanęła przed wejściem.

Nagle przyszło jej na myśl, że byłoby prościej, gdyby porywacze się przyczaili, zabrali pieniądze i zabili ją, a potem dokładnie to samo zrobili z Emmą. Sprawa załatwiona. Andreo,

pomyślała, ktoś może czyhać za progiem gotów trzasnąć cię w głowę.

— Zrób, co kazali — mruknęła: zostaw pieniądze, odjedź, wejdź do budki telefonicznej i czekaj na telefon.

Przestąpiła próg. Błede skrawki księżycowej poświaty wpadały przez wielką dziurę w dachu do pustego pomieszczenia z cementową podłogą. W kącie stało parę puszek farby. Po prawej stronie na jednym zawiasie wisiały przekrzywione drewniane drzwi wiodące do klitki, która zapewne kiedyś była spiżarnią. Powietrze pachniało pleśnią i lekko terpentyną. W domu nie było nikogo, żadnego wariata wymachującego łomem. Biorąc głęboki oddech, Andrea postawiła torbę na podłodze pod ścianą, potem szybko odwróciła się i wyszła na zewnątrz.

I zamarła.

Pomyślała, że coś się poruszyło, coś zaszeleściło w drzewach naprzeciwko. Stała nieruchomo, wyęzając wzrok. Wiedziała, że niczego sobie nie wyobraziła. Owładnięta nowym, silnym pragnieniem opuszczenia tego miejsca pobiegła do wozu, wrzuciła wsteczny i ruszyła tyłem, zamiast jechać dalej w las i korzystać z miejsca do zawracania

Dopiero po powrocie na szosę odetchnęła z ulgą. Rozstała się z ciężko zarobionym pół milionem funtów i nie zobaczyła córki, ale przynajmniej wydostała się z tego straszego miejsca. Zastanawiała się, czy to Jimmy'ego słyszała. Miała nadzieję, że nie. Jeśli tak, to nie tylko ona mogła go zauważyć. Nie chciała o tym myśleć.

Kilka minut później na skraju wioski, maleńkiego skupiska domów, zobaczyła budkę telefoniczną. Nowoczesna szklana kabina stała tuż za przystankiem autobusowym, częściowo przysłonięta przez konary wielkiego dębu. Andrea przejechała dwadzieścia jardów, zatrzymała wóz jak najbliżej pobocza i zapaliła światła awaryjne.

Weszła do budki i czekała na ostatni akt, modląc się, żeby wreszcie nastąpił. Koniec koszmaru.

Była dwudziesta pierwsza pięćdziesiąt sześć.

7

Telefon nie dzwonił. Minęło dziesięć minut, dwadzieścia, a Andrea wciąż stała w jasnym świetle kabiny, patrząc na słuchawkę, czekając, gdy w ciemności na zewnątrz od czasu do czasu przejeżdżały samochody. Czekwała z nadzieją, modląc się...

Wróciło do niej wspomnienie sprzed lat, gdy Emma zgubiła się na zatłoczonej plaży w Hiszpanii. Andrea wyjechała na urlop ze swoim nowym chłopakiem, australijskim kierownikiem baru, Bryanem, którego poznała parę miesięcy wcześniej. Bryan, wysoki blondyn, znacznie od niej młodszy, zawrócił jej w głowie i nawet przez krótki czas myślała, że to będzie ten jedyny. Tego dnia na plaży była nim bardzo zainteresowana i na chwilę — nie dłużej, bo Emma zawsze była dla niej najważniejsza na świecie — tylko na chwilę spuściła z oka czteroletnią córkę. Gdy odsunęła się od Bryana i rozejrzała, już jej nie zobaczyła.

Boże, ten strach. Niemal gorszy niż wtedy, gdy odebrała telefon od porywacza. Poderwała się, wykrzykując imię córki, rozglądając się rozpaczliwie, ale wszędzie wokół, jak okiem sięgnąć, widziała na wpół nagich nieznanym. To było jak scena z najgorszego koszmaru. Spanikowała, naprawdę spanikowała. Mogła myśleć tylko o tym, że Emma została porwana. Moja córeczka została uprowadzona przez pedofilów, drapieżników, którzy skrzywdzą ją i zabiją. Już nigdy jej nie zobaczę, i to będzie moja wina. Ponieważ postawiłam siebie na pierwszym miejscu. Miotła się, nie wiedząc, w którą stronę pobiec, bo przecież niewłaściwa decyzja tylko by ją oddaliła od

Emmy. Ignorując obojętne spojrzenia plażowiczów, wykrzykiwała imię córki i wyła z udręki.

W końcu to Bryan ją znalazł. Szła brzegiem morza kilkaset jardów dalej, sama, wypłakując sobie oczy. Zaginęła tylko na pięć minut, ale Andrea wciąż pamiętała olbrzymią radość, gdy zobaczyła Bryana wracającego z Emmą w ramionach. Nigdy nie doświadczyła czegoś takiego, ani wcześniej, ani potem.

Parę tygodni później zerwała z Bryanem — nie dlatego, że był czemuś winny, ale ponieważ zawsze miała kojarzyć go ze swoim egoizmem — i przysięgła wtedy, że nie pozwoli, by ktokolwiek stanął pomiędzy nią i Emmą. Dotrzymała słowa. Do teraz.

Komórka Jimmy'ego zaczęła wibrować w kieszeni dżinsów. Andrea spojrzała na zegarek. Osiemnaście po dziesiątej. Wyjęła telefon z kieszeni, zobaczyła wiadomość tekstową.

Przeczytała słowa na ekranie, potem drugi raz.

WRACAJ DO PUNKTU PRZEKAZANIA FORSY.

Minęło pół godziny, odkąd Jimmy wyskoczył z mercedesa. Powiedział wyraźnie, że nie skontaktuje się z nią przed upływem godziny. Coś sprawiło, że zmienił zdanie. Dobre wieści? Jeśli tak, dlaczego po prostu nie zadzwonił? Chciała zadzwonić do niego, ale się powstrzymała. Lepiej czekać tutaj, zgodnie z instrukcjami porywaczy. Dlaczego jeszcze nie zadzwonili? Pewnie liczą pieniądze.

Mijały minuty. Drogą przejechał następny wóz, zwolnił, znów przyspieszył. Nagle Andrea poczuła, że jest na widoku, gdy tak stoi na skraju wioski w jasnym świetle kabiny.

Boże, do licha, co ten Jimmy wyprawia? Czyżby zrobił coś głupiego? Doprowadził do konfrontacji z porywaczami? Czy biciem wymusił przyznanie się jednego z nich? Wszystkim, czego chciała, był powrót córki. Chryste, niech wezmą pieniądze. Bez Emmy nie miały dla niej znaczenia. Jak wszystko inne.

Telefon znów wibrował. Kolejna wiadomość od Jimmy'ego.

NATYCHMIAST WRACAJ DO PUNKTU PRZEKAZANIA
PIENIĘDZY PILNE!

Andrea oparła się o tafłę szkła, patrząc na ekran. Czuła skurcz w brzuchu, gdy się zastanawiała, co, do licha, powinna zrobić. Wreszcie podjęła decyzję i wybrała numer Jimmy'ego.

Telefon dzwonił i dzwonił. Liczyła sygnały i kiedy doszła do dwunastu, poddała się. Do diabła, co on wyrabia?

Schowała komórkę do kieszeni, wbiła oczy w stalowoszary automat na ścianie kabiny. Pokrywały go graffiti, słuchawka była porysowana i stara. Nie dzwonił.

Co zamierzasz zrobić, dziecinko? Nie dzwonią, prawda? Możesz tu stać godzinami.

Ale jeśli odejdę... jeśli odejdę, a oni zadzwonią... Co wtedy?

Andrea przeżywała katusze. Zacisnęła pięści, zagryzła zęby, zacisnęła powieki. Próbowwała, próbowała, próbowała podjąć właściwą decyzję. Skłęła siebie za to, że ściągnęła Jimmy'ego. Skłęła Jimmy'ego za to, że wszystko skomplikował, a potem za to, że nie ma go przy niej, gdy musiała z nim porozmawiać. Cholerny telefon wciąż nie dzwonił, choć minęła już dwudziesta druga trzydzieści pięć.

Otworzywszy z wściekłością drzwi, Andrea wybiegła z budki telefonicznej, wskoczyła do wozu, zawróciła na trzy razy i szybko pojechała tam, skąd przyjechała, starając się nie myśleć, że w tej chwili może dzwonić porywacz z instrukcjami, gdzie znaleźć Emmę.

Dotarła do zakrętu do Gabriel's Saw Mili w niespełna dwie minuty. Droga była pusta, gdy Andrea skręciła w prawą odnogę, wypatrując Jimmy'ego. Nic. Mogła tylko zakładać, że chodziło mu o opuszczony budynek, gdy napisał, że ma wracać do punktu przekazania pieniędzy, lecz kiedy zatrzymała wóz, miejsce wygładało na równie bezludne jak wcześniej.

Tym razem zgasiła światła i silnik i schowała kluczyki do kieszeni. Wysiadła. Ryzykowała, gdyż być może będzie musiała szybko uciekać, ale jeśli zostawi samochód na luzie, ktoś może nim odjechać i zostawić ją tutaj samą, a ten pomysł jeszcze mniej się jej podobał.

— Jimmy! — zawołała cicho, wodząc wzrokiem po linii drzew.

Bez odpowiedzi.

Odwróciła się w stronę domu i przełknęła ślinę. Nie chciała tam wracać, ale też nie zamierzała stać tutaj, mając za towarzystwo tylko cichy szelest liści na wietrze.

— Jimmy! — zawołała nieco głośniej, ale z tym samym skutkiem.

Podeszła do dziury, w której kiedyś były drzwi, i powoli wsunęła głowę do środka. Torba z pieniędzmi zniknęła. Poza tym wszystko wyglądało jak wcześniej. Zapach terpentyny, wewnętrzne drzwi wiszące na jednym zawiasie...

Tylko że teraz słyszała kapanie.

Z początku pomyślała, że je sobie wyobraża, że to wiatr płata jej figla. Ale nie. Zdecydowanie słyszała kapanie.

Kap, kap, kap...

Z pokoju po prawej stronie.

— Jimmy — syknęła — jesteś tam?

Nic.

Lodowate palce strachu musnęły jej kręgosłup. Chciała uciec. Ale dokąd?

Wracaj do budki telefonicznej. Natychmiast. Mogą dzwonić. Mogą dzwonić, a ciebie tam nie ma!

Ale skąd to kapanie?

Nagle krople zaczęły huczeć jej w głowie i wraz ze strachem zaczęła narastać w niej ciekawość. Zrobiła trzy kroki,

wyciągnęła szyję i spojrzała w mrok za przekrzywionymi drzwiami.

— Jezu — sapnęła. — Nie...

Gwałtownie podniosła rękę do ust, zdusiła krzyk. Andrea zrobiła krok w tył, nie mogąc oderwać oczu od zwłok Jimmy'ego Galante'a. Nadziali go na zardzewiały hak rzeźniczy przymocowany do belki biegnącej pod sufitem. Wisiał jak marionetka bez sznurków, z pochyloną głową, stopy niemal muskały brudną kamienną podłogę, ręce zwisały bezwładnie. Na błękitnej koszuli polo ciemniały czarne plamy, a źródłem miarowego kapania była krew ciekąca na podłogę z poderżniętego gardła.

Ale zobaczyła coś gorszego. Brakowało mu palców u obu rąk. Zostały odrąbane, w ich miejscu sterczały nierówne, zakrwawione kikuty.

Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Jimmy był potężnym mężczyzną, a został zarżnięty jak prosię. Widok był niemal nie do zniesienia.

— Jimmy, co oni ci zrobili?

Drgnęła mu prawa ręka. Andrea była tego pewna. Wpatrywała się z natężeniem w ciemność, pytając siebie, czy sobie tego nie wyobraziła.

Ręka znowu drgnęła.

O Boże, on jeszcze żyje.

Podbiegła, pośliznęła się w kałuży krwi, która rosła na podłodze, i stanęła przed nim.

— Jimmy, to ja — powiedziała z przejęciem, jedną ręką obejmując jego ramiona, drugą podnosząc mu głowę. — Zabierzemy cię...

Nie dokończyła zdania. Szok odjął jej mowę, gdy zobaczyła niewidzące, martwe oczy. Jimmy nie żył. Człowiek, na którym polegała, odszedł. Puściła go i odsunęła się chwiejnie.

Zastanawiała się, jak ten koszmar mógł stać się jeszcze gorszy, nie chciała uwierzyć w to, co widziała, ponieważ gdyby dała temu wiarę, musiałaby przyznać przed sobą, że bestie, z którymi ma do czynienia, są zdolne do największych potworności.

Oparła się o przeciwną ścianę, nie mogąc się ruszyć, a wtedy komórka w jej kieszeni znowu zaczęła wibrować.

8

Andrea wybiegła w ciemność, rozpaczliwie pragnąc oddalić się od Jimmy'ego. Komórka nie przestawała wibrować. To nie była wiadomość. Rozmowa.

Wyjęła telefon z kieszeni.

— Słucham? — powiedziała bez tchu.

— Cześć, Andreo. — Usłyszała obojętny ton nienaturalnego głosu porywacza.

— Macie pieniądze. Gdzie moja córka?

— Jest bezpieczna.

— Ale gdzie jest? Dałam wam pieniądze, co do pensa. Dotrzymałam umowy...

— Niezupełnie, Andreo, prawda? Mówiłem, żebyś przyjechała sama. — Zamilkł na chwilę, nie spieszył się. — A ty nie posłuchałaś. Uznałaś, że lepiej zabrać kogoś, żeby nas szpiegował. To było bardzo głupie. Mówiłem, że obserwujemy twój każdy ruch.

Andrea czuła, jak serce jej zamiera.

— Przepraszam. Po prostu nie byłam pewna, co zrobić. Macie swoje pieniądze. Proszę, puśćcie moją córkę.

— To cię będzie kosztowało.

— Na litość boską, nie mam więcej pieniędzy. Dałam wam wszystko.

— Zawsze jest więcej.

— Posłuchaj, proszę...

— Nie, ty słuchaj, i to bardzo uważnie. Spieprzyłaś sprawę. Nie przestrzegałaś prostych instrukcji. Jeśli chcesz zobaczyć córkę żywą, to cię będzie kosztowało następne pół miliona.

— Przecież mówiłam, już nie mam pieniędzy.

— Masz czterdzieści osiem godzin, żeby je zdobyć. To ostateczny termin. Mądrze wykorzystaj ten czas. I pamiętaj, tym razem nikomu nie mów. Absolutnie nikomu. Inaczej Emma umrze.

— Pozwól mi porozmawiać z córką. Musisz mi na to pozwolić.

— Porozmawiasz z nią, gdy będziemy gotowi. Nie teraz.

Połączenie zostało przerwane, ale Andrea wciąż mówiła rozpaczliwie do telefonu. Świadomość, że rzeczywiście totalnie spieprzyła sprawę, huczała jej w głowie. To wszystko wina Jimmy'ego. Nawet po tych wszystkich latach wciąż mógł sprawić jej ból. Ale takiego bólu nigdy dotąd nie czuła.

Trzymaj się, Andreo. Jesteś to winna Emmie. Trzymaj się.

Boże, to było trudne. Tak cholernie trudne. Łzy ją piekły. Wytarła je ze złością, gdy biegła do wozu. Wskoczyła za kierownicę, zapuściła silnik. Zapaliła papierosa i zaciągała się łąpczywie, potem pojechała do końca drogi i zawróciła.

Gdy dotarła na główną drogę i ruszyła w kierunku Londynu, patrzyła przez przednią szybę, bezgłośnie powtarzając swoją mantrę: Trzymaj się, trzymaj się, trzymaj się. Wiedziała, że nie może się załamać, bo jeśli to zrobi, nigdy się nie podniesie, a teraz nie mogła sobie na to pozwolić, nie w sytuacji, gdy Emma jest w szponach tych bestii.

Myślała o nich teraz, o ludziach, z którymi miała do czynienia. Jimmy Galante nie był frajerem. Był twardym zabijaką obdarzonym prymitywnym sprytem, jaki mają tylko najprawdziwsi kryminaliści, a jednak został odkryty przez człowieka albo przez ludzi, których miał obserwować, i zarżnięty jak Świnia. Ci łądacy byli bezlitośni. I co gorsza,

dokładnie wiedzieli, co robią. Andrea rozumiała, że nie może walczyć z nimi sama, ale przecież szukanie pomocy innych przyniosło skutek przeciwny do zamierzonego. Co jej pozostało?

Miała oczywiście tylko jedną możliwość. Policja. Oni przynajmniej będą wiedzieli, co zrobić. Ryzyko było ogromne, biorąc pod uwagę brutalny sposób działania porywaczy. Jeśli się dowiedzą o zaangażowaniu policji, mogą spanikować i zabić Emmę. Z drugiej strony i tak mogają zabić, zwłaszcza jeśli nie dostaną na czas żądanej sumy. Andrea znów została przyparta do muru i wiedziała, że zły ruch spowoduje straszne następstwa.

Pogrążona w myślach nie zauważyła, że jedzie środkiem drogi, dopóki nie zobaczyła pędzących ku niej świateł i nie usłyszała klaksonu. Mocno przekręciła kierownicę w lewo i wcisnęła pedał hamulca. Wpadła w poślizg, wóz z wizgiem opon obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, nim wreszcie stanął przodem w niewłaściwą stronę pustej drogi.

Tylko że droga nie była pusta. Auto, które jechało z naprzeciwka, zatrzymało się około trzydziestu jardów od niej. Gdy patrzyła, ściskając rozpaczliwie kierownicę, wóz zawrócił i ruszył w jej stronę. Światła na dachu błyskały niebiesko na tle nocnego nieba.

Andrea zakłęła. Co za parszywy pech, wpaść prawdopodobnie na jedyny wóz policyjny w promieniu dziesięciu mil.

Zachowuj się naturalnie. Na litość boską, zachowuj się naturalnie.

Zerknęła w lusterko wsteczne. Wstrząsnął nią widok patrzącej na nią twarzy. Rysy miała ściągnięte i udręczone, włosy rozczochrane, wyglądała o pięć lat starzej.

Spokój. Zachowuj się naturalnie.

Wóz policyjny zatrzymał się pięć stóp przed jej zderzakiem. Dwaj policjanci powoli wysiadali z obu stron, wkładając czapki.

Opuściła szybę, gdy kierowca stanął przy drzwiach i pochylił się do okna. W średnim wieku, mocnej budowy, ale z rysującym się brzuszkiem, miał gęste wąsy i ponurą twarz. Jego mina sugerowała, że cokolwiek mu powie, z pewnością zostanie spisana za nieostrożną jazdę. Ale musiała próbować.

— Przepraszam, panie władzo — powiedziała, zanim zdążył się odezwać. — Chyba musiałam się zdekoncentrować. Miałam bardzo ciężki dzień w pracy.

— Obawiam się, że to żadne wytłumaczenie — rzekł surowo. — Naprawdę nie powinna pani prowadzić, jeśli jest pani zmęczona.

Typowy glina, pomyślała. Znalazł się święty. Założę się, że wiele razy jeździł, gdy był wykończony. Ale wiedziała, że nie może tego powiedzieć, żeby go nie zrazić. Przeprosiła drugi raz.

— Gdzie pani była? — zapytał, nie zmieniając wyrazu twarzy.

Poniewczasie spostrzegła, że wciąż kurczowo ścisła kierownicę. Opuściła rękę, zobaczyła, że drżą, złożyła je na kolanach.

— W pracy — odparła.

— Gdzie pani pracuje?

Miała pustkę w głowie. Zupełną pustkę. Przez chwilę nawet nie pamiętała, gdzie jest.

— Eeem... — Wahanie wyglądało dziwnie, wiedziała o tym. Ale po prostu nie mogła zebrać myśli. — Eee...

— Mogłaby pani wysiąść z wozu? — zapytał, wyciągając dłoń w rękawiczce i wyjmując kluczyki ze stacyjki. — Mam powody przypuszczać, że pani piła. Zamierzamy prosić o poddanie się testowi na zawartość alkoholu w organizmie. Czy pani rozumie?

Słabo pokiwała głową.

— Jasne.

Zachowaj spokój, Andreo, zachowaj spokój. Nie piłaś. Lampka brandy dwie godziny temu to za mało, żeby przekroczyć limit. Najgorsze, co może cię spotkać, to spisanie za niebezpieczną jazdę. Wlepią ci mandat, pozwolą odjechać, będziesz mogła wrócić do domu i zastanowić się, skąd wziąć do soboty kolejne pół miliona w gotówce, żeby ocalić życie czternastoletniej córce.

Wysiadła z wozu i stanęła niepewnie, gdy wszystkie ciosy minionych czterdziestu ośmiu godzin wezbrały i uderzyły w nią jak zimowe fale w falochron. Rozsypywała się pod ich naporem, i o tym wiedziała.

— Dobrze się pani czuje? — zapytał partner kierowcy, wyższy, młodszy facet z alkomatem w ręce, roztaczający aureę absolwenta szkoły wyższej.

— Tak, dzięki. Nic mi nie jest. — Spróbowała się uśmiechnąć, ale bez większego powodzenia.

Młodszy glina wpatrywał się w jej pierś.

— Co to?

— Co?

Spojrzała w dół, zobaczyła, czemu się przygląda. Zakrwawiła kurtkę, gdy obejmowała Jimmy'ego. Jezu, jak mogła nie zauważyć? Niżej były mniejsze plamki i jedna wielkości kciuka na koszulce, nagle widoczna w świetle latarki na mile.

Starszy glina przysunął się i też patrzył.

— Jest pani ranna? — zapytał.

Odwróciła się szybko.

— Nie, nic mi nie jest. Naprawdę.

— To krew. Lepiej niech pani zdejmie kurtkę. Może się pani skaleczyła.

— Nie.

Gliniarze przyglądali jej się uważnie. Starszy chyba podjął decyzję.

— Proszę zdjąć kurtkę.

Czuła, że powinna spytać dlaczego, ale wiedziała, że musi współpracować. Zdjęła kurtkę i podała starszemu, który podniósł ją do nosa i powąchał podejrzliwie.

— Zdecydowanie krew — oznajmił.

Andrea stała z walącym sercem. Teraz, gdy zobaczyli, że nie jest ranna, któryś z nich zada oczywiste pytanie. Zrobił to młodszy.

— Czy może pani wyjaśnić, skąd ta krew na koszulce i kurtce?

Andrea odetchnęła głęboko. Decyzję dotyczącą następnego ruchu w końcu podjęto za nią.

— Tak — odparła, przenosząc spojrzenie z jednego na drugiego. — Chyba tak będzie lepiej.

CZĘŚĆ DRUGA

9

SG3² Mikę Bolt z SOCA³, Agencji do walki z Przeszypczoznością Zorganizowaną, zbudził się tuż po wpół do szóstej w piątkowy poranek w połowie września. Jego sen został przerwany przez telefon od szefa, który kazał mu szybko stawić się w biurze. Nie miał pojęcia, że właśnie zaczął jeden z najtrudniejszych dni w życiu.

Jego zespół właśnie zakończył rozpracowywanie gangu przestępców, którzy zajmowali się praniem brudnych pieniędzy i teraz siedzieli bezpiecznie za kratkami, czekając na rozprawę, więc uznał ten dzień za wolny. Miał wielkie plany na zbliżający się weekend, pierwszy wolny od blisko miesiąca: chciał jechać do Kornwalii, by spędzić parę relaksujących dni z kruczowłosą dwudziestoosmioletnią artystką z St. Ives, mającą wyjątkowo seksowny śmiech. Został przedstawiony Jenny Byfleet parę miesięcy temu, kiedy przyjechała do Londynu, i ogromnie mu zależało, żeby poznać ją lepiej. Jenny była dziewczyną, w której naprawdę można się zakochać, i Bolt uważał, że zasłużył na mały romans, nawet na odległość. Od jakiegoś czasu w tej sferze jego życia panowała posucha.

Ale romantyczny weekend będzie musiał poczekać, ponieważ sprawa nie cierpiała zwłoki. Szef wyjaśnił, że chodzi o porwanie.

Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, że kidnaperstwo jest przestępstwem stosunkowo częstym. Codziennie w samym

Londynie dochodzi średnio do jednego porwania, ale na ogół mają one związek z narkotykami i sprzeczkami o pieniądze w gangach, zwłaszcza wśród mniejszości etnicznych. Ta sprawa miała zupełnie inny charakter i zaliczała się do przestępstw znacznie rzadszych. Uprowadzenie czternastoletniej białej dziewczynki z klasy średniej było wydarzeniem przerażającym, najgorszym koszmarem dla wyższego stopniem klasy. Choć nikt z szefostwa nigdy tego nie przyznał, Bolt wiedział, że z powodu nikłego zainteresowania prasy, a tym samym społeczeństwa, policja bez większych skrupułów przechodzi do porządku nad sprawami dotyczącymi paru zbirów, którzy przetrzymują i torturują ópuna z powodu długu w wysokości paru setek funtów. Ale jeśli media zwęszą tę sprawę, nie odpuszczą. Ten przypadek miał wszystkie cechy wielkiego tematu, zwłaszcza że w czasie wczorajszej próby przekazania okupu porywacz albo porywacze zamordowali przyjaciela matki ofiary. Stawka była nadzwyczaj wysoka i równie duży miał być nacisk na pomyślne zakończenie.

A Mikę Bolt miał być tym, który zostanie rzucony głową naprzód w oko cyklonu.

Na razie dysponował tylko ogólnymi informacjami. Dwaj policjanci z drogówki z Hertfordshire parę minut przed jedenastą w nocy zatrzymali matkę ofiary. Gdy wysiadła z wozu, zobaczyli plamy krwi na jej ubraniu i zaczęli zadawać pytania. Zdenerwowana, przygnębiona kobieta powiedziała im o porwaniu córki i zamordowaniu jej przyjaciela.

Kobieta odmówiła powrotu do miejsca, gdzie znalazła ciało, utrzymując, że wciąż mogą tam przebywać porywacze. W końcu wysłano tam drugi patrol, który stwierdził, że zwłoki zostały podpalone i w znacznym stopniu strawione przez ogień. W okolicy nie znaleziono śladu nikogo innego, dlatego pomimo twierdzeń o niewinności kobieta została aresztowana jako podejrzana o morderstwo i przekazana na posterunek w

Welwyn Garden City. Tam złożyła długie zeznanie, opisując wydarzenia dwóch ostatnich dni.

Była to sytuacja trudna i bardzo nietypowa dla policji z Hertfordshire. Mieli w areszcie oczywistą podejrzaną o morderstwo, ale z drugiej strony kobieta powtarzała z uporem, że jej córka została porwana, i zachowywała się jak ktoś, kto mówi prawdę. W końcu postanowili nasilić dochodzenie, a ponieważ kobieta została zatrzymana poza granicami Londynu, starszy oficer śledczy skontaktował się z SOCA, nie z przeciążonym wydziałem do spraw porwań w policji stołecznej, i stąd telefon do Bolta.

Dochodziła siódma, gdy przybył do siedziby swojego biura w tak zwanym Szklanym Domu, dziesięciopiętrowym biurowcu z lat sześćdziesiątych z szybami przyciemnionymi przez brud, nie dzięki zamysłowi projektanta, na rogu nijakiej ulicy handlowej kilkaset jardów na południe od rzeki w Vauxhall. Był piękny słoneczny ranek, piąty taki dzień w ciepłym okresie, który nastąpił po jednym z najwilgotniejszych, najbardziej rozczarowujących sezonów letnich w historii — co w Anglii mówi samo za siebie. Gdyby nie to, że Bolt żałował straconego spotkania z Jenny, byłby w dobrym nastroju. Lubił sprawy, w które trzeba się wgryźć, a ta wyglądała na wyjątkowo mięsistą. Ostatnio coraz częściej prowadził wraz ze swoim zespołem długotrwałe dochodzenia, kiedy powolny i zwykle żmudny proces gromadzenia dowodów trwał tygodnie, czasami miesiące. Należała do nich rozpoczęta na początku sierpnia i właśnie zamknięta sprawa prania brudnych pieniędzy, a kiedyś brał udział w śledztwie dotyczącym przemytu ludzi, które ciągnęło się prawie przez rok. W ciągu dwudziestu lat pracy Bolt wyrobił w sobie cierpliwość, ale prowadzenie sprawy, która mogła zostać rozwiązana w ciągu kilku godzin, stanowiło nie lada gratkę i nie zamierzał przepuścić okazji.

Jego zespół zajmował otwartą przestrzeń biurową na czwartym piętrze Szklanego Domu. Kiedy się zjawił, połowa z tuzina członków już tam była i popijała kawę. Większość z nich sprawiała wrażenie niewyspanych. Wszyscy zostali wyrwani z łóżek wcześniej, niż się spodziewali, i Bolt wiedział, że nie jest jedynym, który musiał pożegnać się z wolnym dniem, zanim jeszcze go rozpoczął. Przedwczoraj urządzili sobie poważną popijawę w West Endzie, żeby uczcić aresztowanie gangsterów od prania brudnych pieniędzy, i wyglądało na to, że parę osób kontynuowało świętowanie również wczorajszej nocy.

Przynajmniej Mo Khan wyglądał rześko i schludnie. Mo był jednym z jego zastępców w zespole i facetem, do którego Bolt miał największe zaufanie. Pracowali razem od ponad pięciu lat, najpierw w NCS⁴, Centralnym Biurze do spraw Ścigania Przystępczości Zorganizowanej, potem w SOCA. Mo z dużą okrągłą twarzą i przyjaznymi skrzącymi się oczami przypominał trochę puszystego milutkiego misia, ale pozory myliły. W rzeczywistości był twardy, operatywny i odporny na stres, a Bolt wiedział, że te trzy cechy pewnego dnia mogą się bardzo przydać. Jeszcze nie było Tiny Boyd, drugiego zastępcy, ani szefa, SG2 Barry'ego Freuda, choć Bolt wiedział, że musi być gdzieś w pobliżu, bo to on zadzwonił do wszystkich o wpół do szóstej.

Zdążył przywitać się z członkami zespołu, gdy przyszedł Mo i od razu go capnął.

— Nasza tajemnicza pani dotarła tu dwadzieścia minut temu — powiedział, gdy Bolt nalał sobie kubek mocnej czarnej kawy z ekspresu. — Wielki Barry chce, żebyśmy od razu zaczęli przesłuchanie, bo była na nogach przez całą noc. Uznał, że jeśli będziemy zwlekać, zrobi się zbyt zmęczona, żeby z nami rozmawiać.

— W porządku. Gdzie ona jest?

— W pokoju przesłuchań B. Wszystko przygotowane.

— Ja cię kręcę, wcześniej dziś startujesz — powiedział Bolt, idąc za nim korytarzem. — Kiedy się tu zjawileś?

— Pół godziny temu. Szybko się ruszam.

Bolt wyszczerzył zęby i żartobliwie trącił go w ramię.

— Ty nigdy szybko się nie ruszasz, panie Khan. Jak się tu dostałeś? Lewitujesz?

— Mam wiele talentów, szefie.

— Widziałeś ją już? Tę panią Devem?

Skinął głową.

— Zamieniłem z nią parę słów. Wygląda na kompletnie wykończoną, ale chce z nami rozmawiać.

— Założę się.

Bolt zwolnił kroku, żeby napić się kawy, i sparzył sobie usta.

— Czy gliniarze z Hertfordshire zweryfikowali jej historię?

— Częściowo. Ma czternastoletnią córkę, ale nie przeszukali domu, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście zaginęła. Zostawili to nam, na wypadek gdyby w domu był podsłuch.

— Więc jej historia faktycznie może być wyssana z palca? Mo wrzucił ramionami.

— Rozmawiałem z gliniarzami, którzy ją przywieźli. Uważają, że jeśli to tylko gra, to ona jest cholernie dobrą aktorką — ale, tak, to możliwe. — Przystanął przed pokojem przesłuchań B. — Przypuszczam, że jest tylko jeden sposób, żeby poznać prawdę.

Bolt wszedł za Mo do pokoju i doznał czegoś w rodzaju szoku, który niemal rzucił go w tył. Minęło bardzo dużo czasu, ale choć była blada i wyczerpana, choć ciężkie przejścia ostatnich dni wyssały życie z jej twarzy, zdecydowanie nie mógł się mylić. Znał tę kobietę.

I swego czasu znał ją o wiele za dobrze.

2 Odpowiednik inspektora policji.

3 Serious and Organized Crime Agency.

4 National Crime Squad.

Andrea Devem wstała, gdy weszli. Mo przedstawił Bolta i formalnie podali sobie ręce. Bolt usiadł naprzeciwko niej, udając, że jej nie zna. Zadowolony, że ona też z niczym się nie zdradziła, wyjaśnił, że rozmawiają w takim formalnym otoczeniu, ponieważ rozmowa będzie monitorowana i nagrywana.

— W ten sposób łatwiej będzie wrócić do pani zeznania. Ale proszę się nie martwić. Przesłuchanie nie jest wiążące, pani słowa nie mogłyby zostać wykorzystane w sądzie. Po prostu chcemy, żeby opowiedziała pani wszystko od początku, starając się niczego nie pominąć, dzięki czemu zyskamy pełen obraz sytuacji.

To nie była cała prawda. Historia jeszcze nie została potwierdzona, więc jej powtórzenie miało dać im okazję do późniejszego sprawdzenia ewentualnych rozbieżności, gdyby zaszła taka potrzeba.

Andrea ziewnęła, przysłaniając usta ręką, i Bolt zauważył, że ma złamany jeden z wypielęgnowanych paznokci.

— Już powiedziałam wszystko detektywom w Welwyn Garden City. Chcę tylko odnaleźć córkę. — Mówiła ze zmęczeniem, niemal z irytacją w głosie.

— Usłyszenie tego bezpośrednio od pani jest dla nas bardzo ważne. Na wypadek gdyby o czymś pani zapomniała. To

pomoże nam odnaleźć pani córkę. — Uśmiechnął się do niej krzepiąco.

— Dobrze — zgodziła się, patrząc mu w oczy. — Rozumiem. Mogę zapalić?

— W budynku obowiązuje zakaz palenia, a obecny tu Mo jeszcze niedawno wypalał czterdzieści sztuk dziennie, ale... Jak myślisz, Mo? — zapytał Bolt z uśmiechem. — Dasz radę się skupić?

Mo nie miał uszczęśliwionej miny; rzucił to paskudztwo ledwie sześć tygodni temu i wciąż toczył wewnętrzną walkę. Pokiwał jednak głową, bo Bolt był jednym z tych ludzi, którzy wciąż wierzyli w zdroworozsądkowe podejście do sposobu egzekwowania prawa, a odmawianie Andrei drobnej przyjemności w tych trudnych chwilach wydawało się chamskie. Wielki Barry pewnie miałby coś do powiedzenia, bo przecież zwykle miał coś do powiedzenia na każdy temat, ale o to będę się martwić później.

Andrea podziękowała, wyjęła paczkę bensonów z drogiej torebki, która leżała przed nią na biurku, wytrząsnęła papierosa i zapaliła. Zaciągnęła się głęboko, z wyraźną przyjemnością wydmuchnęła ku sufitowi wąską strużkę niebieskawego dymu, a potem zaczęła mówić. Bolt słuchał uważnie, robiąc notatki, od czasu do czasu przerywając jej monolog, żeby zapytać o rzeczy, które wymagały wyjaśnienia.

Często na podstawie mowy ciała można stwierdzić, czy dana osoba mówi prawdę. Kłamcy nie wykonują wielu gestów, a jeśli już, to są one skierowane w stronę tułowia, nie na zewnątrz. Często dotykają twarzy, szyi i ust, a także odwracają głowę albo całe ciało od pytającego, żeby nie patrzeć na niego wprost. Andrea nie przejawiała takich skłonności. Jej historia mogła brzmieć niewiarygodnie, ale Bolt uznał, że jest prawdziwa.

Miał ku temu trzy powody. Po pierwsze, Andrea sprawiała wrażenie szczerzej. Po drugie, kłamanie nie miało większego

sensu, ponieważ sprawdzenie prawdziwości jej słów zabrałoby mu niewiele czasu. I po trzecie, być może najważniejsze, znał ją, a przynajmniej znał ją kiedyś, i nie sądził, by była zdolna do odgrywania takiej komedii. Choć z pozoru twarda, czasami agresywna, zawsze miała dobre serce.

Dlatego kiedyś się w niej zakochał.

Bolt nie miał dzieci, więc daleko mu było do pełnego zrozumienia koszmaru, który przeżywała Andrea, ale widział, że ostatnie wydarzenia dały się jej we znaki. Wciąż była bardzo atrakcyjna, z gęstymi, długimi do ramion ciemnymi włosami i wyrazistymi, pięknymi rysami, które przyciągały spojrzenia większości mężczyzn, ale twarz miała wymizerowaną i opuchniętą z braku snu, ciemne worki pod oczyma i szarawy, niezdrowy odcień skóry. W jej oczach, niezwykle orzechowych, dawniej takich ślicznych i żywych, teraz dostrzegał udrękę. Niejeden raz, gdy na niego patrzyła, chciał sięgnąć przez stół, żeby jej dotknąć. Zwalczał to pragnienie. W tej sprawie nie było miejsca na sentymenty.

— Popełniłam jeden błąd — podsumowała swoją relację, patrząc kolejno na obu mężczyzn. — Zaufałam im.

— Nie, Andreo, popełniła pani dwa błędy — poprawił Bolt. — Zaufała im pani i nie przyszła do nas.

— Myślałam, że postępuję właściwie. — Westchnęła, gasząc trzeciego papierosa w kubku po kawie. — Chyba się myliłam.

Mo podniósł głowę znad notatek i odezwał się po raz pierwszy:

— Czy ma pani, Andreo, zdjęcie Emmy, żebyśmy mogli zrobić kopię?

Skinęła głową, wyjęła z torebki niedużą kolorową fotografię i podała mu.

— Zrobione w zeszłym roku. Chciałabym je odzyskać, jest dla mnie bardzo cenne.

— Oczywiście — odparł współczującym tonem. Tylko rzucił okiem na zdjęcie, żeby nie pogłębiać jej bólu, i wsunął je do małej przejrzystej koperty.

— Czy któryś z panów ma dzieci?

— Ja nie, niestety — odparł Bolt.

— Ja mam — powiedział Mo. — Czworo.

Andrea popatrzyła na niego z zainteresowaniem, jakby nagle stał się pokrewną duszą, o czym Bolt mógł co najwyżej pomarzyć.

— Szczęściarz z pana. Mam nadzieję, że nigdy nie spotka pana to co mnie. Nie wyobraża pan sobie, jak to jest. — I w tej chwili jej oczy, przygaszone przez stres i ból, niemal zasły łzami. Niemal.

— Obiecuję, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby odzyskać pani córkę — powiedział Mo. — Ale będzie pani musiała nam pomóc. Pewne sprawy wymagają wyjaśnienia, a pewne pytania odpowiedzi. Czy mogę być szczery?

Skinęła głową.

— Oczywiście.

— Pani mąż zniknął, nie ma go od wtorku, od dnia uprowadzenia Emmy. Sądzi pani, że jest zamieszany?

Zastanawiała się przez parę sekund.

— Wiele o tym myślałam, ale po prostu nie mogę tego pojąć. Zawsze był w dobrych stosunkach z Emmą i nie jest człowiekiem, który zrobiłby jej coś takiego.

— Czy jego zachowanie wobec pani i córki zmieniło się w ciągu paru ostatnich tygodni? — zapytał Bolt.

— Niczego takiego nie zauważyłam.

— Jak pani myśli, gdzie może być?

Rozłożyła ręce.

— Naprawdę nie wiem. Może jego też porwali.

Mo ostentacyjnie zajrzał do notatek.

— Z pani słów wynika, że w czasie rozmowy telefonicznej nie spytała pani porywacza, czy przetrzymuje również jej męża ani co mogło się z nim stać?

— Rozumie pan, priorytety. Odbyłam tylko parę krótkich rozmów z człowiekiem przetrzymującym moją córkę, w każdej skupiałam się na Emmie. — Westchnęła. — Proszę posłuchać. Nie mogę wiedzieć, czy Pat jest w to zamieszany, czy nie, ale jestem całkiem pewna, że nie. Po prostu nie jest tego rodzaju facetem. Poza tym, dlaczego miałyby zawracać sobie głowę? Ma całkiem niezłe życie. Nie musi się wysilać. Jeździ niezgorszym wozem, spędza przyzwoite wakacje. Wychodzi, kiedy chce. Gdy prosi mnie o pieniądze, daję mu. Pewnie nie powinnam, bo w ten sposób raczej nie motywuję go do ruszenia dupy i znalezienia jakiejś pracy, ale to robię. Dlaczego miałyby ryzykować utratę tego wszystkiego? Za udział w pół miliona funtów? Nie sądzę.

Trafna uwaga, pomyślał Bolt.

— Porywanie dziecka dla okupu zdarza się nieczęsto — powiedział — i jest jasne, że nie została pani wybrana na chybił trafił. Czy przychodzi pani na myśl ktoś znajomy, kto mógłby chcieć dać pani w kość?

Po chwili namysłu Andrea zdecydowanie pokręciła głową.

— Nikt mi nie przychodzi na myśl.

Bolt, wyczulony na takie rzeczy, dostrzegł błysk wahania w jej oczach, gdy udzielała odpowiedzi.

Popatrzył na Mo.

— Myślę, że to na razie wszystko.

Mo skinął głową.

— Nie mam więcej pytań.

— Co teraz? — zapytała Andrea drżącym głosem.

— Porywacz dał pani czterdzieści osiem godzin — rzekł Bolt, pochylając się na krześle. — Zostało prawie czterdzieści do

chwili, gdy nawiąże kontakt. W tym czasie musimy dyskretnie gromadzić wszystkie informacje, które pozwolą nam go zidentyfikować.

— Jeśli dowiedzą się o was... To znaczy, ci faceci wiedzą, co robią.

Bolt spojrział na nią spokojnie.

— My też, Andreo, my też. Tymczasem dostanie pani zespół oficerów łącznikowych, wyszkolonych funkcjonariuszy odpowiedzialnych za kontakty z rodzinami ofiar. Oni zadbają o pani codzienne potrzeby i będą służyć wsparciem, dopóki sprawa nie zostanie zakończona. Ulokujemy panią w bezpiecznym, wygodnym miejscu. Wszystkie rozmowy telefoniczne zostaną automatycznie przekierowane tutaj, kiedy więc porywacz nawiąże kontakt, będzie pani mogła z nim porozmawiać, a my będziemy mogli monitorować rozmowę.

— Nie, chcę jechać do domu.

— To niemożliwe — sprzeciwił się Mo. — Logistyka byłaby za trudna.

— Nie obchodzi mnie to. Chcę jechać do domu. — Jej głos zdradzał panikę. — Ci ludzie obserwują dom. Musieli wiedzieć o Jimmym. Jeśli obserwują teraz i wiedzą, że mnie tam nie ma, zaczną podejrzewać, że poszłam na policję. Nie mogę ryzykować. Powiedzieli, że zabiją Emmę, jeśli to zrobię, a ja im wierzę.

— Mało prawdopodobne, by porywacze obserwowali pani dom — powiedział Bolt, świadom, że Mo ma rację: pozwolenie jej na powrót do domu stanowiłoby prawdziwy problem. — Nie będą ryzykować przyciągania uwagi, i nie ma ich zbyt wielu. Dwóch, najwyżej trzech, zdecydowanie na mało, żeby ciągle panią śledzić.

— To samo mówił Jimmy i proszę spojrzeć, co go spotkało — zripostowała Andrea. — Przykro mi, ale chcę wrócić do domu. Nie zmienię zdania.

Bolt westchnął. Widząc jej zdecydowaną minę, zrozumiał, że nie ustąpi.

— W porządku, zobaczymy, co da się zrobić. — Wstał, Mo też. — Zaraz ktoś zaprowadzi panią do znacznie wygodniejszego pokoju. I proszę się nie martwić, będziemy informować panią na bieżąco.

Odwrócił się do wyjścia.

— Mike?

Bolt drgnął, zaskoczony tą nagłą poufałością, i Mo popatrzył na niego z zaciekawieniem. Odwrócił się, unikając spojrzenia kolegi. Orzechowe oczy Andrei przepelniał ból.

— Obiecay mi, że ją uratujesz. Proszę.

Bolt czuł, jak zasycha mu w ustach. To było trudne, znacznie trudniejsze niż dawniej. Chciał jej obiecać, ale wiedział, że w żaden sposób nie może. Porywacze Emmy już raz zabili; całkiem możliwe, że zabiją znowu. Jeśli powie jedno, a stanie się drugie... cóż, nie wyglądałoby to dobrze.

— Nie mogę dać stuprocentowej gwarancji. Przykro mi.

Zwróciła się do Mo.

— Ma pan dzieci. Musi pan rozumieć mój ból.

— Tak — rzekł ze smutkiem. — Naprawdę.

— Proszę...

— Zrobimy absolutnie wszystko, co w naszej mocy, żeby Emma wróciła do domu — oświadczył stanowczo. — Absolutnie wszystko.

Lekko skinęła głową i drżącymi rękami sięgnęła po papierosy, nie zwracając uwagi na łzę, która toczyła się po jej policzku.

Na razie nie było nic więcej do powiedzenia.

Kiedy Mike Bolt zaczął pracę jako dziewiętnastoletni stażysta, nie osiągnąwszy wyników wymaganych przez uniwersytety i politechniki, do których złożył podania, jego pierwszym posterunkiem był Holborn Nick w sercu centralnego Londynu, pomiędzy West Endem i City. Wychowany na filmach policyjnych lat siedemdziesiątych, od Z Cars do Starsky 'ego i Hutch'a, zawsze fantazjował o wstąpieniu do policji, ale w sposób abstrakcyjny, jak dziecko, które chce zostać astronautą czy dżokejem. Gdyby skończył uniwersytet, jego życie prawdopodobnie potoczyłoby się zupełnie innym torem.

Spędził w Holborn pięć i pół roku, pierwsze trzy lata w mundurze, następne jako detektyw w wydziale kryminalnym posterunku. Jedną z jego pierwszych spraw dotyczyła śmierci sir Marcusa Dallarda, pięćdziesięcioośmioletniego finansisty z City, który zbił fortunę pod koniec lat osiemdziesiątych, zagospodarowując rudery przemysłowe w podupadłej części śródmieścia i przekształcając je w luksusowe bloki mieszkalne. Sir Marcus jako jeden z niewielu przewidział koniec boomu budowlanego i sprzedał dosłownie wszystkie swoje udziały przed wielkim krachem, a gdy skoczyły stopy procentowe, udzielił kredytu rynkom pieniężnym, osiągając ogromne zyski. Według niektórych sir Marcus był kapitalistą najgorszego rodzaju, człowiekiem, który niczego nie stworzył, tylko siedział na rosnącym garnku pieniędzy zdobytych kosztem potu innych ludzi. Ale media go uwielbiały. Był przystojnym,

ekstrawaganckim facetem, sypał zabawnymi powiedzonkami jak z rękawa i promieniował nieposkromioną radością życia, co sprawiało, że trudno go było nie lubić. Po dwóch rozwodach, z niejednym nieślubnym dzieckiem i sznurem kochanek na koncie, był ulubionym bohaterem brukowców, a ponadto miał tę dziwną zdolność klasy wyższej do wzbudzania sympatii u mas, o której nikt z klasy średniej nie może nawet marzyć.

Kiedy więc po anonimowym telefonie znaleziono go nagiego i martwego w penthousie pięciogwiazdkowego hotelu w Strandzie, z kilkoma kreskami białego proszku na stole i kondomem wiszącym żałośnie na zwiotczalym penisie, zanosilo się na wielki szum w mediach. Choć śledztwo prowadził nadinspektor, większa część czarnej roboty spadła na Bolta i jego ówczesnego szefa, sierżanta z wydziału dochodzeniowo-śledczego, Simona Grindy'ego, zmęczonego życiem czterdziestolatka, dla którego mogło zostać wymyślone powiedzenie „w połowie pusta”.

— Sprośny stary łajdak — mruknął Grindy szorstko, z nutką podziwu i zazdrości, gdy razem z Boltem stali w luksusowo urządzonej sypialni, patrząc na dość chuderławce ciało sir Marcusa. — Znam parę gorszych sposobów zejścia.

Bolt nie był pewien, czy podziela jego zdanie. Zawsze współczuł tym, których okoliczności zgonu musiała badać policja. Uważał, że oglądanie zwłok przez różnych ludzi odziera śmierć z godności, a tutaj dochodziła jeszcze nieco upokarzająca poza nieboszczyka. Jak większość ludzi w owym czasie, on też czytał o rozpustnym życiu sir Marcusa i pamiętał, że pomyślał, jak potężna musi być śmierć, skoro unicestwia nawet postaci tak niezwykle i pełne życia. Ta świadomość od tej pory zawsze miała mu towarzyszyć.

Ustalenie, co się stało, nie trwało długo. Autopsja wykazała, że sir Marcus doznał nagłego, rozległego zawału serca spowodowanego przynajmniej częściowo przez wykrytą w

krwiobiegu kokainę. Intensywna aktywność fizyczna również mogła przyczynić się do zgonu.

Ponieważ przyjaciele i znajomi twierdzili z uporem, że sir Marcus z reguły unikał narkotyków, media doszły do wniosku, że ktokolwiek był z nim tej nocy i anonimowo powiadomił władze, również zaopatrzył go w nielegalny towar. Zaczęto szukać świadków i okazało się, że widziano dwie młode kobiety wychodzące w pośpiechu z hotelu krótko przed godziną, o której ktoś zadzwonił na policję z pobliskiej budki. Jednoczesne przeszukanie pokoju i rzeczy sir Marcusa zaowocowało odkryciem wizytówki niejakiej „Fifi” oferującej „uwolnienie od wszelkich napięć”. Na kartoniku widniał numer telefonu ze wschodniego Londynu.

Z brytyjskiego towarzystwa telekomunikacji uzyskano nazwisko i adres abonenta w Plaistow. W szare dżdżyste popołudnie, trzy dni po tym, jak sir Marcus dokonał żywota, Bolt i Grindy zapukali do drzwi małego mieszkania w szeregowcu z lat pięćdziesiątych stojącego przy bocznej ulicy w cieniu monolitycznego wieżowca.

— Ta dziewczyna nie będzie ładna — tak brzmiało mniej niż dedukcyjne stwierdzenie Grindy’ego. — Gdyby zarabiała konkretne pieniądze, nie tkwiłaby w takiej norze.

Ale Simon Grindy nie był najlepszym z detektywów, trafność jego przepowiedni nie przyprawiłaby wróżki Mystic Meg o ból głowy, i ta jedna nie stanowiła wyjątku. Drzwi otworzyła dwudziestokilkuletnia dziewczyna, bardzo atrakcyjna smukła brunetka w czarnym negliżu. Jej miły uśmiech zgasł w chwili, gdy zobaczyła stojących przed progiem dwóch mężczyzn w garniturach i prochowcach.

— Cokolwiek to jest, nie kupuję — powiedziała opryskliwie z wyraźnym akcentem ze wschodniego Londynu.

— To widać, Fifi — odparł Grindy, łypiąc na nią. — Gdybym miał się założyć, powiedziałbym, że wolisz sprzedawać.

Zrobiła lekceważącą minkę.

— Nie tobie, kolego. Każdy musi mieć jakieś minimalne standardy.

Bolt niemal parsknął śmiechem, ale zdołał się opanować. Pracował z Grindym od niedawna i nie chciał go do siebie zrazić. Ale spodobała mu się ta dziewczyna. Miała ikrę.

— Jesteśmy z policji — wyjaśnił, wyjmując legitymację — i chcemy rozmawiać z panną Andrea Bailey. To pani?

Wyglądało to tak, jakby dopiero teraz go zauważyła. Oszacowała go spojrzeniem, które przyprawiłoby go o rumieniec, gdyby był o pięć lat młodszy. Wreszcie z niechęcią otworzyła drzwi i wprowadziła ich do zagraconego pokoju. Wskazała im miejsca na wyświechtanej sofie, włożyła szlafrok i zapytała, czego chcą.

Andrea Bailey była twarda. Gdy Grindy oznajmił surowo, że wiedzą o jej spotkaniu z sir Marcusem Dallardem, i zażądał, żeby wyjawiała nazwisko swojej koleżanki, beznamyślnie zaprzeczyła i przez następnych dziesięć minut zbywała ich pytania z zimną krwią, co Bolt mógł tylko podziwiać. Kiedy zapytał ją o wizytówkę znaną w portfelu sir Marcusa, odparła, że nic o tym nie wie.

— Rozdaję setki wizytówek, nie śledzę, dokąd trafiają.

— A czym właściwie się pani zajmuje, pani Bailey? — warknął złowieszczo Grindy.

— Proszę przeczytać na wizytówce. Masażem, oczywiście.

I tak dalej, i tak dalej. Podejmowane przez Grindy'ego próby zastraszenia nic nie dały.

— Możemy zdobyć nakaz przeszukania mieszkania — powiedział w końcu.

— Nie wątpię — odparła z sugestią uśmiechu. — Jesteście policjantami.

— W zasadzie już go mamy — dodał, wyjmując dokument z kieszeni gestem prestidigitatora, jakby to miało wytrącić ją równowagi.

Nie wytrąciło. Pozostała spokojna i swobodna, nawet bezczelnie puściła do Bolta oko.

Bolt wiedział, że dziewczyna próbuje wprawić go w zakłopotanie, i nie dał się sprowokować.

— Czy ma pani coś w oku? — zapytał chłodno.

— Tylko błysk — usłyszał w odpowiedzi i zapamiętał to na zawsze. Chłodna i dowcipna. Zastanawiał się, co robiła w tej norze, gdy na zewnątrz czekał cały świat, który mogła podbić.

Przetrzęsnęli dom od góry do dołu, szukając narkotyków, ponieważ w organizmie sir Marcusa wykryto kokainę. Bolt przeglądał szufladę z bielizną, a ona się przypatrywała.

— Nie bawi mnie to, co robię — powiedział, przekładając koronkową bieliznę.

— Oczywiście. — Zaśmiała się. — Ale niech pan zada sobie proste pytanie: ilu facetów w ramach obowiązków grzebie w majtkach ładnej dziewczyny?

Przekomarzali się w trakcie całego przeszukania. Andrea była niepoprawną flirtiarą i nic nie mogło jej speszyć. Bolta ujęło to, że nie miała im za złe plądrowanie jej domu.

Nie znaleźli narkotyków — ani niczego nielegalnego — i Grindy był w paskudnym humorze, gdy wychodzili.

— Bezczelna dziwka — poskarżył się z goryczą. — Trzymaj się z daleka od takich kobiet, Mike. Sprawiają kłopoty. Wierz mi. Ja to wiem.

Zdaniem Bolta Grindy raczej nie zaliczał się do znawców kobiet, choć w tym wypadku akurat miał rację. Andrea jednak zrobiła na nim wielkie wrażenie i często o niej myślał.

Minęły trzy lata, zanim ją znów zobaczył. Wciąż mieszkał w Holborn, ale dołączył do lotnej brygady. Pewnego popołudnia

szedł StranDEM, gdy usłyszał kobiecy głos:

— Panie Bolt, czyżby mnie pan ignorował?

Odwrócił się i zobaczył wychodzącą z domu mody kobietę o kasztanowych włosach, z głęboką opalenizną i w wielkich okularach przeciwsłonecznych. Ubrana w białą koszulkę na ramiączkach, obcisłe dżinsy i pantofle na wysokim obcasie niosła kilka toreb. Było w niej coś znajomego, zwłaszcza w jej głosie.

Uśmiechnęła się.

— Plaistow, osiemdziesiąty dziewiąty. Szuflada z moimi majtkami. — Zdjęła okulary i natychmiast wszystko mu się przypomniało.

— Andrea Bailey?

Pokręciła głową, podeszła.

— Nie, Andrea Bailey nie żyje. Przedstawiam panu Andreę Devem. — Podała mu wypielęgowaną dłoń. — Jestem teraz mężatką — dodała na wypadek, gdyby nie zauważył obrączki i pierścionka zaręczynowego z diamentami.

— Gratulacje. Ufarbowała pani włosy.

Wzruszyła ramionami.

— Miałam ochotę na zmianę.

— Miło znów panią widzieć — powiedział zgodnie z prawdą.
— Dobrze pani wygląda.

— Dzięki. Pan też nieźle się prezentuje. Wciąż glina?

Skinął głową.

— Tak, ale nie w Holborn. Obecnie pracuję w lotnej brygadzie.

Uniosła brwi.

— Jak w serialu The Sweeney? Cudownie! Więc — rozejrzała się — ma pan ochotę postawić mi drinka czy jest pan zbyt zajęty?

Bolt w owym czasie z nikim się nie spotykał. Było sobotnie popołudnie i właśnie się zastanawiał, czy nie pochodzić po sklepach bez konkretnego celu.

— Jasne, czemu nie?

Znaleźli winiarnię za rogiem, usiedli przy spokojnym stoliku i wypili butelkę chablis.

Była to jedna z tych sytuacji, kiedy wszystko idzie jak po maśle. Spotkali się tylko raz trzy lata temu, w dość niemiłych okolicznościach, ale mimo to rozmawiali jak starzy przyjaciele. Andrea opowiedziała mu o dzieciństwie w mieszkaniu komunalnym, gdy była średnią z trzech córek wychowanych przez samotną matkę. Wspomniała, jak rzuciła szkołę i pracowała w pobliskim sklepiku, co sprawiało jej prawdziwą przyjemność, dopóki kumpelka nie wciągnęła jej w narkotyki.

— Wdepnęłam za głęboko i za szybko. Problem polegał na tym, że z moją pensją nie było mnie stać na prochy, więc kumpelka mi pokazała, jak można nieźle zarobić. — Przewróciła oczami. — Byłam młoda i w owym czasie wydawało się to dobrym pomysłem. Nie chciałam pracować dla jakiegoś sutenera, więc zaczęłam działać na własną rękę, wydrukowałam wizytówki i jeden klient polecał mnie następnemu. Nie bawiło mnie to, ale... — Wzruszyła ramionami. — Miałam pieniądze. Postanowiłam, że rzucę kokę, zarobię parę kawałków i pójdę na studia. Chciałam skończyć kurs biznesu.

— Ale się nie udało?

— Och, udało — odparła z uśmiechem. — Odstawiłam prochy, ale poszłam na skróty. Poślubiłam wielką forszę.

— Zawsze dobry ruch.

— Jest miłym facetem — powiedziała z nagle poważną miną. — Troszczy się o mnie.

Tego dnia jednak wcale się do niego nie śpieszyła i po pierwszej butelce zapytała Bolta, czy ma ochotę na drugą.

Wiedział, że zabawianie się z mężatkami jest nie w porządku, ale miał dwadzieścia cztery lata i smutna prawda wyglądała tak, że nie zamierzał odmówić.

Popołudnie miało leniwie na rozmowie o tym i o owym, o życiu każdego z nich. Andrea mieszkała teraz w Cobham z mężem, biznesmenem starszym od niej o dwadzieścia pięć lat, będącym, jak twierdziła, jednym z najmiłszych znanych jej facetów.

— Z wyjątkiem tu obecnych, oczywiście.

— Oczywiście — powiedział Bolt z uśmiechem.

Wreszcie wrócili do tego, jak się poznali, a ponieważ sprawa sir Marcusa Dallarda należała do przeszłości, Andrea przyznała się, że była z nim tej nocy.

— Nie znałam go, ale koleżanka z branży powiedziała, że jest przyzwoitym gościem i dobrze płaci, więc z nią poszłam. Nigdy wcześniej nie uprawiałam seksu w trójkę, nie jestem taka, wierz mi.

Bolt nie był pewien, czy w to wierzyć, lecz jako wyszkolony detektyw wolał słuchać, niż wydawać szybkie osądy.

— Krótko mówiąc — mówiła — pracowałyśmy, gdy facet nagle wykorkował. Tak po prostu. Złapał się za pierś i padł trupem. — Jej oczy się rozszerzyły na wspomnienie tamtego zdarzenia i choć wyraźnie próbowała, nie zdołała pohamować lekkiego uśmiechu. — To było naprawdę komiczne. Jak w filmie. Wiem, nie powinnam tak mówić, ale to po prostu wydawało się nierealne. Tak czy siak nie wiedziałyśmy, co zrobić. Koleżanka panikowała. Bała się, że zostaniemy uznane za winne jego śmierci, zwłaszcza że był swego rodzaju sławą. Zaproponowałam, żebyśmy wyniosły się w cholerę. I tak zrobiłyśmy. Ale nie chciałyśmy, żeby na drugi dzień znalazła go sprzątaczką, dlatego zadzwoniłyśmy na policję. Nie chciałam wciskać ci kitu, gdy przyszedłeś mnie przesłuchać, naprawdę uważałam, że nie robię nic złego. — Urwała, patrząc nie niego z

lekkim rozbawieniem, z błyskiem w oku. — Co o mnie teraz myślisz?

Bolt mógł być umiarkowanie wstawiony, ale pomyślał, że Andrea jest kłamczuchą. Zabawną, ujmującą, atrakcyjną i inteligentną, obdarzoną pięknymi roziskrzonymi oczami, do tego lojalną, bo nie wydała koleżanki, nawet gdy razem z Grindym przewracali jej mieszkanie do góry nogami, ale mimo wszystko kłamczuchą, i to taką, która niezbyt dobrze pamięta szczegóły z przeszłości. W przeciwnym wypadku przypomniaby sobie, że policja trafiła do niej dzięki wizytówce z portfela sir Marcusa, jej wizytówce, nie koleżanki, co znaczyło, że sir Marcus na pewno znał ją przed tą nocą. Kłamstwo wydawało się dziwne, bo przecież nie kryła, że była prostytutką. Dlaczego po prostu nie przyznać, że to ona namówiła koleżankę do seksu w trójkącie, a nie na odwrót?

Oczywiście Bolt jej tego nie powiedział. Odstawił kieliszek i spojrzał jej w oczy.

— Myślę — zaczął cicho — że jeśli zostanę tu dłużej, zrobię coś, czego będę żałować.

— Za żale. — Andrea podniosła kieliszek.

Nie angażuj się, przykazał sobie w duchu. Pożałujesz.

— Jesteś mężatką, Andreo — powiedział, ale zabrzmiało to kulawo nawet w jego uszach.

Z szerokim uśmiechem wyprostowała się na krześle. Też była lekko pijana, lecz oczy wciąż miała bystre i skupione.

— Och, zapomniałam, rozmawiam z policjantem, — Uniosła ręce w geście żartobliwego poddania się. — W porządku, przekonałeś mnie. Nie wolno mi nawet myśleć o kochaniu się z tobą.

Było jednak jasne, że oboje nie myślą o niczym innym. Andrea przyjechała do Londynu na weekendowe zakupy i zatrzymała się w hotelu w Bloomsbury. Kiedy dopili drugą butelkę chablis, Bolt ją odprowadził. Zaprosiła go na górę. Tym

razem nie próbował się opierać. Poszli do jej pokoju i kochali się, zamówili kolację i znów się kochali, i wreszcie zapadli w drzemkę, zadowoleni i pijani.

Rano kochali się ostatni raz. Andrea powiedziała, że musi wracać do Surrey.

— Naprawdę się cieszę z naszego spotkania — szepnęła, dotykając jego policzka. Pocałowała go w usta, potem wstała z łóżka i poszła nago do łazienki.

Bolt pamiętał, jakie wrażenie na nim zrobiła: czuł potężną mieszaninę żądzy, satysfakcji, zazdrości i złości. Złościł się, bo nie był przyzwyczajony, żeby kobieta do tego stopnia zawróciła mu w głowie. Spędził z nią cudowne chwile, wręcz fantastyczne, ale nie mógł się pozbyć uczucia, że został wykorzystany i porzucony, co raniło jego męską dumę. Nawet w tamtych czasach wiedział, że najlepszym sposobem na zdobycie kobiety jest udawanie braku zainteresowania, ale nic z tego nie wyszło. Zostawił swoją wizytówkę na jej torebce, nienawidząc siebie za to, a potem wyszedł z apartamentu i zamknął za sobą drzwi.

I oto piętnaście lat później wciąż robiła na nim wrażenie. Poranny szok, którego doznał na jej widok, stopniowo malał, gdy operacja poszukiwania Emmy nabierała tempa i zespół koncentrował się na polowaniu na porywacza. Bolt musiał jednak przyznać, że Andrea nawet w obecnym stanie przygnębienia wciąż ma to „coś”, co zawsze uważał za nieodparte. Chciał jej pomóc. To dlatego, że ona i jej córka są ofiarami przestępstwa, wmawiał sobie, ale wiedział, że chodzi o coś więcej. Chciał jej zaimponować, udowodnić, że jest twardym facetem, który przyjdzie na ratunek damie w opałach.

Szedł korytarzem do biura szefa na zebranie strategiczne ze świadomością, że tak jak ostatnim razem pojawienie się Andrei w jego życiu zwiastuje kłopoty.

12

— Co to znaczy, chce do domu? — SG2⁵ Barry Freud siedział za wielką taflą szkła, którą nazywał biurkiem, i patrzył z niedowierzaniem. — Tak nie robimy. W takich sprawach należy postępować zgodnie z ustalonymi procedurami.

Siedzący naprzeciwko niego Bolt powiedział, że pani Devem nalega.

— Mówi, że inaczej nie będzie współpracować.

— Jaki ma wybór? Musi współpracować, jeśli chce odzyskać córkę. Pozwolenie jej na powrót do domu to zawracanie głowy. To akurat mogę ci powiedzieć, stary druhu. Zawracanie głowy.

Wielki Barry Freud każdego znanego sobie mężczyznę nazywał „starym druhem”. Jego zdaniem był to czuły zwrot, ale na ogół inaczej go odczytywano. Bolt uważał, że Barry jest dość przyzwoity jak na szefa. Pochodził z Yorkshire, był postawny i bezceremonialny, miał łysą jajowatą głowę i parę wyjątkowo małych uszu. Bardzo się starał wyglądać na równego gościa, lecz nigdy mu to nie wychodziło. Jak wielu starszych oficerów w SOCA i w innych służbach policyjnych zawsze miał oko na następny szczebel drabiny i robił to, co według niego mogło się spodobać szefom. Miał również wygórowane pojęcie o własnej ważności. Krążyła pogłoska, prawdopodobnie rozpuszczona przez niego samego, że jest dalekim krewnym wielkiego psychoanalityka o tym samym nazwisku, co jakoby zapewniało mu naturalny wgląd w umysły ludzi, za których schwywanie mu

płacono. Bolt poważnie powątpiewał w takie koligacje. Jeśli ktoś ma wielką osobistość w rodzinie, nie daje pierworodnemu na imię Barry. Freud był jednak dość dobrym organizatorem i zwykle dawał Boltowi wolną rękę, za co ten był wdzięczny.

Dzisiaj będzie zapewne inaczej. Mieli sytuację kryzysową i Wielki Barry wyglądał na podnieconego. Należał do ludzi, którzy upatrują w kryzysie potencjalnej okazji do zrobienia kariery.

— Nie możesz jej przemówić do rozumu? Gdy wróci do domu, logistyka będzie koszmarem.

— Próbowałem. Myślę, że łatwiej będzie na to przystać.

— To twoja opinia?

Bolt bez słowa skinął głową.

— Wciąż jest podejrzana o morderstwo.

— A my wciąż będziemy mieć ją na oku. Wiem, że to niezwykle, ale jeśli rozegramy to właściwie, nie zaszkodzimy operacji.

Barry westchnął.

— Jeśli naprawdę się uparła, to chyba musimy się zgodzić. Zaufam twojemu osądowi, stary druhu. Ale dopilnuj, by wiedziała, że to oznacza ograniczenie środków, które mogą nam pomóc odnaleźć jej córkę.

— Dopilnuję.

Barry podniósł do ust wielki kubek kawy i siorbnął głośno.

— Co sądzisz o jej historii? — zapytał.

Bolt nie wspomniał, że zna Andreeę, ponieważ wówczas odsunięto by go od sprawy, ale odpowiedział uczciwie:

— Sądzę, że mówi prawdę. Nie zmyśla się czegoś takiego. Wiemy, że we wtorek za kwadrans piąta jej córka miała wizytę u dentysty i tam widziano ją po raz ostatni.

— Mają kamery?

— Mają. Obejmują parking i wejście frontowe, ale pracują w pętli i nagrania są kasowane co czterdzieści osiem godzin, więc już nic nie ma.

Barry nie krył irytacji.

— Głupia baba. Powinna przyjść do nas wcześniej. Mogłaby już mieć córkę z powrotem, gdyby od razu nas zawiadomiła. Musimy wiedzieć, skąd mała została porwana, Mikę. Jeśli w miejscu publicznym, ktoś mógł to zobaczyć.

— Mo i jego ludzie już się tym zajmują. Co ciekawe, na razie nie zgłoszono ani jednego porwania na terenie Wielkiego Londynu we wtorek pomiędzy szesnastą czterdzieści pięć, gdy Emma była u dentysty, a dwudziestą czterdzieści pięć, gdy Andrea odebrała pierwszy telefon od porywaczy. Poza tym Andrea dwukrotnie zeznała, że gdy wróciła do domu tej nocy, alarm był włączony. Jeśli ktoś uprowadził Emmę, musiałby ponownie uruchomić alarm, nie ma innej możliwości.

— Czyżby więc to była robota z wewnątrz? Co ze starym, Phelanem? Co na niego mamy?

Bolt zajrzał do notatek, choć już znał akta Patricka Phelana na pamięć.

— Miał wyroki za handel narkotykami i paserstwo — odparł, zastanawiając się, dlaczego osobę tak przedsiębiorczą jak Andrea często ciągnęło do obiboków. — Nic poważnego, ale pod koniec lat dziewięćdziesiątych przesiedział rok za handel sprzętem hi-fi zrabowanym parę tygodni wcześniej. To jego ostatni wyrok. Od tej pory nie miał zatargów z prawem. Nawiasem mówiąc, Andrea nie sądzi, by był zamieszany.

Barry chrząknął.

— Jakżeby inaczej? Nie świadczyłoby najlepiej o jej rozsądku, gdyby mężuś był zdolny do uprowadzenia i przetrzymywania pasierbicy dla okupu. Faktem jest, że zniknął. Co znaczy, że albo nie żyje, albo jest jednym z porywaczy.

— Wóz Phelana też zniknął. Kazałem ludziom Mo sprawdzić w systemie automatycznego rozpoznawania tablic rejestracyjnych, czy można wytropić go w ten sposób.

System automatycznego rozpoznawania tablic rejestracyjnych jest najnowszym technologicznym narzędziem udostępnionym policji do walki z przestępczością w dwudziestym pierwszym wieku. Wykorzystuje ogromną sieć kamer przemysłowych, które automatycznie odczytują tablice rejestracyjne, umożliwiając kontrolę ruchu pojazdów dosłownie na wszystkich głównych drogach w Wielkiej Brytanii. Zdjęcia — około trzydziestu pięciu milionów dziennie — trafiają do Hednon, gdzie znajduje się główny komputer policji z potężną centralną bazą danych, i są przechowywane przez dwa lata. Dzięki temu systemowi możliwe było prześledzenie ruchów samochodu Phelana nie tylko tego dnia, ale również w dni i tygodnie przed porwaniem, choć Bolt wiedział, że zgromadzenie informacji będzie wymagało czasu i wysiłku.

— Co robią ludzie Tiny Boyd? — zapytał Barry, gdy znów siorbnął kawy.

— Sprawdzają przeszłość wszystkich zamieszanych. Szukają motywów. Andrea powiedziała nam, że miała mnóstwo gotówki w skrytkach depozytowych, lwiał część pół miliona, który wypłaciła porywaczom. Myślę, że ktoś wiedział o tych depozytach, i musimy się dowiedzieć kto.

Barry pokiwał głową.

— Jeśli to sprawa osobista, sprawcą jest ktoś, kto naprawdę jej nienawidzi. Porwać jedyne dziecko, wziąć pół miliona, a potem nie dotrzymać umowy? Trzeba być skończonym bydlakiem, żeby zrobić coś takiego.

— Cóż, ci ludzie bez wątpienia są wredni. Załatwili Jimmy'ego Galante'a, więc znają się na rzeczy.

— Znałeś go?

— Znam nazwisko z czasów w lotnej brygadzie. Miał reputację twardego sukinsyna. Zatrzymaliśmy go jako podejrzanego o udział w kilku napadach z bronią w rękę, ale nigdy niczego mu nie udowodniliśmy. Wyjechał do Hiszpanii, gdzie prowadził bar, jak powiedziała Andrea.

— Ale dlaczego chcą więcej pieniędzy? Tego nie mogę zrozumieć. Dostali, czego chcieli. Dlaczego nie wypuszczą dziewczyny i nie zamkną sprawy?

Bolt wzruszył ramionami.

— Ponieważ są chciwi, jak przypuszczam. Może uznali, że skoro zgromadzenie pół miliona zabrało Andrei tylko czterdzieści osiem godzin, to tanio się wycenili. Nie przypuszczam, by fakt, że zabrała kogoś do miejsca złożenia okupu, czynił jakąś różnicę. Myślę, że był to dla nich tylko pretekst.

— Więc nie odpuszczają... — Barry powoli pokręcił głową. — Musimy złapać tych łajdaków, Mike.

— Jak powiedziałem, szefie, nie spodziewajmy się cudów. Mamy niewiele czasu do następnego ostatecznego terminu. — Spojrzał na zegarek. Właśnie minęła dziesiąta. — Tylko trzydzieści sześć godzin do czasu, gdy ma się wystarać o następną transzę.

— Tak, masz rację. — Barry odstawił kubek. — Co więc zrobimy, stary druhu? Negocjujemy czy strzelamy?

To było ważne pytanie. Bolt wiedział aż nazbyt dobrze, że problem z porwaniami, odróżniający je od innych równie poważnych przestępstw, polega na tym, że śledczy mają znacznie mniejszą kontrolę nad wypadkami. To porywacz narzuca tempo, a skoro okoliczności porwań tak bardzo się różnią, procedury policyjne muszą być znacznie bardziej elastyczne niż, powiedzmy, w sprawie morderstwa, gdzie postępuje się według określonych zasad.

Zapadło krępujące milczenie.

— Myślę, że dziewczynka żyje — rzekł w końcu Bolt. — Ma szansę, bo jest kartą przetargową. Zapowiedzieli, że Andrea będzie mogła z nią porozmawiać przed następnym przekazaniem okupu, i w tej chwili nie ma powodu uważać, że nie dotrzymają obietnicy.

— Ale?

— Ale, jak obaj wiemy, są bezwzględni. Już popełnili morderstwo. O ile wiemy, mogli też zabić Phelana. Jeśli więc ich wystraszymy, spróbujemy negocjować, kiedy nawiążą kontakt, mogą rozpląnąć się w powietrzu i tyle ich zobaczymy. I nie ma żadnej gwarancji, że wypuszczą Emmę. Zwłaszcza jeśli ich zdaniem istnieje choćby cień ryzyka, że będzie mogła ich rozpoznać. Dla nich jest tylko środkiem prowadzącym do celu. Podjęcie negocjacji zwiększa prawdopodobieństwo, że ją zabiją.

Barry nie wyglądał na przekonanego.

— Ale mnóstwo rzeczy może pójść nie po naszej myśli, jeśli spróbujemy wciągnąć ich w zasadzkę, a jeśli zawalimy, to może być katastrofalne dla SOCA. Potrzebujemy w tej chwili spektakularnego sukcesu, żeby społeczeństwo wiedziało, co się dzieje z pieniędzmi podatników. Głośna porażka cofnie nas o lata.

— Pytał pan o zdanie. Myślę, że negocjacje to zły ruch. Jeśli w okupie umieścimy nadajniki i rozegramy to właściwie, porywacze powinni doprowadzić nas do Emmy. To ryzykowne i może się nie udać, ale musimy brać pod uwagę również to, że być może dziewczynka już nie żyje. Jeśli chcemy schwytać tych facetów, a nie możemy zidentyfikować ich przed nawiązaniem kontaktu, to najlepszy sposób.

Barry pomasował głowę pulchnymi rękami i odchylił się razem z fotelem.

— Porozmawiam z górą. Zobaczymy, co ma do powiedzenia szefostwo. Dam ci znać o ich decyzji, gdy tylko ją poznam.

Gdy Bolt wstał, czując, że spotkanie dobiegło końca, rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju weszła Tina Boyd z paroma kartkami w ręku.

Tina była względnie nowym członkiem zespołu. Bolt poznał ją przed laty przy okazji pracy nad pewną sprawą. Potem Tina zrezygnowała z pracy w policji i namówienie jej, żeby wstąpiła do SOCA, wymagało nie lada zachodu. Atrakcyjna kobieta pod trzydziestkę, z zawadiacko ściętymi ciemnymi włosami i delikatnymi rysami, które ujmowały jej co najmniej pięć lat, wyglądała na typową wykształconą przedstawicielkę klasy średniej i mogłaby uchodzić za nauczycielkę szkoły podstawowej. Ale wygląd maskował bolesne doświadczenia, jakich życie jej nie szczędziło. Bolt wiedział, że Tina niejedno przeżyła. Cztery lata temu została postrzelona w czasie dramatycznej akcji odbijania zakładników, a potem straciła dwóch kolegów. Obaj zostali zamordowani. Jeden był jej chłopakiem, dlatego w pewnych kręgach nazywano ją Czarną Wdową.

Kiedy wreszcie dołączyła do zespołu, Bolt czuł do niej dziwne romantyczne ciągoty, ale komplementy i próby okazania ciepła trafiały na mur, szybko więc zrozumiał, że jest na straconej pozycji. Tina była uprzejma i miła, ale sprawiała wrażenie osoby, do której nie można się zbliżyć. Nawet gdy uczestniczyła w spotkaniach towarzyskich zespołu, zawsze wychodziła pierwsza i samotnie wracała do domu.

— Mam interesujące wieści — powiedziała, podchodząc do wielkiego szklanego biurka.

— Mów, Tino — powiedział Barry, łypiąc na nią pożądliwie.

Popatrzyła na nich.

— Andrea Devem może jest ambitną kobietą interesu, ale jej firma nie stoi zbyt dobrze. Obrót w ostatnim roku finansowym wynosił cztery miliony osiemdziesiąt jeden tysięcy funtów, natomiast zysk tylko czterdzieści osiem tysięcy, co dla firmy tej

wielkości jest cholernie kiepskim wynikiem. To siedemdziesięcioprocentowy spadek w porównaniu z dochodem z roku poprzedniego i są poważnie zadłużeni w bankach. Andrea jest właścicielką sześćdziesięciu procent udziałów. Jej główna partnerka w interesach, i druga dyrektor firmy, to niejaka Isobel Wheeler. — Tina spojrzała na jedną z kartek. — Prawniczka, czterdzieści dwa lata, rozwiedziona, bezdzietna, kupiła udziały w firmie dziesięć lat temu i teraz posiada pozostałe czterdzieści procent. Obie kobiety płacą sobie hojnie. Pobierają pensje w wysokości stu sześćdziesięciu tysięcy.

— Nie każdy ma takie szczęście — burknął Barry.

— Nie każdy, ale szczęście nie potrwa długo. Z uwagi na tak nikłe zyski banki przestaną być miłe. A Andrea i jej mąż nie liczą się z pieniędzmi. Ich łączne rachunki z kart kredytowych sięgają stu dwudziestu tysięcy rocznie.

— Co jest interesującą częścią, Tino? — zapytał Barry, przechodząc do rzeczy. — Nie liczą się z pieniędzmi. Podobnie jak większość ludzi w tym kraju. To dlatego gospodarka tak dobrze się kręci.

Tina obrzuciła go umiarkowanie lekceważącym spojrzeniem, ale zachowała spokojny ton.

— Sprawdziłam w Google nazwisko Andrei i jej firmę. W publikacjach branżowych poświęcono jej parę artykułów, nic znaczącego. Z pewnością nie jest szeroko znana. Zarabia nieźle, ale bez przesady, więc pytanie, dlaczego, u licha, znalazła się na celowniku?

Bolt pokiwał głową.

— O tym myślałem. To nie przypadek. To sprawa osobista.

— Musisz pogadać z Andrea, stary druhu — powiedział Barry, podnosząc się powoli — i dowiedzieć się, kto wiedział, że siedzi na tym pół milonie w gotówce.

— Pogadam, ale sądzę, że możemy od razu wziąć pod uwagę Pata Phelana i być może również jej partnerkę w interesach. Co

znaczy, że musimy wykopać o tych dwoje wszystko, co się da.

— Już to robimy — oznajmiła Tina.

Bolt poczuł nagle podniecenie. Nakręcała go świadomość, że czas ucieka, i zrozumienie, że sprawa zamknie się w ciągu godzin, nie miesięcy, a on jest w centrum wydarzeń.

Było to przyjemne uczucie.

I krótkotrwałe.

[5](#) Odpowiednik nadinspektora policji.

13

Musisz być dzielna.

Emma Devem powtórzyła to sobie mnóstwo razy, odkąd ją tu przywieźli. Ale gdy godziny przechodziły w dni, a nadzieje na powrót do mamy wcale się nie zwiększały, radziła sobie coraz gorzej.

Zamknęli ją w ciemnej piwnicy z jednym wąskim oknem, czarnym od brudu, umieszczonym wysoko i poza zasięgiem, przez które wpadało wątłe światło dnia. Założyli jej kajdanki i przykuli do ściany za kostkę. Łańcuch był dość długi, miała więc nieco swobody ruchów, ale nie mogła dosięgnąć do schodów na końcu pomieszczenia ani do przeciwległej ściany i w głębi duszy wiedziała, że ucieczka jest niemożliwa.

Myślała o tym trzeciego dnia uwięzienia, czyli w piątek. Nie miała pewności, ile dni minęło, bo jeden dzień zlewał się z drugim, ale starała się nie stracić rachuby czasu. Nocami było zimno. Spała na okropnym małym łóżku z brudnymi prześcieradłami, owijając się, żeby było choć trochę cieplej, mimo że strasznie cuchnęły.

Pierwszej nocy była zbyt zszokowana tym, co się stało, żeby płakać. Nie za dobrze pamiętała, jak to się zaczęło. Wracła do samochodu po wizycie u dentysty. Nazywał się Vermont, jak stan amerykański. Zawsze chwalił jej zęby, a ona wiedziała, że są zdrowe, ponieważ o nie dbała, i nie jadła ciągle słodczy jak większość jej koleżanek. Lubiła pana Vermonta. Był przystojny,

ładnie opalony, choć trochę stary i włosy zaczynały przerzedzać mu się na czubku głowy. Kontrola wypadła nieźle. W czasie trzeciej wizyty nie trzeba było nic robić — i dobrze się złożyło, bo nie cierpiała grzebania w zębach — więc w doskonałym humorze wyszła na parking przed budynkiem.

Pat siedział za kierownicą z rozłożoną gazetą, czytając strony sportowe jak zawsze, ale gdy otworzyła drzwi i wsiadła, coś natychmiast wydało się jej podejrzane. Nie powitał jej zwykłym szerokim uśmiechem i pytaniem: „Jak poszło, skarbie, wszystko w porządku?” z szorstkim londyńskim akcentem. Odwrócił się i spojrzał na nią, wówczas zobaczyła, że jest przestraszony. Oczy miał szeroko otwarte, pot spływał mu po czole.

Potem usłyszała hałas za plecami, jakby szuranie, i zanim zrozumiała, co się dzieje, ktoś złapał ją za szyję i wcisnął w fotel. W następnej chwili poczuła na twarzy wilgotną szmatkę, która pachniała chemikaliami, i nagle nie mogła oddychać, szamotała się i wierzyła, próbując przyciągnąć uwagę, pomoc, cokolwiek...

Wydarzenia rozegrały się tak szybko, że wydawały się niezupełnie realne. Pamiętała tylko, że Pat odwrócił się i zapuścił silnik. Potem wszystko zrobiło się czarne i zbudziła się w tym zimnym, nijakim pomieszczeniu ze strasznym bólem głowy i mdłościami.

Zastanawiała się, co się stało z Patem. Zawsze go lubiła. Był fajny. Lubili razem żartować i mama była z nim szczęśliwa. Ona z początku nie była do niego przekonana. Przyzwyczała się, że jest sama z mamą. Tak było zawsze, tak wołała. Nie знаła prawdziwego taty. Nigdy go nie poznała i nawet nie wiedziała, kim jest. Ilekroć pytała o niego mamę, zawsze słyszała, że to tylko pewien mężczyzna z przeszłości i najlepiej, żeby przestała o nim myśleć. Chciała odnaleźć rodzzonego ojca, lecz nie

naciskała mamy, a poza tym Pat okazał się nie najgorszym tatą. I koleżanki jej zazdrościły, bo był przystojny i niezbyt stary.

Miała nadzieję, że nie zrobili mu nic złego.

„Oni”, dwaj mężczyźni, którzy ją tu trzymali. Nie wolno jej było na nich patrzeć i ilekroć otwierały się drzwi piwnicy, musiała wkładać czarny kaptur, jaki mógłby nosić kat z książki o średniowieczu. Jeden oddychał chrapliwie, gdy szedł; straszny dźwięk jak z horroru. Nie mogła go zobaczyć, ale zawsze go słyszała. I czuła. Śmierdział — mieszanina potu, starych skarpet i kibla była tak straszna, że z trudem powstrzymywała się od krztuszenia, gdy podchodził za blisko. To on zwykle schodził do niej dwa razy dziennie. Przynosił jedzenie — kanapki z marmite albo z dżemem i owoce — i zmieniał kubek, który służył jej za ubikację.

Kiedy zszedł pierwszej nocy i kazał jej włożyć kaptur, była przerażona. Ale powiedział, żeby się nie martwiła, że nikt jej nie skrzywdzi, że niedługo będzie w domu. Miał dziwny zgrzytliwy głos, jakby próbował zamaskować prawdziwe brzmienie, a gdy pogładził ją po ramieniu zimną dłonią w rękawiczce, jego dotyk trwał odrobinę za długo, lecz coś jej mówiło, że Śmierdzący nie kłamie.

W miarę upływu czasu zaczęła tracić nadzieję, że wróci do domu, do mamy i koleżanek, do wszystkich, na których jej zależało. Ale musiała być dzielna. Po prostu musiała. Nie chciała umierać. Była szczęśliwa. Nigdy nie zrobiła nic złego i nie mogła pojąć, dlaczego ktoś miałby ją skrzywdzić. To niesprawiedliwe. Kiedy myślała, co może ją spotkać, naprawdę się bała. I choć ufała Śmierdzącemu, zdecydowanie nie miała zaufania do tego drugiego.

Zszedł na dół tylko raz, drugiej nocy. Kiedy zawołał ze szczytu schodów, kazał jej włożyć kaptur, jego głos był chrapliwy i okrutny, bez śladu życzliwości. Zrobiła, co kazał, a potem siedziała i czekała, ale nie usłyszała jego kroków.

Poruszał się bezszelestnie jak duch. O jego obecności w pokoju świadczył tylko lekki zapach papierosów i wrażenie, że ktoś ją obserwuje.

Po chwili zapytała niepewnie, czy jest tu ktoś.

— Tak — usłyszała w odpowiedzi, jakby z niej pokpiwał. — Jestem tutaj.

— Czego chcesz?

— Porozmawiasz ze swoją mamą. Powiesz jej, że jeśli zapłaci, jutro będziesz w domu.

Ogarnęło ją nagle podniecenie.

— A będę?

— Tak, jeśli matka zrobi, co każę — odparł, ale takim tonem, jakby nie mówił poważnie. — Teraz odwróć się na łóżku twarzą do ściany.

Zrobiła, co kazał.

— Założę się, że nie jesteś przyzwyczajona do wykonywania poleceń, prawda? Mała bogata dziewczynka. Pewnie zwykle mówisz służącym, co mają robić.

— Nie mam służących — szepnęła. — Jestem zwyczajna.

— Nie wiesz, co to znaczy zwyczajny, mała dziwko.

— Dlaczego mi to robicie? — zapytała, ponieważ naprawdę nie rozumiała, z jakiego powodu jest dla niej taki okrutny.

— Ty nie zadajesz pytań — powiedział, zrywając jej kaptur z głowy. — Ty słuchasz rozkazów. Patrz prosto na ścianę i pamiętaj, co masz powiedzieć mamie. Jeśli zrobi, co powiesz, jutro wrócisz do domu.

Szorstko przysunął jej telefon do ucha i parę sekund później odezwała się mama. Emma czuła potężny wybuch emocji. Bardzo chciała płakać, ale wiedziała, że musi się powstrzymać ze względu na mamę. Dlatego powiedziała, że nic jej nie jest i że jeśli porywacze dostaną pieniądze, jutro wróci do domu. Chciała coś dodać, ale mężczyzna wyrwał jej telefon z sykiem:

— Nie odwracaj się. — Parę sekund później usłyszała, jak przekręca klucz w zamku drzwi piwnicy.

Po jego odejściu trzęsa się przez parę minut, część jej żywiła nadzieję, teraz gdy usłyszała głos mamy, ale znacznie większa część odczuwała strach. Nigdy dotąd nie spotkała nikogo naprawdę złego, a w tej chwili zastanawiała się, czy kiedykolwiek wyjdzie stąd żywa. Bo nie puścili jej, jak obiecali. Wciąż tu była, miała nadzieję, że Śmierdzący powstrzyma Okrutnego od zrobienia jej krzywdy, dlatego była dla niego miła, ilekroć przychodził.

Teraz rozmawiali na górze, słyszała ich stłumione głosy i zastanawiała się, która godzina. Zabrali jej zegarek, przynajmniej tak przypuszczała. Kiedy się zbudziła w piwnicy po raz pierwszy, zegarka nie było, podobnie jak torebki, w której trzymała komórkę. Zostało jej tylko ubranie, które miała na sobie, gdy została uprowadzona — czarna bawełniana koszulka, dżinsowa spódniczka i ulubione sandały na koturnie.

Śmierdzący przyszedł rano dać jej kanapki — tym razem z marmite — i zmienić kubeł. Wydawało się, że jest w dziwnym nastroju. Zwykle zachowywał się dość przyjaźnie, ale dziś był cichy, i to ją zaniepokoiło. Zapytała go, czy wszystko w porządku i kiedy ją wypuszczą, jak obiecali, a on usiadł na łóżku i objął ją, zapewniając, że wszystko będzie dobrze, że niebawem wróci do domu. Choć zbierało jej się na wymioty, gdy ją przytulał, powiedziała mu po raz kolejny, że chce wrócić do mamy i do przyjaciół — uznała, że gdy będzie to powtarzać, ulituje się nad nią i dopilnuje, żeby tak się stało. Odparł jak zwykle, że ma się nie martwić, że wszystko będzie dobrze, ale tym razem odniosła wrażenie, że mówi z trudem, jakby kłamstwo nie chciało mu przejść przez gardło.

Głosy stały się donośniejsze. Klócili się. Emma wstała z łóżka i podeszła, ciągnąc łańcuch, niemal do stóp schodów. Stała i zaczęła nasłuchiwać.

Głosy ucichły, zanim wyłowiła zrozumiałe słowa. Potem nagle klucz obrócił się w zamku i drzwi się otworzyły, uderzając mocno o ścianę.

Emma biegiem wróciła do łóżka, ale zdążyła zobaczyć mężczyznę na szczycie schodów, sylwetkę na tle jasnego światła. Widziała go przez moment, zauważyła tylko, że jest ciemnowłosy, średniego wzrostu i budowy. Ich oczy się spotkały ledwie na pół sekundy, ale od razu wiedziała, że popełniła straszny błąd.

— Włóż kaptur. Natychmiast! — zawołał Okrutny ze szczytu schodów.

Drżąc ze strachu i powstrzymując łzy, Emma usiadła na łóżku i wciągnęła kaptur na głowę. Usłyszała trzask zamykanych drzwi, a potem ciszę. Już zaczęła mieć nadzieję, że mężczyzna nie zejdzie na dół. Nagle usłyszała szybkie kroki, coraz głośniejsze. Spięta się, gdy zatrzymał się przed nią.

— Widziałas mnie? — syknął z jadem w głosie.

— Nie — odparła, energicznie kręcąc głową.

— Widziałas mnie, dziwko? Mów prawdę.

— Nie, słowo daję. — Z walącym sercem przycisnęła plecy do zimnej kamiennej ściany.

Zdarł jej kaptur, a ona odwróciła głowę, mocno zacisnęła powieki, nie chcąc go oglądać, bo wiedziała aż nazbyt dobrze, co się stanie, gdy go zobaczy. Chwycił ją brutalnie za podbródek, ścisnął i pociągnął ku sobie.

— Spójrz mi w oczy, dziwko. Widziałas mnie?

Otworzyła oczy i zobaczyła, że włożył czarną kominiarękę. Jego twarz znajdowała się parę cali od jej twarzy.

— Nie, naprawdę, nie widziałam — odparła z trudem. — Proszę, nie rób mi krzywdy. To boli.

— To nie ból, dziwko. Nie znasz znaczenia tego słowa. Ale poznasz, jeśli kłamiesz. Naprawdę cię zaboli, aż będziesz wyła.

Rozumiesz?

Szybko pokiwała głową, czując wzbierające łzy, ale zdecydowała nie rozplakać się przy nim.

— Tak, tak. Nie kłamię, daję słowo

Puścił jej podbródek. Oczy w otworach kominiarki były ciemne i zimne.

— Dobrze. — Naciągnął jej kaptur na głowę. — Teraz przekażemy twojej mamusi wiadomość. Możesz jej powiedzieć, jak dobrze się bawisz.

Jego ton znów się zmienił. Drwił z niej, jej strach sprawiał mu przyjemność. To go bawiło. Trudne, wręcz niemożliwe do uwierzenia, ale naprawdę to go bawiło. Pod kapturem, z dala od jego straszego spojrzenia, łzy spłynęły po twarzy Emmy.

A potem poczuła, że coś dotyka gołej skóry na jej ramieniu. Coś zimnego i ostrego.

O Boże, nie. On ma nóż.

14

Musieli rozwiązać poważne kwestie logistyczne, żeby Andrea mogła wrócić do domu, i Bolt zajmował się tym przez resztę piątkowego popołudnia. Przyjął założenie, że porywacze obserwują dom, choć uważał to za wielce nieprawdopodobne. Szybko sprawdzili, że żadne posesje z widokiem na dom Andrei nie zostały wynajęte na krócej niż osiemnaście miesięcy, więc punkt obserwacyjny porywaczy musiałyby znajdować się na samej ulicy. Za zgodą Barry'ego Bolt wystarał się o dwunastoosobowy zespół inwigilujący z innej sekcji SOCA. Agenci, oderwani od bieżącego zadania, zostali wysłani w okolice domu Andrei. Dyskretnie sprawdzili, czy w pobliżu nie kręci się nikt podejrzany, pieszo lub w samochodzie, po czym zajęli stanowiska i teraz ulica była pod ciągłą obserwacją.

Gdy teren został zabezpieczony, Bolt dał Mattowi Turnerowi, agentowi ze swojego zespołu, kartę magnetyczną, klucze i kod alarmu anty włamaniowego, zlecając mu sprawdzenie domu Andrei. Wprawdzie Jimmy Galante przeszukał to miejsce pod kątem pluskiew, ale miał tanie urządzenie ze „sklepu dla szpiegów”, więc być może używał tylko wykrywacza częstotliwości radiowych, niezbyt dobrego, nieadekwatnego do tego zadania. Bolt wiedział, że takie wykrywacze, przeznaczone do detekcji sygnałów aktywnych nadajników i radiowego podsłuchu telefonicznego, nie mogą wykryć urządzeń wyłączonych ani zdalnie sterowanych, nie mogą znaleźć mikrofonów przewodowych, podsłuchu w telefonie ani

magnetofonów. Innymi słowy, dom mógł być zapluskwiony od góry do dołu, a Jimmy i Andrea nic by o tym nie wiedzieli. Turner miał najnowocześniejszy sprzęt, łącznie z reflektometrem TDR do wykrywania przerw i uszkodzeń w kablach, detektorem przewodów i mikrofonów w ścianach i meblach, a także multimetrem do mierzenia napięcia sieciowego w linii telefonicznej.

Zadzwoił do Bolta niedługo po południu i oznajmił, że niczego nie znalazł.

— Dom jest czysty, szefie. Przetrzęsnałem wszystko dokładnie, nic tu nie ma.

Bolt ufał Turnerowi w tych sprawach.

— Jakies ślady walki, Matt? Coś, co mogłoby sugerować, że Emma Devem została wprowadzona z domu?

— Nic z tych rzeczy. W domu panuje idealny porządek. Poza tym uważam, że porywanie kogoś stąd wiązałoby się z dużym ryzykiem. Posesję otacza mur, jedyna brama znajduje się od frontu i mogą z niej korzystać tylko piesi. Jest za wąska, żeby wjechać samochodem. Porywacze musieliby wynieść ofiarę na ulicę, co w biały dzień stanowiłoby za duże ryzyko. Przynajmniej takie jest moje zdanie.

Bolt westchnął. Porywacze orientowali się, gdzie Emma będzie we wtorek, i dowiedzieli się, że Andrea korzystała z pomocy Jimmy'ego Galante'a, ale jak i skąd, na razie pozostawało tajemnicą.

Podziękował Turnerowi i rozłączył się, potem poszedł powiedzieć Andrei, że zawiezie ją do domu. Całe przedpołudnie spędziła w jedynym biurze z kanapą i według przydzielonej jej oficer łącznikowej przez większość czasu spała. Zbudziła się, kiedy wszedł, i wydawała się zadowolona z wiadomości, że wróci do domu, choć bez córki.

Bolt czuł się dziwnie, będąc przy niej tak blisko, i przez większą część drogi rozmowa się nie kleiła. Chciał

powspominać dawne czasy, ale Marie Cohen, niska, gorliwa oficer łącznikowa, siedziała za nimi, co uniemożliwiało rozmowę. W końcu Andrea znów zasnęła, opierając się o okno po swojej stronie. Bolt zerkał na nią od czasu do czasu, starając się wyglądać naturalnie przy Marie Cohen. Andrea wciąż była bardzo atrakcyjna, ale zgasły żywe iskry w jej oczach, które ciągnęły go do niej przed laty.

Biedna, bogata Andrea. Nigdy nie miała szczęścia do mężczyzn i Bolt zastanawiał się, czy wybór Phelana nie był najgorszy ze wszystkich.

Zbudziła się, gdy utknęli w korku na głównej ulicy w Hampstead.

— Jak długo spałam? — zapytała, trąc oczy.

Bolt sprawdził, która godzina. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał dwunastą czterdzieści dziewięć.

— Jakiś czas. Straszne korki. — W lusterku wstecznym zobaczył, że Marie też zasnęła. Najwyraźniej nie wywierał na kobietach wrażenia tak elektryzującego, jakby sobie życzył.

Andrea ziewnęła.

— Mogę zapalić?

Uśmiechnął się.

— Formalnie rzecz biorąc, to nielegalne w wozie służbowym, choć przypuszczam, że w tych okolicznościach możemy zrobić wyjątek. Zapytałbym Marie, ale wygląda na wykończoną.

Andrea rozejrzała się, sprawdziła, gdzie jest, spuściła szybę do połowy, po czym zapaliła.

— Chwała Bogu — szepnęła, patrząc na Bolta. — Chce dobrze, ale wolałabym, żeby zostawiła mnie samą.

— Stara się pomóc.

— Tak, ale czasami można za bardzo się starać.

Bolt patrzył, jak wsuwa papierosa do ust. Ręce jej drżały, zaciągała się szybko i płytko. Napięcie opadało z niej falami.

— Wiesz, Andreo — zaczęła, skręcając z głównej ulicy — sprawdziliśmy twój dom i sąsiedztwo. Nie możemy wykombinować, skąd porywacz mógł tak dokładnie znać rozkład dnia Emmy.

— Wciąż uważacie, że to może być robota kogoś z wewnątrz?

— To całkiem możliwe.

Andrea westchnęła, zaciągnęła się papierosem.

— Po prostu nie wyobrażam sobie, że to mógłby być Pat, to wszystko. Ma wiele wad, na przykład jest rozrzutny. Gdybym o nich wiedziała, gdy się poznaliśmy, nie wyszłabym za niego. Jestem jednak pewna, że nie zrobiłby Emmie czegoś takiego. Nie jest dość zimny. A swego czasu poznałam paru zimnych ludzi.

Bolt pomyślał o Jimmym Galancie. Pod tym względem miała rację.

Prawie dotarli na miejsce. Bolt skontaktował się przez radio z zespołem prowadzącym obserwację i zapytał, czy teren wokół domu Andrei nadal jest bezpieczny. Kiedy dowódca zespołu potwierdził, zwolnił i skręcił w ulicę Andrei.

Była to aleja obsadzona dużymi dębami rosnącymi przed okazałymi bliźniakami, przy których z obu stron stały drogie sportowe wozy. Bolt odruchowo sprawdzał, czy ktoś w nich siedzi, ale wszystkie były puste. Zauważył białą furgonetkę z przyciemnionymi szybami i nazwą firmy wodno-kanalizacyjnej, w której rozpoznał vana inwigilacji SOCA. Ładna młoda kobieta w wielkich okularach przeciwsłonecznych sadowiła dziecko na fotelu nowiutkiego range rovera, chyba na ulicy była tylko ona.

Andrea zajmowała połowę imponującej trzypiętrowej edwardiańskiej rezydencji z czerwonej cegły, mniej więcej w połowie ulicy po prawej stronie. Posesję otaczał ceglany mur, ale choć sięgał do wysokości głowy i był zwieńczony świeżo pomalowanymi czarnymi prętami, nie mógłby odstraszyć

zdeteminowanego intruza. Bolt znalazł miejsce do parkowania około trzydziestu jardów dalej pomiędzy mercedesem i bmw. Marie zbudziła się z drgnieniem.

Gdy Bolt wysiadł z samochodu, zobaczył minimalny ruch w jednym z górnych okien w domu naprzeciwko. Znajdował się tam posterunek zespołu obserwatorów, z idealnym widokiem na ulicę przed domem Andrei.

Marie zabrała sprzęt, a Bolt prowadził Andreę. Myślał, jak daleko zaszła od dawnych czasów, gdy ją poznał. I to tylko dzięki sobie. Podziwiał ją za to, ale przecież nigdy nie brakowało jej hartu ducha i energii. Teraz cechy te bardzo się przydadzą.

— Podłączyliśmy do twojego telefonu coś, co nazywa się zestawem tropiąco-przechwytyjącym — powiedział, gdy wcisnęła guzik brzęczyka na furtce i czekali, żeby Turner ich wpuścił. — Jeśli zadzwonią do domu, będziemy mogli szybko ich zlokalizować.

— Nie chcę, żebyście zrobili cokolwiek, co mogłoby zagrozić bezpieczeństwu Emmy.

— Nie zrobimy — odparł, ale było to kłamstwo i dobrze o tym wiedział. Cokolwiek robili, narażali bezpieczeństwo Emmy.

Matt Turner otworzył bramę i weszli. Bolta uderzył silny zapach kwiatów. Ogród mienił się kolorami tęczy, zadbane, z grządkami pod murem domu. Grube ściany zieleni rosły wokół ukształtowanego tarasowo trawnika. Wiedział, że Mikaeli, jego żonie, spodobałoby się to miejsce. Zawsze chciała mieszkać w wielkim domu z dziećmi, psami i mnóstwem przestrzeni, na co nigdy nie było ich stać z jego pensją gliniarza i jej nauczycielki.

Turner czekał przy drzwiach. Przywitał Andreę formalnie i stanął z boku, żeby mogła wejść.

Za drzwiami znajdował się wyłożony pięknymi płytkami hol ze schodami znikającymi na piętrze. Wystrój miał charakter bardzo neutralny, dominowała biel i czerń, co zdaniem Bolta

pozbawiało wewnątrz charakteru — co nie znaczy, że był ekspertem w dziedzinie urządzania wnętrz. Wprost przed nim, nad wazonem z przywiedłymi orchideami, wisiała duża portretowa fotografia Andrei i Emmy zrobiona przez profesjonalistę. Było to dobre zdjęcie matki i córki, uśmiechniętych szeroko do aparatu, przytulonych. W oczach Andrei widniał wyraźny błysk. Emma była ślicznym dzieckiem z ciemnoblond włosami do ramion i zadartym noskiem. Miała zapewne nie więcej niż dziesięć lat.

Bolt odwrócił się szybko, nie chcąc przyciągać uwagi do zdjęcia. Marie zapytała, czy ktoś chce kawy.

Bolt uśmiechnął się do niej.

— Ja, jeśli można, dzięki.

Turner też poprosił.

Andrea jakby nie słyszała. Patrzyła na zdjęcie.

— Co o niej myślisz, Mike? Czy nie jest piękna?

— Tak — odparł, pragnąc podtrzymać ją na duchu. — Jest piękna. I odnajdziemy ją.

— Musicie.

W holu zapadła cisza. Marie i Turner poszli do kuchni, zostawiając ich samych. Andrea przegarnęła włosy palcami, odwracając się od fotografii.

— Nie wiem, co począć, Mike. To czekanie mnie zabija.

— Może się połóżysz? — Czuł się skrępowany, stojąc tak blisko niej. — Będziemy informować cię o wszystkim.

Skinęła głową i ruszyła na górę.

Bolt przez chwilę patrzył za nią, potem poszedł po kawę.

Kuchnia była duża, nowoczesna, z wyspą śniadaniową pośrodku, z lśniącymi rondlami i patelniami wiszącymi na haczykach. Znów pomyślał, jak bardzo Mikaeli spodobałoby się to miejsce. Była cudowną kucharką, ale musiała gotować w miejscu wielkości około jednej czwartej tego.

Marie i Turner stali w głębi kuchni, rozmawiając, ona nalewała wrzątek do kubków. Dobiegający trzydziestki Turner wciąż był kawalerem i wydawało się, że rozpaczliwie pragnie zmienić ten stan rzeczy. Chodził na pierwsze randki — był dumnym członkiem co najmniej tuzina agencji internetowych, więc zawsze dostawał zgłoszenia — ale na drugie już rzadko, co Bolt uważał za przykre. Przedwcześnie łysiał, miał skrzywioną pociągłą twarz winowajcy i obsesję na punkcie nowinek technicznych. Bolt go lubił. Turner mógł wyglądać na nudziarza, ale miał kostyczne poczucie humoru, nigdy się nie skarżył i cechowała go pewna wrażliwość, co Bolt uważał za ujmujące. Ostatnio uśmiechał się znacznie częściej, jakby brał lekcje wdzięku.

Marie śmiała się z czegoś, co powiedział Turner, i Bolt poczuł się niemal, jakby im przeszkodził. Oboje przestali rozmawiać i odwrócili się w jego stronę. Marie wyglądała na lekko zmieszaną.

— Andrea poszła się położyć — powiedział im z uśmiechem, chcąc pokazać, że nie widział ani nie słyszał niczego niewłaściwego.

Wziął kubek kawy od Marie i wrzucił parę kostek cukru. Na szafce nad czajnikiem wisiało kolejne zdjęcie Emmy, tym razem zwykła fotka. Emma stała pomiędzy matką i chudym, przystojnym facetem z rozwichrzonymi brązowymi włosami. Wyglądali jak zwyczajna rodzina. Bolt poczuł lekką zazdrość, choć nie miał stuprocentowej pewności dlaczego.

— Myśli pan, że mąż jest zamieszany? — zapytał Turner, widząc, że Bolt patrzy na zdjęcie.

— Część mnie mówi zdecydowanie, że tak — odparł cicho świadom, że musi uważać na słowa przy Marie, która oficjalnie nie brała udziału w dochodzeniu — ponieważ to wyjaśniałoby, skąd porywacze znali plan dnia Emmy. Ale druga część się zastanawia, dlaczego w takim razie zniknął? Przecież musiał

wiedzieć, że w ten sposób tylko wzbudziłby podejrzenia. Postąpiłby znacznie mądrzej, gdyby dał porywaczom znać, kiedy i gdzie porwać Emmę, a potem zachowywał się jak niewiniątko. Gdybyśmy nawet go podejrzewali, niewiele moglibyśmy zrobić.

— Tak myślałem. Coś tu nie gra, prawda?

Bolt chciał mu powiedzieć, żeby nie spekulował za głośno, gdy usłyszał szybkie kroki na schodach. Andrea wpadła do kuchni, ubrana w długi do kostek szlafrok, z komórką w ręce.

— Dzwonili.

— Kiedy? Teraz?

— Tak. Na komórkę.

— Co powiedzieli?

— Zapytał, czy do jutra będę miała pieniądze. Przytaknęłam, a on kazał mi włączyć komputer i sprawdzić pocztę.

Odetchnęła głęboko i Bolt poznał, że ze wszystkich sił stara się zachować zimną krew.

— Powiedział, że przysłali mi ostrzeżenie.

15

Podczas gdy Andrea włączała laptop, Matt Turner zadzwonił do kwatery głównej i poprosił, żeby wytropili ostatni numer, z którego telefonowano na komórkę Andrei.

— Oddzwonią za pięć minut — powiedział, gdy szli z Boltem za Andrea do dużego, przestronnego gabinetu na tyłach domu.

Andrea położyła laptop na biurku pod oknem, które wychodziło na trawnik za domem, i usiadła, czekając, aż się uruchomi. Bolt i Turner stanęli za nią, podczas gdy Marie Cohen została w drzwiach. Mahoniowe biurko było duże i panował na nim idealny porządek. Stały na nim dwie oprawione fotografie. Na jednej mała Emma w różowym kostiumie kąpielowym bawiła się węzłem ogrodowym, śmiejąc się do aparatu. Drugie zdjęcie, zrobione niedawno, przedstawiało uśmiechniętą matkę i córkę.

— Jak myślisz, co mają na myśli, mówiąc, że przysyłają mi ostrzeżenie? — zapytała Andrea, odwracając się w fotelu i patrząc na Bolta.

— Zobaczymy — odarł spokojnie.

— Łatwo ci mówić, prawda? — warknęła, patrząc na ekran, żeby sprawdzić ikonę Internetu.

Bolt nie odpowiedział. Problem w tym, że nie umiał postępować z ofiarami przestępstw. Nigdy. Wolał pracę detektywa, udaremnianie przestępczych przedsięwzięć. Identyfikowanie celów i atakowanie. Mógł przeżyć osobistą

tragedię, ale to nie przygotowało go do tego rodzaju kontaktów, a zażyła znajomość z tą szczególną ofiarą tylko pogarszała sprawę. Spojrzał na Marie Cohen, zastanawiając się, czy wtrąci coś pokrzepiającego, ale zachowała milczenie i machnęła ręką, żeby po prostu dał spokój.

Na ekranie ukazała się strona domowa i Andrea kliknęła na pocztę. Miała około tuzina nieprzeczytanych wiadomości, ale zależało im na tej u samej góry wysłanej z konta pocztowego Hotmail. W polu tematu widniało wypisane wielkimi czarnymi literami słowo OSTRZEŻENIE, a załącznik zawierał plik mpeg.

Andrea otworzyła go bez słowa. Wiadomość brzmiała: OBEJRZYJ FILM.

— O Boże — szepnęła.

Bolt się spał.

— Może lepiej my najpierw go zobaczymy, Andreo — powiedział, kładąc uspokajająco rękę na jej ramieniu. Nie dodał „na wszelki wypadek”, ale wiedział, że równie dobrze mógłby to zrobić.

Odetchnęła głęboko.

— Nie. Ona jest moją córką. Muszę zobaczyć.

— To może nie być dobry pomysł, Andreo — ostrzegła Marie, wchodząc do gabinetu.

— Obejrzę. Koniec i kropka. — Jej słowa, wypowiedziane głośno i zdecydowanie, poniosły się przez pokój.

Kliknęła na plik mpeg i czekała dwadzieścia sekund, aż się załaduje. Panowała cisza, tylko z zewnątrz płynął pogodny śpiew ptaka. Drżącymi palcami Andrea wcisnęła ikonę odtwarzania.

Ekran wypełniła górna połowa osoby siedzącej pod ścianą w zaciemnionym pomieszczeniu oświetlonym żarówką kamery. Jakość nagrania była bardzo dobra i Bolt wiedział, że patrzy na

Emmę, choć miała kaptur na głowie. Ręce wyłaniające się z rękawów czarnej koszulki, blade i chude, były rękami dziecka.

Andrea załkała głośno.

Przez dwie czy trzy sekundy Emma siedziała absolutnie nieruchomo, potem powoli podniosła numer „Timesa”, aż znalazł się na widoku. Główny nagłówek informował o napadzie na bank Northern Rock. Kamera zrobiła najazd, aż obiektyw skupił się na dacie w górnym prawym rogu. Była dzisiejsza.

— Widzisz, Andreo, żyje — powiedział Bolt, siląc się na optymistyczny ton. — I w ich interesie leży, żeby to się nie zmieniło.

Andrea nie odpowiedziała, ale ramiona jej drżały. Bolt zrozumiał, że płacze bezgłośnie, patrząc na ekran.

Kamera odsunęła się i ekran wypełniła górna połowa dziewczęcego ciała. Nagle obraz podskoczył, gdy kamerzysta wyciągnął rękę w rękawiczce i szorstkim ruchem zerwał kaptur. Zobaczyli ładną nastolatkę o ciemnoblond włosach i niebieskich oczach. Jej zdjęcia wisiały w całym domu Andrei.

Na twarzy, mokrej od łez, malowało się przerażenie, gdy niepewnie spoglądała na kamerzystę. Wyglądało na to, że podpowiedział jej coś zza kamery, bo zaczęła mówić powoli i starannie, głosem trzęsącym się ze strachu.

— Mamo, mówią, że jeśli dasz pieniądze, puszcza mnie jutro w nocy. — Nastąpiła przerwa, znów patrzyła na kamerzystę. — Ale, mamo... mówią, że jak nie zapłacisz albo zawiadomisz policję... mówią, że naprawdę zrobią mi krzywdę. — Gdy wypowiadała ostatnie słowa, łzy popłynęły po jej policzkach.

Sapnęła ostro, urywanie. Patrzyła na coś, czego nie mogli zobaczyć, jej oczy się rozszerzały.

— O Boże, Emmo — szepnęła Andrea, głos jej się łamał pod wpływem napięcia. — Moje dziecko.

A potem wszyscy to zobaczyli. Długie, lśniące ostrze noża myśliwskiego, trzymanego w czarnej rękawiczce, przesunęło się powoli z prawej strony ekranu na lewą, drwiąc z widzów swoją obecnością. Kamera drżała lekko, gdy mężczyzna przesunął nóż. Potem ostrze zmieniło kierunek, gdy kamerzysta się pochylił, wskazując czubkiem szyję Emmy. Widać było rękaw czarnego swetra, ani odrobiny skóry, nic, co mogłoby ułatwić identyfikację.

Udręczone zawrodozenie popłynęło z gardła Andrei.

— Nie, Jezu, nie. Błagam. Nie rób jej krzywdy.

Bolt czuł, że usta ma suche jak pergamin. To był skończony sadyzm, coś, co dzięki Bogu zdarza się rzadko. W ciągu dwudziestu lat pracy w policji tylko raz widział coś podobnego, gdy był zmuszony obejrzeć stare amatorskie nagranie wideo ukazujące trzyletnie dziecko, molestowane i torturowane przez ojca. Było to dawno temu, ale wciąż pamiętał każdą chwilę. Wspomnienie wyrło się w jego mózgu jak straszny tatuaż, na zawsze. Obecna sytuacja była podobna i w pewien sposób bardziej bolesna, ponieważ kiedyś bardzo mu zależało na matce ofiary.

— Wyłącz, Andreo — powiedział. — Możemy obejrzeć ponownie za chwilę.

Ze złością pokręciła głową.

— Nie. Muszę zobaczyć. Muszę.

Na filmie Emma przycisnęła się do ściany, wykręcając głowę od ostrza, ale jej jasne oczy wciąż patrzyły na nóż.

Jęk Andrei stał się głośniejszy. Urwał się nagle, gdy czubek ostrza dotknął szyi Emmy. Delikatnie.

Wszyscy zastygli w bezruchu, jakby zamarli, patrzyli zahipnotyzowani na ekran, czekając.

Ostrze przesunęło się powoli wzdłuż podbródka na policzek, muskając bladą skórę, ale jej nie kalecząc. Zatrzymało się tuż

pod lewym okiem. Nieco wyżej, a popieściłoby gałkę oczną.

Bolt przygotował się wewnętrznie na to, co może się stać. Uważał się za twardego człowieka, zdolnego poradzić sobie z najgorszymi doświadczeniami, jakie świat miał do zaoferowania, ale ta scena rozdzierała go od środka. Zastanawiał się, ile razy będzie nawiedzać go we śnie w przyszłych miesiącach.

Nóż przesunął się nagle w bok, jak błyskawica. Zniknął z pola widzenia.

Emma krzyknęła. Andrea gwałtownie wciągnęła powietrze. Bolt wstrzymał oddech.

Obraz na monitorze się przybliżył. Twarz Emmy wypełniła ekran. Dziewczynka była przerażona, ale nietknięta. Potem zobaczyli, jak kuli się na łóżku w pozycji embrionalnej, upuszczając gazetę na podłogę. Miała kajdanki i metalową obręcz na kostce z przypiętym łańcuchem.

Coś ciemnego podniosło się od dołu ekranu, zasłaniając wszystko inne. Kartka. Sześć słów wypisanych wielkimi literami: NIE ZAWIADAMIAJ POLICJI, INACZEJ ONA UMRZE. Po trzech sekundach film się skończył i na ekran wróciła strona domowa.

Przez długą chwilę nikt się nie odzywał. Bolt chciał powiedzieć Andrei, żeby była silna, że porywacze tylko chcą ją zastraszyć i zmusić do uległości, by przekazała im następną transzę pieniędzy — choć nie był do końca pewien, czy sam wciąż w to wierzy. Już miał otworzyć usta, gdy Andrea jednym wściekłym ruchem zmiotła laptop ze stołu, posyłając go z trzaskiem na podłogę, i skoczyła na równe nogi. Chwyciła z biurka zdjęcie Emmy i przytuliła je do piersi. Odpychając Turnera z drogi, odwróciła się w stronę Bolta, krzywiąc w udręce i gniewie mokrą od łez twarz.

— Zabiją ją, prawda? O to chodzi. Oni ją zabiją.

Bolt położył rękę na jej ramieniu, próbując ją uspokoić.

— Nie, Andreo, nie zabiją. Zachowanie jej przy życiu leży w ich interesie.

— Zabronili zawiadamić policję, a teraz spójrz tylko na was wszystkich. — Wyrwała się i pogardliwym ruchem omiotła pokój. — Stoicie tutaj, podczas gdy ci łajdacy torturują moją córkę. O Boże. Jeśli ją zabiją... jeśli ją zabiją, to będzie moja wina!

— Nie wolno ci tak myśleć — powiedział Bolt, ale Andrea już nie słuchała. Minęła ich szybko i wyszła, zostawiając ich ponurych i milczących.

16

Marie poszła za Andrea. Bolt słyszał, jak razem idą na górę. Andrea krzyczała, żeby Marie dała jej spokój. Stał, patrząc na zrzucony laptop, zastanawiając się, czy Andrea kiedykolwiek dojdzie do siebie. Wreszcie otrząsnął się z zadumy i odwrócił.

Turner mówił do telefonu. Kiedy rozłączył się po paru sekundach, Bolt zapytał, czy mają trop.

— Dzwonił z komórki w bocznej ulicy w obszarze kodu pocztowego N osiemnaście. Od razu wyłączył aparat, więc nie możemy go śledzić.

— Zatem wie, że możemy namierzać komórki.

— Na to wygląda.

— Można coś wycisnąć z e-maila, który przysłał?

— Adres e-mailowy niewiele daje. Każdy może wysłać anonimowo e-mail z serwisu Hotmail. Ale powinniśmy zlokalizować komputer, z którego korzystał. Tylko że to może potrwać.

— Zajmijcie się tym od razu. Możemy jedynie mieć nadzieję, że facet popełnia błędy.

— Jak na razie nie.

Bolt lubił Turnera, ale ten jego nawyk akcentowania wszystkiego, co negatywne, czasami bywał irytujący. Zwłaszcza w takiej sytuacji.

— Zrób to — powiedział, odwracając się i sięgając po swoją komórkę. — I niech miejscowi gliniarze jadą na ulicę, z której

dzwonił, na wypadek gdyby jeszcze tam był.

Otworzył drzwi balkonowe w pokoju i wyszedł do ogrodu za domem, wybierając numer szefa. Kiedy Wielki Barry się zgłosił, wyjaśnił mu, co zrobili porywacze.

— Są dobrzy, szefie. Dokładnie wiedzą, które guziki naciskać. Ale jest coś więcej. Sposób, w jaki ją dręczą... to sprawa osobista. Jestem tego pewien. Komuś naprawdę zależy, żeby Andrea Devem cierpiała.

— Obyś miał rację, ponieważ to może nam pomóc w ich wytropieniu. Kobieta nie ma zapewne zbyt wielu wrogów. Tymczasem jednak dostałem zgodę na zorganizowanie pułapki. Wygląda na to, że panie i panowie na górze zgadzają się z tobą w kwestii negocjacji. Są bezcelowe, gdy w grę wchodzi tak bezwzględni ludzie.

— Właściwa decyzja, bezsprzecznie. W ten sposób przejmujemy kontrolę nad sytuacją.

— Użyjemy plików fałszywych banknotów z nadajnikami.

— Ci ludzie są zawodowcami, szefie. Natychmiast się połapią.

— Będziemy siedzieć im na ogonie. Zanim się spostrzegą, że banknoty są fałszywe, będzie za późno i trafią do aresztu.

Bolt nie był przekonany.

— Ale dla Emmy też może być za późno. Jeśli zabiorą pieniądze, sprawdzą je w samochodzie, zobaczą, że nie są prawdziwe, wtedy od razu zorientują się, że maczaliśmy w tym palce. Wtedy nie doprowadzą nas do niej.

— Daj spokój, stary druhu, jak mam uzyskać zgodę na użycie pół miliona prawdziwych funtów? I skąd mam je wziąć? Od Świętego Mikołaja? Pomyśl tylko.

— Mówił pan, że nie stracimy pieniędzy.

— Nie stracimy.

— Możemy więc użyć prawdziwych. — Bolt myślał o zdjęciu małej Emmy w różowym opalaczu, bawiącej się węzłem ogrodowym. — Mówimy o życiu młodej dziewczyny.

— Nie bądźmy sentymentalni, Mike.

— Nie jestem. Ale jeśli użyjemy fałszywych pieniędzy i coś się pochrzani, nie będzie wyglądało to dobrze dla żadnego z nas, prawda? Będzie to wyglądało, jakbyśmy uznali, że pieniądze są ważniejsze niż ofiara porwania. — Powstrzymał się od dodania, że „potoczą się głowy”, ale taki był sens wypowiedzi. Bolt przemawiał do wrodzonego instynktu chronienia własnej dupy, upatrując w tym szansy.

I chyba zadziało.

— Pogadam z szefostwem, ale nie sądzę, żeby na to poszli. — Barry westchnął. — Słuchaj, cała operacja musi być dobrze zaplanowana, więc masz wrócić tutaj, żebyśmy omówili szczegóły. Możliwie jak najszybciej. Niech Turner i jego łączniczka zostaną z panią Devem, na wypadek gdyby porwacze nawiązali kontakt.

Bolt rozłączył się i spojrzał na zegarek. Dziesięć po pierwszej. Burczało mu w brzuchu i uświadomił sobie, że nie jadł przez cały dzień. Postanowił, że przekąsi coś w drodze do biura. Wziął głęboki oddech. Tak czy owak dopadnie tych drani. I Emma wróci do Andrei. Polowanie już się rozpoczęło, a on nim dowodził, przynajmniej w terenie. Uwielbiał tę część roboty, kiedy po opracowaniu strategii wszystko sprowadza się do kwestii my i oni. Odsunąwszy od siebie sceny z nagrania video, znów poczuł determinację.

Zdał sobie sprawę, że ktoś stał obok niego. Był to Turner mający nieco zakłopotaną minę.

— Wszystko w porządku, Matt?

— Pani Devem chce zamienić z panem parę słów na górze. Sama. Nie chce rozmawiać z Marie. — W jego tonie pobrzmiwała dezaprobata.

— Dobrze, dzięki.

Bolt wrócił do domu przez te same drzwi. Marie stała u stóp schodów. Miała zatroskaną minę.

— Jest w pierwszym pokoju po lewej — powiedziała ze zmęczeniem w głosie.

Bolt uśmiechnął się, współczując jej.

— Dzięki. Nie mam pojęcia, co mógłbym dla niej zrobić, ale spróbuję.

Andrea siedziała z papierosem w ręce w białym skórzanym fotelu w głównej sypialni i patrzyła przed okno w wykuszu. Odwróciła się, gdy wszedł i zamknął drzwi. Rysy miała twarde, oczy suche.

— Musisz ją ocalić, Mike — oświadczyła stanowczo.

— Robimy absolutnie wszystko, co w naszej mocy, żeby tak się stało. Wiem, jakie to trudne, ale spróbuj zachować spokój i cierpliwość.

— Nigdy nie chciałeś mieć dzieci, Mike?

Obserwowała go uważnie, czekając na odpowiedź, z zapomnianym zapalonym papierosem w dłoni. Westchnął, zastanawiając się, jak wywikłać się z tej rozmowy.

— Nigdy nie nadarzyła się okazja. Może pewnego dnia.

— Byłeś żonaty?

— Raz.

— Co się stało?

— Zginęła. W wypadku samochodowym. Pięć lat temu.

Pięć lat. Wydawało się dawno temu, a jednak ten czas zleciał tak szybko. Wciąż idealnie pamiętał Mikaele, wciąż mógł słyszeć jej głos. Ale nie lubił, gdy inni mu o niej przypominali. Wolał zatrzymać te myśli i wspomnienia dla siebie.

— Przykro mi — powiedziała szczerze.

— W porządku.

Cisza. Czuł, że Andrea chciała coś dodać, i czekał.

I doczekał się.

— Słuchaj, Mike. Nie wiem, jak to powiedzieć, ale...

Przypomniała sobie o papierosie i strzepnęła popiół do popielniczki na parapecie, zanim spadł jej na kolana.

— Co, Andreo?

— Mówiłam ci o Jimmym Galancie, prawda? Dlaczego go wciągnęłam.

— Bo potrzebowałam jego pomocy.

— Zgadza się.

— Rzecz w tym, że kłamałam.

Bolt się spiął.

— Co masz na myśli?

— Skłamałam, kiedy mu powiedziałam, że jest ojcem. Nie jest.

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Ty nim jesteś.

17

Jeden z problemów Mike'a Bolta we wcześniejszych latach życia polegał na tym, że nie umiał odmówić. Nie powinien romansować z Andreą Devem po tej pierwszej namiętnej nocy w hotelu Bloomsbury. Miała zamożnego męża, który się o nią troszczył, on zaś był impulsywnym dwudziestoczteroletnim gliną, a coś takiego zawsze kończy się łzami. Ale w jakiś sposób Bolt zdołał przekonać samego siebie, że to naprawdę bez znaczenia. Chciał tylko zobaczyć, co będzie, i nie angażować się zbyt mocno.

Ale się zaangażował i po ośmiu tygodniach romansu stwierdził, że utkwiał w sieci Andrei. Z początku panował nad sytuacją, lecz szybko tracił kontrolę, gdy popadał w coraz większą obsesję na jej punkcie. Trudno mu było się z nią kontaktować i spotykać na potajemnych schadzkach, i to doprowadzało go do szału. W ciągu tych ośmiu tygodni spali z sobą tylko sześć razy, a potem nagle wszystko się skończyło. Tak po prostu. Bez lamentu, za to z hukiem, jakiego nigdy nie zapomni.

Czy naprawdę mógł być ojcem jej dziecka? Ta myśl nie dawała mu spokoju, gdy wracał do kwatery głównej. Daty pasowały. Andrea przekonała go o tym w gabinecie na tyłach domu. „Nasza córka urodziła się drugiego kwietnia — powiedziała. — Widywaliśmy się w czerwcu i lipcu”.

Nasza córka. Jego córka. Mogła się mylić, rzecz jasna. I później się dowiedział, że w tym czasie spotykała się również z

Jimmym Galante'em. I miała męża, choć zawsze twierdziła, że Billy Devem jest impotentem i dlatego pozwala jej na kochanków. Niezależnie od tego, jak wyglądała prawda, to nie miało znaczenia, ponieważ daty pasowały. Sprawdził, powiedziała, i sprawdził, wracając myślą do tych szalonych dni. Prawda krzyczała do niego tak głośno, że ledwo słyszał cokolwiek innego. Możliwe, że Emma Devem nie była jego dzieckiem, ale istniało duże prawdopodobieństwo, że jednak była.

Na fotelu obok niego leżały zdjęcia Emmy i Pata Phelana, które zabierał do pokoju operacyjnego. Zdjęcie Emmy leżało odwrócone. Nie mógł na nią patrzeć. Nie mógł znieść myśli, że może być jego ciałem i krwią i że dowiedział się o tym, gdy został wyznaczony do prowadzenia śledztwa w sprawie jej uprowadzenia.

Pomyślał o Mikaeli, o kobiecie, którą poznał kilka lat po Andrei i która została jego żoną. Mikaela zawsze chciała mieć dzieci. Chłopca i dziewczynkę, powtarzała. Dzieci i wielki, pełen zakamarków dom z ładnym ogrodem. To on zawsze się wzbraniał. Bał się natłoku obowiązków, długich godzin pracy; bał się, że nie zapewni rodzinie niezbędnego wsparcia. Ale w końcu po siedmiu latach niechętnie przystał na natarczywe prośby Mikaeli i zaczęli starać się o dziecko.

Była w drugim miesiącu ciąży, gdy wóz, który prowadził, wypadł z drogi i uderzył w pień dębu, przemieniając się w nierozpoznawalną masę pogiętego metalu. Bolt spędził sześć tygodni w szpitalu i zostały mu trzy małe blizny na twarzy, trwała pamiątka tamtej nocy. Aparatura podtrzymująca życie Mikaeli została wyłączona trzy dni po wypadku. Żona nie odzyskała przytomności. Bolt był w zbyt złym stanie, żeby wstać z łóżka i się z nią pożegnać. Nawet nie powiedziano mu o decyzji podjętej przez jej rodziców, ponieważ uznano, że tak

traumatyczne wieści spowodują pogorszenie jego stanu. Dowiedział się o wszystkim dwa dni po fakcie.

I przez cały czas — przez czas życia z Mikaelą, i przez te długie ciężkie lata po jej śmierci — być może już miał dziecko. Dziecko, którego nie widział i o którym nic nie wiedział.

Zacisnął palce na kierownicy i zgrzytnął zębami, czując nagły wybuch urazy do Andrei. Jeśli był ojcem, dlaczego milczała przez wszystkie te lata? A jeśli nie był, jak mogła manipulować nim w taki sposób?

Zjechał na pobocze, zanim wściekłość zdążyła go zaślepić, i parę razy odetchnął głęboko, próbując się uspokoić. Ale przychodziło mu to z trudem. Tego ranka był względnie szczęśliwym człowiekiem z nową dziewczyną, zbliżającym się do czterdziestych urodzin — już za parę miesięcy — przyzwyczajonym do myśli, że prawdopodobnie nigdy nie będzie miał dzieci. A teraz usłyszał, że już ma córkę, ale jej życie jest w strasznym niebezpieczeństwie, i to on odpowiada za jej uratowanie.

Siedział przez całą minutę, jego serce biło tak głośno, że aż je słyszał. Potem podniósł zdjęcie Emmy — uśmiechnięta blondynka, czternastoletnia, w szkolnym mundurku — i patrzył, szukając podobieństw. Czy była jego córką? Widział podobieństwa, widział różnice. Pomyślał o przetrzymującym ją człowieku. O ludziach, którzy mogli nie chcieć oddać jej żywej. O ludziach, na których teraz zamierzali zastawić pułapkę. Po raz pierwszy naprawdę wyobraził sobie, co może się stać, jeśli plan nie wypali, i ścisnęło go w dołku. Dziewczynka, która mogła być jego jedynym dzieckiem, umrze.

Odłożył zdjęcie Emmy, ale tym razem twarzą w górę, żeby widzieć dziecko, które musi uratować. Nadszedł czas przyjąć odpowiedzialność i myśleć jasno. Formalnie rzecz biorąc, sytuacja się nie zmieniła, tylko stawka stała się znacznie wyższa.

Ostatni raz wziął głęboki oddech, wrzucił kierunkowskaz i włączył się do ruchu.

CZĘŚĆ TRZECIA

O wpół do trzeciej w piątkowe popołudnie SG4⁶ Tina Boyd zatrzymała się przed klubem i kasynem Lively Lounge. Gmach w kolorze fekaliów, zupełnie jak ze szkoły nijakiej architektury z lat sześćdziesiątych, stał na końcu Edgware Road od strony Colindale, około trzech mil w linii prostej i tysiąca lat od zadrzewionej dzielnicy Hampstead, gdzie mieszkał teraz Pat Phelan. Widok kasyna wprowadził ją w umiarkowane zadowolenie, że hazard nie zalicza się do jej nałogów. Nie znaczy to, że nie była zaciekawiona. Po prostu nie miała odwagi obstawiać, nawet na wyścigach konnych Grand National, ponieważ wiedziała, że jeśli dopisze jej szczęście początkującego i wygra, prawdopodobnie już nigdy nie przestanie. Tina wykazywała skłonność do uzależnień. Była to część jej dziedzictwa genetycznego. Przez długi czas pomimo namów rówieśników nie chciała zacząć palić, potem na imprezie w wieku siedemnastu lat sięgnęła po pierwszego papierosa i od tej pory wypalała dwadzieścia sztuk dziennie, a każda próba zerwania z nałogiem szybko kończyła się porażką.

Zastanawiała się, czy Phelan jest taki sam. Nie ulegało wątpliwości, że ma problem z hazardem, a klub i kasyno Lively Lounge to miejsce, gdzie tracił lwią część pieniędzy. A było tego dużo. Zespół Tiny dostał kopie ubiegłorocznych wyciągów z pięciu kart kredytowych i z jednej karty debetowej na jego nazwisko. W tym okresie jego wydatki wynosiły łącznie osiemdziesiąt siedem tysięcy dwieście osiemdziesiąt osiem

funtów i trzydzieści sześć pensów — choć praktycznie nie miał żadnych stałych dochodów, poza sumą tysiąca pięciuset funtów przelewana co miesiąc na jego konto z rachunku Andrei w innym banku. W ubiegłym roku na jego konto wpływały inne kwoty, łącznie ponad dwadzieścia pięć tysięcy, ale sporadycznie, co znaczyło, że z pewnością pochodziły z wygranych. Nawet z roczną pensją żony w wysokości stu sześćdziesięciu tysięcy funtów suma była niewystarczająca, a limit kredytowy Phelana był wyczerpany na każdej karcie i jego zadłużenie w banku wynosiło ponad sześć tysięcy.

Nie znaczy to, że taka sytuacja stanowiła coś wyjątkowego. Jak wcześniej tego ranka podkreślił Wielki Barry, ludzie przez cały czas wpadają w poważne długi. Z punktu widzenia SOCA w finansach Pata Phelana niezwykle było to, że jego wydatki zmniejszyły się drastycznie w ciągu dwóch ostatnich miesięcy, o ponad dziewięćdziesiąt procent, i że w tym okresie na jego konto nie wpłynęły żadne wpłaty z wygranych. Albo rozpoczął nowy rozdział w życiu, albo co zdaniem Tiny było bardziej prawdopodobne, finansował swój nałóg z innego źródła. Ponieważ wyciągi z konta wskazywały, że Livey Lounge jest ulubionym kasynem Phelana, Tina zdecydowała, że to miejsce dobre jak każde inne, by zacząć grzebać w jego przeszłości. Mogła zlecić zadanie jednemu z młodszych członków zespołu, ale jak wielu detektywów, nie lubiła siedzieć za biurkiem i jeśli miała być całkowicie szczerą, wołała polegać na własnych umiejętnościach.

Potrzeby nałogowego hazardzisty dają o sobie znać o każdej porze dnia i nocy, więc klub był otwarty. Tina weszła przez przyciemnione dwuskrzydłowe drzwi do mrocznego holu. Blondynka w recepcji rozmawiała ze starszą kobietą w tresce i ze zbyt grubym makijażem. Gdy Tina podeszła, recepcjonistka uśmiechnęła się uprzejmie i z polskim akcentem życzyła jej miłego popołudnia. Jej koleżanka bez słowa obrzuciła ją

podejrzliwym spojrzeniem, natychmiast rozpoznając policjantkę, choć Tina nie nosiła munduru i zawsze starała się nie roztaczać charakterystycznej aury. Niektórzy po prostu mają nosa do wykrywania glin i zwykle są to ci, którzy powinni się obawiać policji.

Tina uśmiechnęła się do dziewczyny.

— Dzień dobry, nazywam się Tina Boyd, jestem z Agencji do walki z Przeszłością Zorganizowaną. — Podniosła legitymację policyjną. — Chciałabym rozmawiać z właścicielem.

— Ja się tym zajmę, Barbaro — powiedziała starsza kobieta niskim głosem, ni to niedźwiedzia, ni to Demi Moore. — Właściciela nie ma. Nie mieszka w tym kraju. — Jej mina mówiła: I co ty na to, mądralo? — W czym mogę pomóc?

— To zależy. Jest pani najstarszym pracownikiem w budynku?

Chwila wahania powiedziała Tinie, że nie.

— No, jest pan McMahan, ale...

— Jakie ma stanowisko?

— Jest kierownikiem, ale myślę, że...

— W takim razie zobaczę się z nim, dziękuję.

— Jest zajęty, panno, jak jej tam... — mruknęła kobieta.

Tina nie dała się zniechęcić.

— Czy może pani zaprowadzić mnie do niego?

— Zadzwoń i sprawdź, czy znajdzie czas.

Podniosła telefon, patrząc gniewnie na Tinę, która odpowiedziała obojętnym spojrzeniem. Była zdumiona, dlaczego ludzie zawsze muszą stawiać opór policji, zanim ulegną, choć wynik końcowy jest nieunikniony.

Kobieta odłożyła słuchawkę.

— W porządku, przyjmie panią.

Tina poszła za nią przez główną salę kasyna, wielkie pomieszczenie bez okien, równie przytulne jak hangar lotniczy.

Zajętych było tylko kilka stołów, głównie przez cichych Chińczyków, którzy obstawiali z nieprzeniknionymi minami. Żaden nie podniósł głowy, gdy Tina i jej przewodniczka mijaly ich w milczeniu.

Biuro pana McMahona mieściło się w głębi budynku, za schodami, na końcu krótkiego korytarza. Kobieta zapukała do drzwi i usunęła się na bok, przepuszczając Tinę z ostatnim wyzywającym spojrzeniem.

— Agencja do walki z Przystępczością Zorganizowaną — powiedział mężczyzna stojący za biurkiem, gdy Tina zamknęła drzwi. — Nie miałem z wami do czynienia. Malcolm McMahon — przedstawił się, wyciągając rękę. — Miło panią poznać, panno...

— Boyd. Tina Boyd.

Wymienili uściski dłoni i Tina usiadła przed biurkiem.

Malcolm McMahon, wielki mężczyzna, wyglądał, jakby coś pił. Był przystojny w nieco toporny sposób, miał przylizane siwe włosy, tworzące na linii czoła V ostre jak strzała, i długą na cal prostą bliznę nad górną wargą. Był ubrany w źle wyprasowaną koszulę z niemodnym prążkowanym krawatem, a strój kasyna — czarny garnitur i koszula frakowa — wisiały na ścianie obok rzędu ośmiu małych ekranów, które ukazywały salę gier pod różnymi kątami.

— Słyszałem, że SOCA już nawet nie jest policją — powiedział z uśmiechem. — Jesteście agentami specjalnymi czy coś. Jak mam się do pani zwracać?

— Panno Boyd wystarczy.

Powoli pokiwał głową.

— Panno Boyd, trzymamy wszystko twardą ręką i nie tolerujemy niczego nielegalnego, więc nie mam pojęcia, skąd to zainteresowanie ze strony SOCA. Czy mogłaby pani jeszcze raz pokazać legitymację? Chciałbym mieć pewność, że jest pani

tym, za kogo się podaje. To zdumiewające, ilu jest oszustów w dzisiejszych czasach.

— Jasne.

Tina wyjęła legitymację z tylnej kieszeni dżinsów i podała mu, zwracając uwagę na nikotynowe plamy na jego grubych, krótkich palcach. McMahon dokładnie obejrzał dokument i oddał go z podziękowaniem.

— Chodzi o jednego z waszych klientów.

— Nie lubię rozmawiać o naszych klientach, panno Boyd. Cenią sobie prywatność, podobnie jak my.

— To bardzo poważna sprawa, panie McMahon. Jeśli pan chce, mogę załatwić to oficjalnie i sprowadzić śledczych, którzy przesłuchają cały wasz personel. Ale jestem również przygotowana na rozmowę nieoficjalną i mogę zagwarantować, że wszystko, co pan powie, zostanie potraktowane z najwyższą poufnością.

— Chce pani, żebym zakapował jednego z moich graczy? — zapytał spokojnie.

Teraz ona się uśmiechnęła.

— Nie, chcę, żeby mu pan pomógł. Nazywa się Patrick Phelan. Wiem, że wydaje mnóstwo pieniędzy w pańskim przybytku i robi to od dawna. Pan Phelan zaginął i jesteśmy zatroskani o jego bezpieczeństwo.

— Nie rozumiem, jak mógłbym pomóc.

— Ale zna go pan?

McMahon westchnął i poprawił się w fotelu.

— Tak, znam. Przychodzi tu od jakiegoś czasu. Miły gość, dość towarzyski. Nie z tych, co wkurzają ludzi.

— Kiedy widział go pan po raz ostatni?

Zabębnił placami po biurku.

— W zeszłym tygodniu. Nie pamiętam dokładnie, ale w tym tygodniu na pewno go nie widziałem i chyba go tu nie było.

Mogę sprawdzić.

— Nie, wystarczy. Z kim zwykle przychodzi?

— Z różnymi ludźmi. Niekiedy z dziewczyną, czasami z kumplami. Kiedy indziej sam. — Wzruszył ramionami. — Naprawdę nie znam żadnego z nich.

Tina sięgnęła do kieszeni dzinsów i wyjęła paczkę silk cutów.

— Mogę zapalić? — Poznała, że McMahon marzy o papierosie, a stary zapach dymu w pokoju jasno dawał do zrozumienia, że zwykle pali tutaj.

Uśmiechnął się szeroko i pochylił za biurko. Podniósł wielką popielnicę pełną niedopałków.

— Nie przypuszczałem, że pani pali. Obecnie kopicie we własnym biurze jest wbrew prawu, więc pomyślałem, że lepiej uważać, gdy pani weszła.

— To jedyne prawo, które łamię z radością — odparła, częstując go papierosem.

Podawała mu ogień i sama zapaliła. Nawiazali dobre stosunki jako dwoje wyrzutków społeczeństwa, na co właśnie Tina liczyła. To zdumiewające, ile można osiągnąć dzięki takiemu porozumieniu.

— Z wyciągów z konta wynika, że pan Phelan szasta forszą, i nie wygląda na to, by odnosił wielkie sukcesy w grze.

— Nie odnosił. Wypijał parę drinków i robił się lekkomyślny. Czasami się udawało — wie pani, do odważnych świat należy i tak dalej — ale nieczęsto.

Tina zaciągnęła się papierosem.

— Ale wyciągi wykazują również, że parę miesięcy temu ograniczył wydatki, choć wciąż tu przychodził. — Urwała. — Ma pan może pojęcie, skąd brał pieniądze?

— Mamy linie kredytowe udzielane cenionym klientom. Pat jest cenionym klientem.

— Ale od dwóch miesięcy nie przedłużacie mu kredytu, prawda?

Pokręcił głową.

— Nie. Zamknęliśmy jego linię parę tygodni temu. Wciąż jest nam winien ponad trzy tysiące. W zeszłym tygodniu prosił o przedłużenie terminu spłaty. Powiedział mi, że ma inne źródła dochodu. Było mi przykro, bo lubię Pata, ale interes to interes.

Tina starała się nie okazać zainteresowania.

— Powiedział panu, czym są te inne źródła dochodu?

— Nie. Dał słowo, że są w porządku.

— Może pan wie, czy pożyczał skądś pieniądze?

Tym razem milczenie McMahona nie wydawało się naturalne, jakby unikał odpowiedzi.

— Proszę pamiętać, panie McMahon, rozmawiamy nieoficjalnie. Jeśli pan coś wie, gwarantuję, że to do pana nie wróci.

McMahon palił w milczeniu. Tina nie naciskała. Czekała.

— Proszę posłuchać — zaczął w końcu — lubię Pata. To miły gość. Nie chciałbym, żeby spotkało go coś złego. Ale jeśli spotkało, nie chciałbym, żeby ucierpiał ktoś inny. Wie pani, co mam na myśli?

— Jasne.

— Na pewno rozmawiamy nieoficjalnie?

Tina skinęła głową, świadoma, że zaraz usłyszy coś ważnego.

— Pat nie tylko nam jest winien. Jest zadłużony u kogoś, u kogo naprawdę lepiej nie mieć długów. U niejakiego Leona Daroyce'a.

— Nie znam go — powiedziała, nie próbując zapisać nazwiska. Wyjmowanie notesu mogło nadać rozmowie charakter oficjalny i wystraszyć McMahona, a tego nie chciała. W miarę łatwo zapamiętywała nazwiska.

— To lichwiarz i liczący się w tych stronach — mówił McMahon. — Myślę, że kilku naszych graczy korzysta w jego usług, ale trzeba być naprawdę zdesperowanym, żeby się na to zdecydować. Daroyce pożycza na wysoki procent i jak wspomniałem, naprawdę nie jest miłym gościem.

— Orientuje się pan, ile Phelan jest mu winien?

Pokręcił głową.

— Pat nie mówił mi o Daroycie. Słyszałem plotki. To jeden z powodów, z jakich zamknąłem mu linię kredytową. Martwiłem się, że nie spłaci zadłużenia.

Tina zamierzała dowiedzieć się jak najwięcej o Leonie Daroycie, a także ile Phelan jest mu winien. Jeśli Daroyce rzeczywiście był takim brutalnym gościem — nie miała powodów w to wątpić, skoro usłyszała o tym od człowieka pokroju McMahona, któremu przemoc wyraźnie nie była obca — to również możliwe, że Pat Phelan chwycił się najróżniejszych sposobów, żeby go spłacić. Może nawet posunął się do porwania pasierbicy.

— To chyba wszystko, panie McMahon — powiedziała, wstając. — Dzięki za poświęcony mi czas i za szczerość.

Zgasił papierosa.

— Ufam pani, panno Boyd. Jeśli się rozejdzie, że wskazałem palcem na Leona Daroyce'a, wpadnę w tarapaty.

— Dotrzymam słowa.

— Tak — mruknął, przyglądając się jej uważnie. — Na to wygląda. — Zapalił następnego papierosa, wydmuchnął dym. — Jedna rada. Niech pani uważa. Leona Daroyce'a łatwo urazić.

Tina otworzyła drzwi, obdarzyła go chłodnym uśmiechem.

— Proszę się o mnie nie martwić, panie McMahon, zawsze jestem ostrożna.

19

Tina zachowywała ostrożność przede wszystkim z jednego powodu. Przyciągała kłopoty. Nie zawsze tak było. Wychowała się na wsi w szczęśliwej rodzinie klasy średniej, jako dziecko rodziców, którzy się kochali i z pewnością kochali ją. Chodziła do prywatnej szkoły, dostała się na uniwersytet, studiowała angielski i psychologię, spędziła trochę czasu na podróżach po świecie z plecakiem. Potem, gdy wszyscy jej znajomi przyjęli posady w biurach, ona wstąpiła do policji. Nie był to kaprys — cóż, przynajmniej niezupełnie. Nigdy nie marzyła o pracy za biurkiem i zawsze była dociekliwa. Interesowało ją, co kieruje ludźmi. Może powinna zostać psychiatrą, ale uznała, że więcej dowie się o ludzkiej psychice jako glina. I dowiedziała się, choć nie zawsze było to przyjemne.

Pierwsze lata jej policyjnej kariery przebiegały bez zakłóceń. Dwa lata pracowała w mundurze — i była jednym z niewielu funkcjonariuszy na swoim posterunku, którzy nigdy nie zostali napadnięci — a potem wstąpiła do wydziału śledczego w Islington. Jako absolwentka uczelni mogła liczyć na szybki awans. Wyższe stanowisko wydawało się nieuniknione, i to raczej wcześniej niż później.

A potem sprawy zaczęły się komplikować. Najpierw została zakładniczką podejrzanego, którego przesłuchiwała i który został zastrzelony przez policjantów z jednostki antyterrorystycznej CO 19. Znalazła się w krzyżowym ogniu i została postrzelona. Ponieważ rana okazała się stosunkowo

lekka, mogła po sześciu tygodniach wrócić do pracy, gdzie powitano ją z fanfarami i awansowano na sierżanta. Wkrótce w „Police Review” ukazał się nawet poświęcony jej artykuł. To powinno ją ucieszyć, ale wiedziała, że nie zasłużyła na pochwały. Popełniła błąd, mogła zginąć, a zamiast tego spotkała ją nagroda. Jeśli miała być szczerą wobec siebie — a była — ten element zdarzenia zranił ją najbardziej. Tina była perfekcjonistką, kiedy jednak przyszło co do czego, ujawniły się jej braki.

Nie minęło pół roku, a kłopoty znów dały o sobie znać, tym razem z podwójną siłą. Został zamordowany detektyw, z którym pracowała nad pewną sprawą, a parę tygodni później jej chłopak, również policjant, popełnił samobójstwo. Śledztwo wykazało, że w rzeczywistości było to zabójstwo związane z tą samą sprawą. Nagle Tiny, niemal bohaterki, ludzie zaczęli unikać, żeby przypadkiem nie spotkało ich coś podobnego. Ktoś nazwał ją Czarną Wdową i przezwisko się przyjęło.

Nie widziała, czy mordercy dwóch bliskich jej ludzi stanęli przed sądem. Możliwe, że do tego nie doszło. Ta świadomość też wywołała u niej uraz. W końcu zrezygnowała z pracy w policji, załamała się i wpadła w depresję. Być może nigdy nie doszłaby do siebie — w pewnym momencie było z nią naprawdę kiepsko — ale spotkała Mike’a Bolta, który wówczas pracował w Centralnym Biurze do spraw Ścigania Przystępności Zorganizowanej. Musiał coś w niej dostrzec, bo zaczął ją namawiać, żeby dołączyła do jego zespołu i przeniosła się z nimi, kiedy biuro przeobraziło się w SOCA.

Była mu wdzięczna za to, co dla niej zrobił, i ciężko pracowała, żeby to pokazać. Czasami myślała, że podoba się Boltowi, niekiedy nawet sądziła, że przede wszystkim dlatego ją zatrudnił, i w konsekwencji trzymała się od niego na dystans w miejscu pracy. Był przystojnym facetem, nie ulegało wątpliwości. Wysoki, barczysty, z jasnymi włosami, w których

pojawiły się zaczątki siwizny, miał przenikliwe, wyraziste niebieskie oczy, z początku przypuszczała (błędnie), że nosi soczewki kontaktowe. Swego czasu na pewno by go polubiła, ale teraz wszystko się zmieniło. Zbyt mocno się sparzyła i pod wpływem tego doświadczenia stała się ostrożniejsza. Przemieniła się w odludka, trzymała z dala od innych zarówno w pracy, jak i poza nią, i wiedziała, że niektórym z zespołu się nie podoba, bo niesłusznie posądzają ją o opryskliwość.

Kiedyś lubiła rozrywki. Upijała się, dawała się przelecieć, podróżowała po świecie. W północnej Tajlandii wypaliła tak mocną trawkę, że miała halucynacje. Zachwycona pływała z delfinami na Wielkiej Rafie Koralowej. Miała prawdziwe życie. Teraz to się skończyło i czasami — częściej, niż sobie życzyła — kiedy przepełniał ją pełen złości żal z powodu ścieżki, którą obrała, i gorzkich konsekwencji wyboru, zastanawiała się, jak potoczyłoby się jej życie, gdyby przyjęła posadę za biurkiem.

Dzisiaj niczego nie żałowała. W naprawdę dobrym nastroju szła Colindale Avenue w kierunku metra, gdy jesienne słońce grzało jej kark. Wracała do Szklanego Domu. Już zadzwoniła i powiedziała Boltowi o przypuszczalnych kłopotach Pata Phelana z długami, a także poprosiła, żeby sprawdził, co mają na Leona Daroyce'a.

Bolt wydawał się zadowolony z tropu — i słusznie, bo dostarczał im motyw porwania — ale też sprawiał wrażenie zestresowanego, co było do niego niepodobne. Mike Bolt, na ogół spokojny i zrównoważony, był typem faceta, który bez trudu wytrzymuje napięcie. Między innymi z tego powodu praca z nim sprawiała jej przyjemność. Czuli, że może mu zaufać jako dowódcy.

— Hej, paniusiu, jak leci?

Jej rozmyślania przerwały słowa wypowiedziane głębokim barytonem z fałszywym amerykańskim akcentem. Odwróciła się i zobaczyła podjeżdżającego srebrnego mercedesa.

Mężczyzna, który mówił do niej przez otwarte okno, był czarny, dobrze zbudowany, ostrzyżony na łyso, po trzydziestce, w okularach i w drogim garniturze.

— Nie kupuję, nie mam czasu, nie jestem zainteresowana. Spadaj. — Odwróciła się i szła dalej, ale wóz jechał w tym samym tempie.

Tina nie lubiła, gdy na ulicy zaczepiali ją nieznajomi. Zdarzało się to od czasu do czasu. Ostatecznie to był Londyn. Zwykle ich ignorowała i na ogół dawali jej spokój, ale wyglądało na to, że ten facet nie odpuści. Była sto jardów od stacji metra, o rzut kamieniem od szkoły policyjnej w Hendon, i nie umknęła jej ironia tego faktu. Bóg wie, czemu ten facet się do niej przyczepił, ale jeśli postanowi wyskoczyć z wozu i zagrać ostro, wtedy straci więcej, niż zamierzał zyskać.

Usłyszała jego śmiech.

— Masz odwagę, paniusiu. Podoba mi się. Mój przyjaciel chciałby z tobą pomówić. Słyszałem, że może ty też chcesz z nim pogadać.

Zatrzymała się, odwróciła w jego stronę, zobaczyła, że za kółkiem siedzi muskularny biały facet w obcisłej koszulce.

— Tak? A kim jest twój przyjaciel?

— Ma na imię Leon, ale dla ciebie to pan Daroyce.

Tina zaklęła w duchu. Jak, do diabła, dowiedział się tak szybko? Potem przyszła jej na myśl ta bezczelna suka, która prowadziła ją do biura McMahona, i zrozumiała. Musiała podsłuchiwać pod drzwiami. I tyle, jeśli chodzi o jej zapewnienia, że zawsze jest ostrożna. Jesteś nie dość ostrożna, skarbie.

— Dziękuję za propozycję, ale z zasady nie wsiadam do samochodu z nieznajomymi.

— Czy zasada obowiązuje, jeśli my znamy ciebie, Tino Boyd?

— Mężczyzna obdarzył ją drapieżnym uśmiechem,

ostentacyjnie kładąc nacisk na dwa ostatnie słowa.

Słyszając swoje nazwisko, Tina poczuła się naga i bezbronna.

— Nie — odparła i zaczęła się odwracać.

— Jeśli nie pojedziesz teraz, możemy przyjść i cię znaleźć, Tino Boyd. — Jego głos stwardniał, zabrzmiała w nim pogróżka.

Odwróciła się.

— Czego chce twój przyjaciel?

— Tylko porozmawiać. — Wzruszył potężnymi ramionami. — To wszystko. Nic więcej. Myślę, że może mieć dla ciebie pewne informacje.

Sięgnął nad oparciem fotela i otworzył tylne drzwi wozu.

Tina zastanowiła się szybko. Skoro znali jej nazwisko, wiedzieli, że jest agentką SOCA. Tym samym jest mało prawdopodobne, by zaryzykowali polowanie na nią. Zwłaszcza że ich wóz, a możliwe że również twarze już zostały zarejestrowane przez kamery. Poza tym nie mieli powodu, żeby robić jej krzywdę. Nie była winna Daroyce'owi pieniędzy, nigdy go nie widziała, co znaczyło, że ten czarny facet przypuszczalnie mówił prawdę.

Byli zawodowcami. Tina doszukała się tylko jednego argumentu przeciw, lecz za to wielkiego. A jeśli nie miała racji?

Decyzja była poważna, ale przecież — choć nie przyznałaby tego przed sobą — Tina Boyd przyciągała kłopoty po części dlatego, że zawsze liczyła się z tym, iż znajdzie się w sytuacji, gdzie napotkanie ich jest nieuchronne. I to była taka właśnie sytuacja. Obrzuciła długim spojrzeniem przechodniów, żeby na wszelki wypadek mogli zapamiętać jej twarz, wsiadła do mercedesa i zamknęła drzwi.

— W takim razie jedziemy — powiedziała, zapalając papierosa.

20

Jechali bocznymi ulicami, kierując się na zachód w kierunku Queensbury. Tina próbowała rozpocząć rozmowę, świadoma, jak ważne jest nawiązanie kontaktu z czarnym facetem wyraźnie ważniejszym od tego drugiego. Ale gdy tylko wsiadła do wozu, obaj stali się niepokojąco powściągliwi. Biały w ogóle się nie odzywał, jego przyjaciel odpowiadał na jej pytania krótko, „tak” albo „nie”, ewentualnie w ogóle je ignorował.

Podróż nie trwała długo, najwyżej dziesięć minut. Skręcili w zapuszczony zaułek pomiędzy nowymi niskimi domami komunalnymi i dwoma ponurymi blokami mieszkalnymi. Wóz wjechał na parking przed pierwszym blokiem i zatrzymał się obok przepełnionego pomarańczowego kontenera, który przyciągał roje much. Banda dzieciaków na rowerach górskich wygłupiała się przy zardzewiałych drabinkach.

— Miłe miejsce — powiedziała Tina, gdy wysiadła z wozu, krzywiąc się.

— Pan Daroyce lubi się trzymać blisko swoich korzeni — rzucił czarny facet, gdy szli do wejścia.

Tina zauważyła, że dzieciaki patrzą na niego z szacunkiem, a potem kierują na nią wrogie spojrzenia. Jezu, pomyślała. Co ze mną nie w porządku? Równie dobrze mogłabym nosić błyskające niebieskie światło na czole.

Ruszyli na dziesiąte piętro pomalowaną graffiti windą z czarnymi śladami dymu wzdłuż dwóch ścian, jakby ktoś

próbował ją podpalić. Jechali w milczeniu, ciszę przerywało tylko trzeszczenie kabli. Tina robiła się coraz bardziej nerwowa. Nie lubiła chodzić sama do odizolowanych miejsc z ludźmi, przed którymi zwykle ostrzegają matki, zwłaszcza nieuzbrojona i bez łączności z kolegami. Zastanawiała się, czy nie spróbować odejść, ale miała wrażenie, że jej nie pozwolą.

Gdy wysiedli z windy na mroczny korytarz, gdzieniegdzie oświetlony przez brzęczące świetlówki, z cieniami po kątach, przypomniała sobie o czymś, co przeżyła w czasie swoich wędrówek z plecakiem. Zaskoczyła ją burza, gdy płynęła łodzią rybacką pomiędzy wyspami w południowej Indonezji. Ogromne ciemne fale wznosiły się i łamały nad pokładem, miotając niewielką łupiną. Rybacy nie kryli przerażenia, co zwiększało jej strach, gdy desperacko trzymała się ławki, przekonana, że naprawdę umrze. Nagle przyjaciel, z którym podróżowała, pochylił się i z ponurym uśmiechem krzyknął w huk fal: „To niewielka pociecha, ale pewnego dnia z przyjemnością będziesz opowiadać tę historię!”. I tak było. Przeprawili się, sztorm przeminął, a życie płynęło dalej. Morał był taki, że nigdy nie jest tak źle, jak się wydaje.

Powtarzała sobie, że wyjedzie stąd w miarę szybko, życie będzie płynąć dalej, a ona będzie się śmiać z tego przy ginie z tonikiem, skulona na kanapie.

Mieszkanie, do którego zmierzali, znajdowało się na końcu korytarza. Wiedziała, które to, ponieważ przypominało Fort Knox. Wejścia strzegła żelazna krata, drzwi były wzmocnione szeregami wyciętych domowym sposobem stalowych płyt i zaopatrzone w nie mniej niż pięć zamków. Do futryny za kratą przymocowana była maleńka kamera z obiektywem wycelowanym na wysokość głowy.

Czarny facet wyjął pęk kluczy i otworzył drzwi, co zajęło mu prawie minutę. W dusznym wnętrzu unosił się zapach trawki,

szli wąskim korytarzem do kiego oświetlonego pokoju w głębi mieszkania. Stał tutaj tylko stół z krzesłami po obu stronach.

Na jednym z krzesel, z nogą założoną na nogę, tyłem do nich, siedział niski, dobrze zbudowany czarny mężczyzna w brzoskwiniowym garniturze. Miał fedorę w tym samym kolorze, włożoną na bakier, z dwoma pawimi piórkami za otokiem, więc razem wzięwszy, wyglądał jak nowojorski alfons z lat siedemdziesiątych. Nie odwrócił się, gdy czarny goryl usunął się z drogi, żeby Tina mogła wejść do pokoju. Lekko skinął ręką, wskazując jej wolne krzesło.

— Słyszałem, że pyta pani o Patricka Phelana — zaczął, patrząc na nią spod runda fedory, gdy usiadła. — Glina, co?

Głos miał łagodniejszy, niż się spodziewała, mówił z miejscowym akcentem, choć z egzotyczną nutką. Gdy podniósł głowę, zobaczyła, że jest młody, niespełna trzydziestoletni, z szeroką chłopięcą twarzą i ciemnymi inteligentnymi oczami. Zdecydowanie nie spodziewała się kogoś takiego i teraz, gdy dwaj mężczyźni, którzy ją tu przywieźli, zniknęli w innym pokoju, nieco się odprężyła.

— Tak — odparła. — Jestem gliną. — Formalnie rzecz biorąc, była agentką, ale nie warto było tego wyjaśniać, skoro, jak się zdaje, nikt nie pojmował różnicy. — Pracuję dla Agencji do walki z Przystępczością Zorganizowaną. A pan to na pewno Leon Daroyce.

Dotknął palcem runda kapelusza i uśmiechnął się lekko.

— Zgadza się.

— I tak, pytałam o Patricka Phelana. Szukamy go.

Daroyce powoli pokiwał głową.

— Podobnie jak ja — rzekł cicho, ledwo poruszając ustami, więc słowa brzmiały niemal jak syk.

Pochylił się na krzesło i skrzyżował ręce na stole. Były drobne i zaskakująco delikatne, biorąc pod uwagę jego

budowę, w zestawieniu z masywnymi złotymi sygnetami na większości palców. Powoli wypuścił powietrze przez ściągnięte wargi i przeszył Tinę niemal hipnotycznym spojrzeniem.

— Coś pani powiem, panno Boyd — syknął. — Jestem przedsiębiorcą, drobnym biznesmenem. Pożyczam pieniądze jak bank, tyle że w przeciwieństwie do banku nie zadaję setek pytań. Nie każę klientom wypełniać stosu formularzy. Wie pani, co ktoś kiedyś powiedział? Bankier to ktoś, kto pożycza ci parasol, gdy świeci słońce, i prosi o zwrot, gdy tylko zacznie padać.

— Mark Twain.

Wzruszył ramionami niezainteresowany.

— Ja taki nie jestem. Nie odprawiam ludzi z kwitkiem. Wszystkim, o co proszę, jest zwrot pożyczonych pieniędzy, i procenty. To wszystko. Świadczę usługi. Zrobiłem to dla Pata Phelana. Tylko że on, jak się zdaje, nie wywiązał się z umowy. Jest mi winny trzydzieści pięć tysięcy funtów, panno Boyd. Muszę odzyskać tę sumę.

— Nie rozumiem, jak mogę pomóc.

— Pani go szuka. O czym chcecie z nim gadać?

— Sądzymy, że jest zamieszany w oszustwo — skłamała. Jeśli Daroyce i jego przyjaciele biorą udział w porwaniu, będą wiedzieli, że nie powiedziała prawdy, ale zaczynała myśleć, że nie biorą. W przeciwnym wypadku, dlaczego, do licha, mieliby ją tu sprowadzać?

— To do niego podobne. Ten facet to padalec. Zostanie zwolniony za kaucją?

— Nie wiem.

— Proszę posłuchać, panno Boyd, przypuszczalnie możemy sobie pomóc. Ja muszę odzyskać pieniądze, bo jak komuś odpuszczę, będę bardzo źle wyglądał i moja firma ucierpi. Rozumie pani, o czym mówię?

— Chyba tak.

— Jeśli usłyszysz pani, gdzie on jest, wystarczy do mnie zadzwonić, żebyśmy mogli znaleźć się tam pierwsi. Dam dziesięć kawałków w gotówce. — Sięgnął do kieszeni brzoskwińskiej marynarki, wyjął gruby plik używanych banknotów, położył go przed nią na stole. — Nieźle jak za pięć minut pracy, prawda?

Spojrzała na pieniądze, zastanawiając się, kto przez nie ucierpi, potem podniosła wzrok na Daroyce'a.

— Zobaczę, co będę mogła zrobić.

— Nie — rzekł cicho. — To za mało. Chcę usłyszeć, że pani to zrobi.

Jego ton był teraz zimny.

Tina zastanowiła się szybko. Nie miała zamiaru pomagać Daroyce'owi i na pewno nie mogła wziąć jego pieniędzy. Jednak wyrażenie zgody prawdopodobnie umożliwi wydostanie się z tego miejsca.

— Zgoda, zrobię to. Oczywiście, jeśli go znajdziemy. Da mi pan numer, żebym mogła zadzwonić?

Obdarzył ją wcześniejszym półuśmiechem.

— Jasne. — Wyjął wizytówkę z kieszeni i podał jej. Na kartoniku widniał tylko odręcznie napisany numer telefonu.

Schowała wizytówkę do kieszeni.

— Wciąż nie rozumiem, do czego jestem panu potrzebna. Wygląda na to, że ma pan oczy i uszy w całej okolicy. O mnie dowiedział się pan całkiem szybko.

— Wszędzie szukałem Phelana, ale wydaje się, że jest lepszy w znikaniu niż w graniu. Miał oddać mi piętnaście kawałków w zeszłą niedzielę. Nie pokazał się i oczywiście nie oddał. Poprosił o parę dni zwłoki. Powiedziałem mu, że ma dwadzieścia cztery godziny. Znowu się nie pojawił. Zacząłem go szukać. Wiem, gdzie mieszka, ale nie ma tam jego wozu i jak słyszałem, jego

też nie. Ale — dodał, patrząc na nią niemal wesoło — mam coś, co może się pani przydać.

— Co takiego? — Tina pochyliła się z ciekawioną.

— Rzecz w tym, panno Boyd, czy mogę pani ufać.

Spojrzała mu w oczy, wytrzymała jego spojrzenie.

— Tak, może mi pan zaufać. Jeśli go znajdziemy, dam panu znać. To, co pan potem zrobi, to pańska sprawa.

Daroyce pokiwał głową, jakby się z nią zgadzał.

— Phelan ma dziewczynę. Niezła łaska. Trochę stara jak na mój gust, ale dobrze się trzyma.

— Jest pan pewien, że to nie jego żona?

Pokręcił głową.

— Nie, wiem, jak wygląda jego żona. To nie ona. Była tu. Dziewczyna. Przyszła z nim parę tygodni temu, gdy oddawał pięć kawałków długu. Nie wiem, kim jest ani gdzie mieszka, ale zdecydowanie są sobie bliscy i miałem wrażenie, że tych pięć kawałków to jej forsa.

— Może pan ją opisać?

— Mogę zrobić coś lepszego. Pokażę pani jej zdjęcie.

Pochylił się i wyjął kopertę, którą jej podał. Wewnątrz Tina znalazła jedno zdjęcie z kamery sprzed drzwi Daroyce'a. Przedstawiało twarze mężczyzny i kobiety, oboje wyglądali na zdenerwowanych. Mężczyzna stał z tyłu. Tina rozpoznała Pata Phelana. Jakość zdjęcia pozostawiała wiele do życzenia i twarz kobiety była lekko ziarnista, ale mimo to nie ulegało wątpliwości, kim ona jest. Tina widziała jej zdjęcie na stronie Centrum Zdrowia i Urody Feminine Touch ledwie parę godzin temu.

Była to Isobel Wheeler, partnerka biznesowa Andrei Devem.

21

— Zna ją pani?

— Nie, ale chyba dam radę ją znaleźć.

Tina umiała kłamać. Wiedziała, jak przybierać minę pokerzysty.

— Dobrze.

Leon Daroyce uśmiechnął się szeroko i Tina nie bez wysiłku zachowała kamienną twarz, gdy po raz pierwszy zobaczyła jego zęby. Miał w nich dość złota, by zaopatrzyć mały sklep jubilerski, ale nie to przyciągnęło jej uwagę. Wszystkie zęby spiłowane były w ostre jak brzytwa szpice. Usta Daroyce'a stanowiły zabójczą broń, te szczęki z łatwością mogłyby zabić.

Widząc jej reakcję, zachichotał — dziwny, wysoki dźwięk przyprawił ją o ciarki.

— Podobają ci się, kochanie? Dziewczyny zawsze z początku trochę się boją, ale gdy zobaczą, co mogę nimi robić, zawsze wracają po więcej. — Powiódł językiem po ostrych zębach.

Tina musiała się stąd wydostać. Pokój nagle wydał się gorący, przyprawiał ją o klaustrofobię. Podniosła kopertę, schowała zdjęcie i wstała.

— Proszę mi więc pozwolić zabrać się do pracy.

— Nie zapomniałaś o czymś? — Ruchem ręki wskazał pieniądze.

— Nie mogę teraz ich przyjąć. Jeszcze nic nie zrobiłam.

— Ale zrobisz, prawda?

— Jeśli go znajdziemy, tak.

— Wyglądasz na spragnioną — powiedział, zmieniając temat. — Chcesz drinka?

Tina głośno wciągnęła powietrze.

— Dzięki, ale muszę iść.

— Usiądź na parę sekund. Chcę ci coś pokazać. Śmiało — ponaglił, wskazując krzesło. — To nie potrwa długo.

Z niechęcią zrobiła, co kazał.

— Co takiego?

— Władzę — szepnął.

— Słucham?

Powtórzył bezgłośnie słowo, potem odwrócił się w stronę drzwi.

— Kobieto, przynieś mi wody! — krzyknął i parę sekund później do pokoju wbiegła chuda, rozczochrana dziewczyna rasy mieszanej, nie więcej niż osiemnastoletnia. Była ubrana w brudną koszulkę i czarne stringi.

Tina zauważyła, że ma siniaki na gołych nogach. Unikając ich spojrzeń, dziewczyna postawiła butelkę wody Evian na stole przed Daroyce'em i szybko się odwróciła, ale jego dłoń śmignęła jak bicz i zamknęła jej rękę w mocnym, bolesnym uścisku. Dziewczyna wzdrygnęła się ze strachu, ale nic nie powiedziała.

— Wie pani, czym jest władza, panno Boyd? — zapytał Daroyce, zaciskając rękę na nadgarstku dziewczyny z taką siłą, że się skrzywiła. — Władzę masz wtedy, gdy cię szanują, gdy wzbudzasz lęk, gdy ludzie robią wszystko, co każesz. Pokażę pani, co mam na myśli. — Popatrzył na dziewczynę z błyskiem w oku. — Jesteś moja, prawda, kobieto?

— Tak — szepnęła.

— Sprawia pan jej ból, panie Daroyce. Niech pan puści jej rękę.

Zignorował ją, przyciągając dziewczynę do siebie.

— Na kolana.

Dziewczyna uklękła.

— Nie musi pan tego robić — oświadczyła Tina stanowczo, przerażona tym, co mogło się stać. — Wierzę panu.

Daroyce uderzył dziewczynę grzbietem dłoni. Mocno. Policzek odbił się echem w pokoju. Tina skrzywiła się, gdy głowa nastolatki zakołysała się pod wpływem ciosu, a potem szybko wróciła do poprzedniej pozycji. Dziewczyna nie zapłakała, nie krzyknęła. Klęczała, patrząc prosto przed siebie, broda jej drżała, gdy zaciskała zęby z bólu. Strach zniknął z jej oczu zastąpiony przez uległość osoby pokonanej.

Tina wstała i zwróciła się do niej.

— Jestem policjantką — powiedziała, pokazując jej legitymację. — Możesz odejść ze mną. Nie musisz tu zostawać. — Nie dodała, że dziewczyna może również wnieść oskarżenie; o tym mogły porozmawiać później, gdy znajdą się w bezpieczniejszym miejscu.

Nastolatka milczała, wciąż patrząc przed siebie.

— Chodź. — Tina wyciągnęła rękę. — Możesz iść ze mną.

Daroyce zachichotał.

— Każ jej spadać, kobieto.

Tym razem dziewczyna spojrzała na Tinę. Cały lewy policzek miała czerwony, z paroma małymi skaleczeniami, gdzie uderzyły sygnety Daroyce'a.

— Spadaj — powiedziała beznamiętnie.

— Chodź, mogę zabrać cię do domu.

Ale Tina wiedziała, że to na nic. Oczy dziewczyny były pozbawione wyrazu.

Daroyce uśmiechnął się szerzej, pokazując zęby, gdy zobaczył sfrustrowaną minę Tiny. Potem spoważniał.

— Precz! — warknął, a dziewczyna natychmiast zerwała się z podłogi i uciekła za drzwi.

Tina schowała legitymację do kieszeni.

— Wychodzę i chcę ją zabrać.

— Nie rozumie pani, panno Boyd? Ona z panią nie pójdzie. Za skarby świata. Ponieważ jest moja.

— Niewolnictwo zostało zakazane w tym kraju dwieście lat temu, Daroyce. Może pominął pan obchody dwóchsetlecia.

— Może odejść, jeśli chce, Boyd. Ale nie odejdzie. Bo jest mi winna i s płaca dług.

— Nie obchodzi mnie...

— Dość! — Trzasnął ręką w stół, uciszając ją. — Pokazałem ci ją, żebyś wiedziała, że to nie przelewki.

— Jest pan brutalem.

Pogroził jej palcem.

— Nie, nie jestem brutalem. Brutale tyranizują słabych. Ja jestem gotów zmierzyć się z każdym. Jestem również człowiekiem honoru i kiedy ludzie łamią dane słowo, odbieram to jako poważną zniewagę. Wtedy sprawiam, że cierpią. Ta mała dziwka raz mnie wykiwała i teraz płaci za swoją głupotę. Tak jak zapłaci Pat Phelan, gdy go dorwę. — Wstał i choć był niższy od Tiny, emanował takim okrucieństwem, takim złem, że zastraszyłyby dwa razy większego mężczyznę. — Pani też dała mi słowo — dodał cicho, z rozmysłem pokazując zęby. — Jeśli więc pozna pani miejsce pobytu Phelana, chcę o tym usłyszeć. W przeciwnym razie, panno Boyd, moi ludzie przyjdą po panią. Czy pani rozumie?

Tina wytrzymała jego spojrzenie, ale stwierdziła, że trudno jej zachować zimną krew. Bała się i on o tym wiedział.

— Rozumiem — odparła.

— Dobrze. Czy moi ludzie mają podrzucić panią tam, skąd ją zabrali?

Pokręciła głową.

— Nie, nie trzeba. Przejdę się.

Przesunął się, żeby ją przepuścić. Tina poczuła subtelny zapach drogiej wody kolońskiej. Niemal chciała przystanąć, żeby rozkoszować się nim chwilę dłużej, ale przypomniała sobie, co ten drań zrobił przed chwilą.

— Uważaj na siebie — szepnął. — Tutejsze ulice mogą być bardzo, bardzo niebezpieczne.

Zignorowała go i wyszła na wąski korytarz. Wielki czarny facet w okularach wyłonił się z innego pokoju i bez słowa otworzył dla niej drzwi frontowe. Nigdzie nie widziała dziewczyny, ale szczerze mówiąc, nie wypatrywała jej zbyt pilnie, bo pragnęła wyjść stamtąd jak najszybciej.

Z przeprowadzonej rozmowy dowiedziała się wielu rzeczy o Pacie Phelanie: rzeczywiście był winien pieniądze Daroyce'owi; prosił go o parę dni zwłoki w spłacie długu; miał romans z partnerką biznesową swojej żony... Ale nie mogła się na niczym skupić, gdy szła szybko bocznymi ulicami, w żadnym konkretnym kierunku, prześladowana wspomnieniem twarzy nieznanym dziewczyny, która padła na kolana i dała się pobić bandycie — człowiekowi, który groził również jej, Tinie, jeśli nie zrobi tego, co kazał.

Czuła ciśnienie narastające pod czaszką. Była twarda. Musiała być, skoro zniosła ciężki, które dało jej życie w ciągu kilku ostatnich lat, ale od czasu do czasu siły ją zawodziły, jak teraz.

Musiała się napić. I to szybko.

Tuż przed nią był pub, knajpa dla robotników z wystawioną na zewnątrz tablicą reklamującą mecze futbolowe w telewizji Sky. Przed wejściem stało kilku brzuchatych budowlańców, paląc papierosy. Drzwi były otwarte. Wydawało się, że ją zapraszają.

Wiedziała, że nie powinna tego robić. Wiedziała, co oznacza jeden drink. Ale to było trudne. Cholernie trudne. Czuła rozpaczliwą potrzebę przyłożenia szklaneczki do ust, złagodzenia ciosów, które spadły na nią tego popołudnia — nie, cholera, które zasypały ją w ciągu ostatnich czterech lat.

Nigdy nie pij na służbie, powiedziała sobie. Nigdy. Ciężko pracujesz, dobrze sobie radzisz. Mogą cię nie lubić, ale cię szanują. Jeśli teraz pęknie, będziesz skończona.

Oczyrna duszy ujrzała twarz martwego kochanka. John Galman był dobrym człowiekiem, miłym, lepszym niż ona. Kochał ją, mówił to wiele razy, a ona mu wierzyła. Johnnie był kłamcą. W zasadzie też go kochała. Myślała, że może do czegoś dojdzie. A potem umarł.

A potem, kurwa, umarł.

Weszła do pubu, nie zwracając uwagi na obłe spojrzenie dziadka przy barze, i zamówiła podwójny gin bez lodu, ignorując wewnętrzny głos, który wrzeszczał, żeby tego nie robiła. Decyzja zapadła.

Wypiła drinka jednym haustem.

— Zły dzień? — zapytał barman, chudy nastolatek z szopą rudych włosów.

— Kurewsko fantastyczny — odparła i zamówiła drugiego drinka.

Położyła dziesiątkę na barze i tym razem wypiła gin wolniej, rozkoszując się palącym smakiem, gdy alkohol spływał do gardła. Skutki były natychmiastowe i poczuła znajomy zawrót głowy. Wiedziała, że jeśli wypije następnego drinka, nie będzie odwrotu. Dzień pracy zostanie spisany na straty. Tropy, na które trafiła, tropy, które mogły ocalić życie nastoletniej dziewczynie, pozostaną w ukryciu, dopóki nie wytrzeźwieje. Tina nie należała do ludzi, którzy umieją pracować po pijanemu. Stawała się niezdarna i senna. Koledzy od razu to zauważą i jej wstydlivy mały sekret, który skrywała tak długo,

nagle wyjdzie na jaw. Nie mogła do tego dopuścić. Miała swój honor. Cierpiała, ale cierpiała samotnie. Nie chciała litości ani pomocy, a teraz naprawdę nie chciała zostać wyłączona z tej sprawy.

Pieprzyć Leona Daroyce'a. Nie pokona jej. Dopła drinka i odstawiła szklaneczkę na bar, stukając głośniej, niż zamierzała, zabrała resztę i wyszła z powrotem na ulicę.

Czas wrócić do pracy.

CZĘŚĆ CZWARTA

22

— Mam upoważnienie do pobrania pieniędzy — powiedział Wielki Barry ponuro, patrząc nad biurkiem na Bolta. — Nie poszło łatwo. Parę osób z góry opowiadało się za negocjowaniem. Nie od razu ich przekonałem, że najlepiej działać w ścisłej tajemnicy. I jak możesz sobie wyobrazić, nikt nie chciał wziąć odpowiedzialności za podpisanie zgody na wydanie pół miliona funtów.

Bolt pokiwał głową. Właśnie minęła czwarta i był z powrotem w biurze Wielkiego Barry'ego. Pomimo słonecznego dnia ogrzewanie pracowało pełną parą i w pokoju panowała duchota. Bolt nagle poczuł pustkę w żołądku. Chciał coś zjeść w drodze do kwatery głównej, więc wstąpił do Pret a Manger po kanapkę i butelkę soku, ale zdołał przełknąć tylko dwa kęsy i popić je sokiem. Wewnętrzne napięcie sprawiało, że nie mógł siedzieć spokojnie, a co dopiero skupiać uwagę na słowach szefa.

— Jeśli stracimy te pieniądze — mówił Barry — obaj znajdziemy się w poważnych kłopotach. Naprawdę nie stać nas na zawalenie sprawy, stary druhu.

Bolt bez słowa pokiwał głową.

— Gdy dostaniemy torbę z okupem, każę wszyć dwa nadajniki w materiał. Nie ma absolutnie żadnych szans, żeby zostały znalezione. Będziemy mieli również dwa dodatkowe schowane wśród pieniędzy, na wypadek gdyby porywacze

zmienili torby. Oczywiście nie są niezawodne. Możemy zgubić sygnał, mogą zamilknąć. Wszyscy o tym wiemy. Dlatego potrzebujemy wsparcia obserwatorów. Proponuję dwa zespoły naziemne. Jeden pojedzie za panią Devem, drugi obsadzi miejsce dostarczenia okupu, gdy tylko porywacze je określą. W ten sposób będziemy mieli oko na teren i na sam okup. Do tego zabezpieczenie, wsparcie powietrzne. Helikopter będzie czekał w gotowości, by podjąć tropienie pieniędzy. Dzięki temu zyskamy absolutną pewność, że nam nie znikną. Będziemy śledzić okup do miejsca przeznaczenia, a tam rozpoczniemy negocjacje i spróbujemy zakończyć sprawę pokojowo. Dziewczyna zostanie uwolniona, sprawcy trafią za kratki, a pieniądze bezpiecznie wrócą w nasze ręce.

Urwał z zadowoloną miną.

— Co o tym myślisz?

— Myślę — zaczął Bolt, desperacko siląc się na obiektywizm — że to bardzo ryzykowne.

Barry okazał lekką irytację. Może niezupełnie przewrócił oczami, ale był tego bliski.

— Oczywiście, że ryzykowne. Mamy do czynienia z profesjonalnymi porywaczami, Mike. Operacja tego rodzaju zawsze jest ryzykowna. Była ryzykowna dziś rano, a przecież przemawiałeś za takim rozwiązaniem.

Ale rano nie wchodziła w rachubę możliwość, że ta „dziewczyna”, jak beznamietnie nazywał ją Barry, jest jego córką. W drodze Bolt myślał o postawieniu wszystkiego na jedną kartę, ale szybko uznał, że to byłby zły ruch. Barry nie miałby innego wyboru, jak odsunąć go od sprawy z powodu związków osobistych, a on absolutnie nie mógł na to pozwolić.

— Miałem czas do namysłu — powiedział. — Ci ludzie jak na razie nie popełnili błędu. Jeśli nie rozegramy tego właściwie, prawdopodobnie ją zabiją.

— Zatem rozegramy to właściwie — oznajmił Barry stanowczo.

— Nie sądzi pan, że lepiej byłoby sprowadzić negocjatorów? Gdy porywacze zrozumieją, że zamierzamy się do nich dobrać, być może będą chcieli zminimalizować straty i wypuszczą Emmę.

— Jest też możliwe, że tego nie zrobią. Sam tak powiedziałeś.

Bolt wypuścił powietrze.

— Pewnie ma pan rację.

Barry ściągnął brwi.

— Dobrze się czujesz, stary druhu?

Bolt pokiwał głową.

— Tak, świetnie. — Ale się pocił, koszula lepiała mu się do ciała.

— Podjęliśmy decyzję — mówił Barry. — Nie ma sensu do tego wracać. SOCA potrzebuje ładnego, głośnego sukcesu. Jeśli rozegramy to właściwie — a co to tego nie ma wątpliwości, ponieważ nie zamierzamy zostawiać niczego przypadkowi — agencja wypadnie wyjątkowo dobrze, a my w szczególności. Nieczęsto dostajemy pochwały. Dopilnujmy, żeby tym razem nas nie ominęły.

— W porządku, ale nie podoba mi się pomysł z helikopterem. Jeśli porywacze go zauważą, wpadną w panikę.

— Będziemy go trzymać z daleka od wyznaczonego miejsca dostarczenia okupu, nie ma obawy. I zostanie użyty tylko jako wsparcie.

Bolt nie był przekonany, ale spieranie się nie miało sensu. Barry już zdecydował, jak mają to rozegrać. Prawdę mówiąc, zrobił to przed rozpoczęciem zebrania, przez co Bolt czuł, że jego obecność nie gra roli.

— Jak pani Devem? — zapytał Barry.

— Trzyma się.

— Śledczy z Hertfordshire wciąż nie są zadowoleni z jej historii.

Bolt grzbietem dłoni wytarł pot z czoła.

— Dlaczego?

— Cóż, poplamiała się krwią ekskochanka na miejscu zbrodni.
— Barry pozwolił sobie na lekki uśmiech. — Musisz przyznać, że to bardziej niż trochę podejrzane.

Bolt miał ochotę zmasać ten uśmieszek z twarzy szefa. Po raz pierwszy w życiu nagle wczuł się w sytuację ofiary przestępstwa — poznał frustrację samotnej walki z urzędnikami, którzy nigdy w wystarczającym stopniu nie przejmują się ludzkim nieszczęściem.

— Jestem pewien, że nie podoba im się jej historia — powiedział, starając się zachować spokojne brzmienie głosu — ale jej córka rzeczywiście została porwana. Widziałem ją na wideo, które porywacze przysłali trzy godziny temu. I ludziom, którzy ją przetrzymują, zdecydowanie zależy na okupie. O ile więc pani Devem sama tego nie zorganizowała, świadomie narażając córkę na ogromną traumę, musimy przyjąć, że mówi prawdę.

Barry czekał, aż Bolt skończy.

— Zgadzam się z tobą — rzekł w końcu — ale mam wrażenie, że jeśli chodzi o panią Devem, nie wszystko jest takie, jak się wydaje. Powinniśmy ją obserwować.

Bolt pokiwał głową.

— Słusznie.

Jego szef miał rację. Andrea była przerażająco tajemnicza. Umiała również manipulować ludźmi, za co Jimmy Galante zapłacił życiem i o czym teraz on się przekonywał.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł jeden z młodszych członków zespołu, Kris Obanje, wysoki, przystojny czarnoskóry

mężczyzna, lubiący teatr amatorski.

— Sytuacja się rozwija — oznajmił z typowym teatralnym gestem.

Bolt poczuł przyspieszone bicie serca i zacisnął zęby. Do licha, co się stało?

— Dostaliśmy informacje od operatora sieci komórkowej, z której usług korzysta Emma Devem i Pat Phelan. — Głos Krisa, bogaty baryton, rezonował w pokoju. — Telefon Phelana został wyłączony o szesnastej czterdzieści siedem we wtorek na parkingu przed przychodnią stomatologiczną. Według recepcjonistki w tym czasie Emma była w gabinecie. Komórka Emmy została wyłączona dwanaście minut później, o szesnastej pięćdziesiąt dziewięć, paręset jardów od gabinetu, na tej samej ulicy. Zaraz po wyjściu.

— Jedna tajemnica rozwikłana. Wiemy, skąd ją porwali — powiedział Barry. — Z parkingu. To świadczy, że są skłonni do podejmowania ryzyka.

— I że znają się na technice, skoro od razu wyłączyli komórki.

— Dzięki mediom — parsknął Barry. — Podają do wiadomości publicznej wszystkie sposoby, w jakie możemy śledzić ludzi. Nic dziwnego, że przestępcy są oblatani. Zamierzamy przesłuchać każdego, kto tego popołudnia był u dentysty, może ktoś coś widział.

— Udało nam się prześledzić trasę wozu spod przychodni — powiedział Obanje. Rozwinął kartkę formatu A3 i położył na biurku pomiędzy nimi. Była to fotokopia planu północnego Londynu w dużej skali. Zakrzywiona linia wyrysowanych markerem czerwonych krzyżyków biegła od Hampstead na południu do Barnet i M25 na północy. — Tu jest gabinet dentystyczny — powiedział, pokazując krzyżyk na dole. — A tędy jechali. — Przesunął palcem wzdłuż linii krzyżyków, zatrzymując go przy jednym pośrodku. — Mamy dobre zdjęcie

wozu Phelana zrobione o siedemnastej czternaście. — Rozwinął drugą kartkę, czarno-białe zdjęcie range rovera zrobione z góry. — Wygląda na to, że Phelan prowadzi, a obok niego siedzi nastolatka. Posłaliśmy je do obróbki. Jutro powinniśmy mieć rezultaty.

— Musimy — rzekł Bolt — bo pojutrze nie będą miały znaczenia.

Przyjrzał się uważniej zdjęciu, gdy Obanje przesunął palec dalej. Osoba na fotelu pasażera — dziewczynka, która mogła być jego córką — była znacznie mniejsza niż siedzący obok niej mężczyzna. Miała odwróconą głowę, co uniemożliwiało identyfikację. Ale to była Emma, bez wątpienia. Gdy patrzył na zdjęcie, poczuł przypływ uczuć.

— Jeśli Phelan prowadził i jest zamieszany w porwanie, dlaczego, u licha, miałyby zabierać ją do dentysty? — zapytał Barry.

— Proszę spojrzeć na to — powiedział Obanje, wyjmując trzecią kartkę. Było to kolejne zdjęcie z kamery, tym razem zbliżenie. — Z następnej kamery na tej samej ulicy, zrobione dwie minuty później o siedemnastej szesnaście. Spójrzcie uważnie.

Bolt i Barry pochylili się, ich głowy niemal się zetknęły. Nietrudno było zobaczyć, o co chodzi Obanjemu. Ktoś siedział za kierowcą.

— A więc w porwaniu z parkingu brał udział ktoś jeszcze — zauważył Barry. — Wsiada do wozu, przypuszczalnie przy gabinecie dentystycznym, i albo zmusza Phelana do prowadzenia, albo Phelan jest jego współnikiem. — Zwrócił się do Obanego: — Mamy lepsze zdjęcia?

Obanje pokręcił głową.

— Nie, to jest najlepsze. I gdy wóz przeciął M dwadzieścia pięć na A jeden, o siedemnastej czterdzieści dziewięć, straciliśmy go. W Hendon nie mają więcej zdjęć.

— Więc range rover Phelana mógł zostać porzucony gdzieś tam. — Bolt postukał w mapę blisko ostatniego krzyżyka.

— Mógł, ale niewykluczone, że jeśli skręcili z A jeden na boczne drogi, przejechali dziesięć mil i kamery ich nie zarejestrowały. Będę w kontakcie z Hendon, zobaczymy, czy nie znajda więcej zdjęć, ale nie robiłbym sobie wielkich nadziei.

— Skontaktujemy się również z lokalną policją, może mają zgłoszenia o porzuceniu samochodu w swoim rewirze. — Barry zwrócił się do Obanjego: — Dzięki, Kris. Dobra robota. Oby tak dalej.

— Staramy się. Jest miłym dzieciakiem. Wszyscy chcemy, żeby wróciła do domu. — Zabrał papiery i wyszedł. Barry i Bolt odprowadzili go wzrokiem.

Bolt poczuł, że skurcz w jego brzuchu trochę złagodniał. Jeśli człowiek siedzący za kierownicą wsiadł do range rovera na parkingu przed gabinetem, możliwe, że został zauważony przez przechodniów. Nie było to wiele, ale dawało cię nadziei.

Wstał. Musiał się wydostać z dusznego biura Barry'ego.

— Poślę dwóch ludzi do gabinetu — powiedział i wyszedł.

Ale nie od razu wrócił do pokoju operacyjnego. Ruszył pustym korytarzem do toalety. Ochlapał twarz wodą i spojrzął na siebie w lustrze.

Nie był odpychającym facetem. Włosy wciąż miał bardziej blond niż siwe, choć siwiał szybciej, niżby sobie życzył, twarz pociągłą, szczupłą, z wyrazistymi rysami i silną szczęką z rodzaju tych, która wytrzyma cios w bijatyce. Nawet blizny — jedna z kształcie litery S na brodzie i dwie mniejsze, poszarpane, na lewym policzku — raczej poprawiały, niż pogarszały jego wygląd, a poza tym ich obecność łagodziły oczy. „Śmiejące się oczy”, mówiła Mikaela. Bystre, żywo niebieskie, lśniły życzliwym, rozbajającym zainteresowaniem.

Dziś jednak były przygaszone, bardziej zadumane. Bolt wiedział, że wygląda na wymizerowanego i zestresowanego.

Przez całe dorosłe życie mierzył się ze stresem. Stres z powodu patrolowania londyńskich ulic, gdy jako młody człowiek służył w mundurze, przemienił się w stres towarzyszący ściganiu najbardziej niebezpiecznych bandytów w stolicy, gdy przez dziesięć lat pracował w lotnej brygadzie. Brał udział w kilku wyjątkowo niebezpiecznych operacjach, ale różnica polegała na tym, że wówczas stanowił część zespołu, dzielił napięcie z grupą mężczyzn i kobiet, którzy dokładnie znali jego uczucia, i ich wsparcie zawsze stanowiło pewną pociechę. Dziś był zdany wyłącznie na siebie, a prowadził dochodzenie w sprawie porwania dziewczynki, która mogła być jego córką.

Przez całe popołudnie reagował jak automat, wciąż odtwarzając w głowie różne scenariusze, wracając myślą do tych dawnych dni krótkiego, namiętnego romansu z Andreą, próbując rozgryźć, czy naprawdę jest ojcem dziewczynki, która miała już piętnaście lat, a której nigdy nie poznał. Zastanawiał się, czy kiedyś ją pozna, czy może zobaczy tylko jej zmalretowane zwłoki. Za każdym razem, gdy nachodziła go ta ostatnia myśl, krzywił się i serce biło mu szybciej.

Zmusił się do skupienia uwagi na bieżącym zadaniu. Rozpaczliwie potrzebował przełomu, jednego błędu porywaczy, który pozwoli poznać ich tożsamość i przy odrobinie szczęścia miejsce pobytu. Ale jeśli nikt nie widział porywacza wsiadającego do wozu Pata Phelana na parkingu przed gabinetem dentystycznym, prawdopodobieństwo znalezienia jakiegoś tropu znacznie zmaleje.

Przez długą chwilę Bolt stał i patrzył na wodę skapującą z twarzy, słuchając łomotania serca, wiedział, że cokolwiek się dziś stanie, już nigdy nie będzie tym samym człowiekiem

— Weź się w garść — szepnął. — Ona cię potrzebuje. — I przysiągł sobie, że jeśli Emma przeżyje, przedstawi się jej, i jeśli jest jej ojcem — a Bóg świadkiem, mógł nigdy nie zyskać

pewności — uczyni ją częścią swego życia, czy Andrei będzie się to podobało, czy nie.

Tymczasem jednak musiał przestać o niej myśleć.

Zabrzęczała komórka. Spojrzał na zegarek. Dwadzieścia po czwartej. Wyjął telefon z kieszeni.

Dzwoniła Tina.

23

Od chwili, gdy Okrutny przeciągnął nożem po jej twarzy, uśmiechając się pod kominiarką na widok jej przerażenia, Emma wiedziała, że nigdy jej nie wypuści.

Później, gdy wyłączył kamerę, patrzył na nią przez dłuższy czas oczyma martwej ryby.

— Myślę, że kłamiesz, mała dziwko. Widziałaś moją twarz, prawda? — Pochylił się, aż ich twarze niemal się zetknęły, i głośno wciągnął powietrze przez nos. — Cuchniesz kłamstwem — szepnął.

Dała mu słowo, że nie kłamie, nawet przysięgła na życie mamy. Ponieważ to była prawda, naprawdę nic nie widziała — tylko to, że ma ciemne włosy. On jednak jej nie wierzył i patrzył na nią, aż w końcu zamknęła oczy, bo nie mogła dłużej znieść jego spojrzenia.

— Jeśli kłamiesz, mała dziwko, to zdechniesz — zagroził, idąc ku schodom.

Krzyknęła jeszcze raz, że nie, naprawdę musi jej uwierzyć, ale nie odpowiedział i parę sekund później zniknął, zamykając za sobą drzwi piwnicy.

Przez długi czas kuliła się na łóżku, z kolanami przyciśniętymi do piersi, zbyt wstrząśnięta i przerażona, żeby się ruszyć, zastanawiając się, dlaczego chciał ją zabić, skoro musiało być jasne, że mówiła prawdę. Dlaczego był taki okrutny? Przecież nie zrobiła mu nic złego. Nikomu nie zrobiła

nic złego. Mama nazywała ją opiekunką i taki miała charakter. Troszczyła się o ludzi. W szkole była dziewczynka, Natalie, której dokuczały starsze uczennice, i Emma interweniowała, nawet pobiła się z jedną z nich, żeby zmusić je do zaprzestania prześladowań (i przestały: dały za wygraną, choć były większe), ponieważ nie lubiła, gdy ktoś kogoś terroryzował.

Ale teraz nie miało to znaczenia.

Kiedy zrozumiała, że Okrutny naprawdę może ją zabić, ogarnął ją strach, który nie przypominał niczego, czego doświadczyła wcześniej, strach znacznie gorszy niż poprzedniego dnia, gdy przynajmniej miała nadzieję, że ten koszmar się skończy, a ona wróci do mamy. Teraz była pewna, że tak się nie stanie. Gdy tylko przestanie być potrzebna, nastąpi koniec. Okrutny pozbędzie się jej, a ona nic nie zrobi, ponieważ była całkowicie bezradna.

Zastanawiała się, jak to zrobią. Pistolet czy poduszka na twarz? A może tamten nóż? Nie mogła o tym myśleć. Czy zostanie zasztyletowana? To byłaby powolna, straszna śmierć, wszędzie krew. Nie mogła znieść myśli, że mama będzie identyfikować ją w jakiejś kostnicy, kiedy wreszcie znajdą jej ciało. Oczywiście, jeśli w ogóle je znajdą. Może przepadnie na zawsze, jak jeden z tych dzieciaków, które znikają i słuch po nich ginie. Jeśli muszą to zrobić, miała nadzieję, że dadzą jej pigułki, żeby mogła po prostu zasnąć, i już. To będzie straszne, będzie tęsknić za mamą i koleżankami, nawet za nauczycielami — no, za kilkoma — ale przynajmniej bezbolesne.

Ale nie chciała umierać. Boże, nie chciała. Na samą myśl o tym znowu się rozplakała.

A potem, gdy siedziała zupełnie sama, zaszła w niej pewna zmiana. Zrozumiała, że nie może leżeć beczynnym i płakać. Musi coś zrobić, cokolwiek. Gdy miała dziewięć lat, omawiali na historii pewien temat. Mówili o brytyjskich jeńcach w Niemczech podczas drugiej wojny światowej, jak zawsze

podejmowali próby ucieczki. Jak często im się nie udawało i byli karani, ale nie zaprzestawali prób, i niektórym — dość wielu — nawet się udało.

Było ciężko, ale kiedy myśl o ucieczce zaświtała jej w głowie, poczuła dziwny przypływ nadziei. Wstała i gorączkowo szarpnęła kajdanki. Odkąd je włożyli, straciła na wadze i teraz z wielkim wysiłkiem zdołała przesunąć obrączkę o jakieś pół cala poza nasadę kciuka. Za mało, żeby się uwolnić, ale przynajmniej był to jakiś początek. Jeszcze pół cala, a zyska szansę. Zdecydowała, że przestanie jeść. Będzie czuła mdłości i osłabnie, ale warto spróbować.

Potem pociągnęła za łańcuch przypięty do obręczy na kostce, próbując wyrwać płytę mocującą go do ściany. Po kilku próbach płyta ani drgnęła, ale gdy szarpnęła z całej siły, całym ciężarem ciała, jakby przeciągała linę, była pewna, że coś usłyszała. Metalowa płyta, nowa, najwyraźniej założona specjalnie dla niej, chyba lekko się poluzowała. Ponieważ sama ściana była stara, Emma uznała, że jakoś zdoła ją oderwać. Wprawdzie nadal będzie miała kajdanki na rękach i łańcuch na nodze, ale przynajmniej zyska większą swobodę ruchów.

Zaczęła drapać paznokciami cegły wokół płyty, w konsekwencji łamiąc większość z nich. Odpadło parę drobin, ale płyta się nie poruszyła. Emma potrzebowała jakiegoś narzędzia, więc przejrzała całą podłogę, przeszukała wszystkie zakamarki, aż w kącie pod łóżkiem znalazła zardzewiały gwóźdź. Powoli, ostrożnie skrobała cegły gwoździem, metodycznie odłupując kawałeczek po kawałeczku. Była to powolna, żmudna praca, ale z każdym okruszkiem spadającym na podłogę zbliżała się do celu.

Musiała się tylko modlić, żeby starczyło jej czasu.

24

— Więc jednak Pat Phelan mógł maczać w tym palce? — zapytał Mo Khan, gdy jechał z Boltem do domu Andrei.

— Na pewno miał motyw. Jest winien mnóstwo forsy bardzo niebezpiecznemu człowiekowi, który nie zawaha się użyć siły, żeby ją odzyskać. Dzwonił do niego dwa dni przed porwaniem, prosząc o prolongatę długu. To niezły zbieg okoliczności, jeśli nie jest zamieszany, prawda?

Mo pokiwał głową.

— I nie jest praworządnym obywatelem. Obibok i drobny przestępca, który sypia z partnerką biznesową żony. Problem w tym, że to nie doprowadzi nas do Emmy, a jeśli Phelan jest zamieszany w porwanie i ona o tym wie, nie zechce jej uwolnić.

— No nie wiem — rzekł Bolt powoli. — Liczę na to, że z powodu osobistych relacji nie będzie chciał jej skrzywdzić.

— Przy założeniu, że ma sumienie. Ktoś, kto w celu spłacenia długów hazardowych porywa własną pasierbicę i naraża ją na piekło, które okaleczy ją psychicznie na całe życie, jest według mnie zdolny do wszystkiego.

Bolt zacisnął palce na kierownicy.

— Ale wciąż nie mogę rozgryźć jednej sprawy. Jeśli jest w to zamieszany, dlaczego też zniknął? Dlaczego nie ustawił wszystkiego, nie zadbał o alibi na czas porwania i po prostu nie został w domu, udając niewinnego, odradzając Andrei pójście na policję i czekając na swoje pieniądze? Dlaczego?

Mo wzruszył ramionami.

— Może jest głupi.

Bolt pokręcił głową.

— Nie, jedno wiemy na pewno, sprawcy nie są głupi.

Jechali do domu Andrei, żeby poinformować ją o ostatnich odkryciach. Bolt przez piętnaście minut rozmawiał przez telefon z Tiną Boyd i z zadowoleniem usłyszał, że odkryła pewne tropy, ale też zmartwił się, gdy powiedziała mu, że została porwana z ulicy i groził jej Leon Daroyce. Nazwisko nic mu nie mówiło, ale szybkie sprawdzenie w policyjnej bazie danych wykazało, że Daroyce jest nieprzyjemnym zbirzem z kilkoma wyrokami za stosowanie przemocy. Był również oskarżony o liczne inne przestępstwa, łącznie z wymuszeniem i co bardziej złowieszcze, próbą morderstwa. Wszystkie oskarżenia zostały oddalone, gdyż świadkowie wycofali zeznania albo odmawiali ich składania, a w jednym wypadku świadek po prostu zniknął. Daroyce był niebezpiecznym człowiekiem, to jasne.

Jednak Tina nie sprawiała wrażenia zbyt przygnębionej. Przeciwnie, mówiła z podnieceniem, co było do niej niepodobne. Zwykle panowała nad emocjami i zachowywała chłodną powagę, co czasami denerwowało jej kolegów. Bolt chciał dać jej wolne do końca dnia, świadom, że choć może robić dzielną minę, jeszcze będzie zszokowana tym, co się stało, ale wiedział też, że jego podwładna odrzuci propozycję, co oczywiście zrobiła. Tina Boyd nie była osobą, która lubi być traktowana w aksamitnych rękawiczkach, co zawsze u niej podziwiał. W końcu kazał jej wrócić do Szklanego Domu i wesprzeć zespół.

Bolt doszedł do wniosku, że ma coraz większe problemy ze skupieniem myśli na czymkolwiek poza Emmą. Wiedział, że wygląda na zestresowanego. Prowadził, mocno ściskając kierownicę, i Mo dwa razy pytał go, czy wszystko w porządku.

Odparł, że tak, że to tylko zmęczenie, co w jego zespole nie było niczym nadzwyczajnym. Regularnie pracowali po sześćdziesiąt, nawet siedemdziesiąt godzin w tygodniu, ale czuli się źle, nie mówiąc Mo niczego o swoich kłopotach. Przyjaźnili się, odkąd się dobrze poznali. Ale Bolt doskonale zdawał sobie sprawę, że w chwili, gdy otworzy usta, postawi kolegę w niezręcznej sytuacji. Zrobił kiedyś coś podobnego i przysiągł, że drugi raz nie wystawi ich przyjaźni na próbę.

Za dwadzieścia szóstą podjechali przed dom Andrei, uprzedziwszy telefonicznie obserwatorów o swoim przybyciu. Bolt się nie zdziwił, gdy dowódca zespołu zameldował, że przez cały dzień na ulicy nie zauważono podejrzanej aktywności. Wyglądało na to, że porywacze wciąż starają się trzymać w cieniu.

Bolt wcisnął brzęczyk na bramie i natychmiast zostali wpuszczeni. Ogród wyglądał jeszcze ładniej w popołudniowym słońcu. Na progu stanęła Andrea ubrana w koszulkę LA Fitness i źle dopasowane spodnie dresowe. Zmyła makijaż i wyglądała starzej. Oczy miała czerwone, widać było, że niedawno płakała.

— Jakies wiadomości? — zapytała.

— Niestety, nie — odparł Bolt, gdy przesunęła się, żeby ich przepuścić — ale musimy zadać parę pytań.

Matt Turner i Marie Cohen, oficer łącznikowy, stali w holu. Bolt skinął im głową, gdy Andrea prowadziła ich do salonu. Usiadła na długiej skórzanej sofie, a on i Mo zajęli miejsca w fotelach naprzeciwko.

Marie zajrzała do pokoju i zapytała, czy ktoś ma ochotę na filiżankę herbaty. Bolt odmówił, Mo i Andrea poprosili o kawę.

— Co chcecie wiedzieć? — zapytała, gdy drżącymi rękami zapaliła papierosa i wydmuchnęła strużkę bladoniebieskiego dymu.

Bolt nie kwapił się z wyjaśnieniami. Czuł, że to będzie przypominać kopanie leżącego.

— Dowiedzieliśmy się z bardzo wiarygodnych źródeł, że pan Phelan miał bardzo duże długi hazardowe. Wie pani coś o tym?

Wyglądała na szczerze zaskoczoną.

— Jest pan pewien? Jak wysokie?

— Sądzymy, że dziesiątki tysięcy funtów.

— O Boże, nie. Ostatnio późno wracał do domu, ale nie miałam pojęcia, że gra. Na co stawiał?

— Tracił pieniądze w kasynie, ale chodzi o to, że jest winien mnóstwo pieniędzy bardzo paskudnym typom.

— Czy słyszała pani o Leonie Daroycie, pani Devem? — zapytał Mo, odzywając się po raz pierwszy.

Pokręciła głową.

— Czy tej osobie Pat jest winien pieniądze? Myślicie, że to on porwał Emmę?

— To możliwe — przyznał Bolt. — Nie wiemy na pewno. Niewykluczone, że Daroyce obecnie szuka pani męża, żeby odzyskać dług.

Andrea kolejny raz łapczywie zaciągnęła się papierosem.

— Ale przecież to on ma motyw. Nie aresztujecie go? Nic nie zrobicie?

— Daroyce i jego ludzie są obecnie inwigilowani, jeśli więc brali udział w porwaniu, szybko się o tym dowiemy. — Bolt urwał. — Ale od naszego źródła wiemy, że Pat dzwonił do Daroyce'a w zeszłą niedzielę wieczorem i powiedział, że odda pieniądze w ciągu paru dni. Dzwonił tylko dwa dni przed porwaniem.

— Chce pan powiedzieć, że jest w to zamieszany? — zapytała, ale głos jej się załamał.

— Dopuszczamy taką możliwość.

— Nie zrobiliby tego. Naprawdę się o nią troszczy.

W pokoju zapadła cisza. Bolt pochylił się w fotelu.

— Zmierzamy do tego, Andreo, że jeśli pan Phelan nie bierze udziału w spisku, to skąd porywacze znali plany jego i Emmy? Myślmy, że do uprowadzenia doszło na parkingu przed gabinetem dentystycznym, gdzie Emma była umówiona na wizytę.

Oczy Andrei wypełniły się łzami.

— Proszę nie używać słowa „uprowadzenie”. Wydaje się wtedy, sama nie wiem, jakby porwali ją jacyś pedofile, jakby miała już nigdy nie wrócić.

— Przepraszam. Zabrali. Porywacze wiedzieli, że Emma tam będzie. A my musimy się dowiedzieć skąd.

Marie weszła do pokoju z kawą dla Mo i Andrei. Andrea zrezygnowała ze swojej.

— Kto ma dostęp do tego domu, pani Devem? — zapytał Mo, gdy wziął kawę i podziękował Marie. — I kto poza panią, panem Phelanem i pani córką zna kod alarmu antywłamaniowego?

— Nikt z wyjątkiem sprzątaczk, a ona pracuje w tym domu od lat.

Gdy Mo zapisywał dane sprzątaczk, zabręczała komórka Bolta. Dzwonił dowódca zespołu obserwacyjnego. Bolt przeprosił i przeszedł na drugą stronę pokoju, tak by Andrea go nie słyszała.

— Nieznajoma kobieta zatrzymała się przy bramie pani Devem. Czarne włosy, po czterdziestce. Za chwilę zadzwoni.

W holu zabrzmiał brzęczyk i Matt Turner wetknął głowę przez drzwi salonu.

— Spodziewamy się kogoś? — zapytał go Bolt.

— Nic o tym nie wiem.

— W takim razie zignoruj. Miejmy nadzieję, że odejdzie.

Parę sekund później brzęczyk znów się odezwał, tym razem dzwonił dłużej.

— Cholera — zaklął dowódca zespołu obserwacyjnego.

— O co chodzi?

— Otwiera furtkę i wchodzi.

Bolt też zaklął. Taki był problem z działaniem na prywatnym terenie. Zakończył rozmowę, gdy klucz przekręcił się w zamku drzwi frontowych.

— Andrea? — Usłyszeli kobiecy głos. — Kim pan jest? — zapytała oskarżycielskim tonem, gdy zobaczyła Turnera.

— W porządku, Isobel, jestem tutaj! — zawołała Andrea, podnosząc się szybko. — To moja partnerka w interesach — wyjaśniła.

Bolt i Mo wymienili spojrzenia, gdy do pokoju weszła Isobel Wheeler, druga połowa Centrum Zdrowia i Urody Feminine Touch. Była piękną kobietą, mniej więcej czterdziestopięcioletnią, długie do ramion czarne włosy i oliwkowa skóra sugerowały śródziemnomorskie pochodzenie. Nosila krótką czarną suknię do połowy uda — Bolt pomyślał, że to strój odpowiedniejszy dla nieco młodszej osoby — i czarne czółenka na wysokim obcasie. Na nim nie zrobiła wrażenia, ale potrafił zrozumieć, dlaczego niektórzy mężczyźni mogli tracić dla niej głowę.

Isobel i Andrea pocałowały się w oba policzki.

— Przyszłam zobaczyć, czy czujesz się lepiej — powiedziała Isobel, odsuwając się od Andrei i rozglądając po pokoju z chłodną pewnością siebie, którą tylko mały krok dzieli od arogancji. — Co tu się dzieje? Kim są ci wszyscy ludzie?

Bolt otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale Andrea go ubiegła.

— Pat zniknął — powiedziała ze zmartwieniem w głosie. — Nie widziałam go od kilku dni.

Isobel zrobiła zaskoczoną minę.

— Dlatego nie pokazałaś się w tym tygodniu? Wcale nie byłaś chora?

Andrea pokręciła głową

— Nie. Czekałam, aż wróci do domu, ale nie wrócił. Policja go szuka.

— Jak myślisz, co się stało? Pokłóciliście się czy co? — W tonie Isobel brzmiała oskarżycielska nutka.

— Nie, nic takiego. Po prostu pewnej nocy nie wrócił do domu. Nie mam pojęcia, co się stało.

Isobel zwróciła się do Bolta:

— Dlaczego go nie szukacie?

— Nie wydaje mi się, że zostaliśmy sobie przedstawieni — rzucił chłodno. — Kim pani jest?

— Isobel Wheeler — warknęła. — Dlaczego go nie szukacie?

Boltowi ta kobieta nie przypadła do gustu, ale był za mądry, żeby reagować na jej gburowatość.

— Szukamy go — wyjaśnił spokojnie — ale, niestety, nie ma prawa zakazującego mężczyznom wychodzenia z domu, nawet na długi czas, a w tej chwili nic nie wskazuje na to, że zostało popełnione przestępstwo.

— Pat nie odszedłby tak po prostu — oświadczyła zdecydowanie.

— Zna go pani dobrze, prawda?

— Znam go dość dobrze — odparła krótko i zapytała Andreę: — I nie masz pojęcia, gdzie on się podziewa?

Andrea znów pokręciła głową.

— Wszędzie sprawdzałam. Nie mam pojęcia, gdzie jest ani dlaczego odszedł.

Bolt był pod wrażeniem jej postawy, ale jej naturalne zachowanie i gładkie kłamstwa też go denerwowały.

Isobel patrzyła na Andreę przez parę sekund, potem pochyliła się i uściskała ją.

— Zostać z tobą? — zapytała.

— Dam sobie radę, naprawdę.

— Informuj mnie na bieżąco, dobrze?

Oczywiście.

— I nie martw się o pracę. Wszystko będzie w porządku.
Andrea zdobyła się na nikły uśmiech.

— Dzięki, Iz. Jestem wdzięczna.

— Jeśli nam pani wybaczy, panno Wheeler — wtrącił Bolt — musimy omówić pewne szczegóły z panią Devem.

Isobel wyniośle skinęła głową.

— Zadzwoń — powiedziała do Andrei, potem minęła Turnera i wyszła do holu.

Bolt poszedł za nią i otworzył drzwi.

— Ma pan pojęcie, co się z nim stało? — szepnęła Isobel, gdy minęła go i stanęła na schodach. — To znaczy, tak naprawdę? Bo czterech policjantów to strasznie dużo jak na zbieranie informacji o zaginionej osobie.

Bolt pokręcił głową.

— Nie, niestety, nic nie wiemy.

Machnęła ręką w kierunku salonu.

— Uważajcie na nią — powiedziała, ale zanim Bolt zdążył zapytać, co ma na myśli, odwróciła się i odeszła ścieżką.

Bolt patrzył za nią, zastanawiając się, o co jej chodziło. I dlaczego nie zapytała, gdzie jest Emma.

25

— Mówiła pani, że tylko sprzątaczką ma dostęp do domu — powiedział Mo, gdy Bolt wrócił do salonu.

Andrea siedziała na sofie zarumieniona.

— Przepraszam, zapomniałam, że dałam klucz Isobel. To było w zeszłym roku. Prosiłam, żeby miała oko na dom, gdy byliśmy na urlopie.

— I na pewno nie ma nikogo innego, o kim powinniśmy wiedzieć?

W zdecydowany sposób pokręciła głową.

— Na pewno nie.

Bolt pomyślał o słowach wypowiedzianych przez Isobel na schodach.

— Jesteście w dobrych stosunkach? — zapytał.

Andrea pokiwała głową.

— Dość dobrych. Jest moją partnerką w interesach. Znam ją od lat. — Jej mina się zmieniła. — Chyba nie chce pan powiedzieć, że ona też ma coś z tym wspólnego, prawda? Najpierw Pat...

— Nie, nie — odparł spiesznie. — Oczywiście, że nie. Ale sądzimy, że nieprzypadkowo została porwana właśnie pani córka. Jeśli pan Phelan nie bierze w tym udziału, musimy wiedzieć, skąd ludzie, którzy wzięli was na cel, znali wasze plany. Jeden ze sposobów polegałby na założeniu podsłuchu w domu.

— Przecież mówiliście, że nie znaleźliście pluskiew.

— Nie było ich, gdy sprawdzaliśmy dziś rano, ale ktoś, kto może swobodnie wchodzić do domu, mógł usunąć urządzenia podsłuchowe.

— Jezu, to niedorzeczne. Isobel jest prawnikiem, nie kimś z MI Pięć. Co miałyby zyskać?

— Próbujemy rozpatrzyć wszelkie możliwości, to wszystko — powiedział, zdając sobie sprawę, że jeśli wspomni o romansie Isobel z jej mężem, to prawdopodobnie dopełni czary goryczy.

Andrea sięgnęła do stolika po papierosy, wzięła jednego z paczki i zapaliła.

— Mike — zaczęła, patrząc mu prosto w oczy — czy jest coś, o czym mi nie mówisz?

Pytanie go zaskoczyło, podobnie jak fakt, że zwróciła się do niego w tak nieformalny sposób w obecności Mo. Musiał się powstrzymać, żeby na niego nie spojrzeć.

— Nie — odparł, kręcąc głową. — Jak wspomniałem, to tylko rutynowe dociekania.

Gdy mówił, spostrzegł stare oprawione zdjęcie Emmy na antycznej komodzie w kącie przy drzwiach balkonowych — uśmiechnięta twarz dziecka patrzyła na niego pod dziwnym kątem. Przez chwilę nie mógł oderwać wzroku i czuł, jak kropla potu spływa mu po skroni.

Andrea wstała.

— Jeśli nie macie więcej pytań, chciałabym położyć się na chwilę.

Skinął głową.

— Oczywiście. Matt i Marie tu zostaną.

Wyszła z pokoju, a Bolt wytarł pot z czoła. Był to długi dzień i wiedział, że jutrzejszy będzie jeszcze dłuższy. Niewiele więcej mogli zrobić, więc kazał Turnerowi i Marie mieć oko na

Andreę. Obiecawszy Mattowi, że później ktoś go zmieni, pożegnał się i wyszedł razem z Mo.

Odetchnął z ulgą, gdy znalazł się z dala od zdjęć Emmy. Patrzenie na nie było torturą.

— Wciąż mam wrażenie, że pani Devem nie mówi nam wszystkiego — powiedział Mo, gdy wracali do wozu.

— Cholera, Mo — warknął Bolt — jej córka zaginęła. Powie nam wszystko, co tylko może, żeby ją odzyskać, nie sądzisz?

Zatrzymał się przy wozie i odetchnął głęboko zaskoczony złością w swoim tonie. Mo nie krył zdziwienia.

Bolt westchnął.

— Przepraszam, nie powinienem tego mówić. To tylko, wiesz... myślę, że ona niczego nie ukrywa.

W milczeniu wsiedli do wozu. Bolt wziął głęboki oddech. Stres go dopadał. Świadomość, że może stracić jedyne dziecko, i to zanim je poznał, wpływała na każdy jego krok. Zaczynał wątpić, czy sobie poradzi.

— Co jest, szefie? Co się z tobą dzieje?

Bolt unikał zatroskanego spojrzenia kolegi.

— Nic, naprawdę. — Była to jego stereotypowa odpowiedź. Zabrzmiała głucho. Nie mógł się zmusić, żeby nadać jej choćby cień znaczenia.

Zapadła długa cisza. Bolt siedział z kluczykiem w dłoni, trzymając go parę cali od stacyjki, bez ruchu.

— No dalej, mów — ponaglił go w końcu Mo cichym głosem. — W przeszłości dzieliliśmy się problemami.

— Wiem.

— Ważnymi sprawami. Sprawami, o których nie wie nikt inny.

— Wiem.

— No to mów.

W tej chwili Bolt zrozumiał, że tama musi runąć, niezależnie od konsekwencji. Wsunął kluczyk do stacyjki, ale nie zapuścił silnika.

— Piętnaście lat temu miałem romans z Andrea Devem.

— Pomyślałem, że coś między wami było. W domu...

— Jest coś więcej.

Mo przez chwilę nic nie mówił, potem jakby zrozumiał.

— O cholera, szefie. Nie mówisz, że... że Emma ma coś wspólnego z tobą?

— Na to wygląda.

Bolt powtórzył, co powiedziała mu Andrea.

— Skąd wiesz, że pani Devem, Andrea, nie wciska ci kitu? — zapytał Mo, gdy Bolt skończył. — Zwłaszcza że dokładnie to samo powiedziała Jimmy'emu Galante.

Bolt westchnął.

— Nie wiem, Mo. Ale daty pasują. Sprawdziłem.

— Ale w tym samym czasie spotykała się z Galante'em, prawda?

— Zgadza się. I miała męża.

— Cóż, lubiła używać życia — powiedział Mo z dezaprobatą w głosie.

— Nie wiem, co zrobić. To mnie rozdziera na strzępy.

— Istnieje możliwość, że dziewczyna nie jest twoją córką, szefie. Musisz spojrzeć na to w ten sposób. Bez obrazy, ale jeśli Andrea, mężatka, spotykała się z Galante'em i z tobą, możliwe, że byli też inni.

— Ale jeśli to prawda...

— Jeśli to prawda... — Mo urwał, zastanawiając się. Ostrożnie dobierał słowa. — Wtedy musimy dopilnować, żeby Emma wróciła do domu.

Bolt przeciągnął ręką po twarzy, palce znalazły blizny na lewym policzku. Potarł mocno płytkie zagłębienia w ciele.

— Widziałeś, co ci dranie zrobili Galante'owi. Nie zamierzają jej uwolnić, prawda?

— Nie wolno tracić wiary, szefie.

— Wiary w co, Mo? W co?

— Jeśli nie wierzysz w Boga, a wiem, że nie wierzysz, przynajmniej pokładaj wiarę w nasze zdolności. Bywaliśmy już w tarapatach.

— Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Naprawdę.

— Wiem.

— Wiesz?

— Mam czworo dzieci, szefie. Wierz mi, wiem.

Znów zamilkli. Bolt czuł napięcie ściskające wszystkie mięśnie.

— Wiesz — zaczął Mo, patrząc przez okno — w Indiach jest wioska, gdzie nad Gangesem, gdzie czczą święte kobry. Nie pozwalają ich krzywdzić i jest ich tam pełno. W szkołach, w kuchniach, w sypialniach dzieci, wszędzie. Ale nikt nie zwraca na nie najmniejszej uwagi, ponieważ mieszkańcy są przekonani, że kobry ich nie pokąsają. I wiesz, jeśli nawet ktoś zostanie ukąszony, wieśniacy uważają, że to pomyłka ze strony kobry, że skutki działania jadu nie będą długotrwałe, bo przecież otaczają gady czcią. Jad kobry może zabić, jeśli w porę nie poda się surowicy. To fakt stwierdzony medycznie. Ale wiesz co? W wiosce nie odnotowano ani jednego przypadku śmierci z powodu ukąszenia przez węża. Jak powiedziałem, szefie, musisz wierzyć, że wszystko będzie dobrze.

Popatrzyli na siebie. Bolt był pod wrażeniem determinacji malującej się na twarzy kolegi. Trochę mu ulżyło, gdy podzielił się swoimi uczuciami. Był również zaskoczony, że Mo nie zasugerował, iż powie o tym Barry'emu Freudowi. Mo był jego przyjacielem, ale również profesjonalistą, który wiedział, że

podejmuje ryzyko, przemilczając związek swojego szefa z ofiarą porwania i jej matką.

— Ani słowa, dobrze? — powiedział Bolt. — To nie wpłynie na mój sposób kierowania operacją, obiecuję.

Mo pokiwał głową.

— W porządku, szefie, ale dopóki rzeczywiście nie wpłynie. Wygląda na to, że ciśnienie staje się zbyt...

— Nie wpłynie. Obiecuję.

— Ale jeśli tak, będę musiał powiedzieć. Rozumiesz, prawda?

— Tak, rozumiem.

Bolt zaczął przekręcać kluczyk w stacyjce, ale sparaliżowały go następne słowa.

— Służyłeś w lotnej brygadzie, gdy spotykałeś się z Andreą?

Choć ton Mo nie brzmiał oskarżycielsko, znaczenie słów było jasne. Lotna brygada zajmuje się sprawami napadów z bronią w rękę. Kobieta, z którą romansował Bolt, sypiała również z człowiekiem popełniającym takie przestępstwa. W grę wchodziła oczywista możliwość korupcji, a lotna brygada miewała już z tym problemy w przeszłości. Bolt nie czuł się urażony, ale zraniło go, że przyjaciel czuł potrzebę zadania tego pytania.

— Gdy tylko się dowiedziałem o Galancie, skończyłem to — oznajmił stanowczo.

— Dobrze. To wszystko, co chciałem wiedzieć.

Zapadło krępujące milczenie. Bolt już kiedyś przekroczył linię z Mo, dwa lata temu, i bezgraniczne zaufanie, którym się zawsze darzyli, zostało wystawione na ciężką próbę. Coś podobnego działo się również teraz.

— Jedziemy — powiedział, zapuszczając silnik.

26

Mike Bolt mieszkał w przestronnej kawalerce na trzecim piętrze przebudowanego magazynu w Clerkenwell, niedaleko od miejsca, gdzie służył jako mundurowy. Przeprowadził się tam cztery lata temu, rok po śmierci żony. W normalnych okolicznościach nie byłoby go stać na czynsz w wysokości jednej czwartej jego pensji w SOCA, ale płacił symboliczną kwotę. Mieszkanie należało do zamożnego ukraińskiego biznesmena, któremu pomógł przed laty.

Tamta sprawa była bardzo podobna do obecnej. Olga, dwudziestoletnia córka Staniewicza, została uprowadzona z ulicy przez konkurencję ojca i Bolt dowodził zespołem, który miał ją uwolnić. Wtedy szybko się dowiedzieli, z kim mają do czynienia i gdzie jest przetrzymywana ofiara porwania. Bolt osobiście negocjował z porwaczami i dziewczyna została uwolniona, cała i zdrowa, za co jej ojciec był dożgonnie wdzięczny. To porwanie było jedyne, którym się zajmował, i nie umknęła mu ponura ironia tego faktu, gdy wszedł do mieszkania i zamknął za sobą drzwi.

Zwykle lubił to miejsce. Trudno go było nie lubić, skoro zostało odnowione zupełnie za darmo. Podłogi z polerowanego teku, wysoki sufit pocięty krzyżującymi się belkami przywróconymi do dawnej świetności, a do tego istne arcydzieło: stare okna wyjęto i zastąpiono wielkim pasem barwionego szkła od podłogi do sufitu, który biegł przez całą wschodnią stronę mieszkania, zapewniając widok na jasne

światła Londynu z wysokimi wieżami Barbicanu sterczącymi za stojącymi naprzeciwko budynkami. Jeszcze wczoraj Bolt siedział w fotelu ze szklaneczką Cotes du Rhône rocznik dwa tysiące piąty, patrząc na miasto, słuchając starej płyty Herbiego Hancocka, czując cichą satysfakcję, że sprawa prania brudnych pieniędzy została pomyślnie zakończona, i rozmyślając o weekendzie z Jenny Byfleet. Świat wydawał się wtedy dobrym, przyzwoitym miejscem i po raz pierwszy od jakiegoś czasu naprawdę był zadowolony. I przez cały ten czas zegar tykał, odmierzając sekundy do momentu, gdy wszystko nagle i strasznie się skomplikuje. Jak tamtej nocy sprzed pięciu laty, gdy oboje z Mikaelą pomachali przyjaciółom, z którymi spędzili wieczór, wsiedli do samochodu i ruszyli na spotkanie z przeznaczeniem.

Dochodziła ósma, gdy Bolt zzuł buty, nalał resztę wczorajszego wina do wielkiego kieliszka, wypił duży łyk i spróbował się odprężyć. W drodze do domu zadzwonił do Jenny i starając się mówić lekkim tonem, przeprosił, że musi odwołać spotkanie. Gdy zapytała, czy chce je przełożyć, powiedział, że odezwie się do niej. Słyszał rozczarowanie w jej głosie, gdy kończył rozmowę. Też powinien być zawiedziony, ale w tej chwili o to nie dbał. Myślał tylko o sprawie, o tym, jak Andrea znów pojawiła się w jego życiu i jak po wszystkich tych latach znowu mocno namieszała.

Usiadł w fotelu, ale prawie od razu wstał. Dawanie odpoczynku nogom nie wydawało się właściwe. Nie wtedy, gdy umysł pracował jak rozkołysane serce dzwonu. Zaczął krążyć po pokoju, myśląc o tym, co Mo powiedział o Andrei, że nie jest całkiem wiarygodna, że coś ukrywa. Przypomniał sobie słowa Isobel Wheeler: Uważajcie na nią. I przede wszystkim rozmyślał o swojej znajomości z Andream, i jak pewnej nocy piętnaście lat temu, ledwie osiem tygodni po nawiązaniu

romansu, rzuciła taką bombę, że wszystko pomiędzy nimi zakończyło się z hukiem, którego echo pobrzmiwało do dzisiaj.

Doskonale pamiętał tę noc. Było to w czasach, gdy telefony komórkowe wciąż miały wielkość cegieł, i długo przedtem, nim Bolt zaczął traktować komórkę jako rzecz codziennego użytku. Wrócił do domu po paru drinkach z dwoma kumplami z lotnej brygady i znalazł nagrany na sekretarce wiadomość od Andrei. Prosiła, żeby pilnie oddzwonił, jeśli odsłucha nagrania przed wpół do jedenastej, podała nieznany mu numer i dodała, że pod żadnym pozorem nie wolno mu dzwonić później. Jeśli nie odezwie się przed tą godziną, sama zadzwoni, gdy będzie miała okazję. Wiadomość została nagrana za dwadzieścia dziesiąta, piętnaście minut wcześniej, i głos Andrei wyrażał nietypowy strach. Zadzwonił do niej natychmiast, a ona odebrała po pierwszym sygnale, najwyraźniej czekając na telefon.

— Mike, chwała Bogu, że dzwonicz. Nie wiem, jak ci to powiedzieć.

— O cokolwiek chodzi, mów śmiało. Może pomogę.

Odetchnęła głęboko i przemówiła cicho:

— Dojdzie do napadu z bronią w rękę. Jutro rano, pomiędzy dziesiątą i dziesiątą trzydzieści. Na furgonetkę policyjną przewożącą ładunek kokainy do spalania z Lewisham Nick do Orpington.

Bolt oblał się zimnym potem, słysząc te słowa.

— Skąd o tym wiesz? — zapytał.

— Po prostu wiem — odparła nieprzekonująco.

— Muszę mieć coś więcej. Muszę znać szczegóły. Na przykład, skąd masz te informacje.

Na drugim końcu linii panowała cisza.

— Andreo, nie mogę iść do szefa i prosić o zgodę na jakiegokolwiek działanie, dopóki nie będę wiedział czegoś więcej.

Nie do końca była to prawda. Mógłby to zrobić, gdyby naprawdę chciał, ale przede wszystkim musiał się dowiedzieć, skąd kobieta, z którą on, oficer lotnej brygady, spotykał się od dwóch miesięcy, ma informacje o przestępstwie akurat takiego rodzaju, w jakim się specjalizował.

— Widuję się z pewnym facetem — powiedziała. — Nazywa się Jimmy Galante.

— Spotykając się ze mną? — zapytał, już znając odpowiedź.

— Tak. — Po chwili dodała: — Przepraszam, Mike. Spotykam się z nim od jakiegoś czasu. Poznałam go przed tobą.

Miał ochotę na nią nawrzeszczyć, ale zdołał się powstrzymać. Słuchał, gdy mówiła, że Jimmy jest na bakier z prawem, co zawsze wiedziała, tylko że nie zdawała sobie sprawy, jak poważnych przestępstw się dopuszcza. Aż do tego wieczoru, kiedy w jego mieszkaniu podsłuchiwała, jak rozmawiał z kumplem o planowanym napadzie.

— Poszedł do drugiego pokoju i myślał, że go nie słyszę, ale przez cały dzień był nerwowo, kiedy więc zadzwonił telefon, zbliżyłam się do ściany i wszystko usłyszałam. Gdy wrócił do sypialni, leżałam w łóżku, więc nic nie podejrzewa. Potem powiedział, że musi wyjść i wróci około wpół do jedenastej.

Do dziś Bolt pamiętał niesmak, jaki czuł, gdy mu powiedziała o powrocie do łóżka innego mężczyzny, jak skręcało go wewnątrz. Nie widział Andrei prawie od tygodnia, ponieważ powiedziała, że jest zbyt zajęta, a przez cały czas pieprzyła się z jakimś bandziorem.

— Jesteś teraz u niego? — zapytał.

— Tak. Miałam zostać na noc. Billy wyjechał w interesach. Bolt westchnął.

— I jesteś tego absolutnie pewna?

— Tak. Postawiłabym na to własne życie.

— Dlaczego mówisz mi o tym teraz?

— Czy to nie oczywiste?

— Niezupełnie. Dziwię się, że chcesz wyspać swojego... swojego chłopaka.

— Boję się go, Mike. Od jakiegoś czasu chciałam to skończyć, ale on nie wie, co to odmowa. Nawet zagroził, że skrzywdzi Billy'ego, jeśli go zostawię.

— Powiedz mi coś. Kiedy się spotkaliśmy, to był zbieg okoliczności czy to zaplanowałaś?

— Oczywiście, że nie zaplanowałam. Jak mogłabym to zrobić?

Bolt milczał. Chciał jej wierzyć, ale choć był wówczas znacznie młodszy, nie był zupełnie naiwny. Coś w jej historii nie grało. Ale dawała mu cynk i czuł, że ma obowiązek zareagować.

— Wiesz, gdzie się spotkają, żeby dokonać napadu?

— Nie. Powiedziała ci wszystko, co wiem.

— Jeśli spróbujemy ich powstrzymać, a oni będą uzbrojeni, wiesz, co może się stać, prawda? Twój chłopak, faceci, z którymi będzie... Mogą zginąć.

Andrea powiedziała, że rozumie.

— On na pewno będzie miał pistolet. — Tak dokładnie brzmiały jej słowa.

I tak było. Nazajutrz lotna brygada w pośpiechu urządziła zasadzkę, jadąc za obsadzoną przez swoich ludzi furgonetką policyjną, która przewoziła ponad sto kilogramów kokainy z posterunku w Lewisham do spalarni w Orpington. Rzeczywiście napastnicy wykonali swój ruch, przyblokowali furgonetkę na ruchliwej drodze szybkiego ruchu i zmusili ją do zatrzymania się, a potem wyskoczyli w kominiarkach, z bronią w rękę. Działali tak szybko i bezczelnie, że zaskoczyli lotną brygadę, ale tylko na parę sekund.

Lotna brygada działa przez zaskoczenie, z agresją i przytłaczającą siłą. Ich wozy z rykiem wjechały na miejsce

zdarzenia, tworząc luźny kordon wokół furgonetki i pojazdów bandytów, i wyskoczyli z nich wrzeszczący funkcjonariusze. W tej samej chwili dołączyli do nich uzbrojeni gliniarze z furgonetki. Rozległy się krzyki: „Policja, rzucić broń!”. Bolt nigdy dotąd nie czuł takiego kopa adrenaliny, gdy stał w rozkroku, trzymając oburącz rewolwer Colt.

W tej chwili wszystko się pochrzało.

Czterech uzbrojonych bandytów wysiadło z wozów, dwóch — kierowcy — zostało. Jeden z nich otworzył ogień i facet z lotnej brygady, Hammond, który miał trzydzieści jeden lat i właśnie świętował narodziny dziecka, dostał w ramię. Przechodnie szukali kryjówek, gdy drugi bandyta podniósł strzelbę. Nie miał szans nacisnąć spustu. Bolt i glina stojący obok niego otworzyli ogień, trafiając go cztery razy. Dean Hayes, dwadzieścia pięć lat, tylko parę miesięcy starszy od Bolta, notowany od piętnastego roku życia, zmarł trzy godziny później na stole operacyjnym. Tylko jedna kula była śmiertelna. Przebiła mu serce. Późniejsze dochodzenie wewnętrzne wykazało, że wystrzelił ją Bolt.

Gliniarze z furgonetki złapali następnego bandytę i przewrócili go na jezdnię, przyciskając mu broń do pleców. Czwarty strzelił na oślep, a potem oberwał w ramię i siła uderzenia pocisku rzuciła go na ziemię. Ale pierwszy, ten, który postrzelił Hammonda, zdołał wskoczyć do jednego z wozów, potężnej sierry cosworth. Kierowca nagle wrzucił wsteczny, przewracając jednego ze zbliżających się policjantów i łamiąc mu kość biodrową. Uderzył w blokujący drogę wóz lotnej brygady i zepchnął go na pas rozdzielczy — samochód policyjny omal nie potracił Bolta — a potem pomknął przez utworzoną lukę.

Kilku ludzi z zespołu Bolta miało pałki. Jednemu udało się strzaskać boczne okno sierry, zasypując kierowcę szkłem, a drugi rzucił swoją w przednią szybę. Ponieważ ich życie nie

było bezpośrednio zagrożone, nie mogli użyć broni palnej. Bolt pamiętał, że zachował zimną krew, choć przed chwilą pierwszy raz w życiu kogoś zastrzelił. Wycelował w opony sierry, ale wóz nabrał takiej prędkości, że odskoczył na trzydzieści jardów, zanim Bolt miał szansę oddać strzał. Ponieważ wszędzie byli cywile, wiedział, że ponowne pociągnięcie za spust byłoby niebezpieczne.

Wozy patrolowe z posterunku Lewisham szybko przybyły na miejsce zdarzenia i rozpoczął się pościg, który zakończył się dziesięć minut później, gdy sierra zderzyła się z zaparkowaną furgonetką. Kierowca, dobrze znany w świecie przestępczym, został aresztowany, ale pasażer zniknął, uciekł pieszo, nie zdejmując kominiarki.

Po odliczeniu pozostałych członków gangu stało się jasne, że zaden z nich nie jest tajemniczym Jimmym Galante'em, człowiekiem, który dotąd ani razu nie pokazał się na radarze lotnej brygady. Szybko wystawiono nakaz aresztowania i o czwartej rano grupa policjantów, łącznie z Boltem, zjawiała się w jego mieszkaniu. Galante spał. Bolt podejrzewał, że zastanie u niego Andreę, gdyż nie odezwała się od wczoraj. Galante był sam, ani trochę nieprzejęty przedwczesną pobudką, którą urządziło mu sześciu ludzi w czarnych kombinezonach, krzyczących i mierzących do niego z broni.

Galante od samego początku był zarozumiałym draniem. Bolt znienawidziłby go, nawet gdyby nie sypiał z kobietą, w której się zakochał. Co gorsza, był przestępcą, do tego przystojnym. Ale jego pewność siebie była usprawiedliwiona. Choć miał kilka skaleczeń na głowie i posiniaczone żebra, co sugerowało udział w wypadku sierry, wyparł się uczestnictwa w napadzie. Przedstawił niezbite alibi, że w tym czasie przebywał w kawiarni w Islington, gdzie widziało go rzekomo co najmniej pół tuzina świadków, łącznie z właścicielem. Niestety, nie znaleziono ubrania, które nosił w czasie napadu, ani resztek

prochu na jego rękach. Wszyscy wiedzieli, że usunął ślady dokładnym szorowaniem, ale nie mogli nic zrobić. Ponieważ żaden z zatrzymanych nie wskazał na niego palcem, Galante nie został nawet postawiony w stan oskarżenia, a co dopiero skazany.

Bolt czuł frustrację, jak każdy policjant, któremu przestępca wymyka się z braku dowodów; fakt, że strzelił do jego kolegi, czynił sytuację prawie nie do zniesienia. Ale jakoś to zniósł, a wkrótce Galante zniknął ze sceny, przenosząc się do Hiszpanii, z dala od czujnych oczu mściwej lotnej brygady.

Andrea więcej się do Bolta nie odezwała. Próbował skontaktować się z nią kilka razy, lecz nie odpowiadała na jego telefony i musiał się pogodzić z faktem, że ich związek się zakończył. Ale udaremnienie napadu okazało się dla niego przełomem. Jego informacje przyczyniły się do wielkiego sukcesu lotnej brygady, zmaconego tylko przez zranienie dwóch policjantów, a fakt, że zastrzelił gangstera, powiększył jego prestiż wśród kolegów. Ze strony wydziału wewnętrznego nie było żadnych reperkusji — strzelanie do Hayesa uznano za całkowicie usprawiedliwione — i choć kilka razy proszono go o podanie źródła informacji o planowanym napadzie, zawsze twierdził, że jest nim jeden z informatorów, i nie przedstawiał dalszych szczegółów. Ponieważ operacja zakończyła się sukcesem, nikt nigdy go za to nie ukarał.

Wciąż krążył po pokoju. I myślał. Ciągle o Andrei. Jak jej informacje udaremniły poważne przestępstwo i wyłączyły z interesu kilku gangsterów, w tym przynajmniej jednego na stałe. Jak bardzo zmieniło się jej życie w następnych latach. I jak mogła po drodze narobić sobie poważnych wrogów.

Przestał chodzić i odstawił kieliszek na marmurowy blat w kuchni. Miał pewien pomysł i po raz pierwszy od kilku godzin poczuł przypływ nadziei połączony z czymś zbliżonym do podniecenia.

Wyjął komórkę z kieszeni i wystukał numer, pod który nie dzwonił od zbyt długiego czasu.

27

Emma skrobała ścianę zardzewiałym gwoździem, próbując wyprzeć nieustanny strach, zmuszając się do całkowitej koncentracji na tym, co robiła. Było ciemno od ponad godziny, ale wciąż pracowała, choć każda część ciała bolała ją z wysiłku. Była to powolna, żmudna robota, ale celowa. Zrobiła szczelinę prawie na ćwierć cala pomiędzy ścianą a lewą krawędzią płyty, niemal wystarczającą, by wsunąć palec, i kiedy szarpnęła łańcuch, zdecydowanie czuła luz. Jeśli nie zaprzestanie wysiłków, w końcu się uwolni. Była tego pewna. Ale, Boże, jak ciężko szło.

Usłyszała hałas na górze — kroki. Zamarła. Jeśli zobaczą, co zrobiła, ukarzą ją. Okrutny może nawet zdecydować, że dłuższe pozostawianie jej przy życiu jest zbyt ryzykowne, że czas pozbyć się jej na dobre.

Poderwała się, podniosła łóżko, sapiąc z wysiłku, i dopchnęła je do ściany. Starła się nie hałasować, ale metalowe nogi skrzypiały głośno po kamiennej podłodze.

Boże, żeby tylko nie usłyszeli.

Zaciskając zęby, położyła się na łóżku, schowała gwóźdź pod poduszkę i sięgnęła po kaptur.

Kroki ucichły. Czy któryś z nich stał przed drzwiami?

Włożyła kaptur i zamknęła oczy, przerażona, że to może być to. Ostatnie sekundy jej życia. Czy jej wysiłki paru ostatnich godzin pójdą na marne?

Ale drzwi się nie otworzyły.

Minęło pięć minut. Potem dziesięć.

Leżała w ciemności, jej serce biło coraz szybciej, zimne krople potu spływały po czole, gdy nadsluchiwała, czy ktoś jest w piwnicy, wiedząc, że Okrutny lubi się podkradać.

Nic nie słyszała. Panowała cisza. W końcu zebrała się na odwagę, by zdjąć kaptur i spojrzeć. Pokój był pusty.

Więc dziś po nią nie przyjdzie.

Ale nie mogła przestać myśleć, że to tylko odroczenie egzekucji.

W dawnych czasach każdy w lotnej brygadzie miał przydomek. Bolta, nic dziwnego, zwano Świrem⁷, podczas gdy Jacka Doyle'a, człowieka, z którym zamierzał się spotkać, Leserem. Choć pięć lat starszy, był najlepszym kumplem Bolta w brygadzie. Bolt nie znał faceta, który miałby więcej wypadków.

Długa lista obrażeń Doyle'a była legendą: trzy miesiące na wyciągu po upadku z drabiny, gdy próbował zdjąć piłkę z dachu, rzadkie i potencjalnie śmiertelne zakażenie krwi, gdy nastąpił na ość pierwszego dnia miesiąca miodowego, i, najdziwaczniejszy przykład ze wszystkich, miesiąc choroby ze wstrząśnieniem mózgu po turnieju pool, gdy źle trafiona kula bilardowa poderwała się ze stołu, uderzyła go w skroń i pozbawiła przytomności. W jakiś sposób jego wypadki zbiegały się z czasem, gdy koledzy wkraczali do akcji, stąd jego przydomek. Ogromnie go irytowało, ponieważ zawsze należał do najtwardszych członków brygady, a jako odnoszący sukcesy były bokser amatorski nie bał się walki. Po prostu uważał się za pechowca.

Jack (Bolt nigdy nie nazywał go Leserem) był jednym z nielicznych ze starego zespołu, który został w Finchley. Awansował na stopień inspektora. Jego doświadczenie w połączeniu z niemal fotograficzną pamięcią oznaczało, że jeśli ktokolwiek mógł podać Boltowi potrzebne informacje, to tylko on. Choć znali się od lat i od czasu do czasu w weekendy łowili ryby, od ich ostatniej rozmowy minęły miesiące. Mimo to, gdy

usłyszał, że muszą się pilnie spotkać, nie wahał się i zapytał tylko gdzie i kiedy.

Ledwie godzinę po powrocie do domu Bolt wszedł do King's Arms, tłoczego, staroświeckiego pubu na Gray's Inn Road od strony King's Cross. Rozglądał się przez parę sekund, przeciskając przez gwarny tłum klientów, nim zobaczył Doyle'a w boksie w kącie, z dwoma szklankami lagera na stoliku.

Doyle wstał, gdy Bolt się zbliżył, i podali sobie ręce. Jak zawsze jego uścisk był mocny jak imadło. Z wystającą granitową szczęką i kanciastą głową z gęstymi czarnymi włosami Jack Doyle mocno przypominał marionetkę z serialu Thunderbirds — co nie znaczy, że mówienie mu tego wychodziło na dobre. Był dość niski — nie więcej niż pięć stóp dziesięć cali wzrostu — i szczupłej budowy, ale wygląd mylił. Miał dobrze rozwinięte mięśnie i nawet teraz, w wieku czterdziestu pięciu lat, ani uncji tłuszczu.

— Jak się masz, Mikę? — zapytał z silnym akcentem z Glasgow, niezłagodzony przez ponad ćwierćwiecze mieszkania na południu. Wskazał piwo. — Wziąłem jedno dla ciebie.

Bolt uśmiechnął się, gdy usiedli naprzeciwko siebie.

— Dzięki, Jack, w porządku — odparł, zdecydowany nie pokazać podniecenia, które przeżywał. — A co u ciebie?

— Nieźle — odparł Doyle ze znużeniem. — Liczę dni do emerytury.

Tręcili się szklankami.

— Kiedy odchodzisz? Za pięć lat?

— Cztery. I mówię ci, stary, nie mogę się doczekać. Jak życie w SOCA?

Bolt napił się piwa. Dobrze smakowało.

— Pracowite. Dlatego potrzebuję twojej pomocy. Pamiętasz napad w Lewisham w dziewięćdziesiątym drugim? Na

furgonetkę policyjną przewożącą kokę do spalarni?

— Jak mógłbym zapomnieć? Wtedy zdobyłeś ostrogi. Załatwiłeś tego gnoja Deana Hayesa.

Bolt pokiwał głową.

— Właśnie. — Nigdy nie był dumny z faktu, że zabił Hayesa. Facet mógł być, jak ujął to Doyle, gnojem, ale to nie powód, żeby odbierać mu życie. Bolt czuł się trochę nieprzyjemnie, że kolega przypomniał o tym zdarzeniu. — Pamiętasz, co się stało z ludźmi, których zwinęliśmy?

— To się wiąże ze sprawą, nad którą pracujesz?

Wiedział, że zaprzeczanie nie ma sensu.

— Tak.

— To musi być spora sprawa, skoro chciałeś widzieć się ze mną tak pilnie. Możesz podać mi jakieś szczegóły?

— Operacja w toku, więc w tej chwili nie mogę zbyt wiele powiedzieć.

— Nawet staremu kumpłowi?

— Przecież wiesz, Jack, że powiedziałbym ci, gdybym mógł.

— Niech ci będzie. I myślisz, że ci faceci mogą być zamieszani?

— Jeszcze nie wiemy. Ale w tej chwili chciałbym wiedzieć, co się z nimi dzieje, i usłyszeć od ciebie wszystkie informacje na ich temat.

— Cóż, ty załatwiłeś jednego, a my zgarnęliśmy czterech, prawda? Vemon Mackman był kierowcą. Jednym z najlepszych, jak zawsze myślałem. Zmarł na raka pięć lat temu, gdy jeszcze siedział w Scrubs. Co do Barry'ego Tadcastera, wrócił za kratki. Spędził na wolności sześć miesięcy. Połączył siły z paroma rabusiami robiącymi banki i planowali napad, ale wtedy się okazało, że jeden z nich jest kapusiem. Nie przypuszczam, by Tadcaster wyszedł przed moim przejściem na emeryturę.

— A pozostali? Marcus Richardson i ten drugi... Scott jak mu tam?

— Scott Ridgers. Na przemian siedzieli i wychodzili z pierdła. Wiesz, jak wygląda życie takich gości, zawodowych bandziorów. Nigdy się nie zmieniają. Ridgers rabował banki, Richardson rozszerzył działalność o przemyt koki do kraju. O ile mi wiadomo, obaj są na zwolnieniu warunkowym i trzymają się z daleka od kłopotów. Od jakiegoś czasu nic o nich nie słyszałem.

— Ile dostali?

Doyle zastanawiał się przez chwilę

— Ridgers chyba czternaście lat i odsiedział siedem. Richardson więcej, siedemnaście, osiemnaście, coś koło tego, bo strzelił, zanim sam oberwał. Został oskarżony również o próbę morderstwa, choć zawsze twierdził, że pistolet wypalił przypadkiem. Odsiedział osiem czy dziewięć lat.

— Masz adres któregoś z nich?

Doyle uśmiechnął się krzywo.

— Mam dobrą pamięć, Mikę, ale nie cholernie dobrą. Ale będą w bazie danych. Jestem pewien, że obaj wciąż są na wolności.

— Sprawdzę ich.

— Nie zapytałeś o tego, który uciekł. Jimmy'ego Galante'a.

— Tak, pamiętam go. Wyjechał do Hiszpanii, prawda?

Doyle skinął głową.

— Tak, ale słyszałem od jednego ze swoich informatorów, że wrócił do kraju. Ktoś widział go w pubie w Islington.

Bolt udał zainteresowanie.

— Poważnie? Muszę się temu przyjrzeć.

Doyle pociągnął łyk piwa, opróżniając co najmniej jedną czwartą szklanki. Jak na małego faceta zawsze potrafił wchłonąć dużo alkoholu.

— Bez względu na to, w co według ciebie mogą być zamieszani Richardson i Ridgers, musisz pamiętać, że nigdy nie zaliczali się do najbystrzejszych. Galante zawsze był mózgiem ekipy.

Bolt próbował wyobrazić sobie tych dwóch mężczyzn, przypomnieć sobie o nich cokolwiek, ale miał w pamięci białe plamy. To było tak dawno. Zastanawiał się, czy się myli, myśląc, że te sprawy mogą być powiązanie. Napad w Lewisham to zamierzchła przeszłość i o ile się orientował, nikt z lotnej brygady ani spoza niej nie wiedział, że Andrea pomogła go udaremnić. A jeśli nawet ktoś się dowiedział, nie miał powodu czekać piętnaście lat, żeby coś z tym zrobić. Kiedy o tym myślał, to nie miało większego sensu. Ale nie miał innego tropu, a fakt, że Jimmy Galante był zamieszany w obie sprawy, oznaczał, że lepiej być tutaj i zadawać pytania, niż siedzieć w domu.

Milczeli przez dłuższą chwilę nieświadomi otaczającego ich hałasu.

— Dobrze pamiętasz Richardsona i Ridgersa? — zapytał Bolt.

— Niezbyt. Niewiele można o nich powiedzieć o obu. Dwaj bandyci gotowi posunąć się dość daleko, żeby dostać, czego chcą. Wątpię, czy wielu ludzi zachowa o nich miłe wspomnienia, gdy odejdą.

— Myślisz, że któryś z nich mógł być zdolny do porwania dziewczynki? Czternastoletniej dziewczynki?

Doyle ściągnął brwi.

— Więc o to chodzi?

— Między nami, tak. — Bolt wiedział, że stąpa po niepewnym gruncie, rozmawiając o śledztwie z kimś z zewnątrz, ale wiedział też, że to jedyny sposób uzyskania odpowiedzi.

— Porwanie dla okupu?

— Tak, ale nic więcej nie mogę powiedzieć, a ty zachowasz w tajemnicy, co usłyszałeś, zgoda?

— Znasz mnie, Mike. Nie paplam. Dlaczego myślisz, że ci dwaj mogą mieć coś z tym wspólnego?

— To tylko przeczucie.

— Cholera, stary, mówisz jak Columbo. — Doyle obracał w palcach pustą szklankę. — Nie powiem, że coś takiego jest do nich niepodobne. Są przestępcami, do tego chciwymi draniami, jeśli więc jest forsa do wzięcia, to całkiem możliwe, że po nią sięgną.

— Myślisz, że mogliby ją skrzywdzić? Dziewczynkę?

— Chryste, Mike, nie mam pojęcia. O rabusiach dokonujących napadów z bronią w rękę można powiedzieć jedno: są profesjonalistami. Nie dodają lat do wyroku, jeśli mają inny wybór.

Bolt poczuł ulgę, choć wiedział, że to irracjonalne. Jack Doyle nie był psychologiem sądowym.

— Wyglądasz na wykończonego — powiedział Doyle.

— Bo jestem. To był długi dzień.

— Może powinieneś iść do domu.

Ale Bolt jeszcze nie chciał wracać. Podniósł puste szklanki.

— Nie, postawię ci piwo.

— Dzięki. Dla mnie weź Stellę.

Kiedy wrócił, trochę pogawędzili, ale miał kłopoty ze skupieniem się na czymkolwiek innym niż sytuacja Emmy, i zdawał sobie sprawę, że nie jest dobrym kompanem. Złościło go, że nie może się wyluzować, siedząc ze starym przyjacielem przy piwie pod koniec długiego, ciężkiego dnia, i kierował gniew na Andreeę, ponieważ to była jej wina. Gdyby trzymała język za zębami, mógłby jak trzeba wykonywać swoją robotę, zamiast miotać się z miejsca na miejsce wewnętrznie rozdarty.

Dopił drugie piwo i wstał.

— Lepiej pójdę, Jack. Jutro wcześniej zaczynam.

Doyle też się podniósł i uścisnęli sobie ręce.

— Życzę ci szczęścia, Mike.

— Dzięki. Mam nadzieję, że nie będzie potrzebne.

— Nie martw się, nic jej nie będzie. Tacy goście chcą tylko forsy. Nie zaryzykują dwudziestu lat ekstra za zabójstwo.

Łatwo powiedzieć, pomyślał Bolt, gdy się pożegnał i wyszedł w chłodne nocne powietrze. Miał do wyboru albo dwuminutową jazdę taksówką, albo piętnastominutowy spacer. Postanowił się przejść w nadziei, że to może trochę go uspokoi. Przeszedł kilkaset jardów, gdy zabręczała komórka.

Dzwonił Mo. Bolt parę godzin temu zostawił go w Szklanym Domu. Mo powiedział wtedy, że już kończy i wraca do siebie, ale może zmienił zdanie. Bolt otworzył komórkę i podniósł ją do ucha.

— Mo?

— Mamy coś nowego.

Mówił ponuro i Bolt czuł, jak ściska go w dołku na myśl o złych wieściach.

— Co takiego?

— Jestem w domu w Tufnell Park. Lepiej, żebyś tu przyjechał.

N Nuts (ang.) — kopnięty, szurnięty; także: nuts and bolts — dosł. nakrętki i śruby, przen. — podstawy, zasady, przyziemne sprawy.

29

Minęła dwudziesta druga dwadzieścia, gdy Bolt zjawił się pod podanym przez Mo adresem — w kawalerce w jednej z podupadłych georgiańskich kamienic z białej cegły, kilkaset jardów na północ od stacji metra Tufnell Park. Po obu stronach ulicy, zupełnie ją blokując, stało kilkanaście radiowozów i ambulans, a na skraju kordonu gapie, niektórzy w szlafrokach, rozmawiali cicho, wyraźnie przestraszeni i zafascynowani zbrodnią, do której doszło w sąsiedztwie.

Taksówka Bolta zatrzymała się parę jardów od jaskrawożółtej taśmy ograniczającej dostęp do miejsca przestępstwa.

— Chryste, co się tu stało? — zapytał kierowca, gdy wziął należność.

— Morderstwo — powiedział Bolt i wysiadł.

Pokazał legitymację jednemu z mundurowych i został skierowany do furgonetki, gdzie włożył plastikowy kombinezon, który zobowiązani są nosić wszyscy funkcjonariusze, gdy wchodzi na miejsce przestępstwa. Był zmęczony, dwie szklanki piwa, które wypił z Jackiem, zostawiły mu kwaśny smak na języku i suchość w ustach.

Mo czekał na niego przed mieszkaniem numer czterdzieści dwa. Wyglądał, jakby zbierało mu się na wymioty.

— Tam jest dość paskudnie, szefie. Może ci się przydać. — Wyjął tubkę maści z olejkami eterycznymi Vicks.

Bolt nałożył trochę pod nos i westchnął. Ostatnią rzeczą pod słońcem, jaką chciał teraz zobaczyć, były zwłoki. W zasadzie nie był tu potrzebny, skoro mógł bez trudu uzyskać wszelkie informacje od innych, ale nigdy nie unikał nieprzyjemnych aspektów swojej pracy.

— Miejmy to z głowy — powiedział, wchodząc za Mo do zakurzonego holu, gdzie na gołej kamiennej podłodze leżała plastikowa płachta. W kątach pod sufitem wisiały długie nici pajęczyn, a w powietrzu unosił się zapach stęchlizny zmieszany z czymś innym. Z jakąś znacznie bardziej gryzącą wonią.

— Jest na dole — powiedział Mo. Gdy minęli wytarte schody i szli w głąb ciemnego, bardzo wąskiego korytarza do otwartych drzwi na końcu, smród rozkładu z każdym krokiem przybierał na sile.

Gdy stanęli w drzwiach, stał się prawie nie do wytrzymania. Bolt omal się nie zakrztusił.

— Jezu — szepnął.

— Wygląda na to, że nie żyje od wielu dni — powiedział Mo, odsuwając się na bok, żeby go przepuścić.

W małym, zagraconym pokoju dominowało rozestane podwójne łóżko, które zajmowało ponad połowę podłogi. Wszędzie fruwały muchy, bzyzcząc irytująco głośno, gdy walczyły o miejsce z czterema policjantami w białych kombinezonach. Kryminaliści pracowali, sprawdzając wszystkie powierzchnie pod kątem obecności DNA i pobierając próbki z ciała. Bolt nie mógłby wejść do pokoju, nawet gdyby chciał, co bardzo mu odpowiadało.

Kobieta leżała na boku niemal w pozycji embrionalnej, z nogami wciśniętymi pod łóżko. Miała różową koszulkę z nadrukiem, którego Bolt nie mógł rozpoznać, i koronkowe czarne stringi. Ciało było rozdęte i przebarwione w miejscach, gdzie zachodziły pierwsze etapy rozkładu, ale larwy, które zjadały je od środka, jeszcze się nie wydostały. Z podstaw

wiedzy o medycynie sądowej Bolt wiedział, że choć śmierć zdecydowanie nie nastąpiła niedawno, mało prawdopodobne, żeby od czasu zgonu minęły więcej niż cztery dni, ponieważ było stosunkowo ciepło.

Stał nieruchomo przez kilka sekund, patrząc na rozkładające się zwłoki. Widok skrajnego upokorzenia przez taką śmierć przygnębiał go i przerażał. Zawsze przywodził mu na myśl własną śmiertelność i świadomość, że pewnego dnia czeka go to samo. Przemieni się w gnijące mięso, wszystkie myśli i wspomnienia całego życia przepadną.

— Znacie już jej tożsamość?

Mo pokiwał głową.

— Dlatego cię wezwałem. Nazywa się Maria Aniewicz. Sprzątaczką pani Devern.

— Jezu Chryste — szepnął, napinając mięśnie. — Ile miała lat?

— Dwadzieścia pięć. Pracowała u pani Devern prawie trzy lata.

Bolt pomyślał o Emmie, jedenaście lat młodszej, i nie mógł się powstrzymać od wyobrażenia jej sobie w tej samej pozycji.

— Za wcześnie na śmierć, prawda?

— Prawda.

Bolt głęboko zaczerpnął powietrza, na chwilę zapominając o gęstym smrodzie gnijącego mięsa.

— Jaka szkoda.

Milczeli przez jakiś czas. Kryminaliści pracowali metodycznie, dla nich to była rutynowa robota.

— Wiadomo, jak zmarła?

Technik, który klęczał obok ciała i robił zdjęcia, usłyszał pytanie Bolta i podniósł głowę.

— Wygląda na jedno dźgnięcie w serce — powiedział głosem stłumionym przez maskę. — Nie ma innych widocznych

obrażeń.

Ostrożnie podniósł jej prawą rękę i dotknął wąskiego rozdarcia w koszulce mniej więcej na wysokości trzeciego i czwartego żebra. Otaczała je mała ciemna plama, nie większa niż dwie pięćdziesięciopensówki. Niewielka ilość krwi na zwłokach i w pokoju świadczyła, że śmierć nastąpiła szybko.

— W jakiej pozycji została znaleziona? — zapytał Bolt.

— W takiej — odparł technik — ale przykryta kapą.

— To dość niezwykle w przypadku ofiary zasztyletowania. Powinna leżeć rozpostarta.

— Wygląda na to, że została zasztyletowana i zaraz potem ułożona w tej pozycji. Plamy opadowe wskazują, że pozycja nie uległa zmianie od chwili zgonu. — Wskazał stykające się z podłogą partie ciała, ciemniejsze niż reszta, bo tam powoli zebrała się krew.

Bolt pokiwał głową i rozejrzał się po pokoju. Nie dostrzegł śladów walki. Dwie lampy po obu stronach łóżka stały prosto, podobnie jak kilka oprawionych zdjęć i roślina na komodzie pod ścianą. Bolt nie patrzył na zdjęcia. Nie chciał widzieć, jaka Maria Aniewicz była za życia.

— Wygląda na robotę zawodowca — powiedział, gdy wrócił z Mo na chodnik przed domem. Odetchnął względnie świeżym powietrzem, zadowolony, że wyszedł z cuchnącego grobowca, którym się stała sypialnia młodej sprzątaczkii.

— Nikt niczego nie słyszał i nic nie wskazuje na wtargnięcie ani do domu, ani do samej kawalerki. I trudno o świadków. Druga kawalerka na parterze stoi wolna, a pozostali mieszkańcy najwyraźniej są nielegalnymi imigrantami, więc wpadli w popłoch i zwiali. Około szóstej wieczorem miejscowi gliniarze dostali anonimowy telefon z doniesieniem o paskudnym zapachu dobywającym się z jej pokoju.

— Czy Barry wie? I Tina?

— Złapałem Barry'ego, kazał mi cię ściągnąć. Jest na jakiejś imprezie charytatywnej. Chce mieć pełne sprawozdanie na zebraniu jutro rano. Z Tiną nie mogłem się skontaktować. Wyszła, zanim się dowiedziałem o morderstwie, i nie odbiera telefonu.

Bolt wypuścił powietrze przez nos.

— To morderstwo nadaje sprawie nowy wymiar, prawda?

— Tak, wykluczone, żeby nie istniał związek. Jeszcze nie znamy dokładnego czasu zgonu, ale według lekarza, który badał ciało, zmarła od trzech do pięciu dni temu. Mniej więcej w czasie porwania.

— Jest więc tylko jeden motyw zabójstwa sprzątaczkii. Porywacze dzięki niej poznali kod alarmu i zyskali dostęp do domu Andrei. W ten sposób założyli wyłącznik automatyczny na drzwiach frontowych i poznali plany Emmy na wtorek. A zatem nie była to robota od wewnątrz.

— I Phelan prawdopodobnie nie jest w sprawę zamieszany.

— Przypuszczalnie nie. Zabijanie sprzątaczkii było ryzykowne. Robisz coś takiego tylko wtedy, gdy naprawdę musisz.

— Albo więc przetrzymują Phelana jak Emmę...

— ...albo facet nie żyje. — Bolt pomyślał o Andrei, zastanawiając się, jak przyjmie kolejne złe wieści. — Już zabili dwie osoby, o których wiemy. Nie ma powodu, by nie mieli zabić trzeciej. — Albo czwartej, szepnął nieproszony głos w jego głowie. Skoro porywacze mogli zaplanować morderstwo sprzątaczkii tylko po to, żeby zyskać dostęp do domu, to perspektywa zabicia Emmy z pewnością nie spędzała im snu z powiek.

Bolt przetarł ręką czoło. Noc była nietypowo ciepła jak na wrzesień i znowu się pocił.

— Ci faceci naprawdę nie żartują, Mo.

Mo powoli pokiwał głową, jego ciemne oczy przepęłniało współczucie.

— Wiem. Ale, jak powiedziałaś, zaryzykowali, zabijając sprzątaczkę. Ktoś gdzieś mógł coś widzieć. Prędzej czy później popełnią błąd. Pamiętaj o tym, szefie. Niczyje szczęście nie trwa wiecznie.

30

Zbliżała się północ, gdy Bolt drugi raz tego dnia przestąpił próg swojego mieszkania. Razem z Mo przebywali na miejscu przestępstwa jeszcze przez pół godziny, rozmawiając ze starszym oficerem śledczym z wydziału kryminalnego Tufnell Park. Podzielili się tymi informacjami, którymi mogli, ale z powodu tajności własnej operacji rozmyślnie mówili ogólnikowo. Bolt przeprosił, ale mimo to oficer poważnie się zirytował i zagroził, że jeśli będzie mu potrzebne więcej szczegółów, uda się do szefa SOCA.

Po pożegnaniu się z Mo Bolt złapał taksówkę na Junction Road i pojechał do domu. W drodze zadzwonił do Tiny, żeby powiadomić ją o zaistniałej sytuacji, ale nie odebrała. Postanowił, że odłoży rozmowę do rana. Miał nadzieję, że nie ucierpiała wskutek wcześniejszej ciężkiej próby, i przyszło mu na myśl, że może powinien osobiście sprawdzić, czy nic jej nie jest. Wcześniej w Szklanym Domu była cichsza niż zwykle i ledwo mieli okazję porozmawiać. Ale Tina była twardą sztuką. Nic jej nie będzie. Poza tym w tej chwili miał wystarczająco dużo na głowie bez martwienia się o koleżankę.

Zaraz po wejściu do mieszkania wypił wielką szklanekę wody, żeby nawodnić organizm i pozbyć się smaku starego piwa z oddechu. Kusiło go, żeby dopić resztę czerwonego wina, które zostawił w kieliszku na blacie kuchennym, ale szybko zrezygnował z tego pomysłu. Zrzucił ubranie i wskoczył pod prysznic, próbując się odprężyć. Wciąż był spięty, choć mniej

niż dotychczas, pomimo tego, co niedawno widział. Może po prostu zaczynał się przyzwyczajać.

Gdy wycierał się ręcznikiem, przyszło mu na myśl, że ten dzień był prawdopodobnie najgorszy w jego życiu, a przecież przez lata nagromadziło się sporo kandydatów do tego zaszczytnego tytułu. Głównie dlatego, że wszystko wydarzyło się z zaskoczenia — miał niewiele czasu, żeby zareagować na prędkość i brutalność wydarzeń.

Był równie dobrze świadom, że jutro może okazać się jeszcze gorsze.

CZĘŚĆ PIĄTA

Bolt rzucał się i przewracał przez całą noc, jego sen składał się z niespokojnych drzemek. Gdy tylko zasypiał, przychodziły sny, nieproszone i denerwujące. W jednym z nich mieszkał w domu Andrei z Mikaelą i dwójką małych dzieci. Dzieci były widmami bez imion i twarzy. Nawet nie wiedział, czy to chłopcy, czy dziewczynki, lecz kochał je z siłą, o jaką siebie nie podejrzewał. A jednak za każdym razem, gdy obejmował któreś z nich, wymykało się z jego uścisku, złościąc go. Próbował porozmawiać o tym z Mikaelą, ale chyba nie rozumiała. „To nasze dzieci”, powiedziała tylko z uśmiechem, bo zawsze chciała mieć dzieci. To on się wzbraniał...

Jakiś czas później, przed świtem, miał sen znacznie bardziej wyrazisty i bardziej burzliwy. Znowu był napad w Lewisham — strzelanina, która, choć trwała kilka sekund, wryła się w jego pamięć na zawsze. Tylko że tym razem bandyci nie mieli broni. Stali w szeregu i próbowali się poddać, nie mieli kominiarek, a ręce trzymali wysoko w górze, ale wszystkie twarze poza jedną były rozmyte. Bolt widział wyraźnie tylko Deana Hayesa, młodzieńca o chudej twarzy z haczykowatym nosem, który niejedną raz został złamany, i z farbowanymi jasnymi włosami. Szeroko otwierał oczy ze strachu i próbował coś powiedzieć. Ale Bolta przepełniała wściekłość. Ci dranie ponosili odpowiedzialność za porwanie jego córki — wszyscy. Gniew sprawiał, że pistolet drżał i kołysał się w jego rękach, lecz to go nie powstrzymało od otworzenia ognia, huk strzałów tłukł się

echem w jego głowie. Dean Hayes wierzył szaleńczo, trafiany raz za razem, aż w końcu padł na jezdnię. Wtedy Bolt przesunął powoli broń, pociągając za spust i doświadczając gwałtownego uniesienia, gdy bandyci jeden po drugim padali na ziemię. Ledwo słyszał krzyki kolegów, którzy próbowali powstrzymać go od strzelania.

Ostatnią rzeczą, którą pamiętał, był widok stojącej obok niego Andrei. Była ubrana w koronkową czarną bieliznę, którą miała na sobie, gdy się poznali przed laty. Pistolet w jej ręce podskakiwał, gdy ona też otworzyła ogień do bandytów, a wyraz twarzy miała opanowany i spokojny.

A potem nagle sen się skończył piskiem budzika i Bolt wrócił do rzeczywistości, z którą wołałby się nie mierzyć.

Był roztrzęsiony, gdy tego ranka zjawił się w biurze, żeby wziąć udział w przewidzianym na wpół do ósmej zebraniu. Stawili się wszyscy zaangażowani w operację, z wyjątkiem tych, którzy zajmowali posterunki obserwacyjne wokół domu Andrei albo śledzili Leona Daroyce'a i jego najbliższych współników. Odprawę, prowadzoną przez Wielkiego Barry'ego Freuda, zdominowało odkrycie zwłok Marii Aniewicz. Nie mieli dalszych informacji dotyczących jej śmierci, ale spodziewano się, że po południu będą już pierwsze wyniki autopsji. Jedna rzecz jednak nie budziła wątpliwości: ofiara została wybrana z rozmysłem i morderstwo wiązało się z porwaniem. Barry wyraził nadzieję, że wywiad wśród okolicznych mieszkańców i przeszukanie samego miejsca zbrodni mogą zaowocować wskazówkami, które pozwolą zidentyfikować sprawców. Przemilczał fakt, że mają tylko kilka godzin, bo potem jakiegokolwiek wskazówki staną się nieistotne. Nie zrobili żadnych innych postępów, a zespół inwigilujący Daroyce'a nie miał do zameldowania niczego, co sugerowałoby, że on czy jego ludzie są bezpośrednio wplątani w porwanie. Znów wszystko

zależało od pułapki, którą zastawiali na porywaczy, żeby zatrzymać ich w czasie podejmowania okupu.

Główna część zebrania poświęcona była omówieniu szczegółów samej zasadzki i roli jej uczestników. Bolt wyczuwał coraz większe podniecenie w pokoju operacyjnym, gdy stało się jasne, że mają okazję postawić przed sądem kilku naprawdę brutalnych bandziorów.

Bolt nie podzielał tego podniecenia. Znowu narastało w nim napięcie, niemal do nieznośnego poziomu, gdy słuchał dyskusji kolegów o sposobach aresztowania porywaczy i ratowania jego córki. Zauważył ponuro, że większy nacisk kładli na to pierwsze niż na drugie i rzadko mówili o Emmie po imieniu. Raz w czasie zebrania podchwycił spojrzenie Tiny. Wyglądała na zmęczoną, ale zapytała go bezgłośnie: „W porządku?”. Zdobył się na nikły uśmiech i skinął głową, zastanawiając się, czy jego zdenerwowanie jest takie widoczne. Tina odwróciła głowę. Patrzył na nią przez sekundę, pragnął komuś się zwierzyć — zrozumiałaby, wiedział o tym — ale natychmiast odsunął od siebie tę myśl. Nie wolno mu osłabnąć. Miał zadanie do wykonania.

Po zakończeniu zebrania Bolt poprosił Barry’ego o rozmowę na osobności.

— Wyglądasz okropnie, stary druhu — powiedział szef, gdy weszli do jego biura.

Bolt wypił już czwartą kawę tego dnia. Od ponad dwudziestu czterech godzin nie jadł niczego poza połową kanapki i brak pożywienia przyprawiał go o mdłości.

— Tak się czuję.

— Kazałbym ci wziąć urlop, ale mamy za dużo roboty.

— Być może mam trop — powiedział Bolt.

Barry ściągnął brwi.

— Dlaczego nie wspomniałeś o tym na zebraniu?

— Nie chciałem mącić wody. Wszyscy mają dość na głowie bez komplikowania sprawy przeze mnie.

— Trop to trop. Jaki?

Bolt powiedział mu o napadzie z bronią w rękę sprzed piętnastu lat, jak Galante był podejrzany o współudział, jak informacje Andrei pozwoliły udaremnić napad i jak wskutek tego jeden bandyta zginął, a pozostali trafili za kratki.

Barry nie krył niedowierzania.

— Mówisz mi, że znasz Andreę Devem z przeszłości? Dlaczego, do licha, nie powiedziałeś ani słowa?

— Prawie jej nie znałem. Była przyjaciółką informatora. — Widział, że Barry niezupełnie mu wierzy. — W każdym razie dwaj gangsterzy, Marcus Richardson i Scott Ridgers, są teraz na wolności i myślę, że powinniśmy uznać ich za potencjalnych podejrzanych.

— Dlaczego? Czy któryś z nich wiedział, że to pani Devem ich wkopała?

Bolt pokręcił głową.

— Nie, nic o tym nie wiem. Rozmyślnie nie chciałem wyjawić, od kogo mam informację, żeby ją chronić. Wie pan, jak wtedy było. Nie należało podawać zbyt wielu szczegółów.

— Dlaczego więc myślisz, że wzięli ją na cel, skoro nie wiedzieli, że to ona ich wsypała?

Było to dobre pytanie i Bolt wiele o tym myślał.

— Prawdopodobnie wiedzieli, że Jimmy Galante spotyka się z Andreą... z panią Devem, mogli więc ją znać. Potem, kiedy po latach wyszli z więzienia, szukali sposobu zarobienia pieniędzy. Widząc, jak dobrze się jej powodzi, pomyśleli, że ją oskubią?

— Czy pani Devem dostała nagrodę pieniężną za informację?

— Nie.

— Więc w ten sposób nie mogli się o niej dowiedzieć. Bolt pokręcił głową.

Barry pochylił się w fotelu, przybierając jedną ze swoich póz zadumy polegającą na złączeniu rąk jak do modlitwy i przyłożeniu palców wskazujących do nosa.

— To niewiele, prawda? — zapytał w końcu.

Prawda. Ale dla Bolta to było coś.

— Ci faceci są łajdakami, szefie. Zatwardziałymi kryminalistami. Richardson strzelał do nas, gdy próbowaliśmy go aresztować. Nie wahał się. Nie ma wielu takich ludzi. Ludzi gotowych zabić dla pieniędzy, jak nasi porywacze. Na pewno warto im się przyjrzeć.

Barry westchnął głośno.

— Nie mam możliwości, Mike. Już w terenie są dwa zespoły obserwacyjne, a wszyscy inni przygotowują pułapkę.

Bolt wiedział, że nie wygra, ale po powrocie do swojego biura najpierw wszedł do bazy danych i sprawdził dane Marcusa Richardsona i Scotta Ridgersa.

Richardson był bardziej brutalny, miał czterdzieści dwa lata i dwadzieścia trzy wyroki na koncie, łącznie z tym, który otrzymał, gdy miał piętnaście lat, za pchnięcie śrubokrętem nauczyciela w oko. Został zwolniony z więzienia za napad z bronią w rękę i próbę morderstwa latem dwa tysiące pierwszego roku i od tej pory siedział dwa razy: za posiadanie kokainy z zamiarem sprzedaży i za napaść — pobił swoją dziewczynę tak poważnie, że spędziła w szpitalu trzy dni. Od ponad dwóch lat przebywał na wolności i wyglądało na to, że trzyma się z dala od kłopotów, choć było mało prawdopodobne, że ktoś z tak długą przeszłością kryminalną zaczął życie od nowa. Obecnie mieszkał w rodzinnym Kilburn. Pozostawał na zwolnieniu warunkowym i ten stan rzeczy miał się zmienić dopiero w dwa tysiące dziesiątym, gdy upłynie osiemnaście lat wyroku.

Ridgers miał podobną, choć nieco spokojniejszą przeszłość. Ponieważ nie wystrzelił z broni, którą miał w czasie napadu,

dostał tylko czternaście lat, co jak Bolt zauważył cierpko, nie najlepiej świadczyło o sądach rozpatrujących oskarżenie o próbę zabójstwa funkcjonariuszy policji. Został zwolniony w dziewięćdziesiątym dziewiątym, ale wrócił za kratki trzy lata później, za napad z bronią w rękę na punkt przyjmowania zakładów, gdzie oddał kilka strzałów w sufit. Został zatrzymany kilka minut później przez uzbrojonych policjantów z przejeżdżającego radiowozu. Wyglądało na to, że Ridgers nie należy do bandytów, którzy mają fart. Spędził kolejne cztery lata w więzieniu, zanim wrócił do niczego niepodejrzewającego społeczeństwa pod koniec dwa tysiące szóstego.

Bolt patrzył na ich zdjęcia i próbował sobie przypomnieć tamte dawne przesłuchania, ale po piętnastu latach i kilkuset innych podejrzanych pamiętał ich jak przez mgłę. Jack Doyle powiedział, że żaden nie był młodym Einsteinem, więc mało prawdopodobne, żeby zorganizowali porwanie, ale mimo to nie mógł pozbyć się wrażenia, że warto wziąć ich pod lupę.

W miarę upływu godzin w pokoju operacyjnym narastało napięcie. Choć większość obecnych wciąż zajmowała się takimi prozaicznymi zadaniami, jak przeglądanie materiału zdjęciowego, wszyscy wiedzieli, że niedługo wkroczą do akcji. Wrażenie się nasiliło, gdy napłynął meldunek, że w budynku są już pieniądze na okup, pół miliona funtów w gotówce, umieszczone pod strażą w piwnicy.

Bolt pił szóstą kawę, podminowany i świadom, że musi szybko coś zjeść, gdy dzwoniła Andrea, prosząc go do telefonu. Nie odebrał, wymyślił jakąś wymówkę. W tej chwili nie miał jej nic do powiedzenia. Wciąż miał wątpliwości, czy powiedziała mu prawdę o jego pokrewieństwie z Emmą. Im dłużej myślał o jej poczynaniach, obecnych i tych dawnych, tym większą specjalistką od manipulacji mu się wydawała.

A jednak daty pasowały, tak jak mu powiedziała. To nie ulegało wątpliwości. Parę minut później poczuł się winny, że nie

odebrał telefonu, więc zadzwonił do Matta Tunera, który wrócił do domu Andrei razem z Marie Cohen, i zapytał go, co chciała.

— Tylko z panem pogadać, szefie — odparł Turner. — Nie chciała powiedzieć o czym.

— Przekaż jej, że w tej chwili jestem zajęty. Porozmawiam z nią później. Jak się trzyma?

— Tak samo jak wczoraj. Emocjonalnie wyczerpana... jak można się spodziewać.

— Miej na nią oko, dobrze?

— Jasne... ale, szefie?

— Słucham?

— Kiedy w końcu ktoś mnie zmieni? Lubię być tam, gdzie coś się dzieje. Wie pan, tutaj panuje absolutny spokój.

Bolt go rozumiał. Na jego miejscu czułby to samo, lecz nie miał czasu ani chęci, żeby wprowadzać zmiany.

— Niedługo — odparł. — Coś wymyślę.

Rozłączył się i spojrzał przez okno na ulicę w dole. Świeciło słońce, parę puszystych obłoków płynęło po błękitnym niebie, zanosilo się na kolejny ciepły dzień, szósty czy siódmy z kolei po wilgotnym lecie. Kiedy Bolt wyciągał szyję jak teraz, mógł zobaczyć połowę niewielkiego parku pomiędzy dwoma budynkami, nie więcej niż wąski pas ziemi z drabinkami i kilkoma drzewami. Na ławce, o którą opierał się rower, siedział mężczyzna i patrzył w niebo. Bolt był za daleko, żeby zobaczyć jego minę, ale swobodna poza sugerowała, że wyraża zadowolenie.

Patrzył na niego z zazdrością. Zawsze był człowiekiem zrównoważonym. Nie można być innym w zawodzie, w którym część pracy polega na podkradaniu się do celu tygodniami, a czasem miesiącami. Stwierdził, że nie radzi sobie z nagłą zmianą, która w nim zaszła.

Odwrócił się i wstał. Nie mógł tego dłużej wytrzymać. Musi coś zrobić, a nie siedzieć i czekać na wydarzenia, które być może na zawsze zrujniają mu życie. Musi wyjść i zacząć na nie wpływać.

Zabrał kurtkę i opuścił biuro, mówiąc Krisowi Obanjemu, który siedział najbliżej, że wychodzi na wczesny lunch.

Nadszedł czas, by odnowić stare znajomości.

32

Marcus Richardson mieszkał na trzecim piętrze pięciopiętrowego bloku z lat sześćdziesiątych, jednego z blisko tuzina stojących w luźnym kwadracie, który tworzył odizolowany kompleks mieszkalny niedaleko North Circular Road. Nawet w słoneczny, ciepły dzień osiedle wydawało się ponure. Ulice były niemal puste, gdy Bolt zaparkował naprzeciwko bloku Richardsona.

Ponieważ do wszystkich mieszkań wchodziło się z otwartej galerii biegnącej wzdłuż każdego piętra, Bolt widział jego drzwi. Gdy na nie patrzył, zastanawiał się, co zamierza zrobić. Potrzeba działania była tak wielka, że wyгнаła go z biura, ale dalej nie wybiegł myślą. Na fotelu obok niego leżało ostatnie zdjęcie policyjne Richardsona markotnie patrzącego w obiektyw. Łysiejący i nieogolony, z podwójnym podbródkiem i wąskimi oczami, zimnymi jak krzemienie, wyglądał na faceta, który nie rezygnuje z okazji z powodów moralnych i dlatego Bolt wziął go na pierwszy ogień.

Patrzył na jego twarz przez kilka sekund, skupiając się na oczach, wyobrażając sobie, że ich właściciel przeciągał nożem po szyi Emmy. W końcu odwrócił zdjęcie. Podniósł bagietkę z szynką i serem, którą kupił po drodze w sklepie na rogu, i rozpakował ją ze złością. Robiło mu się niedobrze na samą myśl o jedzeniu, ale musiał coś zjeść, żeby zachować siły; nie przetrwa całego dnia na samej adrenalinie. Rozważając następny ruch, zmusił się do ugryzienia kęsa. Prawie

natychmiast poczuł nawrót skurczów głodowych i pochłoniął bagietkę w minutę, popijając połową butelki wody mineralnej.

Kilka dzieciaków, jeden z piłką, przeszło obok wozu, rozmawiając, nie zwracając na niego uwagi. Bolt przywykł do czekania. To robi glina w trakcie inwigilacji. Ale tym razem było inaczej i nie minęło wiele czasu, gdy zaczął się wiercić. Spojrzał na zegarek. Wpół do pierwszej. Prowadził tę sprawę, niedługo za nim zatęsknią. Jeśli miał coś zrobić, to teraz.

Zdecydował się na prosty wybór. Zapuka do drzwi, przedstawi się i jeśli Richardson nie okaże strachu albo paniki, pewnie wyeliminuje go ze śledztwa. Podejście mało naukowe, ale w tej chwili musiał działać z marszu.

Był tylko jeden problem. Kiedy zapukał, nikt nie podszedł do drzwi. Zapukał drugi raz, mocno i stanowczo, żeby Richardson wiedział, że sprawa jest poważna. Nic się nie stało. Albo go nie było, albo nie chciał otworzyć.

Bolt zajrzał przez szczelinę na listy, ignorując zapach brudnych skarpet i starego jedzenia. Zobaczył niewielki pokój z tandetną sofą i równie tandetnymi fotelami. Pomieszczenie było puste. Drzwi naprzeciwko frontowych były uchylone. Nie dostrzegł za nimi nikogo.

Wyprostował się i rozejrzał. Galeria była pusta, słyszał tylko płacz małego dziecka płynący z któregoś z dalszych mieszkań. Znał konsekwencje ryzykownego kroku, który zamierzał wykonać, ale obecnie zachowanie roboty nie zajmowało wysokiej pozycji na jego liście priorytetów. Nie lubił łamać prawa, płacono mu za stanie na jego straży, ale zawsze był człowiekiem pragmatycznym i jak wielu gliniarzy od inwigilacji, również wprawnym włamywaczem. Otworzenie drzwi przy użyciu wytrychów, które zawsze miał przy sobie, zajęło mu niecałą minutę. Richardson nie zawracał sobie głowy zamykaniem ich na podwójny zamek, co znaczyło, że jeśli nawet jest zamieszany w porwanie, to regularnie wraca do

mieszkania. Prawdopodobnie też nie wyszedł na długo, a to z kolei oznaczało, że trzeba działać szybko.

Bolt wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi i rozejrzał się po przedpokoju, zakładając rękawiczki. Meble były tanie i stare; jedyną wartościową rzeczą był nowiutki telewizor LCD na stoliku. Wokół leżało parę magazynów dla facetów i stare numery „Sun”, stos płyt DVD przed monitorem, ale nie było takiego bałaganu, jaki swego czasu widywał w kawalerskich mieszkaniach. Zauważył, że jedna z gazet jest z czwartku i, sądząc z wyglądu, została przeczytana od deski do deski.

Bolt wiedział, że większość rabusiów dokonujących napadów z bronią w rękę z reguły jest rozrzutna; taka natura ich fachu. Żyją szybko i intensywnie, bo wiedzą, że w każdej chwili mogą stracić fart. Wciągają kokę, uprawiają hazard, kupują kobiety. Bolt zawsze rozumiał, dlaczego taki styl życia przemawia do pewnych ludzi. W dobrych czasach życie wyjętego spod prawa musi być pełne zabawy. Zastanawiał się, jak niektórzy w rodzaju Richardsona radzą sobie teraz, gdy mieszkają w takiej klitce. Niezbyt dobrze, przypuszczał. Jak oni wszyscy Richardson chciał łatwo zdobyć forszę i porwanie dla okupu mogło być kuszące.

Było jasne, że mieszka samotnie. Bolt nie dostrzegł zdjęć ani obrazów na ścianach, niczego, co nadawałoby wnętrzu pozory domu. Poza tym żadna szanująca się kobieta nie zniosłaby smrodu, który się nasilił, gdy przeszedł z holu do kuchni. W zlewie, w połowie wypełnionym rdzawą wodą, piętrzyły się naczynia i wszędzie leżały plastikowe pojemniki po jedzeniu na wynos, niektóre z resztkami.

Zajrzał do łazienki, obrzucił wnętrze pobieżnym spojrzeniem, a potem przeszedł do sypialni z rozestawionym podwójnym łóżkiem i widokiem na blok identycznych mieszkań. Nie znalazł telefonu ani właściciela. Nie było też dowodów, że przetrzymywano tu kogoś wbrew woli, że w ogóle niedawno

przebywała tu jakaś kobieta. Bolt czuł zawód. Był przekonany, że wpadł na właściwy trop; teraz zaczynał rozumieć, że się grubo mylił.

Obok łóżka stała mała szafka z lampą. Szybko sprawdził szuflady. Nie znalazł niczego poza bielizną i skarpetami. Podniósł się z westchnieniem.

Wtedy usłyszał ruch za plecami i złowieszcze, agresywne warknięcie:

— A kim ty, kurwa, jesteś?

33

Bolt szybko się odwrócił, poczuł przyływ adrenaliny, gdy stanął twarzą w twarz z Marcusem Richardsonem. Od razu pomyślał, że Richardson jest znacznie cięższy, niż pamiętał. Później, że były bandzior nie zamierza czekać na odpowiedź. Szedł ku niemu z zaciśniętą szczęką i małą drewnianą pałką w dłoni.

— Myślałeś, kurwa, że mnie obrobisz? — warknął, podnosząc pałkę.

Bolt widział, jak jego bicepsy prężą się pod zapoconą koszulką Lonsdale. Oczy miał równie zimne i bezlitosne jak na zdjęciu.

Bolt musiał szybko podjąć decyzję. Znalazł się w pułapce, za plecami miał ścianę. Mógł pokazać legitymację, powiedzieć, że chce tylko pogadać, ale wiedział, że to nie zrobi większej różnicy. W rzeczywistości taki ruch mógł pogorszyć sprawę. Richardson już był gotów spuścić mu łomot i Bolt wiedział, że jeśli na to pozwoli, zostanie na wiele dni wyłączony z akcji. Nie mógł do tego dopuścić, bo Emma go potrzebowała. Nie da się załatwić takiej szumowinie z marginesu jak Marcus Richardson.

Doświadczył nagłego, silnego wrażenia niesprawiedliwości i w tej jednej chwili coś w nim pękło. Całe napięcie, które narastało w nim od ponad dwudziestu czterech godzin — ciągła frustracja, obezwładniająca poczucie bezsilności — wreszcie

znalazło upragnione ujęcie. Ale wiedział, że nie może zacząć strzelaniny.

— Słuchaj, przykro mi... — wyjąkał, podnosząc puste dłonie na znak, że nie ma złych zamiarów.

Richardson wyszczerzył zęby, wciąż się zbliżając, i wyciągnął wolną rękę, żeby złapać go za kark.

— Przykro to ci dopiero będzie, stary.

Bez dźwięku, nawet nie zmieniając skruszonego wyrazu twarzy, Bolt rzucił się na niego tak szybko, że zupełnie go zaskoczył. Chwycił go za ręce, rozsunął je na boki i zanim Richardson miał czas zareagować, uderzył czołem w grzbiet jego nosa.

Cios był niezły, ale Richardson nie należał do mięczaków i choć się zachwiał, nie upadł. Z wściekłym, pełnym bólu stęknieniem uwolnił rękę z pałką. Ale Bolt wciąż miał przewagę i wykorzystał ją, uderzając go głową drugi i trzeci raz, szybko, głęboko rozcinając mu brew.

Tym razem Richardson upadł na łóżko. Bolt skoczył na niego. Dostał pałką w żebra, choć przeciwnik miał oczy zalane krwią. Stęknął z bólu, ale wiedział, że musi zachować przewagę, zanim tamten się pozbiera. Przycisnął mu rękę, skutecznie ograniczając ruchy pałki do nieszkodliwych podskoków. W tak bliskim zwarciu głowa pozostała najlepszą bronią, więc trzasnęła nią w twarz Richardsons owładnięty ślepy, wściekłym uniesieniem. Usłyszał trzask kości i poczuł krew na czole.

Richardson, szamocząc się pod nim, zdołał uwolnić drugą rękę i chwycił go za kołnierz koszuli, ale tego dnia Bolta nikt nie mógłby powstrzymać. Dostrzegając okazję, bez cienia zwykłych zahamowań wbił dwa palce w lewo oko mężczyzny, potem w prawe, dźgając jak najmocniej, nie zwracając uwagi na przeraźliwy wrzask bólu.

Ze wszystkich taktyk ta okazała się najskuteczniejsza. Richardson, chwilowo oślepiany, wył i bezskutecznie wymachiwał rękami. Bolt zeskoczył z łóżka, wyrrywając mu pałkę z dłoni i rzucając ją pod ścianę

— Jezu, przestań! Bierz, co chcesz — zawodził były skazaniec, wijąc się na łóżku i obmacując twarz, która przemieniła się w krwawą maskę.

Bolt patrzył na niego, ciężko dysząc. Bolała go głowa, której używał jak tarana, i bagietka przewracała mu się w brzuchu. Ale wciąż był w transie i nadal nie uświadomił sobie, co zrobił, a gniew jeszcze nie przygasł.

— Trzymałeś się z dala od kłopotów, Richardson? — zapytał.

— Co?

— Słyszałeś. Co robiłeś przez parę ostatnich dni?

— O czym ty, kurwa, mówisz?

Bolt przyskoczył i poderwał go za koszulkę, mocno uderzając w twarz.

— Pytam, kurwa, co robiłeś przez parę ostatnich dni? — Przynął twarz tak blisko, że czuł zapach jego krwi, wiedział, że Richardson nie podejmie walki. — Powiedz mi, gdzie byłeś. Ale już!

Bolt rzucił go na podłogę. Mężczyzna leżał, patrząc na niego spod przymkniętych powiek. Wylał krew z oczu koszulką, zostawiając na niej dużą plamę. Jego nos wyglądał na złamany, poza tym krwawił z kilku skaleczeń.

— Nigdzie — odparł. — Po prostu robiłem swoje.

— To znaczy?

— Jestem robotnikiem. Na budowie blisko Wembley. Czemu pytasz? I kim ty jesteś, do kurwy nędzy?

— Jestem tym, kto zadaje pytania — odparł Bolt głośno, wiedząc, że najlepszym sposobem uzyskania odpowiedzi jest zadawanie szybkich pytań, wykorzystywanie dominującej

pozycji. — O ile więc nie chcesz zarobić więcej, odpowiadaj. — Postawił nogę na piersi Richardsona, gdy ten próbował usiąść, i przewrócił go z powrotem na podłogę. — A teraz gdzie byłeś?

Richardson miał taką minę, jakby chciał złapać go za nogę, ale najwyraźniej zmienił zamiar.

— Po lunch — odparł. Machnął ręką w stronę kuchni. — Sprawdź, jak mi, kurwa, nie wierzysz. To KFC. Trzy kawałki kurczaka z frytkami i kapustą.

Bolt przestał dyszeć. Przez smród, który panował w mieszkaniu, przebijał charakterystyczny zapach świeżo pieczonych kurczaków. Świadom, że mógł popełnić wielki błąd, odwrócił się do Richardsona będącego teraz ucieleśnieniem słusznego oburzenia. Pod żadnym względem nie wyglądała na winnego, a Bolt z doświadczenia wiedział, że ludzie, którzy nie wyglądają na winnych, na ogół nie są niewinni.

— Jesteś gliną czy co? — zapytał Richardson, teraz z większą pewnością, gdy wyczuł jego wątpliwości. — Bo jeśli tak, to cię pozwę, sukinsynu. — Dotknął ręką twarzy, wytarł krew. — Patrz, co mi zrobiłeś. To poważna napaść.

Bolt nie zamierzał odpuszczać.

— Scott Ridgers. Kiedy widziałeś go ostatni raz?

— Pierdolony glina, co nie? — Richardson usiadł.

Bolt zrobił krok i mocno kopnął go w pierś, drugi raz przewracając na plecy.

— Mów!

— Od lat go nie widziałem — wycedził Richardson przez zaciśnięte zęby. — Nie zadaję się ze zbokami.

Bolt zacisnął szczękę.

— Co masz na myśli?

Richardson zobaczył jego reakcję i zdobył się na ponury uśmiezek.

— Nie wiesz, glino? Scott Ridgers lubi figlować z dzieciakami. Lubi ładne i młode. A co? Dobrał się do jednego z twoich dzieciaków?

Bolt wbił mu obcas w twarz, nacisnął mocno, a potem kopnął wściekle w żebra, aż siła ciosu przesunęła mężczyznę po dywanie. Ryczał w nim gniew. Zaklął i kopnął jeszcze raz, choć wewnętrzny głos wrzeszczał, żeby przestał. Nie mógł przestać. Kiedy spadała na niego czerwona mgła, co w jego życiu zdarzało się rzadko, tracił nad sobą kontrolę.

Richardson wył z bólu, ale Bolt kopał, na tyle świadom, co robi, by uderzać w tułów, nie w głowę. Zślepiiony gniewem przestał dopiero wtedy, gdy ofiara zwinęła się w kłębek, milcząca, nieruchoma i zbita. Wyładował na Richardsonie całą wściekłość, która nagromadziła się w nim przez dwadzieścia cztery godziny.

Wreszcie to, co zrobił, uderzyło w niego jak pociąg ekspresowy. Cofnął się pod ścianę, zachodząc w głowę, co, do cholery, w niego wstąpiło. Musiał się stąd wydostać.

Odwrócił się szybko i ruszył przez śmierdzące mieszkanie, mijając zatłuszczone pudełko z KFC. I przez cały czas myślał: Do diabła, co się ze mną dzieje? Opierając się na niczym więcej jak tylko przecuciu, świadomie nie posłuchał rozkazów, włamał się do mieszkania podejrzanego i stłukł go na miazgę. A teraz wyglądało, że ofiara jest całkowicie niewinna.

Ale zdobył parę odpowiedzi. Może nie tych, na których mu zależało, lecz robił coś, żeby ocalić Emmę, i z tą świadomością było mu dobrze. Już kiedyś przekroczył linię i przysiągł, że więcej tego nie zrobi. A jednak właśnie to zrobił. Przerażające, że w głębi duszy to go cieszyło.

34

Na górze znów się kłócili. Emma słyszała ich dzisiaj drugi raz. Nie rozumiała, co mówią — głosy były zbyt stłumione — ale wiedziała, że chodzi o nią, czy ma żyć, czy umrzeć. Zastanawiała się, który z tych dwóch dowodzi. Modliła się, żeby Śmierdzący, ale coś jej mówiło, że ten drugi.

Żaden dziś do niej nie szedł. To dziwne. Było jasno od kilku godzin, a kubeł, do którego się załatwiała, należało opróżnić. Poza tym zgłodniała i choć przysięgła nie jeść, dopóki nie zsunie kajdanków, uznała, że warto odpuścić. Zużywała mnóstwo energii na skrobanie ściany — zadanie to stało się czymś w rodzaju pracy na pełen etat. Płyta się obluzowała, lecz wciąż nie chciała ustąpić, a Emma wiedziała, że ma coraz mniej czasu. Gwóźdź się starł, skrócił o jedną trzecią, palce miała sztywne i obolałe. Jeśli zupełnie przestanie jeść, za bardzo osłabnie, żeby uciec, gdy nadarzy się okazja. Z drugiej strony wciąż nie miała pojęcia, jak mogłaby to zrobić, nawet gdy wyrwie łańcuch ze ściany.

Wszystko po kolei, powiedziała sobie.

Głosy na górze ucichły. Emma przerwała pracę, schowała gwóźdź pod poduszkę i przysunęła łóżko do ściany, żeby zasłonić metalową płytę.

Przez kilka minut siedziała w ciszy zdenerwowana, zastanawiając się, czy podjęli decyzję, co z nią zrobić. Może tak; może się zgodzili, że lepiej po prostu ją zabić.

— Uspokój się — szepnęła. — Uspokój się. Pamiętaj, co zawsze mówi mama. To twardy zdobywa szczyt.

Ale kiedy drzwi piwnicy się otworzyły, z trudem zdusiła płacz. Przytulona do ściany, modląc się, żeby to nie był koniec, sięgnęła po kaptur. Zarzuciła go na głowę, nie chcąc dawać im powodu, by się jej pozbyli.

To Śmierdzący. Słyszała jego cięższe kroki i świszczący oddech. Ogarnęła ją ulga, nawet cieszyła się, czując smród jego potu, silniejszy niż zwykle. Usłyszała, że zatrzymał się przy łóżku, położył jedzenie na podłodze i zmienił kubeł.

— Cześć — powiedziała niepewnie.

— W porządku, skarbie? — zapytał szorstkim głosem. — Dobrze spałaś?

Skinęła głową.

— Chyba tak.

Czuła woń jego oddechu, gdy kucnął przed nią.

— Przekażesz mamie kolejną małą wiadomość. Musisz jej powiedzieć, jaki dziś dzień, żeby wiedziała, że nic ci nie jest.

— Dobrze.

— Trochę podniosę kaptur, dobrze? Tylko odrobinę, żebyś mogła zobaczyć datę w gazecie.

Skinęła głową, czekając cierpliwie, gdy podnosił kaptur i podsuwał przed jej twarz gazetę, która zasłoniła widok na wszystko inne. Trzymał ją tam, dając jej mnóstwo czasu, a ona posłusznie patrzyła. Gdy potwierdziła, że rzeczywiście jest sobota, kaptur wrócił na miejsce. Potem mężczyzna nagrał króciutką wiadomość i wyłączył magnetofon.

— Dobra robota, skarbie. — Starał się mówić wesoło, choć nie za bardzo mu to wychodziło. — Niedługo będziesz w domu przed telewizorem.

— O co się kłóciliście na górze?

— Słyszałaś? — Wydawał się zaskoczony.

— Nie słyszę, co mówicie, ale wiem, że się sprzeczcacie, bo głosy są podniesione. O mnie?

— Jasne, że nie.

Nie uwierzyła mu.

— On chce mnie zabić, prawda?

— Nie, nie o to chodzi — odparł szybko, ale wydawał się podenerwowany, jak jej koleżanki, gdy zostały przyłapane na kłamstwie.

— Proszę, nie pozwól mu mnie zabić. Proszę. Nie widziałam jego twarzy, słowo daję, cokolwiek mówi.

— Nie pozwolę, skarbie, wszystko będzie dobrze.

— Wiem, że jest okrutny. Kiedy przyszedł tu wczoraj, naprawdę mnie przestraszył.

Udała, że płacze pod kapturem (przysięgła sobie, że naprawdę nigdy nie będzie płakać), mając nadzieję, że zacznie jej współczuć. Chyba podziałało. Smród spod pach niemal ją dławił, ale zmusiła się, żeby go ignorować. Musiała mieć Śmierdzącego po swojej stronie.

— Obiecuję, nikt nie zrobi ci krzywdy, póki tu jestem. Nie pozwolę nikomu krzywdzić bezbronnych dzieci. — Poglądził ją po głowie. — Dziś wieczorem będzie po wszystkim i wrócisz do domu. Przykro mi, że mój przyjaciel zszedł wczoraj na dół. Nie chciałem, ale było ważne, żeby twoja mama traktowała sprawę serio.

— Przyłożył mi nóż do twarzy.

Jego ręka zeszytywniała, niemal ją miażdżąc. Zrozumiała wtedy, jaki jest silny.

— Drań — syknął ze złością. — Naprawdę?

— Tak.

— Nie martw się, więcej tu nie zejdziesz. I cię nie dotknie, obiecuję. Nikt nie skrzywdzi dzieci pod moją opieką.

Gładził jej włosy, palce w rękawiczkach powoli masowały jej głowę. Wrażenie było okropne, przyprawiało o ciarki, jakby pająki biegały jej po skórze. Naprawdę chciała się odsunąć, ale nie mogła. Przyszpilał ją do łóżka.

— Kto tu rządzi? — szepnęła, starając się nie zwracać uwagi na jego zabiegi. — Ty czy on?

— Żaden z nas — odparł, ale usłyszała, że się zawahał. I to powiedziało jej wszystko.

Dowodził Okrutny.

Rozpaczliwie chciała poczuć się lepiej, miała nadzieję, że jego słowa ją uspokoją, ale gdy wstał i ruszył po schodach, życząc jej smacznego, i usłyszała kubeł uderzający o poręcz, nasiliło się wrażenie, że wydarzy się coś strasznego i mrocznego.

I to niebawem.

35

Mieszkanie Scotta Ridgersa też nie było pałacem. Zajmował suterенę w rozpadającej się powojennej kamienicy przy bocznej uliczce w pobliżu Finsbury Park. Farba na murach tak spłowiała, że ludzie, który malowali je ostatni raz, pewnie jeszcze kupowali jedzenie na kartki. Kamienne schody, które prowadziły w dół do drzwi Ridgersa, były oblepione nieprzyjemną mieszaniną zaschniętego i świeżego gołębiego łąjna. Bolt musiał stąpać ostrożnie, żeby nie zabrać z sobą niechcianych pamiątek z tej wizyty.

Zasłony były rozsunięte i gdy zapukał do drzwi, szybko stało się jasne, że Ridgersa też nie ma, choć w przeciwieństwie do Richardsona bardziej dbał o bezpieczeństwo. Jedno okno, nie większe niż bulaj, było zakratowane, a drzwi strzegły trzy zamki, w tym dwa pięciorygłowe. I wszystkie były zamknięte. Bolt nie dał się zniechęcić. Mógł poradzić sobie prawie z każdym zamknięciem. Problem polegał na tym, że już dzisiaj się sparzył. Richardson nie miał pojęcia, z kim miał do czynienia, ale jeśli narobi zamieszania i zgłosi miejscowym glinom, co się dzisiaj stało, mogą wyniknąć kłopoty.

Bolt nie miał ochoty na dalsze konfrontacje. Głowa wciąż go bolała po ostatniej, podobnie jak żebra, gdzie Richardson uderzył go pałką. Z drugiej strony, skoro już tu przyjechał, musiał coś zrobić. Wyłączył komórkę, ale wiedział, że dłużej tak być nie może. Kiedy ją włączy, będzie musiał podać przyzwoity powód samowoli, której dopuścił się zapewne w najważniejszy

dzień dla swojego zespołu od utworzenia go półtora roku wcześniej. Teraz albo nigdy.

Ale gdy wyjmował wytrychy, usłyszał hałas nad sobą.

— Nie ma go od kilku dni — powiedziała jakaś kobieta. — Pewnie go wystraszyliście.

Bolt podniósł głowę i zobaczył niską, siwowłosą staruszkę, ubraną w czarny kostium ze spodniami, bardziej odpowiedni dla członka Czerwonych Khmerów niż dla starszej mieszkanki Londynu.

— Co ma pani na myśli? — zapytał z zaintrygowanym uśmiechem, zastanawiając się, jak, u licha, rozpoznała w nim glinę. Był ubrany w dzinsy i buty sportowe, a do tego miał plamki krwi na koszuli. Razem wzięwszy, na pewno nie wyglądał na policjanta.

— Pracuje pan dla niego? — mówiła podejrziwym tonem. — Dla taty?

— Niestety, nie wiem, o kim pani mówi.

— No to kim pan jest?

Bolt nie widział sensu kłamać.

— Oficerem policji.

Jej twarz nie pojaśniała. Wydawało się, że w dzisiejszych czasach nawet starsi obywatele są wrogo nastawieni do policji.

— Nie ma pan nic lepszego do roboty, jak nękać biednego człowieka, który próbuje ułożyć sobie życie? Scott to kochany chłopak. Kto pana przysłał? Tata? Nie może odpuścić?

— Chyba źle mnie pani zrozumiała. Przyszedłem powiadomić Scotta, że jego przyjaciel został ciężko ranny w wypadku.

— Aha, przepraszam, nie miałam pojęcia. Kto to taki? Scott nie ma wielu przyjaciół.

— Ktoś z przeszłości — odparł niejasno. Wszedł po schodach, żeby nie zadzierać głowy w czasie rozmowy, i

wdepnął w gołębie odchody. — Nie wie pani przypadkiem, gdzie on jest?

Pokręciła głową.

— Nie widziałam go od kilku dni. Pewnie dokądś uciekł przed jej tatą.

— Czyim tatą?

— Lisy. To dziewczyna Scotta. Jeszcze jej nie widziałam, ale Scott stale o niej myśli. Mówi, że jest piękna.

Bolt zrobił zdziwioną minę.

— A co ma do tego jej tata?

— Bo mówi, że jest za młoda — odparła tonem, który sugerował, że nie uważa go za rozsądnego. Było jasne, że ma mnóstwo czasu dla Scotta.

— A ile ma lat?

— W dzisiejszych czasach trudno powiedzieć, ale Scott mówi, że jest dość duża, by samodzielnie podejmować decyzje.

— Rozumiem, o co pani chodzi. Kiedy ostatni raz go pani widziała?

Starsza pani zastanawiała się przez chwilę.

— Chyba na początku tygodnia. W poniedziałek albo we wtorek. Szczerze mówiąc, trochę się martwię. To niepodobne do niego, zniknąć na tak długo. Zwykle widuję go prawie codziennie, gdy przechodzę. Lubi siedzieć na zewnątrz na leżaku i patrzeć na świat. Myśli pan, że coś mu się stało?

— Może warto sprawdzić. Ma pani klucze do jego mieszkania?

Pokręciła głową.

— Niestety, nie.

Ridgers zniknął w interesującym okresie. Jednak to nie przybliżyło Bolta ani o krok do znalezienia go.

— Wie pani, gdzie mieszka dziewczyna Scotta?

Wzruszyła ramionami.

— Gdzieś w Paddington.

— Daleko stąd.

— Poznali się przez Internet — wyszeptwała konspiracyjnie, jakby chodziło o jakieś czary.

— To niewiele mi pomoże.

— Znam jej nazwisko. Scott mi powiedział, bo jest takie ładne. Wymawia je Bu-sze-ra, z takim dziwnym akcentem, ale na szczęście miała dość rozsądku, żeby je przeliterować — Lisa B-o-u-c-h-e-r-a. Pewnie francuskie — dodała, a Bolt zanotował nazwisko w pamięci.

Zaświtała mu nadzieja. Londyn to wielkie miasto, lecz przypuszczał, że niewielu ludzi o takim nazwisku mieszka w pobliżu Paddington. Nie zyskał wiele, ale zaczynał się przyzwyczajać do radzenia sobie ze strzępami informacji. Podziękował starszej pani i poszedł do samochodu, nie oglądając się za siebie.

Kiedy wszedł, włączył komórkę, wybrał 118 118 i zapytał o numer Bouchera w obszarze kodu pocztowego W2. Mógłby zdobyć informacje szybciej, dzwoniąc do Szklanego Domu, ale w tej chwili nie chciał z nikim rozmawiać.

Na liście pod tym nazwiskiem był jeden numer. Zadzwoił od razu. Mężczyzna zgłosił się po trzech sygnałach.

— Halo, czy to pan Bouchera? — zapytał Bolt.

— A kto mówi? — usłyszał szorstkie pytanie.

Bolt przedstawił się i zapytał, czy rozmówca ma córkę, która spotyka się ze Scottem Ridgersem.

— To cholerny zboczeniec. Tak, moja córka się z nim widywała. Cieszę się, że w końcu traktujecie sprawę poważnie. Chcę, żeby został aresztowany.

— Przykro mi, nie możemy go aresztować, jeśli pańska córka nie jest nieletnia.

— Co to znaczy, nie jest nieletnia? Na litość boską, ma piętnaście lat!

Boltowi zaschło w ustach.

— Co?

— Ma piętnaście lat, kolego — warknął z obrzydzeniem w głosie. — I to od niedawna. Jak pan myśli, do licha, dlaczego zadzwoniłem na policję? Wyprawiali najróżniejsze rzeczy. Nawet sfilmowała parę scen komórką. Powinno się go zamknąć.

Bolt pomyślał o Emmie na łasce groźnego bandyty z upodobaniem do młodych dziewcząt.

— Nic pan o tym nie wie? To po cholere pan dzwoni?

— Proszę posłuchać — warknął Bolt. — Czy córka wciąż się z nim spotyka?

— Jasne, że nie. Za kogo mnie pan uważa? Uziemiłem ją, gdy tylko się o tym dowiedziałem. I skonfiskowałem jej komórkę. Ale wykradała się, żeby się z nim spotykać. Ściągnąłem policję, żeby z nią pogadali, ale nie chciała im nic powiedzieć. Wszystkiemu zaprzecza. Dał jej nawet program, który wymazał wszystkie ich rozmowy z jej komputera. Odchodziłem od zmysłów, próbując położyć temu kres. Groziłem jej, zamknąłem ją w pokoju, nawet dowiedziałem się, gdzie on mieszka, i pojechałem tam. Ale nie zastałem drania.

— Czy Lisa jest teraz w domu?

— Tak. Nie wychodziła od kilku dni, tylko do szkoły. Snuje się z kąta w kąt, rozżalona, nie odzywa się. Mam nadzieję, że z nim skończyła.

— Ma pan jej komórkę?

— Oddałem jej wczoraj, gdy obiecała, że do niego nie zadzwoni. Sądzę, że na razie nie dzwoniła. Jest grzeczną dziewczynką, wie pan. Ten łajdak ją zepsuł. Gdybym mógł dorwać go w swoje ręce...

— Dokładnie wiem, co pan czuje — powiedział Bolt. — Tymczasem może pan pomóc go znaleźć, bo chcielibyśmy porozmawiać z nim o paru sprawach.

— Jakich sprawach?

— Takich, które pozwolą przymknąć go na długi czas. Bouchera chrząknął.

— Dobrze.

— Ale muszę wiedzieć od razu, gdy tylko zadzwoni do Lisy albo gdy pan usłyszy, że z nią rozmawiał. Rozumie pan? I jeszcze lepiej, jeśli będzie pan mógł podać numer, spod którego do niej dzwonił. — Bolt podyktował rozmówcy numer swojej komórki, potem zapisał numer komórki jego córki i nazwę operatora. — Proszę dzwonić natychmiast, niezależnie od pory dnia czy nocy. To bardzo ważne.

— Jasne — odparł Bouchera. — Chcę zobaczyć, jak ten łajdak cierpi.

Bolt podziękował mu i zakończył rozmowę. Wciąż nie miał dowodu na udział Ridgersa w porwaniu, ale instynkt mu mówił, że zdecydowanie na coś trafił.

W normalnych okolicznościach wezbrałoby w nim podniecenie związane ze znalezieniem tropu, lecz zamiast tego czuł narastający strach. Czas uciekał, a Scott Ridgers mógł być wszędzie. Jeśli go nie znajdzie, a operacja zastawiania pułapki się nie powiedzie, Emma umrze, teraz był tego pewien. Ale nie zamierzał się poddać. Nie, gdy miał jeszcze w sobie wolę walki.

36

Zadzwoił telefon, gdy ruszył w drogę. Była to wiadomość od Mo, który się zastanawiał, gdzie jest Bolt. W głosie kolegi brzmiało zatroskanie. Wiadomość została nagrana o pierwszej dwadzieścia siedem — ponad pół godziny temu.

Bolt nie oddzwonił. Zatelefonował do Tiny.

— Chcę, żebyś sprawdziła, czy są jakieś numery komórkowe zarejestrowane na Scotta Ridgersa, Hanbury Gardens numer dziewiętnaście — powiedział. Były marne szanse, że ktoś pokroju Ridgersa rejestruje cokolwiek na swoje nazwisko, zwłaszcza telefon komórkowy. Przestępcy nie lubią dawać władzom niczego, co umożliwiłoby ich tropienie. A jeśli nawet, Bolt wątpił, czy Ridgers zabrał z sobą komórkę na robotę tak ważną i ryzykowaną jak porwanie. Mimo wszystko warto było spróbować.

Tina zapytała, kto to taki ten Scott Ridgers.

— Wyjaśnię później, obiecuję.

— Mówisz z podnieceniem. Gdzie jesteś? Ludzie pytają. To wielki dzień, a ty zniknąłeś na długi czas.

W jej głosie pobrzmiwała nutka krytyki, coś, czego Bolt dotąd u niej nie słyszał. Zastanowił się, czy zespół nie zaczyna tracić do niego szacunku. Jeśli tak, będzie musiał temu przeciwdziałać. Tylko nie teraz.

— Musiałem coś sprawdzić, już wracam. Niedługo będę.

Rozłączył się i zadzwonił do Mo. Przedstawił mu krótszą wersję tej samej historii — że sprawdzał pewien trop — świadomie skąpiąc szczegółów. Nie chciał mówić przyjacielowi zbyt wiele o Ridgersie ani nie zamierzał prosić go o przysługę, ponieważ miał przeczucie, że spotkałby się z odmową.

Mo poprosił, żeby chwilę zaczekał, i przeszedł w bardziej ustronne miejsce.

— Dlaczego pracujesz nad tropem, o którym nikt nie wie? — zapytał. — W dzień tak ważny jak ten.

— To tylko coś, co właśnie wyskoczyło. Z przeszłości.

— Nie chcesz mi powiedzieć?

— Powiem ci wszystko później.

Nastąpiła pauza.

— Myślę, szefie, że sprawa staje się dla ciebie zbyt osobista — powiedział w końcu Mo.

Mo nigdy dotąd nie kwestionował jego umiejętności, i to go zirytowało.

— Nie zawalę, Mo.

— Nie zawal, proszę. Szanuję cię, szefie. Nie każ mi tracić tego szacunku.

W jego głosie brzmiał szczery ból. Obaj milczeli przez parę sekund niepewni, co powiedzieć. To Bolt w końcu przerwał ciszę.

— Tym razem, Mo, ja poproszę, żebyś nie tracił wiary. Daję ci słowo, że wiem, co robię.

— W porządku. To mi wystarczy. Ale nie próbuj działać na własną rękę. Nic z tego nie wyjdzie.

Bolt obiecał, że tego nie zrobi, i zakończył rozmowę z odrobiną nieklamanej ulgi.

Wokół Millbank powstał korek i Bolt dotarł do biura dopiero za dwadzieścia trzecia. Już wiedział od Tiny, że w całej Wielkiej Brytanii nie ma komórki zarejestrowanej na Scotta Ridgersa z

Hanbury Garden dziewiętnaście. Był w drodze do pokoju odpraw, gdy capnął go Barry. Nie wyglądał na zadowolonego.

— Do diabła, gdzie ty byłeś? — zapytał.

Bolt natychmiast zrozumiał, że będzie musiał mu powiedzieć, ale gdy tylko zaczął, twarz szefa pociemniała.

— Chodźmy do mojego biura — warknął gniewnie, rozglądając się, żeby sprawdzić, czy nikt nie jest świadkiem jego wybuchu.

— Co się dzieje, Mike? — zapytał zirytowanym tonem, kiedy znaleźli się za zamkniętymi drzwiami. — Chyba ci mówiłem, żebyś nie szukał wiatru w polu.

— Z całym szacunkiem, szefie, nie sądzę, by to było szukanie wiatru w polu.

Bolt opowiedział o kilkudniowej nieobecności Scotta Ridgersa, choć przemilczał jego upodobanie do nieletnich dziewcząt, ponieważ nie był pewien, czy ma to jakiś związek.

— I czego to, do diabła, dowodzi? Może pojechał na urlop.

— Nie ma go od poniedziałku. Musi pan przyznać, że to nie byle jaka zbieżność.

Barry wściekle pokiwał głową.

— Tak, zbieżność. I nic poza tym. Zbieżność. Ale to nam ani odrobinę nie pomoże, kurwa mać.

Bolt nie przypominał sobie, kiedy ostatni raz słyszał przeklinającego szefa. Było to miarą jego gniewu i napięcia, jakiemu wszyscy podlegali.

— Uznałem, że to lepsze niż siedzenie i czekanie. Jestem przekonany, że na coś trafiłem.

— Czy Tina powiedziała, że jest komórka zarejestrowana na jego nazwisko?

Bolt przyznał, że nie.

— Więc na nic nie trafiłeś, prawda? Posłuchaj, Mike, musisz wziąć się w garść. Nie wiem, do diabła, co w ciebie wstąpiło,

ale to musi się skończyć. I co się stało z twoją twarzą? Masz cholernie wielkiego siniaka.

— Miałem wypadek. Uderzyłem głową w drzwi wozu. Spojrzenie Barry'ego opadło na plamy krwi na koszuli.

— Dasz radę przetrwać z tym dzisiaj wieczór? Bo jeśli nie... Jeśli źle się czujesz albo...

— Nic mi nie jest, słowo.

Ale mówiąc te słowa, Bolt zastanowił się po raz pierwszy, czy naprawdę jest zdolny do skutecznego działania. Pomyślał o Marcusie Richardsonie, o jego twarzy usmarowanej krwią, gdy kulił się na podłodze przed jego kopniakami. Pomyślał o Emmie, dziewczynce, której mógł nigdy nie poznać, siedzącej na zardzewiałym żelaznym łóżku w czarnej kapturze na głowie, podczas gdy niewidoczny mężczyzna przeciąga nożem po jej szyi. Potem odsunął od siebie te myśli i skupił uwagę na szefie.

— Nie zawalę — oznajmił stanowczo.

Barry skinął głową, przyjmując odpowiedź.

— To dobrze. Musisz być w formie. Prawdę mówiąc, bardziej niż w formie. Ty zapoczątkowałeś tę operację, więc do roboty. — Spojrzał na zegarek. — O wpół do czwartej mamy ostatnią odprawę dla wszystkich biorących udział w operacji. Potem pojedziesz z Mo do mieszkania pani Devem i zorientujesz ją w sytuacji. To ważne, żeby ona też nie namieszała. Wiele od niej zależy.

— Wie o tym.

— Dopilnuj, żeby usłyszała to jeszcze raz.

— Co z pieniędzmi na okup?

— Bierzesz je z sobą, więc żebyś znów nie zniknął. — Uśmiechnął się na znak, że żartuje, ale Bolt nie był tego całkowicie pewien. — Reszta zespołu pojedzie za wami, żebyśmy byli gotowi ruszać, gdy tylko zadzwonią. Będziesz

dowodzić w terenie. Ja zajmę się nadzorowaniem przebiegu operacji stąd.

— Nie ma sprawy.

Bolt zdecydowanie pokiwał głową, bo miał uczucie, że Barry chciał zobaczyć taki krzepiący gest. Dawno nie widział tak zestresowanego szefa i wiedział, że swoimi poczynaniami tylko pogorszyły sprawę.

— Jeśli pójdzie dobrze, to będzie wielka reklama dla SOCA i dla nas — rzekł Barry, przyglądając mu się uważnie, czekając, jak się zdawało, na odpowiedź. — Ale jeśli pójdzie źle... — Zawiesił głos na kilka sekund. — Jeśli pójdzie źle, ty i ja znajdziemy się po uszy w gównie, stary druhu.

Głębiej, niż przypuszczasz, pomyślał Bolt. Głębiej, niż przypuszczasz.

37

Odprawa była krótka i rzeczowa. Koncentrowała się na sposobie śledzenia pieniędzy, zatrzymaniu porywaczy i uwolnieniu Emmy. Większości ludzi plan wydawał się dobry, z wysokim prawdopodobieństwem powodzenia. Zdaniem Bolta był pełen dziur.

Później, gdy jechał do mieszkania Andrei w konwoju wozów reszty zespołu, z płócienną torbą z pół milionem funtów zamkniętą bezpiecznie w bagażniku jaguara, Mo zapytał go o trop, nad którym pracował przez cały dzień. Bolt wiedział, że musi wyznać przyjacielowi prawdę, więc powiedział mu o wizycie w mieszkaniach Richardsona i Ridgersa, pomijając fakt, że stłukł tego pierwszego na kwaśne jabłko.

— Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej? — zapytał Mo.

— Nie chciałem, byś myślał, że straciłem kontrolę — wiesz, po tym, co powiedziałem ci wczoraj.

— Ale z Tiną rozmawiałeś. Ufasz jej bardziej niż mnie?

— Nie, jasne, że nie. Tylko nie byłem pewien, co powiesz, jeśli poproszę o sprawdzenie numeru Ridgersa. Poza tym Tina ma dobre kontakty u operatorów sieci.

— I naprawdę myślisz, że ja bym ci nie pomógł? — Mo miał przygnębioną minę.

— Przepraszam.

Bolt wołałby nie prowadzić tej rozmowy. Żałował też, że otworzył usta wczorajszego dnia, stawiając siebie i jednego z

najbardziej zaufanych kolegów w nieprzyjemnej sytuacji.

— Skąd masz tego siniaka na czole? I krew na koszuli?

— Miałem wypadek. Walnąłem głową w ramę drzwi wozu.

— Jestem detektywem, szefie, nie dziesięciolatkiem.

Bolt westchnął.

— Włamałem się do mieszkania Richardsona. Zaatakował mnie. Walczyliśmy. Stąd to wszystko.

— Do licha, co się z tobą dzieje? — zdumiał się Mo.

— To, że być może moja córka jest uwięziona przez jakiegoś łajdaka, który już dwa razy zabił, więc się nie zawaha ani chwili, żeby zabić znowu. Oto, co się dzieje. Wystarczy?

— Ale nie możesz włamywać się do cudzych domów i wdawać w bójki z mieszkańcami. Nie tak to się robi.

— A jak? Mów!

— Skup się — warknął Mo. — Skup się na tym, żeby operacja zakończyła się sukcesem. Nie szukaj wiatru w polu.

— To nie jest szukanie wiatru w polu.

— Jest, szefie. Jaki masz dowód, że któryś z nich jest zamieszany w porwanie? Nie masz absolutnie żadnego. — Mo ze złością potrząsnął głową. — Gdyby nie było tak cholernie późno, z miejsca pogadałbym o tym z Barrym.

Resztę drogi przebyli w ponurym milczeniu. Nigdy wcześniej się nie kłócili, nie w ten sposób. Spierali się od czasu do czasu, ale nie tak poważnie jak teraz. Mo otwarcie kwestionował jego umiejętności i zdolność do wykonania zadania i choć Bolt rozpaczliwie nie chciał tego przyznać, miał ku temu powody. Przekroczył kolejną linię, zza której trudno będzie wrócić, i dobrze wiedział, czyja to wina.

38

Minęła piąta, gdy Bolt i Mo oderwali się od konwoju i skręcili w ulicę Andrei po tym, jak zespół obserwujący dom zameldował, że droga wolna. Bolt przyjeżdżał tutaj trzeci raz w ciągu nieco ponad dwudziestu czterech godzin i za każdym razem czuł się coraz gorzej. Nie mógł przestać się zastanawiać, co będzie czuł następnym razem — o ile będzie następnym razem.

Wyjął z bagażnika torbę z pieniędzmi i bez słowa podszedł do furtki z Mo za plecami. Marie, oficer łącznikowy, wpuściła ich. Miała minę bardziej zatroskaną niż zwykle, gdy otworzyła drzwi.

— Ani słowa od porywaczy — powiedziała.

— Jak Andrea?

— Trzyma się, ale czekanie ją wykańcza. Chyba nas wszystkich.

Była to pierwsza wskazówka świadcząca, że Marie osobiście angażuje się w sprawę. Bolt nie był zaskoczony. Oficerowie łącznikowi mogą być świetnie wyszkoleni, ale są przecież ludźmi, a osoby w rodzaju Andrei, jak zauważył cierpko, są dobre w chwytaniu innych za serce.

— Niedługo się odezwą — powiedział, kiwając głową do Matta Turnera, który zajął do gabinetu. — Jest na górze? — zapytał Marie.

— W salonie — odparła cicho. — Spędziła tam prawie całe popołudnie. Powiedziała, żeby zostawić ją w spokoju.

Andrea siedziała na tej samej sofie co wczoraj po południu. Gdyby nie zmiana ubrania — dziś wyglądała bardziej elegancko w białej bluzce i czarnej spódnicy do kolan — można by pomyśleć, że nie ruszyła się stąd przez całą dobę. Miała tę samą znużoną minę, rysy zastygłe jak u kogoś, kto został poddany hipnozie. Obrzuciła Bolta tylko przelotnym spojrzeniem, gdy wszedł z Mo do pokoju.

Bolt musiał zwalczyć nagle, niemal niepohamowane pragnienie, by wziąć ją w ramiona. Położył torbę na podłodze i usiadł naprzeciwko Andrei. Mo został przy drzwiach.

— Nie zadzwonili, Mike.

— Wiem. Ale zadzwonią. Chcą pieniędzy, Andreo. To ich jedyny motyw.

Patrzyła w przestrzeń.

— Nie mogę jej stracić. Po prostu... po prostu nie wiem, co bym wtedy zrobiła.

Bolt pochylił się ku niej, chcąc, żeby na niego spojrzała.

— Musisz być silna, Andreo. Rozumiesz?

— Tak — odparła cicho tonem, który nie podniósł go na duchu. Po raz pierwszy zastanowił się, czy Andrea da radę zrobić, co trzeba.

— Dla Emmy.

Skinęła głową, tym razem bardziej zdecydowanie, i spojrzała na torbę.

— To pieniądze?

— Tak. W podszewce ukryty jest nadajnik. Jest taki mały, że znalezienie go jest prawie niemożliwe. Są jeszcze dwa, też miniaturowe, ukryte wśród banknotów.

— Ale przecież porywacze je znajdą?

— W końcu tak, jeśli będą wiedzieli, czego szukać.

— Będą wiedzieli, Mike. To pewne.

— Ale nie pozwolimy im długo uciekać z pieniędzmi. Będziemy cię śledzić przez całą drogę do miejsca dostarczenia okupu. Zespoły inwigilujące będą przed tobą i za tobą. Będziemy mieli również wsparcie śmigłowca. Ani na chwilę nie znajdziesz się w niebezpieczeństwie.

— Nie martwię się o siebie, Mikę. Martwię się o Emmę. Narazamy jej życie, nie mogę przestać o tym myśleć.

— Słuchaj, będziemy trzymać się w cieniu, żeby nikt nas nie zauważył. Dostaniesz mikrofon, który pozwoli nam monitorować rozmowy, i nadajnik, więc cię nie zgubimy. Mo, możesz się tym zająć?

Mo skinął głową i przypinał urządzenia do bluzki Andrei, gdy Bolt kontynuował:

— Kiedy dostarczysz okup i wycofasz się ze sceny, będziemy śledzić drogę pieniędzy. Porywacze mogą je przełożyć do innej torby, ale nie będą mieli czasu, żeby sprawdzić, czy wśród tylu banknotów nie ma nadajników. Pojedziemy za nimi do miejsca przeznaczenia i tam ich aresztujemy.

— A jeśli Emmy tam nie będzie? A jeśli ukrywają ją gdzieś indziej?

Było to ważne pytanie, o którym Bolt w zasadzie nie chciał myśleć, ponieważ ujawniało największą wadę w ich planie.

— Są duże szanse, że będzie, Andreo. Jeśli wszyscy porywacze przyjadą po okup — a przyjmując, że jest ich tylko dwóch, najwyżej trzech, prawdopodobnie tak się stanie — nie będą chcieli zostawiać jej samej na dłużej, możesz mi wierzyć.

— Wszystko to tylko przypuszczenia, prawda, Mike? — powiedziała, gdy Mo się od niej odsunął. — Na tym polega problem. Nie ma żadnych gwarancji. Już zabili Jimmy'ego. A jeśli zabiją też Emmę?

Bolt mógłby dodać, że zabili również jej sprzątaczkę, ale tego nie zrobił. W Szklanym Domu zdecydowano, żeby nie

mówić Andrei o tym zdarzeniu, dopóki nie przekaze okupu, ponieważ to mogłoby wpłynąć na jej psychikę.

— Nie ma żadnych gwarancji, Andreo. Nie w takiej sprawie. Ale musisz nam ufać. Wiemy, co robimy. — Postanowił zmienić temat. — Słyszałaś może o jakimś Scotcie Ridgersie?

Drżącymi rękami zapaliła papierosa i wydmuchnęła wąską strużkę dymu.

— Nie. A powinnam? Kto to?

Bolt powiedział jej o możliwym powiązaniu. Kiedy skończył, wyglądała na zszokowaną.

— Chyba nie sugerujesz, że ma to coś wspólnego z tamtymi wydarzeniami sprzed lat?

— To niewykluczone. W tej chwili nie możemy go znaleźć.

— Czy wszyscy wiedzą, że to ja ci powiedziałam o napadzie? — Zerknęła na Mo. — Przysięgałeś, że dotrzymasz tajemnicy.

— I dotrzymałem, naprawdę. Nie mamy pewności, że bierze udział w porwaniu.

— Poznałam tylko paru kumpli Jimmy'ego i nie przypominam sobie Scotta Ridgersa — mruknęła.

— W porządku — powiedział, niezupełnie dobrze maskując rozczarowanie, choć nie był całkowicie zaskoczony. Trop Ridgersa, w najlepszym wypadku niewyraźny, teraz jeszcze bardziej się rozmywał.

Bez większych nadziei wyjął z kieszeni kopię ostatniego zdjęcia policyjnego Scotta Ridgersa i rozłożył kartkę, żeby pokazać Andrei.

— To on.

W chwili gdy spojrzała na zdjęcie, jej oczy się rozszerzyły.

— Znam go — stwierdziła.

39

— Pracował w naszym ogrodzie — powiedziała Andrea, wciąż patrząc na zdjęcie. — W firmie, z której usług korzystałam. Widziałam go parę razy.

Bolt spojrział na Mo. Kolega miał obojętny wyraz twarzy.

— Jak nazywa się ta firma?

— Brandon Landscapes. Mam gdzieś ich wizytówkę.

Wstała i szperała w górnej szufladzie sosnowej szafki przy sofie, aż znalazła to, czego szukała.

— A kiedy widziałas tutaj człowieka ze zdjęcia?

— Pracował od niedawna — powiedziała, podając Boltowi wizytówkę. — Od paru tygodni. Wcześniej go nie widziałam.

— Zachowywał się podejrzanie? — zapytał Mo, odzywając się po raz pierwszy.

Andrea pokręciła głową, siadając na swoim miejscu.

— Nie. Po prostu robił swoje.

— Czy wchodził do domu?

— Nie. Nie wpuszczam ogrodników. Zresztą nigdy nie było potrzeby. Swoją drogą, dla Mike'a Brandona pracuje sporo ludzi, którzy mają przeszłość kryminalną.

Bolt uniósł brwi.

— Naprawdę?

— Pomaga im stanąć na nogi. Zawsze uważałam to za dobry pomysł, ale, wiesz, nie jestem idiotką. Nie pozwalałam im swobodnie się tu kręcić. Nie ludziom z taką przeszłością. —

Podniosła zdjęcie. — Boże, naprawdę myślisz, że ten człowiek może być zamieszany w sprawę?

Bolt nagle zapragnął, żeby nie był, nie po tym, co usłyszał o nim od Bouchery i Richardsona, ale pokiwał głową.

— Tak sędzę. I to świadczy, że jesteśmy na właściwym tropie — powiedział i zerknął na Mo.

Przeniósł spojrzenie na wizytówkę, którą dała mu Andrea, i zobaczył, że Brandon Landscapes to miejscowa firma z Hampstead.

— Musimy natychmiast do nich zadzwonić i zapytać, czy mają jakiś telefon kontaktowy do pana Ridgersa.

Wstał i wyszedł razem z Mo.

Gdy tylko znaleźli się w holu, Bolt przeciągle wypuścił powietrze. Odwrócił się w stronę kolegi, czekając na jakieś potwierdzenie, że miał prawo podążać tym tropem.

— Nadal nie podoba mi się sposób, w jaki się tym zajęłeś — rzekł Mo niechętnie.

— Mówimy o mojej córce — syknął Bolt, przysuwając się do niego. — Nie miałem wyboru. I teraz dokądś zmierzamy, prawda? Ponieważ to nie może być przypadek. Ridgers bierze w tym udział, bez dwóch zdań.

— Zgoda, chociaż wciąż nie wiemy, gdzie jest, i mamy mało czasu, żeby go znaleźć.

Bolt pokiwał głową.

— Ale miałem prawo zrobić to, co zrobiłem.

Odwrócił się, zanim Mo jeszcze coś dodał, i wystukał numer Brandon Landscapes. Odezwała się poczta głosowa, więc nagrał wiadomość, prosząc Mike'a Brandona o jak najszybsze oddzwonienie. Potem zatelefonował do Wielkiego Barry'ego i przekazał mu nowiny.

Barry jakby zapomniał o swej wcześniejszej irytacji i pochwalił go za dobrą robotę.

— Nie chcemy wszczynać alarmu na wypadek, gdyby jakiś miejscowy glina chciał go przymknąć, zanim odbierze pieniądze. Ale dobrze, że znamy nazwisko jednego z nich, Mike. Dobra robota.

Matt Turner wyszedł z gabinetu, gdy Bolt skończył rozmowę.

— Jakaś szansa na złuzowanie, szefie? — zapytał. — Dostaję już świra.

— Nie martw się — odparł Bolt ze znużeniem w głosie — niedługo będzie po wszystkim.

Nie wiedział, co jeszcze powiedzieć, więc zostawił Turnera i Mo i wyszedł do ogrodu. Zapragnął uciec od wszystkich. Było piękne jesienne popołudnie, tylko parę pasm chmur i smugi zostawione przez samolot przecinały lazurowe niebo, ale ta chwila samotności nie przyniosła mu spokoju. Jak Andrea źle znosił czekanie. Miał zbyt wiele czasu na myślenie, a to, że jego przeczucie okazało się trafne, budziło różne emocje. Jak powiedział Barry, dobrze, że zidentyfikowali jednego z porywaczy, niestety jego córkę prawdopodobnie przetrzymywał facet podejrzewany o pedofilię. Z tego powodu nie mógł się odprężyć.

Pospacerował jakiś czas po ogrodzie, potem wrócił do domu. Słyszał, jak Mo, Turner i Marie rozmawiają cicho w gabinecie, ale nie rozumiał słów. Nie chcąc im przeszkadzać, zapukał do drzwi pokoju i nie był zaskoczony, gdy zobaczył Andreę na tym samym miejscu, palącą papierosa.

— Wiesz co? — zapytała, nie patrząc na niego. — Zawartość tej torby... — Ruchem głowy wskazała torbę na podłodze — to tylko kawałki pieprzonego papieru, prawda? Przez całe życie próbowałam nabierać ich jak najwięcej, i po co? Ładny wielki dom. Duży samochód. Cóрка, której być może nigdy nie zobaczę...

— Nie myśl tak, Andreo. Nie wolno ci tracić optymizmu.

Zdobyła się na blady uśmiech.

— Damy radę, prawda?

— Jeśli będziemy silni, damy radę. A dziś wieczorem oboje musimy być bardzo silni i bardzo skupieni.

Zgasiała papierosa w popielniczce, wstała i zrobiła krok w jego stronę.

— Przytulisz mnie? — zapytała. — Tylko na chwilę?

Wyglądała tak bezbrinnie, Bolt wiedział, że nie zdoła odmówić, i podszedł, by wziąć ją w ramiona.

Zatrzymał się zaskoczony przez dźwięk, który budził tyleż nadziei co strachu.

Zadzwoił telefon.

Głos Emmy płynął z głośnika. Podobnie jak wczoraj był nagrany. Tylko że dzisiaj Bolt cierpiał, gdy mówiła, nerwowo i urywanie, bo jego stosunek do niej uległ poważnej zmianie.

— Cześć, mamó. Nic mi nie jest. Jest sobota. Widziałam gazetę. — Krótka pauza. — Mówią, że dzisiaj mnie wypuszczą, jeśli dasz im pieniądze. Ale nie zawiadamiaj policji. Proszę. W przeciwnym razie... — Kolejna pauza, tym razem dłuższa.

Wszyscy byli w gabinecie. Cała piątka. Turner, Marie, Mo, Bolt i Andrea. Turner stukał gorączkowo w klawiaturę laptopa, próbując wytropić komórkę. Bolt nie chciał patrzeć na Andreę, choć wiedział, że ona spogląda na niego. Słuchawka drżała w jej ręku. Podchwycił spojrzenie Mo i wyczytał w nich współczucie. Nie wyraził wdzięczności. Spojrzał na punkt na suficie, mocno zaciskając zęby.

Usłyszeli kliknięcie i znajomy zniekształcony głos.

— Masz pieniądze?

— Tak — odparła stanowczym tonem.

— Dobrze. Rozmawiałaś z policją?

— Nie — oświadczyła równie stanowczo.

— Ktoś zostanie z twoją córką. Zabije ją o dziesiątej wieczorem, jeśli się nie odezwiemy, więc radziłbym zmieścić się w czasie.

Bolt wzdrygnął się na te słowa. Andrea zachwiała się lekko, ale zaraz potem przemówiła pewnie do telefonu.

— Mówiłam, że nie zawiadomiłam glin. Po prostu chcę, żeby to się skończyło.

— Dobrze. Masz nawigację satelitarną w samochodzie, prawda?

— Mam.

— Munroe Drive przy N-siedem jest sześć minut jazdy od domu w normalnym tempie. Masz cztery minuty, żeby się tam dostać, inaczej zrywamy umowę. Jedź do końca ulicy i czekaj na telefon.

— Ale...

Połączenie zostało przerwane. Andrea upuściła słuchawkę na podłogę.

— Jezus, gdzie kluczyki? Mam tylko cztery minuty.

— Nie panikuj, Andreo — przekazał ostro Bolt. — On blefuje. Pamiętaj, chce pieniędzy. Zachowaj spokój i jedź na Munroe Drive jak najszybciej. — Spojrzał na Turnera. — Namierzyłeś?

— Komórka, północny Londyn. To wszystko, co mam. Jeśli powtarza wczorajszy sposób działania, to już ją wyłączył.

Bolt nie słuchał. Przyciskając komórkę do ucha, dzwonił do Barry'ego.

— Zaczęło się — powiedział krótko. Potem, wychodząc za Andream z pokoju, zadzwonił do dowódcy zespołu obserwatorów na zewnątrz.

— Droga wolna — usłyszał w odpowiedzi.

— Ruszamy — oznajmił.

— Powodzenia.

Będę potrzebować czegoś więcej, pomyślał Bolt po zakończeniu rozmowy. Ale po raz pierwszy od ponad dwudziestu czterech godzin czuł się lepiej. Obejmował dowodzenie nad dobrze przygotowaną operacją. Stawki były wyższe niż kiedykolwiek, ale przynajmniej teraz przebieg wydarzeń zależał od niego.

— Korzystał z innej komórki niż wczoraj — powiedział Turner, wychodząc z gabinetu — i już ją wyłączył. Gdzieś w N-siedemnaście, niedaleko miejsca, z którego dzwonił wczoraj.

— Dobra robota, Matt.

— Chcę jechać z wami.

Bolt popatrzył na niego.

— Proszę, szefie. Nie chcę tu zostawać.

Nie było czasu na dyskusję.

— Zgoda, możesz jechać ze mną i z Mo.

Bolt zabrał torbę z pieniędzmi i gdy Andrea przyniosła kluczyki z kuchni, razem wyszli z domu. Pieniądze były ciężkie i musiał wyęźać siły, żeby dotrzymać jej kroku, gdy biegła ulicą do wozu. Otworzył drzwi i wrzucił torbę na fotel pasażera. Andrea już włączyła silnik i wpisała do nawigacji Munroe Drive N7. Wyglądała na przerażoną, ale skoncentrowaną. Życzył jej szczęścia, lecz nawet nie spojrzała w jego stronę. Pochyliła się, zamknęła drzwi i odjechała,

Minęła pierwsza minuta.

— Ja prowadzę — oznajmił Bolt, wskakując z Mo i Turnerem do jaguara.

Wsunął słuchawkę do ucha, włączył mikrofon, który miał na szyi, i ruszyli, zawracając szybko na środku ulicy. Idąca pod rękę para w średnim wieku zatrzymała się i patrzyła na nich ciekawie. Szczęściarze, pomyślał Bolt. Żadnych trosk.

Pięć wozów inwigilacyjnych i dwa motocykle utworzyły konwój. Jak we wszystkich tego typu operacjach wciąż mieli zmieniać pozycje, żeby żaden pojazd nie rzucał się w oczy, na wypadek gdyby porywacze postanowili śledzić Andreę. Łączność mieli prowadzić przez radio, ze znakami wywoławczymi, żeby wszyscy słyszeli i mogli odpowiednio reagować.

Bolt zajął pozycję za toyotą auris z Tiną Boyd i Krisem Obanjem.

— Myślę, że nasze cele popadają w paranoję — powiedział Mo. — Munroe Drive to ślepa ulica.

— Cholera. Najwidoczniej sprawdzają, czy nie ma ogonów. Musimy być bardzo, bardzo ostrożni.

Skręcił w prawo, wyjeżdżając z ulicy Andrei, zwolnił, gdy wyprzedzał go inny wóz, potem przyspieszył. Jego palce bębniły po kierownicy, gdy napięcie rosło. Spojrzał na zegarek.

Dwie minuty.

Znowu skręcili, tym razem na Finchley Road, jadąc na północ w kierunku North Circular. Natężenie ruchu było umiarkowane. Jeden z motocykli minął ich z rykiem i wcisnął się za mercedesa Andrei, która wyprzedzała ich o pięćdziesiąt jardów i jechała szybko, zmieniając pasy. Pojazdy policyjne miały trzymać się przed nią i za nią, żeby przez cały czas mieć ją na oku, ale jej prędkość i chaotyczny styl jazdy utrudniały zadanie.

Bolt pochylił się, patrząc przez szybę w niebo. Miał nadzieję, że Barry dotrzyma słowa i śmigłowiec będzie się trzymać poza zasięgiem wzroku. Nawet w mieście tak wielkim jak Londyn, gdzie helikoptery stanowią pospolity widok, od razu wzbudziłyby podejrzenia porywaczy. Dziś jednak niebo było czyste.

Trzy minuty.

Przed nimi światła zmieniły się na żółte. Andrea dodała gazu i przejechała w chwili, gdy zapalały się czerwone, motocykl przemknął tuż za nią. Dwa wozy przed Boltem zatrzymały się, toteż musiał zrobić to samo. Zaklął i szybciej stukał palcami w fotel, licząc w myśli sekundy, gdy wóz Andrei zniknął z pola widzenia.

Jeden, dwa, trzy... trzynaście, czternaście, piętnaście... dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy...

— Szybciej, szybciej — syknął.

Gdy światła zmieniły się na zielone, Bolt usłyszał trzask w mikrofonie i głos na tle szumu zakłóceń.

— Motocykl dwójka do wszystkich wozów, cel właśnie skręcił na Clearland Road, kieruje się do Munroe Drive. Jadę następną przecznicą, Boothby Avenue. Straciłem kontakt wzrokowy.

Włączył się głos Tiny.

— Wóz dwa do motocykla dwójki, jesteśmy trzydzieści sekund za tobą. Skręcamy w Clearland i przejmujemy cel.

Cztery minuty.

Bolt przyspieszył, zjeżdżając na wewnętrzny pas, żeby wyprzedzić dwa wozy przed sobą, a potem przeskoczył na pas zewnętrzny. Szybko nadrabiał odległość, ale wciąż byli daleko z tyłu.

A potem usłyszeli dzwonek komórki Andrei wyłapany przez mikrofon na jej bluzce. Gdy odebrała, rozległ się głos porywacza, stłumiony, słaby, ale zrozumiały.

— Gdzie jesteś? — zapytał.

— Właśnie skręcam na Munroe Drive.

— Jedź do końca. Zatrzymaj się przed numerem dwudziestym po lewej. Przed domem stoi zielony renault scenie. Pod błotnikiem po stronie kierowcy na oponie leży paczka. Weź ją i zostaw swój telefon, tylko najpierw go wyłącz. Potem wsiądź do swojego wozu i otwórz paczkę. Są tam dwie rzeczy, jedna to komórka. Włącz ją, a ja zadzwonię z dalszymi instrukcjami. Potem jedź do North Circular i skręć w prawo, na wschód.

Zapadła cisza.

— Chryste, ci faceci nie podejmują najmniejszego ryzyka, prawda? — odezwał się siedzący z tyłu Turner.

Bolt ze złością pokręcił głową

— Sukinsyny coś wiedzą. Muszą.

— Skąd? — zapytał Mo. — Trzymaliśmy wszystko w sekrecie.

— Bóg wie skąd. Ale wiedzę. Jestem tego pewien.

Przerwał im głos Tiny płynący przez radio.

— Wóz dwa do wszystkich wozów. Cel zatrzymał się blisko końca Munroe Drive. Zabrała paczkę, wsiada. Zawraca do wylotu Munroe Drive. Teraz skręca w lewo i kieruje się ku Finchley Road.

— Przejeździemy ją — powiedział Bolt i przyhamował tuż przed wjazdem na Clearland Road, czekając na mercedesa Andrei.

Parę sekund później zjechała ze skrzyżowania, jadąc na północ jeszcze bardziej chaotycznie niż wcześniej.

— Wóz jeden do wszystkich — odezwał się Bolt — jedziemy za celem na północ po Finchley Road, trzy pojazdy z tyłu. Jedźcie szybko. Nie widzę zbyt dobrze, ale chyba rozmawia przez telefon. Nie, raczej nie, jej mikrofon niczego nie łapie.

— Cholera — zaklął Mo. — Do diabła, co ona robi?

— No nie — mruknął Bolt.

Z radia popłynął nagłący głos Barry'ego.

— Co się dzieje?

— Cel otwiera okno i coś wyrzuca.

— To mikrofon — ryknął Barry. — I nadajnik.

— Wyrzuciła coś jeszcze — powiedział Mo.

— Wiem! — ryknął Barry, jakby był bliski apopleksji. — Cholerne nadajniki z podszewki torby. Jak je znalazła i, do cholery, co ona sobie wyobraża?

Bolt odpowiedział na pytanie.

— Ta paczka, którą odebrała, zawierała nie tylko mikrofon. Był tam też wykrywacz podsłuchu. Sukinsyny wiedzą o nas. Oto, co się dzieje.

Nie mógł w to uwierzyć. Porywacze dostali cynk. Ale od kogo?

Andrea wjechała na North Circular dokładnie o szóstej dwadzieścia sześć wieczorem i pędziła szybko na wschód. Śledzący ją agenci nie słyszeli, co mówi, dlatego musieli bardzo się starać, żeby jej nie zgubić. Nie udało się operacji utrzymać w tajemnicy. Teraz, gdy stało się jasne, że pory wacze o nich wiedzą, przestało się to liczyć.

W pokoju kontroli Wielki Barry Freud toczył przegraną bitwę o zachowanie spokoju. Bolt, siedząc z ponurą miną za kierownicą, po raz pierwszy zobaczył śmigłowiec. Wiedział, co jego szef czuje. To już nie była inwigilacja, zaczęło się polowanie, i znowu przeklął Andreę. Porywacze kazali jej pozbyć się wszystkiego, co umożliwiało śledzenie pieniędzy; na pewno też przeplatają instrukcje groźbami, żeby zmusić ją do posłuszeństwa. Była sama w samochodzie, tylko ze swoimi myślami i lękami, więc nie bardzo mogła im odmówić, ale bez wątpienia przez swoje poczynania mogła stracić szansę na zobaczenie Emmy żywej. Ci faceci w przerażający sposób wyprzedzali ich posunięcia. Robili wszystko, by mieć pewność, że dostaną pieniądze, jednocześnie minimalizując ryzyko wpadki. Kiedy Emma przestanie być potrzebna, wbiją jej nóż w serce, tak jak sprzątacze Andrei. Bolt przeklinał siebie za to, że przyczynił się do zainicjowania tej farsy. Powinni od początku zacząć negocjacje, wyłożyć karty na stół, wysłać wyszkolonych ludzi, żeby uwolnili Emmę, zamiast wyskakiwać z efekciarską operacją na pierwszą stronę zagrożoną rozsypaniem się na kawałki ledwie parę minut po rozpoczęciu.

Przez dwadzieścia cztery minuty Andrea jechała North Circular. Ruch był nasilony i choć zmieniała pasy, nie istniało

zagrożenie, że ją zgubią. O szóstej pięćdziesiąt skręciła w A10 na południe i wykorzystała mniejszy ruch, żeby przyspieszyć.

— Nie rozumiem, dlaczego nie próbuje pozbyć się nadajników z okupu — powiedział Mo, gdy pędzili za nią. — Najwyraźniej kazali jej wyrzucić wszystko, co może pomóc ich śledzić, a ona współpracuje.

— Może nie miała okazji poszukać urzędzeń w czasie jazdy — odparł Bolt.

— A może tylko udaje, że współpracuje — zasugerował Turner.

Bolt pokręcił głową.

— Nie, zdecydowanie robi, co każą. — Wziął głęboki oddech. — Coś knują — dodał cicho. — Bóg wie co. Ale coś knują.

Dziesięć minut później Andrea znów skręciła, tym razem w Lordship Lane, na wschód do Tottenham. Potem stała się dziwna rzecz. Zwolniła i snuła ledwie piętnaście mil na godzinę lewym pasem. W tym czasie Bolt i Mo byli tylko dwadzieścia jardów za nią.

— Wóz jeden do kontroli — powiedział Bolt, patrząc prosto przed siebie.

Barry się zgłosił.

— Kontrola słucha. Co jest, jedynka?

— Cel jedzie bardzo wolno, około piętnastu mil na godzinę. Chyba rozmawia przez telefon. Co mamy zrobić? Odbiór.

— Trzymaj się za nią. Po prostu trzymaj się za nią. Ważne, żeby jej nie zgubić. Odbiór.

— Nie ma obawy, nie zgubimy. Prędzej wjedziemy jej w kufer. Odbiór.

Zbliżali się do skrzyżowania z Tottenham High Road. Andrea zwolniła jeszcze bardziej i zatrzymała się na czerwonych światłach.

Bolt patrzył przez przednią szybę. Po prawej stronie miał Tinę i Krisa Obanjego w toyocie, a po drugiej stał jeden z motocyklistów. Już nie widział śmigłowca, ale na pewno maszyna była niedaleko. Nie było możliwości, że stracą Andree z oczu, więc nie miał pojęcia, jak porywacze chcą niepostrzeżenie przejąć pieniądze. A jednak ci faceci to zawodowcy. Dotąd ani razu się nie potknęli. Mieli dla nich jakąś niespodziankę. Był tego pewien.

Zdawało się, że czerwone światła palą się przez całą wieczność. Bolt rozpaczliwie pragnął wyskoczyć z wozu, podejść do mercedesa Andrei i zapytać, co, do licha, wyprawia, ale wiedział, że to nie byłoby rozsądne. Jeśli teraz przeszkodzą w dostarczeniu okupu, ich nadzieje na uratowanie Emmy zmaleją jeszcze bardziej. Musieli po prostu śledzić Andree.

Spróbował odgadnąć zamiary porywaczy. Najwyraźniej podejrzewali, że coś się kroi. Początkowo próbowali nakłonić Andree, żeby uciekła policji, ale teraz zmienili taktykę i zmusili ją do zwolnienia. Dlaczego? Na coś czekali. Ale na co?

Nagle go olśniło.

— Cholera.

Mo odwrócił się w jego stronę.

— Tottenham gra dzisiaj?

Światła przed nimi zrobiły się zielone i samochody ruszyły.

— Nie jestem pewien. Nie miałem czasu sprawdzić. Chyba nie myślisz...

— Chryste, grają — powiedział Turner, pochylając się pomiędzy przednimi fotelami. — Początek meczu o piątej piętnaście.

Bolt trzasnął pięścią w kierownicę.

— Kończą. Założę się, że już po ostatnim gwizdku. To ma sens.

Zanim miał okazję coś dodać, usłyszeli głos Barry'ego, gorączkowe słowa potwierdziły podejrzenia Bolta.

— Kontrola do wszystkich wozów, mamy problem. Liczni kibice zaczynają wychodzić z White Hart Lane na Tottenham High Road prosto na północ od celu. To może być prawdopodobne miejsce przekazania okupu.

Bolt poczuł przyływ adrenaliny. Prawdopodobne miejsce? Było niemal stuprocentowo pewne.

— Podać obecną lokalizację celu.

— Wóz jeden do kontroli, skręca w lewo na Tottenham High Road i przyspiesza.

— Nie spuszczać jej z oka! — ryknął Barry. — Wszystkie wozy, ona i pieniądze mają być w zasięgu wzroku! Odbiór.

Andrea się nie zatrzymywała. Kluczyła, zmieniając pasy, jadąc jak szalona, choć pojazdy przed nią zwalniały; fala około czterdziestu tysięcy kibiców w białych koszulkach wylewała się na ulicę.

Bolt klął głośno, gdy próbował utrzymać tempo, wciskając się pomiędzy dwa wozy i w trakcie manewru łamiąc im boczne lusterka. Wskutek gwałtownego przyspieszenia Andrea znalazła się trzydzieści jardów przed nimi. Nie więcej niż sto sześćdziesiąt jardów dalej policja konna zatrzymywała ruch, gdy droga przemieniała się w morze bieli. Kibice już tłoczyli się na chodnikach, nadciągając po obu stronach jezdni, w powietrzu brzmiały ich ochryple krzyki.

Andrea nagle podjechała do krawężnika i stanęła. Sekundę później wysiadła z wozu, już bez telefonu przy uchu. Podbiegła do drzwi pasażera, wyciągnęła torbę, zarzuciła ją na ramię i szybko ruszyła przed siebie.

W słuchawce Bolta zabrzmiały głosy ze wszystkich wozów i motocykli policyjnych.

— Wóz trzy do wszystkich, ruszyła. Co mamy zrobić? Odbiór.

— Motocykl jeden do kontroli, jestem dziesięć jardów za jej samochodem. Mam ją przejąć? Odbiór.

— Kontrola do motocykla jeden, ma torbę? Odbiór.

— Tak, ma. Odbiór.

— Cholera. Sygnały nadajników wskazują, że pieniądze nadal są w aucie. Ta głupia suka też je wyjęła. Kontrola do wszystkich pojazdów, śledzić ją pieszo. Natychmiast. Nie zgubcie jej ani torby. Ruszać!

Bolt, Mo i Turner wyskoczyli z wozu, zostawiając go na środku drogi, i pobiegli za Andrea, którą już pochłonął tłum kibiców. Motocyklista ich wyprzedzał, w biegu ściągając hełm, ale Bolt był szybszy. Prześcignął go i przedzierał się przez tłum, nie odrywając oczu od tyłu głowy Andrei.

Dzieliło ich tylko piętnaście jardów i odległość malała.

Nagle nastąpił wybuch, po nim oślepiający błysk gdzieś w tłumie przed nimi. Bolt zamknął oczy i odruchowo osłonił głowę. W chwili gdy uniósł powieki, rozległ się drugi huk, mniej więcej z tej samej strony. Zabrzmiały krzyki paniki, ludzie runęli i naporli na niego, próbując oddalić się od źródła eksplozji. Został pchnięty do tyłu i musiał walczyć o utrzymanie się na nogach, gdy gorączkowo szukał wzrokiem Andrei. Nie widział jej w tłumie zasłaniającym mu widok.

A potem zaczął się krztusić i łzy zalały mu oczy. Czuł się tak, jakby ktoś trysnął mu amoniakiem w twarz i jeszcze więcej wlał mu do gardła. Gaz łzawiący. Dranie rzucili granaty z gazem łzawiącym. Panika narastała, gdy ludzie zaczęli odczuwać skutki gazu, większość z nich bez wątplenia była przekonana, że to atak terrorystyczny. Bolt miotał się jak statek w czasie sztormu, próbując zachować równowagę wśród przerażonych kibiców, zaciskając bolące oczy, przysłaniając koszulą dolną połowę twarzy.

Przed nim otworzyła się wolna przestrzeń. Kilka osób leżało na ziemi, jedna z rozciętą głową. Pośrodku, ledwie dziesięć

jardów dalej, zobaczył Andreę. Klęczała na chodniku z rękami przyciśniętymi do twarzy. Torba zniknęła. Zaczęły wyc syreny, konni policjanci galopowali w kierunku miejsca zdarzenia, ale wciąż byli za daleko, żeby pomóc.

Bolt próbował skupić wzrok na plecach uciekających ludzi, jego oczy śmigły szaleńczo we wszystkie strony. Zobaczył Mo i Turnera kilka jardów dalej, stojących blisko siebie. Mo trzymał twarz w dłoniach, Turner wycierał oczy chusteczką i też rozglądał się desperacko.

Potem dostrzegł torbę zawieszoną na ramieniu faceta w czarnej czapce baseballowej. Mężczyzna skręcał za róg, idąc szybkim krokiem, niesiony przez uciekający tłum. Znikał z pola widzenia.

Wciąż kaszląc, Bolt pochylił głowę i szybko powiedział do mikrofonu:

— Podejrzany ucieka z torbą... — Rozejrzał się, szukając tabliczki z nazwą ulicy, nie znalazł żadnej. — Jedną z bocznych ulic kieruje się na zachód.

— Kontrola do wszystkich jednostek — krzyknął Barry w słuchawce. — Nie zgubić torby! Spróbujemy złapać go na kamerach.

— Tam jest — wycharczał Bolt, wciąż wdychając gryzący gaz, i wyciągnął rękę.

Turner zauważył go i przepychał się przez tłum we wskazaną stronę, a za nim Kris Obanje i Tina Boyd. Turner okazał się najszybszy, jakby podczas przymusowego pobytu w domu Andrei chłonał cały czas energię. Nie należał do największych ani najsilniejszych facetów, ale parł przez tłum jak czołg, odpychając ludzi na boki i zmniejszając odległość dzielącą go od torby.

— Mo, zostań z Andreą! — ryknął Bolt.

Zanim kolega odpowiedział, Bolt minął go i dołączył do pościgu, oczy piekły go mniej, gdy świeże powietrze owiało mu

twarz.

Minęło piętnaście sekund od pierwszego wybuchu i gaz już się rozpraszał, jego skuteczność malała. Teraz większość ludzi się zatrzymywała, górę brała ciekawość. Zbity mur wciąż stanowił idealną osłonę dla uciekającego podejrzanego. „Policja! Z drogi!” — wrzasnął Bolt ile sił w płucach i wbił się w tłum, już nie widząc sensu w zachowywaniu dyskrecji. Kibice futbolowi niechętnie szli na rękę władzy, ale Bolt był roslym mężczyzną i wiedział, że jeśli zgubi faceta z torbą, na pewno straci córkę, której nigdy nie poznał, więc dzisiaj nikt nie mógłby go zatrzymać. Gdyby miał broń, wymachiwałby nią, nawet wystrzelił parę razy w powietrze, ryzykując wylanie z roboty.

Wciąż wrzeszcząc, parł przez tłum, nie zwracając uwagi na obelgi i krzyki oburzenia, dopędził Tinę i Obanjego, wyprzedził ich. Turner był dziesięć jardów z przodu, w miejscu, gdzie tłum zaczynał rzednąć. Taka sama odległość dzieliła go od mężczyzny z torbą. Turner biegł, podejrzany szedł szybkim krokiem. Za parę sekund go dopadnie, i to będzie koniec, bo Bolt z pozostałymi deptał mu po piętach.

A potem Bolt kątem oka dostrzegł smugę ruchu. Mężczyzna w czarnej czapce, w okularach przeciwsłonecznych i w nowiutkiej koszulce Tottenhamu rzucił się z boku na Turnera. Bolt zobaczył błysk metalu, gdy jego ręka śmignęła do przodu. Napastnik odskoczył i pobiegł na drugą stronę ulicy, oddalając się w kierunku przeciwnym niż człowiek z torbą. Turner potknął się, sięgając ręką do miejsca, gdzie uderzył go mężczyzna. Opadł na kolano, podczas gdy kibice kłębili się wokół niego z lekko zaciekawionymi minami.

Bolt zatrzymał się przy nim, położył rękę na jego ramieniu.

— Matt, w porządku?

Barry przez radio zapytał, co się dzieje. Dopiero wtedy Bolt zobaczył rosnącą plamę krwi na koszuli kolegi.

— Cholera!

Turner podniósł głowę, z oczami rozszerzonymi ze strachu, z niemal dziecięcym wyrazem twarzy.

— Chyba dostałem nożem, szefie — powiedział, podparł się ręką i położył na boku, jakby chciał się przespać.

— Ranny policjant! — ryknął Bolt do mikrofonu. — Ugodzony nożem przez drugiego podejrzanego. Potrzebna natychmiastowa pomoc medyczna.

— Co się stało, do licha?! — wrzasnął Barry do jego ucha tonem bliskim paniki, gdyż zaczynał pojmwować skalę nieszczęścia. — Kontrola do wszystkich jednostek, zabezpieczyć miejsce zdarzenia. Zabezpieczyć pieniądze. Niebawem przybędzie wsparcie.

Bolt wiedział, że musi zachować spokój i objąć dowodzenie. Człowiek z torbą zniknął w ciągu dziesięciu sekund od napaści na Turnera. Musieli go dorwać. Obanje i Tina już przybiegli. Bolt ryknął do Obanjego, żeby podjął pościg, a Tinie kazał zostać z rannym kolegą.

— Co z tym, który go dźgnął? — zapytała.

— Jest mój — syknął Bolt, zrywając się do biegu.

Nożownik uciekał Tottenham High Road i też zniknął z pola widzenia, lecz Bolt nie zamierzał poddać się tak łatwo. Nie dbał o pieniądze, były nieważne, ale ten sukinsyn poważnie ranił jednego z jego ludzi, a poza tym zgotował mu osobiste piekło. Nie zdążył mu się przyjrzeć i nie miał pojęcia, czy to Ridgers, ale sądził, że raczej nie. Domyślał się, że podejrzany nie zdjął czarnej czapki, żeby uniknąć rozpoznania na podstawie zdjęć z kamer, i wiedział, że nie mógł uciec daleko, więc pędził za nim, ignorując gorączkowe rozmowy w słuchawce.

Niemal wpadł na policyjnego konia i nawet nie zwrócił uwagi na wykrzyczaną komendę jeźdźca. Biegł środkiem jezdni pomiędzy szeregami stojących aut, przeszukując wzrokiem chodniki i legiony kibiców w białych koszulkach. Nigdzie nie

widział czarnej czapki, ani po jednej, ani po drugiej stronie. To przypominało szukanie igły w stogu siana. Z wyjątkiem jednej rzeczy. Tłum w większości przejawiał zachowanie stadne, co znaczyło, że prawie wszyscy odwrócili się w kierunku panującego za nimi zamieszania i niektórzy nawet szli z wahaniem w tamtą stronę. Jeden człowiek wyróżniał się po prostu dlatego, że zdecydowanym krokiem oddalał się od miejsca zdarzenia. Próbował nie rzucać się w oczy, gdy kluczył pomiędzy kibicami. Bolt wcześniej ledwo go widział, ale wzrost i budowa ciała się zgadzały. Mężczyzna wyprzedzał go o trzydzieści, może czterdzieści jardów.

To on, Bolt był pewien. Przetarł oczy, splunął na ziemię, żeby pozbyć się smaku gazu z ust, i ruszył ile sił w nogach, desperacko pragnąc go dopędzić.

Trzydzieści pięć, trzydzieści, dwadzieścia pięć, dwadzieścia jardów. Jego kroki brzmiały nienaturalnie głośno na asfalcie. Dwóch policjantów w pełnym rynsztunku do rozpraszania zamieszek stało na drodze z wyciągniętymi pałkami, niespokojnie patrząc na tłum. Jeden usłyszał szybkie kroki Bolta. Jakby szukając kogoś, na kim mógłby się wyładować, złowieszczo podniósł pałkę i kazał mu się zatrzymać. Bolt nawet nie zwolnił. Wyciągnął legitymację i krzyknął: „Policja!”. Niebawem, gliniarz bez słowa usunął się z drogi.

Niestety, podejrzany też się odwrócił. Jego twarz wyrażała absolutne zaskoczenie, choć częściowo przysłaniały ją ciemne okulary i w jednej chwili Bolt zrozumiał, że patrzy na właściwego człowieka.

Podejrzany pobiegł ulicą, potrącając kobietę w średnim wieku i potykając się, ale szybko odzyskał równowagę. Mąż kobiety coś krzyknął i chciał go zatrzymać, ale okazał się o wiele za wolny. Facet był szybki i miał nie byle jaką motywację, żeby oddalić się od pościgu.

Bolt miał gorszą kondycję niż powinien. Ostatnio chodził na siłownię co najwyżej raz w tygodniu i zaczynał przybierać na wadze. Dziś jednak, napędzany czystym gniewem, dotrzymywał kroku celowi. Wrzasnął, każąc mu się zatrzymać, tak głośno, że usłyszała cała ulica. Ludzie odwrócili się w jego stronę, potem spojrzeli na uciekającego podejrzanego, który w odpowiedzi wyciągnął nóż i wymachiwał nim dziko przed sobą. Było to skuteczne posunięcie. Tłum się rozstał, nikt nie chciał stawić czoła nożownikowi.

Bolt rzucił okiem przez ramię. Biegło za nim dwóch ludzi z jego zespołu, Dan Blakeley i Cliff Yakonos, ale wciąż byli dobre dwadzieścia pięć jardów z tyłu, podczas gdy śmigłowiec krążył bezsilnie w górze. Bolt nie miał broni. Jeśli dopędzi podejrzanego, podejmie ogromne ryzyko. Przemyślał to i biegł, ignorując ból w płucach. Powoli zbliżał się do celu.

— Drugi podejrzany biegnie na południe Tottenham High Road! — krzyknął do mikrofonu. — Jest uzbrojony i niebezpieczny. Proszę o natychmiastowe wsparcie.

— Tu kontrola. Wsparcie w drodze. Powinni zjawić się za minutę.

Nagle rosły mężczyzna po trzydziestce, idący mniej więcej z dziesięcioletnim dzieckiem, zapewne synem, skoczył na podejrzanego, próbując zamknąć go w niedźwiedzim uścisku. Wykonał odważny ruch. Odważny, szlachetny i kompletnie nierozważny. Złapał podejrzanego, pchnął go na okno sklepu z rzeczami używanymi, ale nie był dość szybki, żeby uniknąć noża. Podejrzany zareagował bezlitośnie i instynktownie. Krzywiąc twarz z wściekłości i desperacji, zadał nożem cios w tułów. Mężczyzna runął jak podcięte drzewo, pewnie zmarł, zanim upadł na ziemię. Chłopiec krzyknął: „Tato!”. Było to przerażone, zszokowane wycie, które miało towarzyszyć Boltowi przez długi czas. To mu brutalnie przypominało, że śmierć może nadejść błyskawicznie. W jednej sekundzie żyjesz,

oddychasz, jesteś uśmiechniętym człowiekiem, który z synem oglądała mecz futbolowy we wspaniały wieczór, a w następnej już po tobie. Na zawsze.

— Drugi podejrzany pchnął nożem osobę z tłumu, potrzebna pilna pomoc medyczna! — ryknął Bolt do mikrofonu, choć pomoc wcale nie była pilna. Facet nie żył. Jak sprzątaczką Andrei i Jimmy Galante. Może nawet Emma. Zabici przez zabójcę niemającego odrobiny szacunku dla ludzkiego życia.

Bolt gotował się z furii. Od dawna, a może nawet nigdy, nie czuł takiej wściekłości. Gniew przyćmiewał tamten, który go przepełniał, gdy kopał i bił Richardsona. Zdawało się, że jest źródłem jego ślepej, strasznej siły.

Mężczyzna przypłacił życiem swoją interwencję, ale dzięki niemu podejrzany stracił pięć czy sześć jardów. Wymachując zakrwawionym nożem, minął dzieciaka, któremu właśnie odebrał ojca, i biegł jak szalony, teraz jednak miał tylko kilka jardów przewagi nad Boltem. Zbliżał się do skrzyżowania i kiedy tam dotarł, ostro skręcił w prawo, niemal zginając się w pół dla zachowania pędu. Bolt bez wahania wpadł za róg, choć wiedział, że podejrzany może wykorzystać to miejsce do urzędzenia zasadzki. Przestał logicznie oceniać ryzyko, wkraczał do królestwa czystej żądzy zemsty. Wycisnie potrzebne informacje z tego sukinsyna, skopie go, a nawet zabije, jeśli będzie musiał, ale na pewno nie da mu zwiąć. Nie ma mowy. Ta myśl dodawała mu skrzydeł.

Za zakrętem podejrzany zyskał kilka jardów i pędził na drugą stronę ulicy pomiędzy stojącymi autami. Tutaj na chodnikach było niewiele osób i ani śladu policji, ale również mniej osłony dla uciekiniera. Bolt wiedział, że dopóki dotrzyma mu kroku, podając pozycję przez radio, facet nie zdoła zbiec.

Około trzydziestu jardów dalej podejrzany obejrzał się i zobaczył pościg. Bolt miał okazję przyjrzeć się nożowi w jego ręku. Był to sztylet z ostrzem długim na jakieś osiem cali, wciąż

śliskim od krwi dwóch ludzi. Bolt miał do obrony tylko standardowy policyjny gaz pieprzowy. To i czystą wściekłość, która go napędzała. Ani jedno, ani drugie nie gwarantowało sukcesu. Wiedział, że gdyby miał pistolet, użyłby go bez chwili wahania, żeby załatwić sukinsyna. Wpakowałby mu kulę w nogę, a gdy tamten leżałby bezradny, biciem wydusiłby z niego informacje o miejscu przetrzymywania córki. Ponieważ wiedział — i było to wypalone wielkimi, rozgrzanymi do białości literami w jego mózgu — że jeśli zgubi tego człowieka, to Emma umrze.

Podejrzany skręcił w lewo. Bolt zrobił to samo, krzycząc do mikrofonu nazwę ulicy. Nie patrzył pod nogi, pośliznął się i stracił równowagę. Mocno uderzył kolanem w chodnik i przewrócił się na bok. Ignorując ból, zerwał się i biegł dalej, klnąc, że przez swoje gapiostwo stracił pięć jardów. Uciekinier zwiększał przewagę.

Ulica prowadziła do wejścia na osiedle wieżowców komunalnych. Teren był zamknięty dla pojazdów. Bolt zaklął. Wiedział, że jeśli podejrzany wpadnie w labirynt uliczek typowych dla tych pozbawionych charakteru osiedli z lat sześćdziesiątych, na pewno wymknie się z sieci. Jezu, gdzie jest wsparcie, do licha? Nawet śmigłowiec zniknął; bez wątpienia został wysłany w pościg za pieniędzmi. Napęliła go niesmakiem myśl, że dla jego szefów i ich szefów odzyskanie pół miliona funtów jest ważniejsze niż pochwycenie brutalnego zabójcy i prawdopodobnie ocalenie życia czternastoletniej dziewczynce. Z drugiej strony zawsze wiedział, że tak będzie. Cały brytyjski system sprawiedliwości od zawsze przedkładał ochronę własności nad ochronę życia, dlatego zawsze uzbrojeni rabusie dostają wyroki dwa, trzy, czasami nawet pięć razy dłuższe niż pedofile.

Sukinsyny. W tych napiętych, desperackich sekundach Bolt był człowiekiem zdany wyłącznie na siebie, niemającym w

nikim oparcia, zmuszonym robić wszystko samemu ze świadomością, że porażka nie wchodzi w rachubę.

Nagle jak gdyby znikąd pojawił się radiowóz. W rzeczywistości wyjechał z bocznej ulicy, tuż przed wejściem na osiedle. Zatrzymał się, blokując drogę, i wyskoczyło z niego trzech policjantów. Mierzyli z MP5 prosto w podejrzanego, który był dwadzieścia jardów od nich.

— Policja! Rzuć broń!

Bolt sięgnął do kieszeni po gaz pieprzowy. Wiedział, że podejrzany zawróci i pobiegnie w jego stronę, uciekając przed bronią, co znaczyło, że do niego będzie należało dokonanie aresztowania.

Ale podejrzany nie zawrócił. Biegł przed siebie. Szarżował prosto na nich, wrzeszcząc coś, co brzmiało jak okrzyk wojenny.

— Nie strzelać! — krzyknął Bolt. — Brać go żywcem! Na miłość boską, jest nam potrzebny!

— Policja! Rzuć broń!

— Nie strzelać!

Podejrzany był tylko dziesięć jardów od blokady. Wciąż biegnąc, poderwał rękę i rzucił nóż. Ostrze trafiło jednego z funkcjonariuszy w ramię nad łokciem, przeszywając prawy biceps. Gliniarz zachwiał się, upuścił broń i odruchowo chwycił rękojeść noża, który tkwił do połowy w ramieniu. Bolt wiedział, że podejrzany wykonał ruch samobójczy. Wiedział też, co to oznacza. Zobaczył martwą dziewczynkę, pogrzeb, życie z ciągłym zastanawianiem się, co mógł zrobić inaczej.

Strzały na pustej ulicy zabrzmiały jak fajerwerki, huk odbijał się głucho od wysokich murów okolicznych budynków. Pistolety maszynowe wystrzeliły po dwa pociski. Podejrzanego rzuciło do tyłu, zamachał rękami, okręcił się i runął na ziemię. Jego okulary poleciały w powietrze i zagrzechotały na asfalcie.

— Policja! — wrzasnął Bolt, żeby go nie postrzelili. Podnosząc legitymację, podbiegł do podejrzanego. Ukląkł i sprawdził puls, świadom, że to bezcelowe. Coś znalazł, ale tętno słabło i zanikło, gdy ścisnął palcami nadgarstek i z rozpaczą krzyczał do niego, żeby nie umierał. Zmarł. Oczy miał zamknięte, usta lekko uchylone, kropla krwi spływała z kącika. To nie był Scott Ridgers. Ten facet był młodszy, mniej więcej trzydziestoletni. Miał pospolitą, gładką twarz, a oliwkowa skóra i gęste czarne włosy sugerowały pochodzenie skądś z południowej Europy. Bolt nigdy go nie widział, nic o nim nie wiedział i prawdopodobnie nigdy niczego się nie dowie, poza tym, że jego śmierć może wpłynąć na całe jego życie.

I gdy tam klęczał, patrząc na martwego mężczyznę i zastanawiając się, dlaczego gliniarze z radiowozu nie powalili go bronią mniej zabójczą, taką jak paralizator czy pałka, gorączkowy głos Barry'ego potwierdził jego najgorsze obawy.

— Kontrola do wszystkich jednostek. Co to znaczy, że straciliśmy pierwszego podejrzanego? Znaleźć go! Przeszukać całą pierdoloną okolicę! Musimy odzyskać pieniądze! Odbiór.

Poniesli porażkę. I Bóg tylko wie, co teraz będzie.

42

— Dlaczego, do diabła, usunęła pani wszystkie nadajniki, pani Deven? — zapytał Mo Khan, ledwo hamując gniew. — Musiała pani wiedzieć, że to pomoże im uciec.

Andrea, popielata na twarzy, zszokowana jak oni wszyscy, spojrzała na niego wściekle.

— Bo o nich wiedzieli, oto dlaczego! — wrzasnęła łamiącym się głosem. — Wiedzieli o was. Jak to się stało, do diabła?

Pytanie zawisło w powietrzu.

Minęło dwadzieścia minut od zastrzelenia drugiego podejrzanego. Dwa policyjne śmigłowce zataczały leniwe kręgi na niebie, gdy szukały uciekiniera, który dawno zniknął, zostawiając za sobą chaos. Tłum się rozproszył, choć nadal w pobliżu kręciły się spore grupy gapiów ciekawych następstw akcji. Ponieważ ludzie wychodzili na jezdnię, powodowali poważne zakłócenia w ruchu pojazdów. Policjanci mieli trudne zadanie, gdy oczyszczali teren dla techników kryminalistyki i ambulansów. Sytuację dodatkowo skomplikowała bójka kibiców na White Hart Lane. Wycie syren dobiegało z różnych stron, gdy Mo, Bolt i Tina stali obok jednego z kilku wozów policyjnych przy rogu ulicy, gdzie wciąż leżały zwłoki drugiego podejrzanego. Andrea siedziała w jednym z aut, z nogami wysuniętymi na chodnik, trzymając plastikową butelkę wody.

Wszyscy obecni na miejscu zdarzenia byli głęboko wstrząśnięci. Operacja skończyła się kompletną porażką. Pół

miliona funtów z pieniędzy podatników zniknęło im sprzed nosa; co gorsza, zginął cywil, jeden z policjantów został poważnie ranny, a podejrzany, którego chcieli aresztować, postanowił odejść w blasku chwały, zamiast dać się wziąć żywcem. Naprawdę nie mogło pójść gorzej. Jedyne plus polegał na tym, że w przeciwieństwie do pchniętego nożem kibica Turner przeżył, choć jeszcze nie było wiadomo, w jakim jest stanie. Został przetransportowany śmigłowcem do szpitala Homerton w Hackey. Nie mógł trafić w lepsze ręce, gdyż szpital słynie z zajmowania się ranami od noża, tamtejsi lekarze mają na tym polu olbrzymie doświadczenie. A jednak wszyscy wiedzieli, że to może nie wystarczyć.

Bolt czuł się jak po dziesięciu rundach na ringu z przeciwnikiem dwa razy większym i dwa razy szybszym, specjalistą od bicia w głowę. Nie mógł myśleć jasno, trudno mu było pogodzić się z tym, że on i jego ludzie zostali przechytrzeni i pokonani przez porywaczy Emmy. Wiedział, że nie może się poddać, ale był tego niebezpiecznie bliski, gdy stał wśród gruzów operacji.

— Co się stało, Andreo? — zapytał. — Straciliśmy łączność z tobą, gdy przystanęłaś, żeby zabrać paczkę.

— Odebrałam telefon. Usłyszałam krzyk Emmy.

Bolt przełknął ślinę. Powiedział sobie, żeby zachować spokój.

— Tylko jeden przeraźliwy krzyk. Gdy ucichł, usłyszałam jego. Powiedział, że Emma krzyczała ze strachu, ale następnym razem będzie to krzyk bólu, chyba że zrobię dokładnie, co mi każę. Tak brzmiały jego słowa. Kazał mi użyć tej rzeczy, żeby usunąć wszystkie pluskwy i nadajniki. — Wskazała urządzenie, które teraz w foliowej torebce na dowody spoczywało w rękach Mo. — Próbowałam mu powiedzieć, że nie mam pojęcia, o czym mówi, ale odparł, że poszłam na policję i on o tym wie, i jeśli będę zaprzeczać, wtedy... wtedy zmusi Emmę do krzyku. —

Wodziła wzrokiem po ich twarzach. — Nie miałam wyboru. Nie rozumiecie? Nie miałam wyboru. Chcę odzyskać córkę.

— Cóż, zabrała się pani do tego w niewłaściwy sposób — rzuciła Tina z irytacją.

— Co pani wie? Ma pani dzieci?

— Nie, ale...

— Żadnych ale. Nie ma pani pojęcia, o czym mówi.

Tina otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale Bolt jej przeszkodził. Ta rozmowa zmierzała donikąd.

— Dobrze, Andreo, więc przestrzegałaś ich instrukcji. Wyjęłaś nadajniki i wyrzuciłaś je z wozu. Ale nie te dwa, które były schowane wśród pieniędzy.

— Nie, kazali mi zostawić je w wozie.

Z punktu widzenia porywaczy było to logiczne posunięcie, uspienie czujności policjantów i wpojenie im błędnego przekonania, że wciąż mogą śledzić okup. To również świadczyło, że przynajmniej jeden z zamieszanych w porwanie jest specem od urzędzeń naprowadzających.

— Jakie były ostatnie instrukcje, które odebrałaś?

— Wsiądź z wozu i rusz ulicą. Powiedział, że ktoś się ze mną spotka. Zaczęłam iść i następne, co pamiętam, to głośny huk, wszyscy biegli, czułam gaz... Zaciskałam powieki potrącana przez wszystkich tych biegnących ludzi, a potem ktoś uderzył mnie w głowę i chwycił torbę. — Dotknęła lewego policzka, który był czerwony i zaczął puchnąć.

— Przyjrzała się pani napastnikowi? — zapytał Mo.

— Nie. Nic nie widziałam. Wszystko stało się tak szybko.

Napiła się wody i zaczęła szukać papierosów, ale nie mogła ich znaleźć.

— Ma ktoś fajki?

Tina sięgnęła do kieszeni džinsów, wyjęła pomietą paczkę silk cut i tanią zapalniczkę. Zapaliła dwa papierosy, jednego dla

Andrei i jednego dla siebie. Andrea podziękowała jej skinieniem głowy.

— Więc kazał pani przez telefon usunąć wszystkie te urządzenia — zaczęła Tina z nutką sceptycyzmu w głosie — co pani zrobiła...

— Zgadza się.

— A czy powiedział, kiedy zobaczy pani córkę?

Wszyscy troje spojrzeli na Andreę.

— Powiedział, że niebawem. Gdy tylko sprawdzi, czy dostał żadaną sumę.

— Kiedy to powiedział?

— W czasie jazdy. Dwa razy.

— Powiedział, jak się skontaktuje, żeby powiadomić panią, gdzie znaleźć Emmę?

— Nie.

— Wygląda na to, że była pani bardzo ufna — stwierdziła Tina. — Uniemożliwiła nam pani śledzenie podejrzanych i okupu, choć w zamian dostała niewiele.

— Wystarczy, Tino — wtrącił Bolt zaniepokojony agresywnością jej przesłuchania. — Nie ma sensu teraz tego przerabiać.

Andrea obrzuciła Tinę spojrzeniem pełnym złości i niedowierzania.

— O co chodzi? Nie wierzy mi pani czy co?

— Wierzę — odparła Tina — tylko nie rozumiem, dlaczego pani to zrobiła.

— Proszę nie obwiniać mnie za to, że ktoś od was nie umie trzymać gęby na kłódkę. To wasza wina, nie moja. — Zaciągnęła się papierosem i wstała. — Idę do domu.

— Niestety, Andreo, w tej chwili to niemożliwe — oznajmił Bolt.

— Daj mi spokój, Mike. Oni wciąż mają moją córkę. Mogą zadzwonić. Musiałbyś mnie aresztować, inaczej nie zostanę. A jeśli zatrzymacie mój wóz, złapię taksówkę.

Przepchnęła się pomiędzy nimi i ruszyła w kierunku Tottenham High Road.

— Czekajcie tutaj — rzucił Bolt do pozostałych i pobiegł za nią. — Słuchaj, Andreo — powiedział, gdy się z nią zrównał — musisz powiadomić mnie w chwili, gdy porywacze się odezwą.

— Co, żebyś znowu mógł spieprzyć? — warknęła, nie zwalniając kroku. — Od teraz sama będę podejmować ryzyko.

Bolt chwycił ją za ramię i odwrócił w swoją stronę.

— To nieuczciwe, i dobrze o tym wiesz. Zrobiłem wszystko, co mogłem.

— Puść mnie. Boli.

Bolt wiedział, że patrzy na nich kilku mundurowych. Zignorował ich.

— Proszę, powiedz mi, gdy zadzwonią.

— Mike, do licha, co się dzieje?

Bolt odwrócił się i spojrzał w posępne oczy Stephena Evansa, byłego szefa NCS, obecnie zastępcy szefa SOCA, któremu towarzyszyło kilku równie ponurych mężczyzn w garniturach. Puścił rękę Andrei, a ona odeszła szybko, mijając Evansa i jego kolegów, zanim mieli okazję coś powiedzieć. Evans szepnął coś do swoich ludzi, którzy ruszyli za nią, a sam podszedł do Bolta.

Bolt znał Evansa z przeszłości. Niski, krępy mężczyzna pod pięćdziesiątkę, ze schludnie przyciętym wąsem i postawą wojskowego dzięki wcześniejszej służbie w armii, cieszył się zasłużoną reputacją przełożonego, który troszczy się o podwładnych. Jemu też kiedyś pomógł, gdy wpadł w kłopoty. Ale wiedział, że tym razem będzie inaczej.

— Witam, szefie — powiedział z westchnieniem. — Dawno pana nie widziałem.

Evans zatrzymał się przed nim.

— Zgadza się. I przykro mi, że spotykamy się w takich okolicznościach.

Bolt ponuro pokiwał głową.

— Wiem.

— Obawiam się, że przejmuję kierowanie tą operacją od SGdwa Freuda. Z powodu tego, co się stało, został zawieszony do czasu przeprowadzenia śledztwa. To samo dotyczy ciebie, Mike. Nie mogę cię zatrzymać jako dowódcy głównego zespołu.

Bolt cofnął się o krok, jak uderzony pięścią.

— Proszę tego nie robić. Mam dobry trop. Niejaki Scott Ridgers z długą przeszłością kryminalną do niedawna pracował w ogrodzie Andrei... pani Devem. Należał do gangu, który wyspała piętnaście lat temu. Myślę, że to on może być głównym podejrzanym.

— Wiem to wszystko, Mike — rzekł Evans chłodno. — Już mamy grupę inwigilującą przed jego mieszkaniem w Finsbury Park.

— Ale go tam nie ma, prawda? I facet jest pedofilem...

— My się tym zajmujemy.

— Proszę posłuchać, szefie. Proszę...

— Nie — odparł Evans z brutalną nieodwołalnością. — Jesteś wyłączony ze sprawy, Mike, zawieszony do odwołania. Wydział wewnętrzny skontaktuje się z tobą, żebyś złożył zeznania, więc nie wyjeżdżaj na urlop. Przykro mi, ale tak musi być.

Bolt wiedział, że dyskusowanie nie ma sensu. Decyzja zapadła. Patrzył, jak Evans odchodzi do Mo i Tiny. Podchwycił ich spojrzenia, ale nic nie powiedział. Odwrócił się i odszedł. Już go tu nie chciano ani nie potrzebowano.

43

Emma skrobała cegły gwoździem. Startł się tak bardzo, że ledwo pół cala wystawało jej z palców, a koniec był tępy i spłaszczony. Praca postępowała rozpaczliwie powoli. Klęczała podparta na ręce, za łóżkiem odsuniętym od ściany, ale plecy ją bolały od zginania się godzinami i palce prawie jej zdrętwiały. Ale nie chciała przestać, bo od powodzenia mogło zależeć jej życie. Teraz, po tym, co się stało, nawet bardziej niż dotychczas.

Parę godzin temu, gdy nagrała wiadomość dla mamy, mówiąc jej, że jest sobota i że niedługo wróci do domu, usłyszała znajomy dźwięk otwieranych drzwi piwnicy. Zastanowiła się, czy to Śmierdzący idzie po talerz, na którym dostała śniadanie. Jak najszybciej i jak najciszej dopchnęła łóżko do ściany i wciągnęła kaptur.

Ale nie usłyszała kroków. Panowała zimna, martwa cisza i wiedziała bez cienia wątpliwości, że to Okrutny składa jej wizytę, ten, którego kroków nigdy nie słyszała.

Lodowate ciarki przebiegły jej po plecach, gdy wyczuła jego obecność. Patrzył. Czy zauważył, co robiła ze ścianą? Czy usłyszał, jak przesuwała łóżko? Czy to koniec? Teraz?

— Zdychaj, dziwko!

Drwiący głos dobiegał z bliska.

Poczuła nagły ruch powietrza, gdy mocno, brutalnie chwycił ją za ramię. Wrzasnęła odruchowo z przerażenia, a on się

roześmiał.

I to wszystko. Puścił ją i pomyślała, że słyszy trzask, jakby magnetofonu. Zanim zamknął drzwi piwnicy, cichym, śpiewnym głosem rzucił na pożegnanie:

— Na razie, dziwko, na razie.

Od tej pory pracowała jak szalona, często przerywając, żeby szarpnąć łańcuch, walcząc z frustracją, gdy płyta się nie ruszała. Strach dodawał jej siły, ale też męczył. Rozpaczliwie chciała spać, położyć się i zamknąć oczy. Zapomnieć o tym strasznym koszmarze. Ale nie chciała przestać, wiedziała, że jeśli to zrobi, prawdopodobnie nigdy nie zacznie znowu.

A potem wreszcie dopięła swego. Po raz pierwszy cegły naprawdę zaczęły się kruszyć. Pełna nadziei skrobała jeszcze mocniej i gdy osypał się ceglany pył, zobaczyła prawie całkiem odsłonięte dwie śruby mocujące płytę. Chwyliła łańcuch i szarpnęła wściekle. Coś ustąpiło i jedna ze śrub wyskoczyła. Szarpała dalej, ale po prostu nie miała siły, żeby wyrwać drugą.

Naprawdę była blisko celu. Chwila odpoczynku i zaraz podejmie pracę.

Położyła się na łóżku, oczy same się jej zamknęły. Była taka zmęczona, taka słaba. Zapadła w drzemkę, odpłynęła... próbowała się rozbudzić, ale nie dała rady...

Bolt siedział w jaguarze na Tottenham High Road, tylko kilkaset jardów od miejsca, gdzie wszystko tak strasznie się zepsuło. Zapadł zmrok, syreny wyły coraz rzadziej. Helikoptery wciąż patrolowały okolicę, ale ich bezustanne krążenie wydawało się bezcelowe i niepotrzebne. Bolt nie po raz pierwszy w życiu został wyłączony ze śledztwa, które pomógł rozpocząć.

Nie chciał iść do domu, nie teraz, gdy Emmę wciąż więziono. Gdzieś stąd porywacze dwa razy dzwoniли do Andrei, a poza tym facet z pieniędzmi na pewno nie miał w planach długiej ucieczki. Znacznie łatwiej zniknąć w pobliskim domu, z dala od śmigłowców, ścigających policjantów i wścibskich oczu kamer. Zorganizowanie odbioru okupu w pobliżu miejsca przetrzymywania Emmy wymagałoby odwagi, ale takim ludziom nigdy nie brakuje pewności siebie. Bolt był pewien, że podejrzany numer jeden to Scott Ridgers. Zdecydował, iż będzie jeździł po okolicy w nadziei, że w pewnym momencie Ridgers opuści kryjówkę. Był to strzał w ciemno, ale lepszy niż siedzenie z założonymi rękami.

Pojazdy poruszały się w żółwym tempie, a otaczające go podniszczone budynki — tanie restauracje z daniami na wynos, sklepy z rzeczami używanymi, kilka zamkniętych na głucho ruder — budziły złe przeczucia i klaustrofobię. W takie noce nienawidził Londynu z jego hałasem, śmieciami i korkami, i pragnął znaleźć się na otwartej przestrzeni. Wrócił myślą do

dnia, gdy wpadł na Andreę na Strandzie, i początków ich romansu. A gdyby go tam nie było? A gdyby robił coś innego i ich ścieżki nie skrzyżowałyby się po raz drugi? O ile szczęśliwszym człowiekiem byłby teraz.

Wtedy wróciła do niego stara, natrętna myśl. A jeśli ich spotkanie nie było przypadkowe? A jeśli zostało zaaranżowane? Może kochanek Andrei, Jimmy Galante, chciał mieć informacje o lotnej brygadzie i zachęcił ją, żeby w tym celu się nim zainteresowała. Bolt sięgnął pamięcią wstecz, chcąc sobie przypomnieć, czy próbowała wydobyć z niego jakieś informacje, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Z drugiej strony, oczywiście, nie musiała robić tego na prośbę Galante'a. Mogła zainteresować się nim z własnej woli, żeby wykorzystać go do pozbycia się kochanka albo dlatego, że rozpaczliwie pragnęła zerwać z Galante'em i nie mogła wymyślić innego sposobu, albo... albo co?

Bóg tylko wie. Bolt westchnął, wycierając pot z czoła i podkrecając klimatyzację.

Brzęczenie komórki wyrwało go z zadumy. Spojrzał na ekran, ale nie rozpoznał numeru. Włączył zestaw głośnomówiący i odebrał.

— Pan Bolt?

Bolt rozpoznał lekko oficjalny ton ojca Lisy Bouchery i spał się nieco.

— Panie Bouchera, w czym mogę pomóc?

— Dzwonił do mojej córki.

Nagle zalała go fala podniecenia.

— Kiedy?

— Przed chwilą. Byłem w ogrodzie, a kiedy wróciłem, Lisa płakała. Powiedziała mu, że nie chce go więcej widzieć, wtedy on zaczął ją wyzywać.

— Przykro mi to słyszeć. Musimy zadbać, żeby więcej nie zadzwonił. Może pan wziąć komórkę córki?

— Zabiorę jej. Proszę poczekać.

Parę sekund później wrócił na linię. Bolt poprosił, żeby wszedł do funkcji „rozmowy odebrane”.

— Chwileczkę. — Nastąpiła pauza. — W porządku, wszedłem.

Drżącymi rękami Bolt wyjął notes i pióro.

— Proszę odczytać pierwszy numer na liście.

Chwila prawdy.

Bouchera podał numer i Bolt go zapisał. Używając komórki, żeby zadzwonić do dziewczyny, Scott Ridgers skutecznie zdradził swoje miejsce pobytu i jak Bolt miał nadzieję, również miejsce pobytu Emmy. Podniecenie było tak potężne, że przyprawiło go o chwilowe mdłości.

— I on jest ostatnią osobą, która do niej dzwoniła?

— Tak. Przed chwilą.

Bolt spojrział na zegarek. Za pięć ósma. Niecała godzina od zniknięcia pieniędzy.

— Dziękuję panu — powiedział — ogromnie nam pan pomógł.

— Ja również dziękuję. Niech mi pan da znać, kiedy aresztujecie łajdaka.

— Oczywiście — zapewnił Bolt, kończąc rozmowę.

Wziął głęboki oddech, brutalnie świadom, że został zawieszony. Jeśli nie rozegra sprawy właściwie, ten trop będzie nic niewart. Musiał coś zrobić, i to szybko. Mo albo Tina — do kogo zadzwonić? Komu zaufać?

Mo zawsze był najbardziej zaufanym kolegą, ale w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin wszystko się zmieniło, możliwe, że nieodwracalnie. Tina natomiast była kimś, kto miał najlepsze kontakty u operatorów sieci komórkowych, i pamiętał

spojrzenie, jakim go obrzuciła na zebraniu dziś rano. Czy wyrażało współczucie? Jakiś rodzaj zrozumienia? Wiedział, że przekroczy linię, nawiązując z nią kontakt. Prosząc, by naraziła karierę dla wyświadczenia mu przysługi. Poza tym była osobą tak tajemniczą, tak trudną do rozgryzienia, że nie miał pojęcia, czy mu pomoże.

Był tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć. Wybrał jej numer, prosząc w duchu, żeby odebrała, skupiony tak bardzo na ostatnim odkryciu, że nie zauważył ruszających przed nim pojazdów, dopóki nie usłyszał klaksonów. Gdy nacisnął pedał gazu, usłyszał jej głos. Czysty i rzeczowy jak zawsze.

— Tina Boyd.

— Tino, to ja, Mikę.

Usłyszał, jak wciąga powietrze.

— Nie spodziewałam się, że zadzwonisz. Nie ma nowych wiadomości. Matt jest w tej chwili na sali operacyjnej.

Wrócił myślami do Turnera. Biedaczysko. Gdyby tylko został w domu Andrei.

— Słuchaj, szefie, jesteśmy zawałeni robotą. Muszę kończyć.

— Potrzebuję przysługi.

— Jesteś zawieszony.

— Wiem, ale to pilne i wiąże się ze sprawą. Mam numer komórki Scotta Ridgersa, tego podejrzanego, o którym mówiłem ci wcześniej, który pracował w ogrodzie Andrei. Jeśli wytropimy ten numer, doprowadzi nas prosto do niego.

— Skąd go masz?

Bolt wyjaśnił jej jak najkrócej.

— Mogę pogadać ze Steve'em Evansem, ale nie jestem pewna, czy będzie mógł albo chciał to autoryzować.

— Nie, nie rozmawiaj z nim. Nie autoryzuje. Proszę.

— Nie mogę, szefie. Jesteś zawieszony. Mogę stracić robotę.
— Westchnęła. — Przykro mi.

— Ona jest moją córką, Tino.

— Co?

— Emma Deven. Jest moją córką. Sprawdź u Mo, jeśli mi nie wierzysz. Dlatego byłem taki spięty, gdy to się zaczęło.

— Boże, nie... nie wiem, co powiedzieć.

— Nic nie mów. Po prostu mi pomóż, proszę. Jeśli nie zadziałamy szybko, Emma może umrzeć.

— Nie mogę uwierzyć, Mikę, że stawiasz mnie w takiej sytuacji.

— Myślisz, że chcę? Słuchaj, nie prosiłbym cię, gdybym absolutnie nie musiał. — Nie mógł słuchać rozpaczy w swoim głosie, nienawidził tego.

Tina milczała przez dwie, może trzy sekundy.

— Zgoda, podaj mi ten numer.

Podyktował jej.

— Zrobię, co się da, ale to może potrwać.

— To moja córka. Nie ma czasu.

— Jeśli mnie okłamujesz — powiedziała spokojnie — zabiję cię.

45

Emma zbudziła się z drgnieniem, usiadła sztywno. W pokoju było ciemno, usta miała suche jak pieprz. Zastanowiła się, jak długo spała. Bez zegarka trudno powiedzieć. Może pół godziny. Przetarła oczy, spuściła nogi z łóżka i przypomniała sobie, że była bliska wyrwania łańcucha ze ściany.

A potem usłyszała głośny huk. Trzaśnięcie drzwi frontowych. Wrócili.

Chwyciła łańcuch oburącz, zamknęła oczy i szarpnęła z całej siły. Usłyszała trzask — coś ustępowało — i pył posypał się na kamienną podłogę. Słyszała kroki na górze, ale nie głosy. Zaciskając zęby, ignorując wzbierające mdłości, szarpała odchylona, całym ciężarem ciała, wiedząc, że to może być jej ostatnia szansa.

Następny trzask.

Ruch przy drzwiach piwnicy — szuranie stóp.

Idą.

Nie miała czasu.

A potem nagle spadła z łóżka, lądując boleśnie na podłodze z luźnym łańcuchem w rękach.

Udało się. Metalowa płyta została wyrwana.

46

Bolt jechał bezcelowo kolejną brudną boczną ulicą obstawioną szeregowcami, kiedy zadzwonił telefon. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał 8.07. Minęło tylko dziewięć minut od rozmowy z Tiną.

Miał wrażenie, że znaczna część życia człowieka sprowadza się do tych pojedynczych, długich, przerażających chwil oczekiwania na ogromnie ważne wieści: wyniki badań medycznych, orzeczenie sądu, wyniki egzaminu, miejsce pobytu człowieka, który przetrzymuje twoją córkę.

— Tino — zaczął chrapliwym głosem — co masz?

— Telefon jest włączony. Triangulacja wskazała na okolice farmy zwanej Woodlands w Crews Hill.

— Gdzie to jest, do licha?

— Na północ od Enfield, na południe od M dwadzieścia pięć.

Podawała mu adres i Bolt wprowadził go do systemu nawigacji satelitarnej. Odległość wynosiła nieco ponad sześć mil od miejsca, w którym się teraz znajdował. Zawrócił szybko na trzy razy i ruszył do głównej trasy.

— Dzięki, Tino.

— Co chcesz zrobić?

— Pojadę i sprawdzę. Jeśli będzie wyglądać na trop, natychmiast zadzwonię.

— To może narazić mnie na poważne kłopoty, Mikę. Będą wiedzieli, że informacje pochodzą ode mnie, a wiesz równie

dobrze jak ja, że to, co zrobiłam, jest niedopuszczalne.

— Jeśli nic z tego nie wyjdzie, nie pisnę ani słowa. Obiecuję. A jeśli dokąś to prowadzi, coś wymyślę. Tłumacząc, jak się dowiedziałem o miejscu pobytu Ridgersa, nie wspomnę twojego nazwiska. Jestem ci naprawdę wdzięczny, Tino.

— Rozmawiałam z Mo. Chryste, nie mogę uwierzyć, że ona może być twoją córką.

Zapadła cisza, bo Bolt niezupełnie wiedział, co powiedzieć. Tina zakończyła rozmowę, życząc mu szczęścia.

— Zadzwoń, gdy tylko to sprawdzisz — dodała.

— Jasne.

Przerwał połączenie i przyspieszył na głównej drodze, ignorując ryk klaksonu kierowcy, któremu zajechał drogę. Dla niego liczyło się tylko dorwanie Scotta Ridgersa.

Sześć mil i zegar ruszył.

47

Emma postawiła łóżko we właściwym miejscu, żeby zasłaniało dziurę w ścianie i pył ceglany na podłodze. Czekwała w ciszy z kapturem w rękach. Bolał ją łokieć, którym uderzyła w podłogę, czuła się chora i spragniona.

Hałasy na górze ucichły parę minut temu i teraz nic nie słyszała. Zastanawiała się, co robić. Problem polegał na tym, że choć zyskała większą swobodę ruchów, wciąż miała skute ręce i była tu zamknięta, a łańcuch przypięty do obręczy na kostce zdecydowanie miał ją spowalniać, gdy uda się jej uciec. I cisza ją przerażała, ponieważ ciszę kojarzyła z Okrutnym.

Na razie, dziwko.

Może właśnie teraz ostrzył nóż?

Ale nie mogła beczynn timer siedzieć i czekać, aż przyjdzie ją zabić. Jeśli tak, wszystkie jej wysiłki pójdą na marne. Nie, musi coś zrobić. W jej głowie skryształizował się plan. Przyczai się na szczycie schodów za drzwiami, a gdy mężczyzna wejdzie, zepchnie go na dół, zanim będzie miał okazję ją zauważyć. Potem rzuci się do ucieczki. Plan był dość kulawy, ale w tej chwili nie mogła wymyślić nic lepszego.

Podniosła łańcuch i zaczęła wstawać z łóżka. Znieruchomiała, gdy klucz zachrobotał w zamku i drzwi się otworzyły.

Za późno.

Szybko wróciła na łóżko i spuściła łańcuch na podłogę. Ręce jej się trzęsły i czuła narastający strach. Czy to to? Ostatnie sekundy jej życia, w zapuszczonej, zimnej piwnicy całe mile od domu?

Cisza.

Nie podniosła ręki, żeby włożyć kaptur na głowę, gdy patrzyła na schody.

Zapaliło się światło. Zmrużyła oslepione oczy.

— Emmo to ja! — zawołał ktoś ze szczytu schodów.

Poczuła falę podniecenia. To Śmierdzący. Wszystko będzie dobrze.

— Cześć — powiedziała cicho. — Jestem tutaj.

— Włóż kaptur, skarbie, dobrze? Prawie czas wracać do domu.

Zrobiła, co kazał, ledwo wierząc we własne szczęście.

— Naprawdę pojedę do domu?

— Naprawdę — odparł świszczącym głosem. — Po wszystkim. Twoja mama zapłaciła, żebyś nie musiała tu dłużej przebywać.

Usłyszała, że podchodzi. I poczuła — zapach potu tak silny, że zakrztusiła się pod kapturem. Położył coś na podłodze i pomyślała, że słyszy plusk wody.

— Teraz?

— Niedługo. Tylko cię przygotowujemy. A wtedy krótka podróż i po krzyku. W powrocie w domu u mamy. Najpierw trochę cię umyję. Żebyś była ładna i czysta.

Poczuła wilgotną gąbkę na lewym ramieniu. Była zimna i łaskotała. Przeciągnął ją powoli w górę i w dół, potem zajął się drugą ręką.

— Założę się, że to miłe uczucie, prawda?

— Nie musisz tego robić. Mogę poczekać, aż wrócę do domu.

— Chcę to robić.

Przesunął jej skute ręce w bok i podniósł koszulkę, pocierając gąbką brzuch w małych kręgach. Woda ściekała jej na spódniczkę. Emma usłyszała, jak Śmierdzący głośno przełyka ślinę. Dźwięk był naprawdę okropny, jakby wydała go żaba.

— Co robisz? — szepnęła.

— Myję cię, kochanie — odparł, wyżej podciągając koszulkę. I znów przełykając ślinę.

Wtedy z mdlącym uczuciem zrozumiała, że koszmar wcale się nie skończył.

Skromna drewniana tablica przymocowana do brzozy przy spokojnej leśnej drodze informowała, że farma Woodlands leży pół mili na południe od trasy M25. W najbliższej okolicy nie było innych domów. Bolt pomyślał, że to idealne miejsce na przetrzymywanie kogoś bez wzbudzania podejrzeń.

Czuł potworne napięcie. Scott Ridgers miał motyw; pracował w ogrodzie Andrei i zniknął w tym samym czasie co Emma. Co innego miałby robić na takim zadupiu taki otrzaskany miejski chłopak?

Nie chcąc zdradzać swojej obecności, Bolt przejechał jeszcze trzydzieści jardów i wjechał jak najdalej w las. Zgasił światła i wysiadł. Pomyślał, że w ciemności gęstego skupiska drzew widzi światła, ale nie miał pewności. Według GPS Woodlands leżała co najmniej kilkaset jardów od drogi.

Świadom, że ma mało czasu, ruszył szybko do drogi dojazdowej. Zamierzał jak najciszej podejść od frontu i przeprowadzić rekonesans. Jeśli nie znajdzie śladu Ridgersa, włamie się. Dziś brał prawo we własne ręce zbyt wiele razy, by się przejmować, że robi to ponownie. Poza tym całkiem możliwe, że i tak wywalą go z roboty.

Przynajmniej teraz nie miał nic do stracenia.

49

Emma wiedziała, o co chodzi. Brudny, śmierdzący zboczeniec chciał uprawiać z nią seks. I zrobi to, jeśli ona temu nie zapobiegnie.

Zakrztusiła się pod kapturem, gdy dłoń w rękawiczce dotknęła jej kolana.

Wpadła na pomysł. To była jej jedyna szansa.

— Możesz rozpiąć kajdanki? — zapytała, starając się mówić tak, jakby ciekawiło ją to, co robił. — Może wtedy moglibyśmy... — zawiesiła głos.

— Podpuszczasz mnie, prawda? — zapytał poważnie. — Nie lubię dziewczyn, które mnie podpuszczają. Ostatnio miałem tego powyżej uszu.

— Nie, oczywiście, że nie. Robiłam to już wcześniej, wiesz. Zachichotał.

— Niegrzeczna z ciebie dziewczynka, co? Myślę, że możemy to trochę ułatwić.

Przestał pocierać ją gąbką i usłyszała, że szuka klucza. Spięła się, gdy go znalazł, otworzył kajdanki, zsunął je. Domyśliła się, że wstał, potem usłyszała dźwięk rozsuwanego zamka błyskawicznego.

Teraz! Teraz! Teraz! — wrzeszczał głos w jej głowie.

Zerwała i zeskoczyła z łóżka, jak najmocniej uderzając go kolanem w krocze. Sapnął z bólu i zatoczył się do tyłu, oburącz ściskając obolałe jądra.

Po raz pierwszy mogła go zobaczyć. Miał dzinsy i brudną białą koszulkę, i kominiarkę na głowie. Jego ramiona zdobiły tatuaże.

Podniosła łańcuch i przebiegła obok niego, nurkując pod wyciągniętą ręką, gdy próbował ją pochwycić.

— Ty mała suko! — ryknął, rzucając się za nią, wciąż ściskając genitalia.

Wbiegała po dwa stopnie naraz, z łańcuchem w ręku. Była zeszywniała i obolała po ciężkiej pracy, ale napędzała ją adrenalina. Wiedziała, że jeśli ją złapie, tym razem na pewno zabije. Na szczęście nie zamknął od środka drzwi piwnicy. Otworzyła je gwałtownie i wybiegła, zatrzaszkując je za sobą.

Znalazła się w korytarzu. Drzwi przed nią prowadziły do pokoju, te z prawej chyba na zewnątrz. Skręciła w prawo, przebiegła przez hol i chwyciła gałkę. Przekręciła się, ale drzwi się nie otworzyły. Ogarnęła ją panika.

Za jej plecami drzwi piwnicy się otworzyły i walnęły mocno o ścianę, gdy mężczyzna ruszył w pościg.

Była druga klamka. Trzymając łańcuch pod pachą, Emma przekręciła jednocześnie obie gałki i tym razem drzwi się otworzyły.

Poczuła rękę na karku, ale się nie zatrzymała. Usłyszała trzask rozdieranej koszulki. Zaraz potem znalazła się na zewnątrz, w nocy, po raz pierwszy od wielu dni oddychając świeżym powietrzem. Przed sobą miała ogrodzenie i bramę, dalej drzewa. Brama była zamknięta. Wiedziała, że ten zboczeniec ją złapie, jeśli ku niej pobiegnie, więc skoczyła w lewo, popędziła wydłuż domu, obok szopy, zmierzając na pole porośnięte długą trawą.

Słyszała jego kroki na zwirze i ciężki oddech. Był tuż za nią. Napędzał ją czysty strach; świadomość, co z nią zrobi, jeśli ją złapie, zmuszała jej nogi do szybkiego biegu. Nie przypuszczała, że może rozwinąć taką prędkość. Nigdy nie była

dobrą biegaczką, w szkole nienawidziła wychowania fizycznego, choć jej nauczycielka, panna Floyd, zawsze mówiła, że ma idealne warunki, gdyż jest szczupła i ma szczupłą klatkę piersiową. Teraz, gdy naprawdę było to ważne, Emma musiała przyznać jej rację.

Jego sapanie przycichło, gdy zaczęła zwiększać odległość. Biegła teraz po długiej trawie i czuła przypływ uniesienia. Radość trwała nie dłużej niż sekundę. Gdy poruszała rękoma, żeby utrzymać prędkość, łańcuch się napiął, potknęła się i straciła równowagę. Uderzyła dłońmi w nierówne kamieniste podłoże.

Desperacko zerwała się na nogi, ale było za późno. Śmierzący z rykiem triumfu rzucił się jej na plecy, wyciskając powietrze z płuc.

— Boże!

— On ci nie pomoże, mała podpuszczalska!

Ze śmiechem usiadł na niej okrakiem i odwrócił ją twarzą w górę, przyciskając ramiona kolanami. Patrzyła na jego zasłoniętą kominiarką twarz, widziała w szczelinach ciemne, podniecone oczy. Przenikało ją przerażenie, gdy niecierpliwie szarpał suwak dzinsów.

Chwycił jej rękę i przysunął do krocza, podnosząc lekko Emmę.

— Poczuj mnie — syknął, a ona krzyknęła, gdy ręka trafiła na ciało. Ale on też zmienił pozycję i już nie przyciskał jej ramion. Korzystając z okazji, Emma przesuwiała wolną rękę po trawie, aż znalazła ostry krzemień wielkości połowy dłoni. To nie była groźna broń, ale nic więcej nie miała. Działając całkowicie instynktownie, uderzyła go w bok głowy i pociągnęła ostrą krawędzią w dół kominiarki.

Wrzasnął z bólu i odtrącił jej rękę, jednocześnie puszczając drugą. Emma wykorzystwała przewagę, uderzając go krzemieniem w udo, parę cali od jąder. Klnąc, zeskoczył z niej,

chcąc się odsunąć, zanim wyrządzi mu poważniejszą krzywdę. Emma dostrzegła kolejną szansę. Podniosła się i rzuciła do ucieczki, wlokąc łańcuch za sobą. Biegła ku linii drzew, nie śmiejąc się obejrzeć.

Sprintem wpadła między drzewa, gałęzie trzaskały pod jej nogami, gdy pochłonęła ją ciemność. Przedzierała się przez chaszczę, nie zwracając uwagi na ból, gdy kolce drapały ją i próbowały zatrzymać. Chciała biec, uciec jak najdalej. Biegła coraz szybciej, niemal zaślepiona przez pragnienie ucieczki.

Upadła, lądując na liściach. Wciąż go słyszała, ale zdawało się, że jest dość daleko. Nie widział ani nie słyszał, że upadła, była tego pewna. Jedna jej część chciała się podnieść i biec dalej, ale druga, większa, mówiła, że najlepiej zostać w ukryciu. Powoli, bardzo powoli, próbując uspokoić oddech, pełzła na brzuchu, wciskając się pod gęsty ostrokrzew. Ostre liście drapały jej głowę i plecy, ale wreszcie schowała się cała.

Słyszała jego ciężkie kroki. Nigdy w życiu tak się nie bała. Powstrzymanie się od krzyku wymagało całej siły woli. Zacisnęła powieki i przygryzła wargę.

— Skaleczyłaś mnie, mała suko — syknął mężczyzna, jego głos niósł się przez ciemność. — Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem. Dzięki mnie żyjesz, a tak mi się odwdzięczasz.

Kolejny krok. Prawie obok niej. Zmusiła się, żeby utworzyć oczy, i zdławiła krzyk. Stał przy ostrokrzewie, czarny but na grubej podeszwie znajdował się tuż obok jej twarzy. Zwalisty czarny cień przysłaniał księżycową poświatę, gdy mężczyzna węszył jak drapieźnik.

Leżała nieruchomo, wstrzymując oddech, czekając i mając nadzieję. Modliła się, żeby jej nie odkrył.

Proszę. Chcę do domu. Chcę zobaczyć mamę. Niech ten koszmar się skończy.

Miała wrażenie, że stoi obok niej całe wieki. Czowała ból w płucach, które domagały się powietrza.

Rusz się. Ruszaj, błagam. Dłużej nie wytrzymam.

I nagle ruszył, okrążył ostrokrzew i zaczął się oddalać.

Zamknęła oczy i podziękowała Bogu, jak najciszej wypuszczając powietrze, i powoli wzięła oddech. Nasłuchiwała, mówiąc sobie, że musi leżeć jeszcze parę minut, a potem wszystko będzie dobrze. Śmierdzący zrezygnuje z poszukiwań, a ona pobiegnie do najbliższej drogi. Znajdzie pomoc. Wróci do domu.

Nie słyszała ruchu za sobą, podchwyciła tylko smród starego potu. A potem łańcuch przypięty do obręczy na kostce nagle okręcił się wokół jej szyi, dławiąc ją, i triumfalny głos szepnął jej do ucha:

— Znalazłem cię.

50

Bolt szedł powoli drogą, która zakręciła wśród drzew, a za lasem stała się prosta. Zobaczył przed sobą dwupiętrowy, obłożony z farby dom, który stał pomiędzy dwoma walącymi się budynkami gospodarczymi. Na dole paliły się światła, dwuskrzydłowa brama przed domem była szeroko otwarta. Na podjeździe stał ciemny range rover.

Zszedł z jezdni na długą trawę, żeby ewentualne czujniki ruchu nie zapaliły żadnych świateł. Po cichu zmierzał do bramy, kryjąc się w mroku.

Ale gdy tylko dotarł do celu, usłyszał kroki na żwirze płynące skądś z przodu. Rangę rover zasłaniał mu widok, gdy kucnął za ogrodzeniem, żeby nie zostać zauważonym.

Potem usłyszał zduszony szloch, zdecydowanie dziewczęcy. Mało go nie ścięło z nóg, gdy zrozumiał, że to prawdopodobnie Emma.

Uzyskał potwierdzenie parę sekund później, gdy pojawiła się w polu widzenia, ledwie sylwetka w mroku, mniejsza, niż sobie wyobrażał, patrząca prosto przed siebie. Ale wiedział, że to Emma, a mężczyzna, który wlecze ją za łańcuch okręcony wokół szyi, to Scott Ridgers. Był w kominiarce, ale to nie miało znaczenia. Poznał go.

Sukinsyn.

Ridgers trzymał w wolnej ręce niewielki nóż, przysunął go do boku Emmy, żeby się nie szamotała. Pomimo ciemności Bolt

widział jej przerażoną twarz i czuł narastający gniew. Ale dzieliło ich dwadzieścia jardów — Ridgers miałby aż nadto czasu, żeby zareagować, gdyby się na niego rzucił. Musiał cierpliwie czekać na okazję.

Potem Ridgers powiedział do Emmy coś, co zmroziło mu krew w żyłach:

— Trochę się zabawimy, kochanie.

Emma zatkała. Bolt zamknął oczy i musiał przytrzymać się ogrodzenia, żeby nie upaść.

Kiedy uniósł powieki, oboje dotarli do drzwi. Patrzył, jak Ridgers wpycha Emmę do domu, wchodząc za nią bez oglądania się za siebie.

Z chichotem. Sukinsyn naprawdę chichotał.

Ale popełnił największy błąd w swoim życiu. Nie zamknął za sobą drzwi.

Bolt odetchnął głęboko. Poruszając się jak najciszej i jak najszybciej, wszedł za nimi do domu.

Łańcuch na szyi tak dusił Emmę, że ledwo mogła oddychać, gdy Śmierdzący włókł ją przez korytarz. Drzwi piwnicy wciąż były otwarte i ku nim się kierował.

Boże, nie mogła tam wrócić, przecież była tak blisko wolności. Wiedziała, że jeśli wróci, na pewno już nie wyjdzie. W każdym razie nie żywa.

Osunęła się bezwładnie w jego ramiona. Zaklął.

— Dalej, ruszaj się — warknął ze złością, przyciskając do jej żeber ostrze scyzoryka.

Wciąż bezwładna zaczęła charczeć, jakby umierała.

— Jeśli mnie nabierasz...

Pozwolił jej opaść na kolana i nieco rozluźnił łańcuch.

— Wody... — wychrypiała.

— Dobra — odparł, podnosząc ją i prowadząc w kierunku kuchni. — Dam ci wody. Potem będziemy mieli trochę...

Nagle urwał, gdy dotarli do drzwi kuchni, i zapalił światło. Emma poczuła, jak się spina.

— Gdzie ona jest? Gdzie ona, kurwa, jest?

Brutalnie wepchnął ją do kuchni, puszczając łańcuch, aż przewróciła się na podłogę.

— Torba! — wrzasnął, jego głos zahuczał w pomieszczeniu.

— Torba z pierdoloną forszą! Była tu! — Wskazał ręką pusty stół.

— Gdzie ona jest, do cholery? — Wszedł do kuchni, ręką pocierając twarz pod kominiarką, oczy miał rozszerzone z wściekłości. — Nie do wiary. Ktoś ją zabrał. Ktoś zabrał moją forszę. — Trzasnął ręką w stół tak mocno, że zakołysały się nogi.

— Moją pierdoloną forszę! — ryknął w stronę sufitu.

Emma skuliła się w kącie przerażona.

— Dowiem się, kto to zrobił — mruknął. — Znajdę go. A kiedy go dorwę... — Wepchnął scyzoryk do kieszeni dżinsów, potem gwałtownie otworzył szufladę, wyjął wielki kuchenny nóż i przeciągnął palcem po ostrzu. — Kiedy go dorwę, wypruję draniowi flaki.

Odwrócił się i wycelował nożem w Emmę. Ostrze lśniło w blasku lampy.

— Zostań tutaj. Nie ruszaj się, jeśli chcesz zobaczyć mamę. Skinęła głową, starając się nie szlochać.

— Dobrze.

Odwrócił się i wybiegł za drzwi z nożem w ręku.

I natychmiast krzyknął z zaskoczenia.

W następnej sekundzie wpadł z powrotem do kuchni, trzymany przez mężczyznę, który krzyczał coś, co przepełniło ją nagłą, obłądną radością:

— Policja! Rzuć broń!

Ale był pewien problem. Bolt nie miał broni, gdy rzucił się na Scotta Ridgersa, nawet standardowego gazu pieprzowego, który zdał wcześniej. Jego jedynym atutem było zaskoczenie. Chwytał mężczyznę za ręce i odsunął je od siebie, zwracając szczególną uwagę na tę z nożem kuchennym. Próbował uderzyć go głową jak wcześniej Marcusa Richardsona, ale cios, który zadał, gdy razem wpadli do kuchni, tylko musnął cel. Przeciwnik zdążył odchylić głowę, a gdy uderzyli w stół kuchenny, zdarzyło się nieszczęście. Bolt stracił równowagę, pośliznął się na kafelkach i osunął na kolano. Rozpaczliwie czepiał się wroga, choć jego głowa znajdowała się teraz na wysokości jego krocza.

Ridgers błyskawicznie wykorzystał sytuację, żeby uwolnić ręce i trzasnąć go kolanem w twarz. Twarz Bolta eksplodowała przeszywającym, gorącym bólem. Klęczał i oszołomiony nie zareagował, gdy Ridgers podniósł nogę i wymierzył mu celne kopnięcie w bok głowy. Przewrócił się do tyłu, lądując na czymś białym i twardym. Głowa pękała mu z bólu i czuł krew spływającą z nosa na usta. Z trudem skupił wzrok i zobaczył wielki nóż w ręce Ridgersa. Wiedział, że jest bezsilny.

Jeżu. Po tym wszystkim zawiódł.

Potem zobaczył Emmę skuloną w kącie pokoju, z oczami szeroko otwartymi z przerażenia.

— Uciekaj, Emmo! — wrzasnął. — Uciekaj!

Ridgers zrobił krok do przodu, mierząc w niego nożem, nie zwracając uwagi na Emmę.

— Gdzie moja forsa?! — ryknął. — Gdzie moja pierdolona forsa?

Bolt przetoczył się na bok, zastanawiając się szybko, oceniając szanse... doskonale wiedział, że nie ma żadnych. Emma poderwała się, ale zamiast popędzić do drzwi, podbiegła do Ridgersa i zatopiła zęby w rękę z nożem, tuż nad łokciem. Bandyta krzyknął, ale nie puścił noża. Chwytał ją za włosy i odrzucił od siebie z taką siłą, że wpadła na ladę.

Adrenalina zrodzona z czystej wściekłości na chwilę przyćmiła ból i oszołomienie. Bolt zaczął się podnosić.

Za późno. Ridgers rzucił się na niego z mordem w oczach. Zamachnął się, żeby zadać cios, który jak Bolt wiedział, zakończy nie tylko jego życie, ale będzie oznaczać też koniec Emmy.

Nagle rozległ się głośny trzask, a sekundę później brzęk stłuczonego szkła. Scott Ridgers pochylał się, nogi się pod nim ugięły. Mocno uderzył głową o lodówkę i upadł, lądując na nogach Bolta. Cienka strużka krwi lała się z dymiącej dziury, gdzie było prawe oko.

Emma wrzasnęła, gdy zadygotał w agonii.

— Na ziemię! — wrzasnął do niej Bolt, skopując ciało Ridgersa.

Jeszcze cztery strzały rozdarły nocne powietrze, jeden za drugim, zasypując stół i podłogę kawałkami szkła. Emma krzyczała i Bolt przyczołgał się do niej jak najszybciej, nie zwracając uwagi na szkło. Chwytał ją w ramiona, osłonił własnym ciałem przed kulami. Trzęsa się ze strachu i łkała, a on trzymał ją mocno, myśląc, jaka jest mała i bezbronna. Nawet w tych dramatycznych chwilach czuł miłość, jakiej nigdy dotąd nie doświadczył.

— Nie ruszaj się — szepnął. — Jestem z tobą. Wszystko będzie dobrze.

Leżeli razem przez dziesięć sekund zwarci w mocnym uścisku. Nie padło więcej strzałów. Powróciła cisza, Ridgers przestał się ruszać. Ale pozostało faktem, że ktoś właśnie go zamordował i ten ktoś znajdował się blisko.

— Zostań tutaj — polecił Bolt i wstał.

— Dokąd pan idzie?

— Zostań, nadciąga pomoc.

Skulony zgasił światło w kuchni i podkraśli się do tylnych drzwi. Podwórze, z budynkami po lewej i prawej stronie, ciągnęło się do odległej o jakieś dwadzieścia jardów granicy lasu. Wyglądało na puste, ale mimo to, gdy przekręcił klucz w zamku i powoli otworzył drzwi, wiedział, że nie postępuje mądrze. Jedną rzeczą jest nadstawianie karku dla ocalenia własnej córki, a zupełnie inną polowanie na Strzelca, gdy samemu nie ma się broni.

Ale ktokolwiek oddał strzał, który uśmiercił Scotta Ridgersa, również brał udział w porwaniu i Bolt nie chciał pozwolić mu uciec. A skoro zabójca dźwigał pół miliona w gotówce, nie mógł uciekać szybko.

Bolt na czworakach wysliznął się przez drzwi, potem przemknął do najbliższego budynku, gdzie stanął i wyjrzał zza rogu. Nic nie słyszał. Nocną ciszę mącił tylko szum drzew. Strzelec zniknął.

Bolt nawymyślał sobie od idiotów. Sam nie dałby rady, nie mógł też zostawić Emmy samej z trupem. Wytarł krew z twarzy, wyjął komórkę z kieszeni i zadzwonił do Tyny, biegnąc do domu.

— Mam Emmę — powiedział, gdy pokrótce wyjaśnił, co się stało. — Nic jej nie jest, ale facet, który zastrzelił Ridgersa, zniknął. Musisz szybko ściągnąć tu ludzi. Trzeba otoczyć to miejsce kordonem i odciąć cały obszar.

Ignorując fakt, że rozkazy wydaje dowódca, który został zawieszony, Tina powiedziała, że zaraz się tym zajmie i zakończyła rozmowę.

Bolt wszedł przez drzwi kuchenne. Emma siedziała na podłodze, patrząc w przestrzeń. Odwróciła głowę, gdy wszedł, i przez kilka sekund tylko patrzyli na siebie w milczeniu.

Emma wyglądała na kompletnie wyczerpaną. Ubranie miała podarte i poplamione potem, jasne włosy zmierzwione i pozlepiane, przyklejone do brudnej twarzy. Ale to nie miało znaczenia. Była piękna. I bezpieczna. Bolt poczuł przypływ uczucia i musiał zacisnąć zęby, żeby się nie rozplakać.

— Kim pan jest? — zapytała niepewnie.

Kim jestem? Twoim ojcem, jak myślę. Człowiekiem, którego nigdy nie poznałaś, który jest z tobą nierozzerwalnie związany, na zawsze. Kimś, kto przez ostatnie godziny zlewał się krwawym potem, próbując cię znaleźć, kto chce cię poznać, zabrać w różne miejsca, stać się częścią twojego życia i wyjaśnić, dlaczego nie było go tak długo. Kto potrzebuje cię tak bardzo, że nie umiesz sobie tego wyobrazić.

— Jestem z policji — odparł.

— Zabierze mnie pan do domu?

Odetchnął głęboko, walcząc ze łzami.

— Oczywiście.

53

Nie zabrał jej do domu. Właściwie prawie nie miał okazji z nią porozmawiać.

W ciągu paru minut na miejscu zdarzenia zjawily się pierwsze wozy z długiego szeregu pojazdów policyjnych i ambulansów. Po sprawdzeniu, czy Emma nie potrzebuje pilnej opieki medycznej, sanitariusze zabrali ją do pobliskiego szpitala Chase Farm, gdzie spotkala się z matką, a potem została krótko przesłuchana. Bolt został sam, patrząc, jak lokalna policja zabezpiecza miejsce zbrodni.

W ciągu pół godziny spokojna farma przemieniła się w miejsce wzmożonej aktywności, oświetlone przywiezionymi reflektorami. Bolt został przedstawiony inspektorowi z wydziału śledczego, niejakiemu Bakerowi, który dowodził nocną zmianą w Enfield Nick i kierował śledztwem w sprawie śmierci Scotta Ridgersa. Bardziej przypominał księgowego niż glinę i mówił z akcentem z południowo-wschodniej Anglii, ale miał bystre, inteligentne oczy, które wiele dostrzegały. Bolt miał wrażenie, że kiedy później pojedzie na posterunek, żeby złożyć zeznanie, zostanie solidnie wymaglowany. Będzie musiał wyjaśnić, jak on, zawieszony agent SOCA, znalazł się na miejscu zdarzenia, z którego na domiar złego znikły pieniądze na okup. Ale był na to przygotowany. Dzisiejsze wydarzenia doskonale przygotowały go na wszystko, co jeszcze mogło się stać.

Opierał się o ogrodzenie farmy, pijąc kawę z plastikowego pojemnika, gdy za rząd policyjnych furgonetek zajechał wóz, z którego wysiadł Steve Evans z Tiną i Mo. Miny mieli ponure i rzeczowe, ale gdy podeszli bliżej, Tina skinęła do niego głową nad ramieniem Evansa i obdarzyła go leciutkim uśmiechem. Mo tylko skinął głową.

Evans natomiast był wyraźnie wkurzony.

— Mike, chyba mówiłem, że jesteś zawieszony — powiedział, zatrzymując się przed nim.

— Tak, szefie. Wpadłem na trop Scotta Ridgersa. Pomyślałem, że trzeba to sprawdzić. Jako zatroskany obywatel.

Evans nie dał się ułagodzić.

— I wytropiłeś go tutaj, tylko że został zastrzelony przez nieznanego sprawcę, gdy z nim walczyłeś. To historia, którą usłyszałem od inspektora Bakera.

— Tak jest. Ktoś strzelił do Ridgersa przez okno kuchenne, gdy z nim walczyłem. Zakładam, że ten sam człowiek zabrał okup. Gdy tylko mogłem, zadzwoniłem do Tyny, żeby powiadomiła lokalną policję, i jestem tu od tej pory.

Evans patrzył na niego sceptycznie.

— Zdaje się, że ty zawsze pakujesz się w kłopoty, prawda? Jak tu trafiłeś?

Unikając wzroku Tyny, przedstawił Evansowi bajeczkę, którą już przećwiczył w pamięci.

— Ridgers zdradził swojej dziewczynie, gdzie się zatrzymał, na wypadek gdyby go potrzebowała. Kiedy ojciec jej powiedział, że Ridgers jest poszukiwany za poważne przestępstwo, podała mu ten adres. Ojciec zadzwonił do mnie, bo rozmawiałem z nim wcześniej. Zostałem zawieszony, więc uznałem, że moje słowo nie będzie miało większego znaczenia, dlatego postanowiłem przyjechać tu na własną rękę, żeby sprawdzić wiarygodność informacji. Gdy tylko przybyłem,

zobaczyłem, jak Ridgers wlecze Emmę do domu, i zdecydowałem, że natychmiast muszę interweniować. — Wzruszył ramionami. — Resztę pan zna.

Evans patrzył na niego przez kilka sekund. Jego twarde, onieśmielające spojrzenie wyrażało cały ciężar władzy. Bolt, który przywykł do takich spojrzeń, pozostał niewzruszony.

— Nadal jesteś zwieszony, Mike, i nie chcę cię widzieć, dopóki nie wrócisz do służby. Zrozumiano?

Nagana była przykra, zwłaszcza że zrobił tak wiele, by rozwikłać tę poważną sprawę, ale nie do końca niespodziewana. Evans miał rację. Nie powinno go tu być.

— Jasne. Rozumiem.

— Dobrze. A teraz, jeśli wybaczysz, muszę porozmawiać z inspektorem Bakerem.

Evans minął Bolta, zostawiając go z Mo i Tiną. Mo zapytał, co z Emmą. Mówił sztywnym, formalnym tonem i Bolt zauważył, że od jakiegoś czasu nie nazywa go szefem.

— Dobrze — odparł. — Przynajmniej na tyle, na ile można po takich przejściach. Ale dojdzie do siebie zajmie jej trochę czasu.

— Wydobrzeje. Dzieciaki są odporne. — Mo spojrział w kierunku domu. — Lepiej tam pójde.

— W porządku.

Mo zdobył się na nikły uśmiech, który powiedział Boltowi, że ich relacje poważnie ucierpiały.

— Mam nadzieję, że niedługo wrócisz do służby.

— Ja też.

— Powodzenia.

Mo odwrócił się i ruszył do bramy. Tina została.

— Nie idziesz z nim? — zapytał Bolt.

Skinęła głową.

— Za chwilę.

Uśmiechnął się do niej. Pomyślał, że ładnie wygląda w blasku księżyca.

— Dzięki za wszystko, co zrobiłaś, Tino. To ocaliło życie Emmie.

— Dzięki, że mnie kryłeś.

— Nie mogłem inaczej, prawda? Nie po tym, gdy naraziłaś dla mnie karierę. — Westchnął. — Jak Turner?

— Wciąż w stanie krytycznym, ale już po operacji. Powinno być dobrze.

— Miejmy nadzieję. Jakies inne postępy w sprawie? Teraz ona się uśmiechnęła.

— Zdaje się, że to ty zrobiłaś największe postępy, Mike.

— Nie miałem nic wspólnego ze śmiercią Ridgersa.

— Ani mi przez myśl nie przeszło, że miałeś.

Zastanowił się, dlaczego czuł potrzebę, żeby jej to powiedzieć. Czy naprawdę jego działania tak bardzo odbiegały od działań stróżów prawa, że musiał usprawiedliwiać się przed kolegami, na wypadek gdyby podejrzewali go o zabójstwo?

— Nie byłbym zaskoczony, gdyby Mo myślał, że to zrobiłem — dodał, trąc oczy.

— Mo lubi robić wszystko jak trzeba. Jest na ciebie wkurzony, ale wciąż uważa cię za dobrego glinę.

Tina się myliła. Mo nie zawsze robił wszystko jak trzeba. Bolt pamiętał, że kiedyś Mo zrobił dla niego coś, co wykraczało poza regulamin, ale może zmęczyło go wyciąganie szefa z kłopotów.

— Wyglądasz na wykończonego, Mike.

— Bo jestem. To był długi dzień. Ale nie podoba mi się myśl o powrocie do domu ze świadomością, że gdzieś tam jest porywacz i zabójca, do tego bogatszy co najmniej o pół miliona funtów.

— W jednym z budynków policja znalazła wóz Phelana. Ale jego samego ani śladu.

Bolt nie krył zaskoczenia. Omal zapomniał o mężu Andrei.

— Nie sądzę, by to on zabił Ridgersa — rzekł powoli. — Nie wyobrażam sobie, żeby za tym stał. Chodzi o to, że facet jest kombinatorem, drobnym przestępcą i notorycznym hazardzistą, lecz raczej nie geniuszem zbrodni.

— Ale skoro jest tutaj wóz, dlaczego nie ma samego Phelana? — zapytała Tina. — Jeśli nie był zamieszany w to wszystko, powinni się pozbyć wozu razem z ciałem, ponieważ robienie tego osobno nie ma sensu.

— Tak sądzę, ale gdyby brał w tym udział, dlaczego zabili sprzątaczkę Andrei?

Tina wzruszyła ramionami.

— Trafna uwaga. Bóg tylko wie.

Zamilkli. Bolt ziewnął.

— Lepiej już idź, Tino. Steve Evans nie będzie zachwycony, że ze mną rozmawiasz. Informuj mnie, jak idzie, dobrze?

Skinęła głową.

— Jasne.

Odchodząc, krzepiąco poklepała go po ramieniu. Bolt uświadomił sobie, że dotknęła go po raz pierwszy w ciągu dwóch lat wspólnej pracy.

— Dobrze się dziś spisałeś, Mike — powiedziała. — Niedługo wrócisz do służby.

Patrzył za nią, myśląc o wszystkim, co dziś zrobił i za co wciąż mógł zapłacić zakończeniem kariery. Dwadzieścia lat służył jako stróż prawa. Nie znał innej pracy i kochał ją pomimo, choć często była monotonna i nakładała na niego różne ograniczenia. Nie miał pojęcia, co zrobi, jeśli go wyleją. Ale pozostało faktem, że w żaden sposób nie zmieniłby swoich dzisiejszych decyzji, ponieważ w końcu, zgodnie z prawem czy

nie, doprowadziły do tego, czego pragnął najbardziej — do ocalenia córki.

Pomyślał o zdjęciu Pata Phelana z Emmą i Andreą stojącymi blisko siebie. Szczęśliwa rodzina. Jeśli Phelan był w to zamieszany, dopuścił się zdrady o niewyobrażalnych rozmiarach. Strach zmusza człowieka do robienia dziwnych rzeczy, a bandzior pokroju Leona Daroyce'a, u którego Pat Phelan miał duży dług, mógł go przerazić. Ale mimo to Bolt wciąż nie wierzył, że to Pat uciekł z pieniędzmi.

Współsprawcy nie żyli, więc zidentyfikowanie Strzelca z farmy będzie poważnym problemem.

CZĘŚĆ SZÓSTA

54

Bolt wątpił w udział Pata Phelana w porwaniu pasierbicy, ale jego zdanie nie miało większego znaczenia. Został wyłączony ze sprawy i — przynajmniej na jakiś czas — z pracy w zespole.

Miał za sobą długą noc. Przebywał w Enfield Nick do wczesnych godzin rannych, składając zeznanie dwóm policjantom z tamtejszego wydziału kryminalnego i odpowiadając na ich pytania. Trzymał się opowiedzianej Steve'owi Evansowi historyjki, jak znalazł się na miejscu zdarzenia, ale powiedział prawdę o wszystkim innym, i szybko stało się jasne, że uważają go bardziej za świadka niż za podejrzanego o zamordowanie Scotta Ridgersa. Po zakończeniu formalności mógł wreszcie jechać do domu. Parę minut po trzeciej padł na łóżko wyczerpany, po raz pierwszy od blisko czterdziestu ośmiu godzin mógł się odprężyć.

Spał do późna. Minęła jedenasta, gdy wreszcie wstał, wykąpał się i zaparzył świeżą kawę. Odsłuchał nagraną wiadomość od Mo, który powiedział, że Matt Turner wciąż jest w ciężkim stanie, ale operacja się udała i lekarze są dobrej myśli. Dodał, że Emma została przesłuchana i potwierdziła jego wersję wydarzeń, a na koniec życzył mu szczęścia i wyraził nadzieję, iż niebawem wróci do służby. Sprawiał wrażenie lekko skruszzonego i Bolt przypuszczał, że to jego forma przeprosin za wczorajsze zachowanie.

Dobrze, że stan Turnera rokował poprawę. Bolt zdecydował, że pojedzie do szpitala, gdy tylko lekarze wyrażą

zgodę na odwiedzin.

Gdy nalał kawy do kubka i zrobił sobie kilka tostów, wrócił myślą do Emmy. Dziwna była świadomość, że ma córkę, która przez czternaście lat dorastała ledwie parę mil dalej. Ale czuł się szczęśliwy i liczył na to, że będzie uczestniczył w jej życiu, choć wiedział, że musi poczekać jakiś czas, przynajmniej dopóki Emma nie dojdzie do siebie po najgorszych przeżyciach.

Ale musiał przynajmniej wiedzieć, jak daje sobie radę, kiedy więc zjadł tosty, zadzwonił do Andrei pod numer domowy. Odebrała Marie, oficer łącznikowy. Mówiła ze zmęczeniem, choć lekko poweselała, gdy rozpoznała głos Bolta.

— Cudownie, że Emma wróciła do domu — powiedziała. — Andrea nie posiada się ze szczęścia, jak pewnie pan sobie wyobraża.

— Jest tam?

— Tak, są obie. Chce pan z nią porozmawiać?

— Poproszę. Zamienię tylko parę słów. Z pewnością jest zajęta.

— Poszukam jej. Proszę poczekać.

Marie wyraźnie nie wiedziała o jego zawieszeniu. Wyglądało na to, że niewiele jej powiedziano, co w tych okolicznościach nie było złe.

Parę sekund później usłyszał, że ktoś podnosi słuchawkę. To nie była Andrea. Odezwała się Marie.

— Mówi, że w tej chwili jest bardzo zajęta, panie Bolt. Pyta, czy może oddzwonić później.

Starał się, żeby jego głos nie zdradzał zawodu.

— Nie ma sprawy. Będę czekać na jej telefon. Ale Emma ma się dobrze, prawda?

— W tej chwili śpi, ale tak, dobrze to zniosła, choć lekarze mówią, że jest odwodniona.

Chciał zapytać o coś jeszcze, podtrzymać rozmowę w nadziei, że Andrea zmieni zdanie i podejdzie do aparatu, ale nie był pewien, co powiedzieć, więc z ociąganiem pożegnał się i rozłączył.

Włączył telewizor i znalazł Sky News. Główne doniesienia dotyczyły nieudanej zasadzki na bandytów. Nie podano nazwiska człowieka zastrzelonego przez policję, ale zasztyletowany młody ojciec został zidentyfikowany jako trzydziestopięcioletni Anthony Randolph z Waltham Abbey w Essex. Na ekranie mignęło jego ślubne zdjęcie, a potem ukazała się fotografia Matta Turnera. Jego twarz wyglądała wyjątkowo poważnie, gdy reporter mówił, że ranny agent walczy o życie na oddziale intensywnej opieki medycznej. Pokazano też prawie pustą Tottenham High Road, ogrodzoną pasami policyjnej taśmy, ale było jasne, że informacje są skąpe, nie padła wzmianka o porwaniu ani o powiązanej z tym zdarzeniem śmierci Scotta Ridgersa.

Bolt miał żal, że już nie uczestniczy w dochodzeniu, w którym dokonał tak wielkiego przełomu. Zastanawiał się, czy są jakieś wieści o Phelanie, i przez chwilę chciał zadzwonić do Tiny, ale zmienił zamiar. Już zrobiła dla niego więcej, niż musiała, i nie chciał tracić jej szacunku, naciskając ją jeszcze bardziej.

Dopił kawę i ubrał się, wiedząc, że musi coś zrobić, cokolwiek, żeby zmniejszyć frustrację.

Wtedy wpadł na pomysł. Na zewnątrz świeciło słońce, mieli kolejny piękny dzień. Włożył buty i spojrzął na zegarek. Za pięć dwunasta.

Pora spotkać się z paroma starymi przyjaciółmi.

55

Kiedy Tina Boyd wcisnęła przycisk brzęczyka na bramie Andrei tuż po wpół do trzeciej po południu, miała za sobą siedmiogodzinny dzień pracy. Wreszcie wracała do domu, choć nieco okrężną drogą. Razem z Mo spędziła ponad dwie godziny na rozmowie z Emmą, słuchając jej wstrząsającej relacji z ostatnich dni, podczas gdy matka siedziała przy córce i trzymała ją za rękę. Tina była pod wrażeniem odwagi Emmy, a także klarowności, z jaką odpowiadała na pytania w czasie przesłuchania. Dziewczynka mówiła spokojnie i starannie dobierała słowa. Choć wyglądała na zmęczoną i chudsza niż na zdjęciach, które wisiały w całym domu, jej ogólne zachowanie sugerowało, że poniesione szkody nie są nieodwracalne. Było za wcześnie, by mieć całkowitą pewność, a Tina nie była psychologiem, ale zakończyła spotkanie z optymizmem, dumna ze swojego szefa, który ocalił Emmie życie i omal nie stracił własnego, gdy spieszył jej na ratunek. Emma zapytała, gdzie jest Bolt, bo chciała mu podziękować jak należy. Patrząc na Andreę, Tina powiedziała jej, że z pewnością niebawem się spotkają.

Andrea odwróciła wzrok.

Z głośnika popłynął głos Andrei. Ton był znacznie weselszy i beztroski, odkąd odzyskała córkę, ale natychmiast się zmienił, gdy Tina się przedstawiła.

— Och, już z powrotem? — zapytała ze znużeniem. — Niestety, Emma w tej chwili śpi i nie chcę jej przeszkadzać.

— Nie szkodzi. To z panią chciałabym się zobaczyć. Mogę wejść?

Andrea ją wpuściła. Przebrała się od czasu wcześniejszej wizyty Tiny i teraz miała na sobie długą bawełnianą koszulkę i spodenki khaki, które eksponowały jej zgrabne nogi ze świeżo umalowanymi, jaskrawoczerwonymi paznokciami. Wymizerowana, przerażona kobieta z ostatnich paru dni prawie zupełnie zniknęła. Zaszła w niej ogromna przemiana.

— Odprawiłam oficer łącznikową — powiedziała, gdy Tina weszła do holu. — Jesteśmy teraz same z Emmą. Jak zawsze. Jakies wieści o Pacie?

— Na razie nic, niestety.

— Bóg wie, co się z nim stało. Nadal nie sędzę, by był w to zamieszany, ale jeśli tak... — Jej twarz spochmumiała, lecz zaraz potem odzyskała blask, gdy odsunęła na bok myśli o mężu. — Ma pani zatem więcej pytań do mnie? Dlatego pani tu przyszała?

— Możemy przejść do pokoju?

— Oczywiście.

Andrea przeciągnęła słowo, próbując z jej twarzy wyczytać, o co może chodzić. Tina niczego nie zdradziła. Andrea przepuściła ją w drzwiach i zajęła swoje zwykłe miejsce na sofie. Tina zamknęła drzwi i stała.

— Chciałam zadać parę pytań o ojca Emmy. Jej prawdziwego ojca.

Andrea westchnęła głośno.

— Boże, musimy o tym rozmawiać? Czy to ważne? Też chciałabym odpocząć, wie pani.

— Musimy porozmawiać o tym teraz.

— Tylko nie tym tonem, proszę.

— W piątek pani zeznała, że ojcem Emmy był Jimmy Galante.

— Zgadza się.

Tina z tylnej kieszeni dzinsów wyjęła złożoną kartkę i pokazała Andrei.

— Czy wie pani, co tu jest napisane?

Andrea milczała, ale wyglądała na mniej pewną siebie.

— Że Emma została adoptowana.

Andrea głośno przełknęła ślinę.

— Przez panią i ówczesnego męża, pana Williama Deverna, we wrześniu dziewięćdziesiątego czwartego. Kiedy miała siedemnaście miesięcy. Dziś rano dostałam kopię metryki z Somerset House.

— Chryste. Proszę ciszej. Emma nie wie.

— W porządku. Ale zastanawiam się, pani Deverm, co jeszcze pani skłamała.

Andrea sięgnęła po papierosy, co — jak Tina teraz wiedziała — było pewną oznaką jej zdenerwowania.

— Chciałam tylko, żeby Jimmy mi pomógł, i pomyślałam, że jeśli go przekonam, że jest ojcem Emmy, wtedy nie będzie mógł odmówić. — Wstała i otworzyła drzwi balkonowe, zapaliła papierosa i wydmuchnęła dym do ogrodu, splatając ręce w obronnym geście. — Na moim miejscu zrobiłaby pani to samo, tylko że pani o tym nie wie, bo nie ma pani dzieci. Może nie jest moim ciałem i krwią, ale jest moją córką. Wychowałam ją. Nikt inny, bo Billy zmarł w tym samym roku. Tylko ja. — Wydmuchnęła dym i spojrzała wyzywająco na Tinę.

— Kiedy zamierza pani powiedzieć Mike'owi Boltowi, że nie jest ojcem Emmy?

Andrea wzdrygnęła się, słysząc to pytanie.

— Powiedział pani o tym?

— Dopiero gdy nie miał innego wyjścia.

— Niedługo mu powiem. Kiedy tylko się pozbięram.

— Omal go pani nie zniszczyła, pani Devem. Przez panią został zawieszony i możliwe, że straci pracę. Mogłaby pani zaoszczędzić mu przynajmniej tego zmartwienia.

— Mówiłam pani, niedługo mu powiem.

— Nie. Albo zadzwoni pani do niego natychmiast, albo ja to zrobię. Choć naprawdę uważam, że będzie najlepiej, gdy usłyszy prawdę od pani.

— Proszę posłuchać, panno Boyd, nie ma pani pojęcia, przez co przesłam w zeszłym tygodniu. Co zrobiłam, żeby chronić moją córkę, pomóc w uwolnieniu jej z łap tych bydlaków i mieć ją z powrotem przy sobie, gdzie jej miejsce, i nie zamierzam za to przepraszać.

— A jednak on musi wiedzieć — rzekła Tina z naciskiem. — Dzisiaj.

Andrea rozplotła ręce, przyjęła swobodniejszą pozę.

— Może jednak pani mu powie? Proszę. Proszę powiedzieć, że jest mi ogromnie przykro i że do niego zadzwonię, obiecuję. Po prostu... — Urwała i Tina zobaczyła, że jej oczy napęniają się łzami. — Ja dzisiaj nie mogę.

— Dobrze. Zadzwonię do niego z ogrodu.

Gdy wychodziła, Andrea położyła rękę na jej ramieniu.

— Zależy mi na nim, wie pani — powiedziała cicho, łza spływała po jej policzku. — Znacznie bardziej, niż pani przypuszcza.

Tina pokiwała głową. Nie wierzyła w ani jedno słowo.

Poszła na koniec ogrodu i wybrała numer Mike'a, świadoma, że wiadomość będzie dla niego ciosem.

Kiedy odebrał, był w dobrym humorze, a w tle brzmiał gwar rozmów.

— Tino, jak leci?

— Nieźle. Gdzie jesteś?

— W pubie w Finchley. Siedzę z paroma kumplami z lotnej brygady. Uznałem, że skoro zostałem zawieszony, równie dobrze mogę się zabawić. Co mogę dla ciebie zrobić?

Chwila prawdy. I Tina od razu zrozumiała, że nie zdoła tego zrobić. Nie, kiedy Bolt dobrze się bawi. To musiało poczekać.

— Pomyślałam, że może chcesz usłyszeć najświeższe nowiny, ale skoro jesteś z kolegami...

— Nie, chętnie cię wysłucham.

Streściła przebieg śledztwa, choć tak naprawdę niewiele było do powiedzenia. Pat Phelan się nie pokazał. Mieli pod obserwacją dom Isobel Wheeler, na wypadek gdyby tam się zjawił, ale na tym koniec.

— Widziałaś Emmę?

Tina zeszywniała.

— Tak, wszystko dobrze. Jest już w domu.

— A Andrea?

— Też w porządku.

— Dzięki, Tino. Jestem naprawdę wdzięczny, że informujesz mnie na bieżąco.

— Zależałoby mi na tym samym, gdybym była na twoim miejscu. W każdym razie lepiej wracaj do kolegów.

Rozłączyła się, przeklinając samą siebie, że okazała się takim tchórzem. Będzie musiała zadzwonić do niego później.

Usiadła na ogrodowej ławce i zapaliła papierosa, nie kwapiąc się z powrotem do domu. Gdy wygrzewała się w popołudniowym słońcu, z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że będzie tęsknić za Mikiem Boltem, gdy pozostanie zawieszony. Ich wzajemne relacje zmieniły się w ciągu tych paru zeszłych dni. Po raz pierwszy dostrzegła jego wrażliwą stronę. Schlebiało jej, że zwrócił się do niej po pomoc, dostrzegając w niej coś poza twardą skorupą, którą się otoczyła. Minęły ponad trzy lata od śmierci Johna. Od tej pory miała parę przelotnych

przygód i krótki urlop w Tajlandii. Ale teraz czuła rodzący się pociąg do Bolta, i to wytrącało ją z równowagi.

Zgasiła papierosa w trawie i wstała powoli. Czas ruszać do domu.

Zatrzymała się, gdy tylko weszła do pokoju. Andrea siedziała na sofie, jak wcześniej, ale towarzyszyło jej dwóch mężczyzn w garniturach. Tina rozpoznała detektywów, których w nocy widziała na farmie. Gdy odwrócili się w jej stronę, próbowali zachować nieodgadniony wyraz twarzy, ale ich oczy zdradzały niezaprzeczalne podniecenie.

— Mamy nowy trop zabójcy Scotta Ridgersa — powiedział młodszy, piegowaty młodzieniec z rzedniejącymi włosami. — Świetny.

56

Pub Coach and Horses był miejscem, w którym lubili popijać dawni i obecni członkowie lotnej brygady. W niedzielę w porze lunchu zawsze można tam było zobaczyć kilka znajomych twarzy, głównie miejscowych, ale Bolt zajrzał tu po raz pierwszy od długiego czasu.

Tłum, który zebrał się w porze lunchu, rzedniał, gdy Bolt skończył rozmowę telefoniczną z Tiną i wrócił do stolika, gdzie popijał od dwóch godzin z dzisiejszym kontyngentem lotnej brygady: Ronem „Sekatorem” Austinem, srebrnowłosym, bliskim emerytury, Marvinem „Wściekłym Psem” Bennettem, wielkim czarnym facetem obecnie biorącym udział w operacji Trident, projekcie zwalczania problemu posiadania broni przez czarnoskórych mieszkańców Londynu, Dużym Timem Pritchardem, niegdysiejszym amantem w brygadzie, obecnie ważącym o wiele za dużo wskutek pracy za biurkiem, i skłonny do wypadków Jackiem „Leserem” Doyle’em.

— Kto to był, twoja dziewczyna? — Sekator Austin wyszczerzył zęby, gdy Bolt usiadł przy drinku.

— Niestety, nie. Koleżanka.

— Musisz się bardziej postarać, stary — poradził Jack Doyle, po czym podjął swoją opowieść o dawnej przelotnej przygodzie z panią inspektorem z Hendon.

Bolt w zasadzie nie słuchał. Myślami był gdzie indziej. Chciał porozmawiać z Emmą i gdy zadzwoniła Tina, pomyślał,

że może to ona albo Andrea postanowiła się z nim skontaktować. Był rozczarowany, gdy się okazało, że nie. Miło było nadrobić zaległości w wymianie historii wojennych z dawnych dobrych czasów, ale teraz, gdy rozmowa zesłała na miłosne podboje, uznał, że pora iść.

Doyle zakończył w burzy śmiechu ilustrowaną sugestywnymi ruchami rąk opowieść o szalonym, pijackim seksie (którego finał nastąpił, co u niego było dość nieuchronne, gdy spadł i skręcił kostkę tak paskudnie, że nie zjawił się w pracy przez trzy dni). Gdy wyszedł do ubikacji, Duży Tim, nie chcąc być gorszy, zaczął snuć własną historię o związku ze śliczną policjantką z Finchley Nick.

— Nazywała się Tracey Bonham. Ktoś ją pamięta?

— Tak, ja — odparł Sekator. — Ładniutka. Ruda. Nie mów mi, że miała przygodę z takim brzydalem jak ty.

Krzeseło zaskrzypiało niebezpiecznie, gdy Duży Tim się pochylił.

— Uważaj, stary. Dziewczyna była we mnie zakochana, tyle ci powiem. Ja też ją lubiłem. Byliśmy o krok od zaręczyn.

— Nie miałem pojęcia — mruknął Sekator sceptycznie. — Jesteś pewien, że ci się nie śniło?

— Ja jej nie pamiętam — powiedział Wściekły Pies, potrząsając głową.

Bolt przełknął ostatni łyk piwa. Szczerze mówiąc, on też jej nie pamiętał.

— Wcale mi się nie przyśniło, cholera, rozumiemy się? Omal się nie zaręczyliśmy i pewnie byśmy to zrobili, ale związała z jakimś oblesnym małym sukinsynem, jednym z kapusiów Lesera Doyle'a.

Sekator zrobił przerażoną minę.

— Chryste, rzuciła cię dla kapusia?

— Dobra, daj spokój. Przestań do tego wracać. Był jednym z tych prawdziwych lowelasów. Typ, na jaki lecą naiwne babki.

— To znaczy takich jak ty? — zaśmiał się Wściekły Pies.

— Nie, nie jak ja. Jestem piękny, fakt, ale poza tym wytworny i mam dobre serce. On był tylko długowłosym gnojkiem z niezłymi tekstami. Kręcił z paroma dziewczynami z Finchley Nick. W końcu wpadł za paserstwo, gdy zaczął zalewać rynek zrabowanym sprzętem hi-fi. Jeden zestaw sprzedał nawet Tracey.

— Poważnie?

— Tak. Zresztą z tego powodu musiała odejść z policji. Chryste, jak on się nazywał? — Duży Tim podniósł głowę i zobaczył, że Doyle wraca z toalety. — Jak on się nazywał, Jack? Ten twój informator sprzed paru lat. Ten, który poszedł siedzieć za handel kradzionym sprzętem stereo. Pat jakiś tam, co nie?

— Mam! — zawołał Sekator, waląc pustą szklanką w stół. — To był Pat Phelan. Kudłata ciota.

— Chryste, nie pamiętam, to było tak dawno — mruknął Doyle, siadając przy stoliku.

Ale gdy powiedział te słowa, spojrzał na Bolta i ich oczy się spotkały. Bolt mocno zacisnął palce wokół pustej szklanki. Doyle szybko odwrócił wzrok i podniósł swoje piwo, starając się zachować naturalny wyraz twarzy.

Bolt wbijał w niego oczy, czując zastrzyk adrenaliny. Była blokada informacji. W mediach nie padło nazwisko Pata Phelana. A jednak Jack Doyle musiał wiedzieć, jakie znaczenie ma ono dla niego, dlatego odruchowo odwrócił wzrok.

Ich oczy znów się spotkały i nagle stało się tak, jakby wszyscy inni znikli. Zostali tylko oni dwaj, po przeciwnych stronach pustego, cichego stołu.

Instynkt. Tak bardzo wpływa na ludzkie zachowanie. W tych krótkich, mrocznych chwilach instynkt podpowiadał Boltowi, że

patrzy na człowieka, który telefonował do Andrei do domu, i gdy jechała samochodem i który w taki czy inny sposób zorganizował porwanie.

57

Jack Doyle dopił piwo i wstał.

— Muszę iść, chłopaki. Rzeczy do zrobienia, ludzie do zobaczenia, sami wiecie.

Podał kolegom rękę.

— Ja też lecę — powiedział Bolt, wstając od stolika.

— Nie macie ochoty na jeszcze jedno na drogę, panowie? — zapytał Duży Tim zawiedziony na myśl o utracie połowy potencjalnych słuchaczy.

— Nie, wybacz, mam za sobą parę długich dni — odparł Bolt, żegnając się z kolegami uściskiem dłoni. Musiał się spieszyć, gdy wyszedł za Jackiem z pubu.

— Podrzuciłbym cię, Mike — powiedział Doyle, szukając kluczyków — ale jadę w inną stronę. Na razie.

Skinął głową z uśmiechem tak wymuszonym, że jego twarz wyglądała jak po botoksie. Nie próbując podać mu ręki, ruszył do samochodu za pubem.

Bolt dotrzymywał mu kroku.

— Ona jest moją córką, Jack.

Doyle spojrział na niego ze zdziwioną miną.

— Kto?

— Emma Devem. Dziewczynka, której porwanie zorganizowałaś.

— Do diabła, o czym ty mówisz?

— Dokładnie wiesz, o czym mówię. Dlaczego wzięłeś na cel Andree? Phelan ci ją wystawił?

— Spokojnie, Mike. Chyba dopadł cię stres związany ze sprawą tego porwania. Dlaczego nie pójdziesz do domu i nie odpoczniesz? Bo daję ci słowo, gadasz bzdury.

Szedł dalej, a Bolt razem z nim, choć zaczęły go ogarniać pierwsze wątpliwości.

A potem go olśniło.

— Byłeś na chorobowym w czasie akcji w Levisham, prawda? Gdy zastrzeliłem Deana Hayesa.

— Nie chcę o tym gadać, Mike. A teraz spadaj.

Doyle otworzył centralny zamek, gdy podeszli do wozu, srebrnego forda mondeo, zaparkowanego pod ogrodzeniem na tyłach pubu.

— Byłeś na chorobowym, więc dowiedziałeś się o zasadzce dopiero po fakcie. Mam rację, prawda? Cholera, Jack. Nigdy nie posądziłbym cię o korupcję, ale byłeś w to zamieszany, prawda? Siedziałeś w tym.

Rysy Doyle'a stwardniały, gdy otworzył drzwi.

— Zawracasz głowę, Mike. Możesz to robić, jak tylko długo chcesz, bo mnie to nie rusza.

— Będą dowody, Jack. Ty to wiesz. Ja to wiem. Więc gdzie jest pół miliona? Pod twoim łóżkiem? Schowane na czarną godzinę? Znajdziemy je.

Doyle pokręcił głową.

— Ale nie ty, prawda? Jesteś zawieszony.

I z tymi słowy wszedł do wozu.

Bolt zawrzał ze złości. Rozejrzał się. Parking był pusty. Musiał działać. Natychmiast.

— Myślisz, że pozwolę ci odjechać po tym, co zrobiłeś mojej córce?

Podszedł do drzwi kierowcy i otworzył je gwałtownie.

— Nie, nie sądzę — odparł Doyle, gdy Bolt pochylił się, żeby go złapać za koszulę. — Dlatego mam to. — W lewej ręce trzymał rewolwer o krótkiej lufie z kolbą okręconą taśmą klejącą. Celował w Bolta. — A teraz odsuń się od wozu, grzecznie i spokojnie.

— Nie zastrzelisz mnie tutaj.

— Na twoim miejscu nie zakładałbym się o to.

Zimny wyraz oczu Doyle'a powiedział Boltowi, że lepiej posłuchać. Zrobił krok w tył, rozumiejąc, że poważnie się przeliczył. Do licha, co teraz ma zrobić?

Doyle wysiadł z opuszczonym rewolwerem i zerknął nad ramieniem Bolta, żeby sprawdzić, czy parking wciąż jest pusty. Potem rzucił kluczyki na fotel kierowcy.

— Dobra, Mike, ty prowadzisz. Wsiadaj, bo inaczej poczęstuję cię kulką.

— Nie rób tego, Jack. To skończone, nie rozumiesz?

— Wsiadaj.

Bolt odetchnął głęboko i wsunął się za kierownicę. Jack zajął miejsce z tyłu. Celował z rewolweru przez lukę pomiędzy fotelami.

— W porządku, jedziemy.

— Dokąd?

— Ruszaj i skręć w prawo.

Bolt włączył silnik i ruszył powoli przez parking, mając nadzieję, że któryś z chłopaków z lotnej brygady wyjdzie od frontu i poprosi o podrzucenie.

— Dalej, jedź — warknął Doyle, wbijając mu lufę w żebra.

Droga była pusta i wiedząc, że nie ma wyboru, Bolt wjechał na Finchley Road i ruszył na północ, próbując przeanalizować swoje możliwości. Był pewien, że Doyle nie pociągnie za spust w czasie jazdy, a także przekonany, że nie zrobiłby tego, nawet gdyby się zatrzymał i wyskoczył — nie w miejscu publicznym,

wśród pieszych i innych pojazdów — ale przekonany to za mało. Jack Doyle był zabójcą i człowiekiem zdesperowanym. To paskudne połączenie.

Przyszło mu na myśl, że przypuszczalnie Doyle rozważa różne warianty działania, i zdecydował, że najlepiej będzie rozproszyć jego uwagę. Musiał zmusić go do mówienia.

— Do licha, Jack, dlaczego to zrobiłeś? — zapytał z zawodem w głosie.

— To nie tak, jak myślisz, i nie wiedziałem, że ona jest twoją córką. Chciałem odzyskać pieniądze.

— To znaczy?

— Ta robota w Levisham miała być moim funduszem emerytalnym. Zamiast tego sprawa się rypła, a ja straciłem prawie wszystko. Gdybym nie zmusił Galante'a do wyjazdu z kraju, na pewno by mnie zakapował. Przez lata nie wiedziałem, kto nam to wszystko spierdolił. Nie nazwałeś swojego źródła, pamiętasz?

— Tak, pamiętam.

— Bardzo rycersko z twojej strony. Tylko że pewnego dnia powiedziałeś mi.

Bolt zmarszczył brwi.

— Kiedy?

— Pamiętasz tę wyprawę na ryby do Irlandii parę lat temu, gdy ostatnim razem cię zawiesili? Cóż, wtedy. Spiliśmy się jednej nocy w pubie pod Kilrush, w tym z wielką płonąca koda. Wtedy zapytałem cię o robotę. Nie znaczy, że to mnie martwiło. Po prostu chciałem wiedzieć.

— A ja ci powiedziałem? — Bolt jak przez mgłę pamiętał, że coś mówił, ale była to noc wyjątkowego pijaństwa.

— Tak, powiedziałeś mi, że to ta dziwka Andrea Devem. Nawet nie wiedziałem, że była cizia Galante'a. — Doyle chrząknął. — W każdym razie rozejrzałem się i zobaczyłem, że

nieźle się urządziła. W przeciwieństwie do mnie. Jestem po rozwodzie, nie widuję dzieci, a ta kurwa, moja była, zgarnęła całą moją forszę i bierze połowę pensji.

Bolt nie powiedział mu, że to raczej nie powód, by organizować porwanie i popełniać morderstwo. Milczał, pozwalając mu mówić. Przez cały czas rozważał swoje szanse.

— A potem usłyszałem, że wyszła za tego śmiecia Pata Phelana. Wiesz, że spotkałem się z nim parę miesięcy temu? Zamierzałem go wybadać, czy nie wejdzie do spółki, ale ten szpaner tylko się przechwalał, ile to ma teraz forsy, gdy się ożenił z bogatą dziewczyną, wracał do tego bez końca. Śmiał się ze mnie. Wyobrażasz sobie, Mike? Ten łajdak się ze mnie śmiał. Cóż, teraz mu nie jest do śmiechu.

— Gdzie jest?

— Niedaleko stąd. Dziwię się, że jeszcze go nie znaleźliście.

Wyjął zmiętą paczkę papierosów z kieszeni sportowej marynarki i zapalił.

— Wiesz, co mnie gryzie? Wszystko zostało doskonale zaplanowane. Naprawdę się przyłożyłem. Pozwoliłem, by Ridgers i jego kumpel spod celi, gnojek Karl Roven, odwalili całą trudną robotę. Koncepcja była taka, że zjawią się na farmie, a ja załatwię ich obu. Pif-paf! i po wszystkim. Ponieważ Pat Phelan zapadł się pod ziemię, w końcu wina spadłaby na niego.

— A Emma? Co zamierzałeś z nią zrobić?

— Miała zostać uwolniona. Nie jestem okrutny. Nie mam nic przeciwko pozbywaniu się takich mętów jak Ridgers i jego koleś, ale nie krzywdzę dzieci.

Bolt jakoś w to wątpił. Jeśli Doyle był na tyle okrutny, by zamknąć Emmę w piwnicy i narażać na taką gehennę, na pewno pozbyłby się jej bez jednego mrugnienia.

— A sprzątaczką? Też była szumowiną?

— Szkoda jej — odparł Doyle ze szczerym żalem. — Kazałem kumpłowi Ridgersa, Rovenowi, zaznajomić się z nią. Tylko tak mogliśmy zdobyć kod alarmu, żeby podłożyć pluskwy. Parę razy sam próbowałem obejść alarm, ale okazał się zbyt skomplikowany. I gdy Roven zdobył informacje, musiał ją załatwić.

— Nie znaleźliśmy w domu żadnych pluskiew.

— Użyliśmy podsłuchu najprostszego z możliwych. Umieściliśmy w domu komórki z zestawami głośnomówiącymi. Wystarczyło je wyciszyć i nastawić na tryb automatycznej odpowiedzi, a potem wybierać numery i słuchać. Nie znaleźliście ich, bo w obu do piątku wyczerpały się baterie, więc te wasze nowomodne wynalazki, których dzisiaj używacie, nie mogły ich wykryć. Nie sądziłem, że będą nam później potrzebne.

Bolt wiedział, że można przemienić zwyczajne komórki w zamaskowane urządzenia podsłuchowe, wprowadzając tylko parę standardowych modyfikacji. Powinni byli o tym pomyśleć. Co nie znaczy, że uczyniłyby to jakąś różnicę.

— Wiesz, nie mogę uwierzyć, że mój przyjaciel — ktoś, kogo znam Bóg wie jak długo — szesnaście, siedemnaście lat? — mógł zrobić coś takiego, a teraz siedzi tutaj i próbuje to usprawiedliwić.

Doyle wyprostował się i spojrzał na niego gniewnie, wydmuchując dym ku przedniej szybie.

— Zeszłej nocy ocaliłem ci życie, Mike. Pamiętaj o tym. Gdybym nie wpakował kulki Ridgersowi, pociąłby cię na kawałki i dobrze o tym wiesz. — Zaciągnął się głęboko. — Ocaliłem ci życie, choć zjawiając się tam, prawie wszystko zepsułeś. Tak jak teraz.

— Wybacz mi, jeśli nie przeproszę, że chciałem ratować córkę przed bydlakami, których wynająłeś.

— Wiesz, że nie zrobiłbym tego, gdybym wiedział, że ona ma coś wspólnego z tobą. Jak powiedziałem, chciałem tylko dostać moje pieniądze.

Bolt patrzył na niego w lusterku wstecznym.

— Wciąż mówisz „moje pieniądze”. Andrea kierowała firmą, którą stworzyła od zera. Co była ci winna?

— Jak myślisz, jak zaczęła ten interes? Były inne pieniądze, które Jimmy Galante ukrywał i które zniknęły, gdy wyjechał z kraju. Pieniądze, które ona miała. Nie popełnij błędu, myśląc, że ta dziwka jest bez skazy.

Doyle otworzył okno i wyrzucił niedopałek.

— Jedź prosto przez światła i nie kombinuj. Gdzieś tutaj jest zakręt.

— Dokąd jedziemy?

— Jeszcze tylko kawałek.

Bolt wiedział, co się zbliża. Zwolnił, gdy zapaliły się czerwone światła, i zatrzymał mondeo.

— Zabijesz mnie?

Doyle miał zbolaną minę.

— Jasne, że nie, Mike. Dalecy jesteśmy od tego.

— Pewnie.

Światła zmieniły się na zielone i Bolt ruszył. Wiedział, że Doyle nie może zostawić go przy życiu, choć byli starymi przyjaciółmi. Kiedy człowiek popełni tyle zabójstw, co on w ubiegłym tygodniu, staje się uodporniony, a Jack Doyle zawsze był twardy i nie bał się podejmować trudnych decyzji.

Zabręczała komórka w kieszeni Bolta.

— Nie odbierzesz?

Bolt wyjął telefon, ale Doyle wyciągnął wolną rękę.

— Daj mi to — powiedział i zabrał mu komórkę. Spojrzał na ekran, gdy dzwonek wciąż brzęczał.

— Kto to jest Tina Boyd?

Bolt się spał. Czego ona mogła chcieć?

— Koleżanka.

Doyle uśmiechnął się porozumiewawczo.

— Koleżanka czy dziewczyna?

— Koleżanka.

Komórka umilkła i włączyła się poczta głosowa, potem zabrzmiał krótki sygnał, oznajmiając wiadomość. Doyle podniósł telefon do ucha, wciąż trzymając pistolet przy boku Bolta.

Gdy słuchał nagranych słów Tiny, coś się stało. Bolt widział w lusterku wstecznym, że twarz Doyle'a, pokryta plamami i pobrużdżona po latach nadużywania alkoholu, zaczęła tracić kolor i oddech mu przyspieszył.

— Cholera! — syknął, rzucając telefon na podłogę. Komórka zagrzechotała pomiędzy siedzeniami. — Cholera, cholera, cholera! Do diabła, jak się o mnie dowiedzieli?

Jakoś na niego trafili. Bolt zastanawiał się, czy to dobrze, czy źle.

— To koniec, Jack — powiedział, próbując zachować spokój, wypatrując okazji, by zejść z linii strzału. — Możesz się poddać. Nic, co tutaj powiedziałeś, nie zostanie uznane w sądzie. Pójdiesz siedzieć za porwanie, ale ominie cię oskarżenie o morderstwo.

Za nim Doyle wiercił się na fotelu.

— Nic z tego, stary — rzekł po chwili. — Oni wiedzą. Skądś wiedzą, że pociągnąłem za spust i załatwiłem Ridgersa. Co mam zrobić?

— Poddaj się.

— Wal się. Wykluczone. Myśl, stary, myśl. Oto, co musisz zrobić.

Odetchnął głęboko, wciąż celując w Bolta, i z roztargnioną miną oceniał swoje szanse.

Bolt zauważył, że nie zapiął pasów.

Bez ostrzeżenia wcisnął gaz do deski i ostro skręcił w lewo, zajeżdżając drogę pojazdowi na sąsiednim pasie.

— Do cholery, co ty wyprawiasz? Przestań, bo strzelę!

Bolt napiął wszystkie mięśnie, spodziewając się kuli, ale jechał dalej, prosto na betonowe słupki wzdłuż chodnika.

— Stój, sukinsynu, stój!

Potem nastąpił potężny wstrząs, gdy Bolt, nie zdejmując nogi z gazu, czołowo uderzył w najbliższy słupek. W brzęku tłuczonego szkła i jęku giętego metalu padł strzał, głośniejszy niż huk zderzenia. Bolt, ogłuszony, podskoczył w fotelu jak marionetka z przeciętymi sznurkami. Kątem oka zobaczył, że Doyle wpadł na oparcie fotela pasażera, a potem poleciał do tyłu, dziko wierzgając nogami, i zniknął.

Wystrzeliła poduszka powietrzna, wypychając Boltowi powietrze z płuc, zamykając go w gumowym uścisku. Przez parę sekund wciskała go w fotel, nie mógł się ruszyć, nawet nie był pewien, czy kula go trafiła. Gdy zrozumiał, że nie, desperacko szarpnął klamkę i w końcu się uwolnił.

Chwiejnym krokiem obszedł przód mondeo, zauważając, że wzdłuż ulicy ciągną się sklepy, niektóre czynne. Wokół szybko gromadzili się zszokowani gapie, większość patrzyła na coś z tyłu wozu.

— Ma broń! — ktoś krzyknął i tłumek szybko się cofnął.

Doyle leżał na chodniku około dziesięciu stóp od wozu, podparty niepewnie na łokciu, luźno trzymając rewolwer. Wyleciał przez tylną szybę, ale nie wypuścił broni z ręki. Było to dla niego typowe. Zawsze z uporem dążył do celu. Krew plamiła mu spodnie i sportową marynarkę, wielka szrama na policzku przypominała drugie, krwawiące usta. Został poważnie ranny, ale gdy zobaczył Bolta, coś błysnęło w jego oczach i spróbował podnieść broń.

Przez długą chwilę patrzyli jeden na drugiego, nieświadomi nikogo innego, każdy próbował pogodzić się z tym strasznym obrotem wypadków, który na zawsze zniszczył ich przyjaźń. Potem Bolt ruszył szybko w jego stronę miarowym, równym krokiem.

Doyle zmrużył oczy, ale miał kłopoty ze skupieniem wzroku. Rewolwer trząśł się w jego ręce. Kilka osób w tłumie głośno wciągnęło powietrze, ale nikt się nie ruszył, by interweniować. Zachowywali się tak, jakby oglądali ostatnią dramatyczną scenę w telewizyjnym dramacie policyjnym.

Krew ciekła z kącika ust Doyle'a, spływała mu po brodzie. Bolt zobaczył, że palec napina się na spuście, lufa celowała w jego brzuch. Poczul wyrzut adrenaliny, który niemal poderwał go w powietrze. W ułamku sekundy skoczył do przodu, nadepnął na trzęsącą się rękę Doyle'a z bronią i pchnął go na chodnik. Mężczyzna stęknął i upadł na plecy, puszcżając rewolwer.

Bolt podniósł go i wycelował w pierś Doyle'a, trzymając broń oburącz.

— Nie! — krzyknął ktoś w tłumie przeraźliwie, ze strachem.

Ale Bolt nie zamierzał strzelać. Nie było sensu. Emma była bezpieczna, a Jack Doyle był skończony. Wściekłość Bolta malała, ustępując miejsca gorzkiemu żalowi, że wieloletnia przyjaźń, którą kiedyś uważał za niezachwianą, mogła zakończyć się w ten sposób. Zeszmacona, w kałuży krwi.

Doyle zamknął oczy i głowa mu opadła. Jeszcze więcej krwi wypłynęło z ust i ściekło na beton.

Bolt zrobił krok w tył, potem drugi, aż znalazł się przy wozie. Oparł się o maskę i dopiero teraz zwrócił uwagę na przyglądający się tłum — dwadzieścia, trzydzieści osób.

— Niech ktoś zadzwoni na policję — powiedział z taką siłą, na jaką mógł się zdobyć.

Potem zmęczenie wzięło górę. Wciąż trzymając rewolwer, osunął się po karoserii i usiadł na asfalcie.

Już po wszystkim.

Tina Boyd stała w cieniu kilkupiętrowego bloku komunalnego i patrzyła w mrok na nowiutkiego czterodrzwiowego lexusa GS zaparkowanego za siatkowym ogrodzeniem po drugiej stronie ulicy. Minęła dziesiąta dwadzieścia, a ona stała tam już ponad godzinę. Zastanawiała się, czy nie traci czasu. Prawdopodobnie tak. Ale Tina nie należała do tych, którzy łatwo rezygnują. Postanowiła odczekać jeszcze pół godziny, zanim da sobie spokój.

Stłumiła ziewnięcie. To był szalony weekend, ale przynajmniej sprawa zakończyła się względnie czysto, co — jak przyzna większość policjantów — zdarza się bardzo rzadko. Wreszcie znaleźli Pata Phelana, choć jego stan pozostawiał wiele do życzenia. Dokładne przeszukanie jednego z budynków na farmie przez agentów SOCO ujawniło obecność półciwartowanych zwłok w beczce z kwasem siarkowym, gdzie rozpuszczały się powoli; prawdopodobnie byłyby nie więcej niż breją, gdyby przeleżały tam jeszcze przez tydzień. Zęby zostały wyrwane, identyfikacja denata była możliwa tylko dzięki jeszcze widocznemu dużemu tatuażowi „precz z bombą atomową” na lewym ramieniu rozpoznanemu przez Andreę Devem.

Drugim wielkim odkryciem tego dnia było zidentyfikowanie trzeciej osoby zamieszanej w porwanie, inspektora Jacka Doyle’a z lotnej brygady. Kobieta mieszkająca sto jardów od farmy usłyszała wieczorem strzały i wyszła na dwór, żeby

sprawdzić, co się dzieje. Zobaczyła obcy samochód zaparkowany na drodze do jej domu i na wszelki wypadek zapisała numer rejestracyjny. Parę minut później spostrzegła mężczyznę, który wsiadł do wozu i odjechał. Ponieważ w okolicy jest wiele farm, a huk strzałów nie należy do rzadkości, kobieta nie zadzwoniła na policję. Ale nazajutrz, gdy policjanci zapukali do jej drzwi, przeprowadzając rutynowy wywiad wśród okolicznych mieszkańców, powiedziała im, co się stało. Szybko stwierdzono, że właścicielem wozu jest inspektor Doyle, a kiedy pokazano kobiecie jego zdjęcie, przyznała, że jest bardzo podobny do mężczyzny, którego widziała. Może za mało, żeby uzyskać wyrok skazujący, ale wystarczyło do wydania nakazu aresztowania i od tej chwili los Doyle'a był przypieczętowany. Jednak zanim zdołali go aresztować, miał wypadek samochodowy i teraz poważnie ranny leżał w szpitalu. Ekspertyza wykazała, że rewolwer z miejsca wypadku, na którym były odciski palców, to ten sam, z którego zastrzelono Scotta Ridgersa.

Sprawa zakończyła się względnie czysto, lecz nie idealnie, ponieważ Matt Turner wciąż był w bardzo poważnym stanie, a Mike Bolt, który bardziej niż ktokolwiek inny przyczynił się do sukcesu operacji, został zawieszony do odwołania. To wydawało się nieuczciwe. I głównie z tego powodu Tina kręciła się po ciemku w podejrzonej dzielnicy miasta, czekając. Ponieważ czasami praca i stanie na straży prawa niekoniecznie przynosi spodziewane efekty. Niekiedy trzeba samemu wymierzać sprawiedliwość, prywatnie. Jak Mike wczoraj.

Po drugiej stronie drogi zapanowało poruszenie. Trzej mężczyźni wyszli z drzwi monolitycznego wieżowca i ruszyli zdecydowanym krokiem, cicho rozmawiając. Zatrzymali się przy lexusie i wsiedli, parę sekund później odjechali.

Tina weszła głębiej w cień i wyjęła komórkę, gdy ją mijali. Telefon był na kartę, niezarejestrowany, kupiony na Tottenham

Court Road wcześniej tego dnia. Gdy lexus dojechał do końca drogi i skręcił w lewo, wybrała numer alarmowy 999, prosząc o połączenie z policją.

— Słucham, w czym mogę pomóc?

— Przed chwilą widziałam, jak trzech uzbrojonych mężczyzn wsiadło do samochodu.

— Jest pani pewna?

— Zdecydowanie — powiedziała bez tchu. — Przechodzili obok mnie.

Podawała adres, markę i model wozu oraz kierunek, w którym pojechali, czekając cierpliwie, gdy dyżurny zapisywał informacje.

— Może pani się przedstawić?

— Nie chcę być w nic zamieszana, boję się.

Zakończyła rozmowę, wyłączyła telefon i wróciła do samochodu.

Kiedy godzinę wcześniej zadzwoniła pod numer, który dał jej Leon Daroyce, zmieniła głos i powiedziała mu, że może znaleźć Pata Phelana w mieszkaniu w Colindale, gdzie zaszył się z kochanką. Miała nadzieję, że chwyci przynętę. Nie wiedziała, czy Daroyce i jego kumple są uzbrojeni, ale w zasadzie nie miało to znaczenia, bo gdy wóz zostanie zatrzymany, policjanci znajdą pięć gramów kokainy, które podłożyła do schowka. Rozbrojenie supernowoczesnego alarmu lexusa wymagało wszystkich umiejętności włamywacza, jakich nauczyła się w SOCA, a także niemałej odwagi, ale było warto. Po znalezieniu kokainy policja wyda nakaz przeszukania mieszkania Daroyce'a. Tina była pewna, że znajdą tam mnóstwo nielegalnego towaru.

Być może to nie wystarczy, żeby zamknąć go na lata czy nawet miesiące, ale przynajmniej zrobiła coś, żeby przerwać jego działalność i odpłacić mu za mękę, na jaką naraził ją dwa

dni temu. Poza tym przeszukanie mieszkania prawdopodobnie przyniesie wolność dziewczynie, nad którą się znęcał, i to będzie dobre. Pewnie się domyśli, kto za tym stoi, i może nawet będzie chciał się zemścić po powrocie na ulice, ale wątpiła, czy zaryzykuje zabójstwo agentki SOCA. W gruncie rzeczy Daroyce był tyranem pastwiącym się nad słabszymi, a tacy z reguły są tchórzami, jak przychodzi co do czego.

Wiedziała, co jej dawny kochanek John Gallan pomyślałby o jej posunięciu. Byłby niezadowolony, nie tylko dlatego, że narażała się na niebezpieczeństwo, ale również dlatego, że zawsze wierzył w absolutną świętość prawa, za którego strzeżenie mu płacono. Ale jak Tina wraz z całą rzeszą innych, przekonała się na własnej skórze, że prawo nie zawsze karze złych, tak jak nie zawsze chroni dobrych. Czasami po prostu trzeba nagiąć zasady, jeśli nawet oznacza to podłożenie dowodów.

W głębi duszy dręczyło ją to, co zrobiła, a także wielkie ryzyko, które podjęła. Ale nie na tyle, żeby miała żałować. Ruszyła sprężystym krokiem cichą, zaśmieconą ulicą, gdy rozległy się syreny pierwszych wozów policyjnych zbliżających się do Leona Daroyce'a.

Epilog: Dwa dni później

Dzień był zimny i dżdżysty, zupełnie inny niż ubiegłe dziesięć, gdy w powietrzu unosiło się babie lato. Mikę Bolt i Andrea Devern stali na Hampstead Heath, patrząc w kierunku Kenwood House.

Andrea dobrze wyglądała. Była ubrana w płaszcz deszczowy trzy czwarte, długie ciemne włosy spływały jej na kołnierz, oczy miała jasne i pełne życia, przypominała tę kobietę, z którą Bolt miał romans przed laty.

— Naprawdę nie chciałam tego robić — mówiła do niego. — To żadna pociecha, wiem, ale żyłam w ogromnym stresie. Wybaczysz mi?

Bolt patrzył na nią. Andrea Devern zgotowała mu piekło, nie było co do tego wątpliwości, ale też miała powód. Bezpieczeństwo swojej córki. Nie jego córki, niestety, jak teraz wiedział, ale mimo wszystko potrafił ją zrozumieć. Dziś widzieli się pierwszy raz od czasu wydarzeń po nieudanej zasadzce. Spotkanie, choć pewnie powinno być krępujące, wcale takie nie było.

Ale przecież, pomyślał Bolt z żalem, Andrea zawsze umiała poprawić mi nastrój.

Uśmiechnął się.

— Jasne, wybaczam ci. Może zrobiłbym to samo na twoim miejscu.

— Nie, nie zrobiłbyś. Nie jesteś taki. Jesteś dobrym człowiekiem, Mike. Masz w sobie za wiele prawości.

Wzruszył ramionami.

— Może jednak. Czasami wszyscy podejmujemy desperackie działania. I chciałbym kiedyś zobaczyć Emmę. Wiem, że nie jest moją córką, ale miło byłoby wiedzieć, jak się miewa.

— Powiem, żeby do ciebie zadzwoniła, gdy poczuje się lepiej. Ostatnio spała całymi dniami.

— Ale nic jej nie jest?

— Nieźle sobie radzi. Ona łatwo się nie poddaje, jak ja. Jest zmartwiona z powodu Pata. Lubiła go.

— A ty jak się z tym czujesz?

— Popłakałam się. Nie był takim złym facetem i cieszę się, że nie zdradził ani mnie, ani Emmy. To pociecha.

— No tak.

— A co z twoim kolegą, Turnerem? Tym, który był w moim domu. Jak się miewa?

— Jest na oddziale intensywnej opieki i mówią, że wydobrzeję, ale jakiś czas musi spędzić w szpitalu.

— Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Wyglądał na miłego faceta.

Żadne nie wspomniało o Jacku Doyle'u. Leżał w szpitalu, wciąż w złym stanie, ale Bolt nie wątpił, że się wylize. Jack nie należał do tych, którzy się poddają. Zawsze był uparty, teraz też, choć czekało go niewiele dobrego, kiedy dojdzie już do siebie.

— A ty, Mike? — zapytała Andrea. — Jak sobie radzisz? Co będzie z twoim zawieszeniem?

— Jeszcze nie wiem. Wciąż czekam na wiadomości, co zamierzają ze mną zrobić.

— Nie powinni ci szkodzić. Zachowałeś się jak bohater. Gdyby nie ty..

Nie musiała kończyć zdania. Oboje wiedzieli, co ma na myśli.

A jednak Bolt nie był pewien, czy jest bohaterem. Bardziej możliwe, że głupcem, i ta głupota mogła kosztować go pracę. Ale nie żałował swoich decyzji, nawet przestał się martwić tym wszystkim. Co ma się stać, to się stanie, więc najlepiej po prostu myśleć o czymś innym.

Milczeli przez chwilę, patrząc na siebie. Świadom, że wciąż coś ich łączy, Bolt odezwał się pierwszy.

— Chciałem się dzisiaj z tobą spotkać, bo mam pytanie.

Andrea zrobiła czujną minę.

— Tak...

— Ten dzień, kiedy się spotkaliśmy w West Endzie całe te lata temu, kiedy poszliśmy do twojego hotelu. To nie było, wiesz...

— Co?

Nagle poczuł się zakłopotany, że poruszył temat.

— To był czysty przypadek, prawda? Nie wiedziałeś, że tam będę?

— Już mnie o to pytałeś. Dawno temu.

— A teraz pytam znowu.

Andrea uśmiechnęła się trochę smutno.

— Czy byłam dla ciebie taka niedobra i uwierzyłeś, że to nie był przypadek?

— Po prostu chciałbym usłyszeć to znowu z twoich ust. Teraz, gdy wszystko skończone.

— To był czysty przypadek, Mike. Daję słowo.

Okłamała go wcześniej, ale tym razem postanowił jej uwierzyć. Może tak było łatwiej.

— I co teraz? — zapytała, a w jej oczach migotało zaproszenie.

Myślał o tym wiele od paru dni i nie znał odpowiedzi, dopóki nie przyszedł tu dzisiaj i nie zobaczył Andrei takiej, jaka być powinna — szczęśliwa, atrakcyjna i pełna energii.

— I?

— Zrobimy to samo co piętnaście lat temu, Andreo. — Z uśmiechem spojrzał jej w oczy. — Rozstaniemy się.

Jej mina się nie zmieniła.

— Jesteś pewien? Myślałam, że może nadal jest coś między nami. Coś, co może warto zbadać.

Pochylił się i pocałował ją w policzek, ociągając się przez sekundę, wdychając jej zapach. Chciał ją objąć, ale nie wiedział, jaki byłby finał, więc w końcu się odsunął.

— Życzę ci powodzenia, Andreo.

Zaproszenie widniało w jej oczach jeszcze przez sekundę, potem zgasło, gdy pogodziła się z nieuniknionym.

— Ja tobie też, Mike, ja tobie też.

Odwrócił się i zostawił ją; szedł zdecydowanym krokiem, może trochę żałując, że nie ułożyło się inaczej — że Emma nie jest jego córką, Andrea nie kocha go naprawdę, razem nie tworzą szczęśliwej rodziny, jakiej nie miał szansy stworzyć z Mikaelą. Ale też wiedział, że podjął właściwą decyzję. Nadszedł czas na zerwanie z przeszłością i spojrzenie w przyszłość.

A od czego lepiej zacząć niż od spotkania z dwudziestoosmioletnią kruczowłosą artystką z St. Ives o seksownym śmiechu?

Gdy wyszedł na Spaniards Road, wyjął komórkę i zadzwonił do Jenny Byfleet w nadziei, że mu wybaczy.